TWÓRCZOŚĆ

7

LIPIEC

ROK IX 1953

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK IX ZESZYT 7

WARSZAWA, LIPIEC ROK 1953

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 2860/c z dnia 2.6.53 r. Nakład 4.700. Druk ukończono w lipcu 53 r. 4-B-17180

JANINA BRZOSTOWSKA

TEJ KSIĄŻKI STRZEC MUSISZ PILNIE PRZED BRAĆMI *)

Cóż uczyniłeś, Giordano,
Że na barłogu, w ciemnicy
Leżysz, jak zbrodniarz najcięższy?

Wszak uchyliłeś zasłony,
Aby się oczom ludzkim
Objawił świat nieskończony
W blasku wysokich gwiazd...
A oni cię skazali,
Byś był jak niewidomy,
A oni cię odarli
Z jasności twojego dnia!

Pamiętasz... Jeszcze młodziutki,
Lat mając ledwie piętnaście
Wstąpiłeś do klasztoru.
Dano ci wtedy do ręki
Ponure księgi o śmierci,
O strasznych mękach piekielnych,
O życiu, w którym jedynie
Czekanie na śmierć jest ważne!

A ty — kochałeś życie
I przerażony szukałeś
Jednego choćby słowa
Pomocy. Nie znalazłeś...
Pamiętasz — pierwsze wiersze
Pisane po kryjomu?
W twym czułym, gorącym sercu
Głucha zrodziła się skarga:
Jak ciężko jest żyć wśród mnichów
Których świat, wąski i ciasny
Podlega prawom ciążenia
Ku rzeczom martwym, minionym!

A jednak jeden z braci
Milczący zwykle, choć pełen
Bezsłownej troski — raz ciebie
Odwiedził w twojej celi
Wieczorem:
— Widziałem światło
Powiedział cicho — w twym oknie,

---

* Fragment poematu Giordano Bruno.

A że już późna godzina,
Wstąpiłem, aby zapytać:
Dlaczego nie śpisz, Giordano?
Spojrzał: na stole książki
Leżały rozrzucone,
Jakbyś, gorliwie szukając
Żadnej nie znalazł, godnej,
By dłużej przy niej pozostać...

Wiedliście cichą rozmowę:
Gość twój niespodziewany
Pojmował dobrze niepokój
Rozdzierający twe serce.

— Przyniosę ci książkę inną,
Przez Kościół potępioną...
Zatrzymał się przy tych słowach —
Ale widocznie zaufał
Twojej tęsknocie do wiedzy,
Bo podjął zdanie: — Tej książki
Strzec musisz pilnie przed braćmi...

Pierwszy raz wziąłeś wtedy
Do ręki wspaniałe dzieło
Polskiego astronoma:
„O ciał niebieskich obrocie"...

Noc była późna. U okna
Czytałeś, samotny w celi,
Przy żółtej woskowej świecy.
Gdy migotliwe jej światło
Jęło powoli dogasać
I wreszcie ciemność rozwarła
Głęboką przed tobą noc,
Podniosłeś oczy znad książki
I po raz pierwszy w niebo
Spojrzałeś — nie jak marzyciel...

Nazajutrz, ledwie świt
Wyszedłeś do ogrodu:
Uderzał słoneczny blask
O ciemne skrzydła cyprysów,
W błękitnym dymie ich cieni
Budził się ogród. Lilie
Sączyły w czyste powietrze
Zapach tak słodki, że niemal
Pragnąłeś go zakosztować
Rozchylonymi wargami...

Naprzeciw ciebie, z książką
Szedł, młody jak ty, brat Paweł.
Czytał — nie widząc piękna
Spienionej rozkwitem wiosny
Ponury traktat o śmierci,
O strasznych mękach piekielnych,
O życiu, w którym jedynie
Czekanie na śmierć jest ważne...

Lata szły, rzekłbyś: spokojne...
A jednak głębokie wrzenie
Wstrząsało tobą: wołanie
O prawdę, o sprawiedliwość —
I wiersze twoje nabrały
Barw nowych: rysy szyderstwa
Ostrzyły kontury zdań,
Pragnienie walki i gniew
Były przewodnią ich nutą.

Dzisiaj w ciemnicy zamknięty
Wciąż wierzysz — niełatwą wiarą,
Że nie daremnie cierpisz:
Czas przyjdzie, kiedy na ziemi
Uczczone zostanie wszystko,
Co sprawiedliwe i słuszne!

Janina Brzostowska

ARNOLD SŁUCKI

BALLADA O STARUSZKACH

Staruszkowie jak jabłoń zsiwiali
od młyńskiego pyłu
idą, worki dźwigają
młynarza.

Przygarbieni staruszkowie biali
idą i kaszlą.
Zasypiają na workach,
gdy gwiazdy gasną.

Staruszkowie mowy by mojej
nie zrozumieli.
Staruszkowie zgięci do ziemi
wiedzieli... wiedzieli...

Tylko grzbiety wyprostować —
trudna nauka.
Niechaj w światło się rozpłyną
w wierszu wnuka...

U KRAWCA

Uczmy się czułość odczytywać wielką
na twarzach staruszek pokrytych woskiem —
w jednej ręce kosz z jarzynami,
w drugiej — spodnie synowskie...

Taką ją w progu widziałem u krawca,
gdy twarz jej matczynym jaśniała blaskiem:
Jutro pierwszy dzień maja — te spodnie
choć razik pan muśnie żelazkiem...

I żeby czasu nie trwonić — przyklękła,
żelazko oddechem rozżarzała własnym.
Przed progiem iskry w zmrok poleciały,
jak duże, rozkwitłe jaskry...

WIERSZ MIŁOSNY

Deszcz pada nad miastem — o niej ja myślę,
rusztowania w śniegu — o niej ja myślę,
Sople lodowe — rzeka szkli się,
na szczycie budowy o niej wciąż myślę.

Słońce w kurzawie — smugi na Wiśle,
dźwigów żurawie — o niej ja myślę.
Dobrą musiałem wybrać dziewczynę,
gdy dniem i nocą — o niej myślę...

Arnold Słucki

DANUTA BIEŃKOWSKA

DACH NAD GŁOWĄ*)

WSPÓŁZAWODNICTWO CYKLOWE

Orański wstał wcześniej niż zwykle, bo Kazimiera nie zasłoniła okna wieczorem i już o czwartej słońce zaświeciło w oczy. Zbiegł do ogródka, zacienionego jeszcze ścianą domu; spoza niej ukośnie padały promienie, tworząc pod płotem jasną plamę, która stopniowo rozszerzała się od rozognionych nasturcji w stronę mocno pachnących pomidorów. Było chłodno i mokro od rosy.

Wydostał motykę ze schowka pod schodami i zaczął spulchniać ziemię pomiędzy rzędami cebuli. Męczyło go ciągłe pochylenie, toteż prostował czasem grzbiet i opierał ręce na stylisku. Oddychając głęboko patrzył na dojrzałe już wiśnie i cieszył się piękną pogodą.

Szpak przyglądał mu się z gruszy, która nie owocowała w tym roku. Orański przypomniał sobie, że obiecał zrobić nowy domek dla ptaków. W tejże chwili prysł cały urok poranka; z myślą o synu łączyła się bowiem dodatkowa przykrość.

Właściwie sprawa była prosta: na lekcji historii przepisując z tablicy jakieś streszczenie Jurek zastosował własny system skrótów. WRP oznaczało Wielką Rewolucję Październikową, a n.P. — niepodległość Polski. Nauczyciel nie posiadał się z oburzenia, dopatrując się w tym cynizmu i zuchwalstwa, uczeń zaś nie poczuwał się do winy.

— Tatusiu! — bronił się w domu. — Przecież pisze się PKWN i PZPR i w ogóle dużo takich skrótów, wcale nie przez brak uszanowania, tylko dla pośpiechu. Czasem już naprawdę nie wiadomo, co różne litery oznaczają. Ale w moim zeszycie wiem wszystko. Pierwszy skończyłem przepisywać i nauczyłem się dwóch zwrotek wiersza. Więc dobrze zrobiłem, tatusiu.

Błahość całego sporu była niewspółmierna z wysiłkiem, na jaki musiał zdobyć się Mikołaj, aby się zwolnić z biura i porozmawiać w szkole z wychowawcą syna. Kazimiera nie chciała go w tym zastąpić.

— Bartka samego nie zostawię — mówiła. — A brać go ze sobą, to znaczy narażać na wszystkie dziecięce choroby...

— Nie zapomnij! — ostrzegała jeszcze męża, gdy wychodził do biura. — Bo inaczej odeślą Jurka do domu.

---

*) Patrz: Twórczość, numer poprzedni.

Zżymał się na to przez całą drogę do tramwaju. Dopiero spotkanie z Gawrysiem odmieniło jego myśli. Lubił z nim gawędzić, zwłaszcza odkąd stary towarzysz obrany został sekretarzem podstawowej organizacji. Nigdy nie udawało się wyczerpać wszystkich tematów rozmowy i rozstawali się z tym, że dopiero następnym razem nagadają się do syta.

— Ładny dzień wcześniej wyciągnął was z łóżka — rzekł na powitanie Mikołaja.

— Pracowałem trochę w ogrodzie.

— Zazdroszczę wam. Zawsze chciałem mieć skrawek ziemi koło domu i nigdy się tak nie złożyło. Myślałem, aby działkę wziąć w ogródkach, ale nie dałbym rady sam obrobić, a żona ciągle słabuje. Już mi nie chodziło o korzyść, choć własne jarzyny to duża pomoc w gospodarstwie, tylko o przyjemność sadzenia i zbierania. Jak przyjdzie wiosna i ziemia zaczyna tajać, to mnie tak do niej ciągnie, że strach. Znowuż w lecie nigdzie tak nie odpoczywam, jak w ogrodzie. Mnie nawet wczasy niepotrzebne. Zmajstrowałbym sobie altankę... Ech, szkoda marzyć!

— Dlaczego?

— Życia nie starczy, żeby wszystko zrobić, na co ma się ochotę.

— Zwłaszcza, że ludzie przeszkadzają — westchnął Orański z goryczą.

Gawryś uważnie spojrzał na niego.

— Mówiłem o Nowej Rudni z towarzyszką Blichową.

— Niepotrzebnie.

— Czemu?

— Dyrekcja jest zadowolona z Erwina.

— Chodzi o samą zasadę w rozdzielaniu zleceń. Źle się z wami obeszli.

— Ważniejsze, żeby projekt dobrze wypadł.

— Sądzicie, że Erwin go wykona lepiej od was?

— Nie wiem.

— Powiedzcie szczerze.

— Uważam swój pomysł za słuszniejszy.

— Trzeba więc się starać o jego zrealizowanie.

— Brzydzę się wszelkimi intrygami.

Gawryś sapnął z oburzenia.

— Właśnie o to chodzi, żeby intrygom łeb ukręcić, żeby wszystko szło, jak należy.

Orański uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Wątpię, czy wam się to uda.

— Czarno patrzycie na świat — rozgniewał się sekretarz. — W uzdrowienie biura również nie chcieliście wierzyć; a jest ono już na dobrej drodze.

— Jeszcze końca nie widać!

— Dwie dźwignie już wprawiliśmy w ruch: brygady młodzieżowe i masową produkcję projektów typowych. Zanim się młodzież na tyle wyrobi, żeby zmienić styl pracy w biurze, załatamy plan typówkami.

— Przeceniacie możliwości młodych — zaprotestował Orański. — Zresztą ich prace szacują na kolegiach starzy fachowcy, którzy we własnym interesie zawsze znajdą dość zarzutów, żeby wiele projektów utrącić.

— Stworzymy z czasem odpowiedni kolektyw opiniodawczy. I wśród starych znajdą się sprawiedliwi.

— Niewątpliwie. Ale to długa sprawa.

— Wprowadzimy nową zasadę współzawodnictwa.

— Z tym będzie trudniej. Forma, o której myślicie, wymaga wielkiej solidarności nie tylko jednej pracowni, lecz całego zespołu biurowego, i roztropnej polityki kolegium. U nas jeszcze pokutują resztki sobkostwa.

— Oraz inteligenckie obawy przed śmiałym nowatorstwem — przerwał urażony Gawryś wsiadając do tramwaju. Za nim wskoczył na stopień Mikołaj i, nie zważając na sarkazm sekretarza ni tłok utrudniający dyskusję, ciągnął dalej swoje:

— Weźcie choćby takiego Halembę, który bezsprzecznie jest jednym z lepszych architektów. Nie zdarzyło mu się chyba dotrzymać terminu i nic go nie wzrusza zawalenie planu. Potrafi miesiącami ślęczeć nad jakąś elewacją, zarabiając grosze i nie słuchając niczyich perswazji.

— Z architektami najciężej — przyznał Gawryś. — Za to instalatorzy...

— Ci miewają tygodniami przestoje, kiedy czekają na projekty architektoniczne. Później nie mogą nadążyć. Zwłaszcza że tylko paru ma monopol na specjalne urządzenia, jak pralnie mechaniczne czy centralne kotłownie. Bez ich podpisu nic do produkcji nie pójdzie.

— Mnie to jednak wydaje się możliwe — obstawał przy swoim sekretarz. — Jeśli jest jedna szansa na sto, że nam się powiedzie, mamy obowiązek spróbować. Wiem, że upraszczam zagadnienie. Takie uproszczenia są czasem konieczne.

Na rogu Marszałkowskiej i Alej rozdzielił ich tłum cisnący się do tramwaju. Mikołaj niespodziewanie znalazł wolne miejsce i usiadł koło okna, Gawrysia odepchnięto aż do wyjścia.

Zrobiło mu się żal przerwanej rozmowy. Lubił Orańskiego dla wielu powodów. Znał go z czasów, które były ciężką próbą przyjaźni. Mikołaj zawsze bardziej przystawał do majstrów niż do inżynierów. Można mu było podać rękę bez obawy, że się go powala. Z robotnikami rozmawiał zwyczajnie, bez tej szczególnej uprzejmości, która tak drażniła u innych architektów.

W biurze spotkali zaledwie kilka osób, które nie śpiesząc się podpisywały listy obecności. Siwy Wąsowicz przyglądał się temu obojętnie. Całymi dniami przesiadywał przy stoliku na korytarzu i mogłoby się zdawać, że nie jest nikomu potrzebny, skoro żadne polecenia w ruch go nie wprawiają.

Widocznie było inaczej: zmieniali się wielokrotnie gońcy, którymi komenderował, przybyli dwaj inni woźni i oni zasiadali w portierni, a Wąsowicz wciąż nastawiał ucha pod sekretariatem naczelnego dyrektora, aby od razu posłyszeć dzwonek lub energiczne pukanie.

Słuch miał trochę przytępiony; chorował na serce, ale nawet do lekarza nie zwalniał się z pracy, obawiając się przeniesienia na emeryturę. Rzadko zabierał głos na zebraniach i zgadzał się zawsze ze zdaniem sekretarza podstawowej organizacji.

Widząc Gawrysia dźwignął się do ukłonu. Nie przez służalczość, tylko z chęci dobrego współżycia ze wszystkimi.

— Pomóc to mało kto człowiekowi potrafi — mawiał do Duniaczki, z którą się przyjaźnił. — Ale zaszkodzić każdy może.

Sekretarz odkłonił się pośpiesznie, zajęty swymi myślami. Ułożył sobie, że obejdzie dziś ważniejsze pracownie i wybada, jak ludzie odniosą się do projektu cyklowego współzawodnictwa, jakie wysuną propozycje. Dopiero potem będzie można ułożyć szczegółowy regulamin.

Wahał się jeszcze, od kogo zacząć. Wczoraj myślał o Mikołaju Orańskim, lecz po dzisiejszej rozmowie postanowił odwiedzić jego pracownię na ostatku, kiedy będzie miał za sobą zgodę innych pracowników. Wreszcie, nie bez tremy, skierował się do Halemby.

Młodzi architekci kręcili się między stołami i rozmawiali w najlepsze, nic sobie nie robiąc z szefa, który odwrócił się do nich plecami i pracował we wnęce pod oknem.

Na ścianie obok niego, między dwiema parami papierowych uszu, w których tkwiły zwinięte szkice, wisiała fotografia dzwonnicy, widzianej od dołu w mocnym skrócie. Nieco wyżej — portret dziwnie uśmiechniętej istoty, ni to kobiety, ni to mężczyzny, z dłonią uniesioną w górę i wskazującą palcem coś, czego nie widać na obrazie.

Halemba miał na sobie marynarkę z szarego samodziału, przy której

włosy jego wydawały się czarniejsze. Gdy odwrócił się na powitanie sekretarza, pokazało się, że na skroniach już siwieje, że oczy ma zmęczone, bardzo błękitne poza grubymi szkłami krótkowidza i że wokół ust błąka się grymas trudny do określenia.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał.

— Przyszedłem w sprawie współzawodnictwa cyklowego. Słyszał pan już o tym projekcie? Spodziewam się dzięki niemu skrócić o jedną trzecią czas opracowania dokumentacji technicznej.

— Tak, tak... — przyświadczył Halemba przyglądając się uważnie swoim rysunkom. Wyjął z kieszeni automatyczny ołówek i przeciągnął nim parę miękkich, grubych linii. — Ja wam w tym pomóc nie mogę.

— Na pana liczę najbardziej — powiedział Gawryś w taki sposób, że ten spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Niech pan lepiej zaagituje naszych przodowników, Frankowskiego, Brejwę — mruknął wzruszając ramionami i znowu nasmarował kilka kresek. — Ze mnie pożytek niewielki.

— Uważa pan, że taki rodzaj współzawodnictwa jest trudny do wprowadzenia w życie?

— Absurdalny. Czy można zmusić kompozytora, aby co wieczór ułożył sonatę? Tak samo z architektem: raz pomysły mnożą się jak białe myszy, kiedy indziej zaś żadna myśl w głowie nie zaświta. Architektura jest syntezą sztuk, a procesów twórczych nie da się zaplanować na dni i tygodnie jak produkcję kapsli do piwa. Architektura żyje dłużej niż plany gospodarcze i wobec przyszłych pokoleń nic nie usprawiedliwi partackiej roboty.

— O to mi właśnie idzie, żeby nie partaczyć — powiedział cicho Gawryś. — Dlatego przyszedłem do pana. Wiem, że nie wypuściłby pan z rąk projektu stojącego niżej pańskich możliwości.

— Cóż pan może wiedzieć o moich możliwościach?

— Widziałem szkołę rolniczą, którą pan projektował w najdrobniejszych szczegółach. Pamiętam stojący obok dom kultury...

— Pan troszczy się głównie o domy mieszkalne. Niewiele w nich pola do popisu. Kolegium przekreśli każdą myśl odbiegającą od szablonu.

— Skład kolegium można zmienić.

— Wtedy gotów jestem podjąć naszą rozmowę.

— Nie uważam jej za skończoną.

Halemba spojrzał ostentacyjnie na zegarek.

— Będę mówił po prostu — podjął Gawryś. — Poznałem wielu architektów. Nie umiem uszeregować ich wedle zawodowych umiejętności,

ale wiem, ile są warci jako ludzie. Przyglądałem się, jak postępowaliście z Czernakiem.

— To moja prywatna sprawa — Halemba rozejrzał się, czy kto nie przysłuchuje się rozmowie. Ale nie, wszyscy już usiedli przy rajzbretach, a Czernak obliczał coś pilnie przy pomocy arytmometru.

— Przyjęliście go do pracowni w krytycznej chwili, zrzekliście się na jego korzyść pięknego zlecenia, więcej, daliście mu pokój we własnym domu. Dlaczego to wszystko? Przecież nie z sympatii, bo nigdy z nim nie żyliście w przyjaźni?

— Czytał pan kiedy Conrada?

— Mało czytałem. Ale wiem, że po was wiele można się spodziewać.

— Po mnie? — roześmiał się gorzko Halemba. — Wszyscy są innego zdania.

— Gdybyście każdego porywu nie tłumili drwiną z samego siebie, gdybyście odwrócili rajzbret tak, aby widzieć, co się dzieje w pracowni, gdybyście zdobyli się na rzecz w danej chwili najtrudniejszą, na współzawodnictwo cyklowe...

— Stałbym się bohaterem powieści produkcyjnej?

— Może.

— Dziękuję, nie skorzystam.

— Wybiera pan przeciętność, wygodę.

— Spokojne życie ma swoje uroki.

— Zapewne — Gawryś podniósł się z krzesła. — Pozwoli pan, że spytam jego kolegów o zdanie.

Wyszedł na środek pracowni, zdając sobie sprawę z tego, że od początku rozmowy z Halembą młodzi obserwowali ich w milczeniu, że ciekawi są, z czym się do nich zwróci.

Zwięźle wyłuszczył zasady współzawodnictwa cyklowego. Słuchano go uważnie, choć ten i ów dzielił się uwagami z kolegą.

— Chodzi mi w tej chwili tylko o waszą zgodę, o przychylność dla samego projektu — zakończył. — Regulamin opracowalibyśmy wspólnie.

Nikt nie zabierał głosu i to właśnie było najgorsze. Wszelki sprzeciw można odeprzeć jasnym argumentem, ale jak walczyć z milczeniem, z senną biernością, z wyczekiwaniem?

Chciał już dać za wygraną i pójść do innej pracowni, gdy Czernak podniósł się znad rysownicy i opierając na niej obie ręce, z głową nieco pochyloną, z oczami utkwionymi w rysunku — powiedział głośno:

— Uważam projekt za doskonały, choć trudny do zrealizowania.

Zgłaszam pomoc w ułożeniu regulaminu. Pierwszy przystąpię do współzawodnictwa, o ile mnie w tym Halemba nie wyprzedzi.

Nagle wszyscy jęli gadać jeden przez drugiego i dopiero Małek, należący do starszyzny, zyskał ogólną uwagę.

— Nie może być dwóch miar w jednej pracowni. Bądź wszyscy przystąpimy do takiego współzawodnictwa, bądź też nikt nie weźmie w nim udziału. Inaczej nie zdołamy się rozliczyć z pomocą techniczną i ze współautorami projektu.

— Zdecydujmy przez głosowanie — wyrwał się któryś z młodych.

— Lepiej niech szef postanowi.

— Inżynierze, jakiego pan jest zdania?

Halemba odwrócił się na stołku i ważąc w dłoni okulary zamyślił się nad odpowiedzią.

— Nie jesteśmy chyba gorsi od Czernaka — powiedziała z pasją Rogóyska.

— Głosujmy! — domagali się młodzi.

— Róbcie, jak chcecie — wzruszył ramionami Halemba. — Co was obchodzi moja opinia?

— Musimy wystąpić solidarnie — powtórzył Małek.

— Obywaliśmy się dotąd bez solidarności.

— Tym gorzej dla pracowni — stwierdził ktoś z głębi sali.

— Kto jest za nową formą współzawodnictwa? — dziewczyna w niebieskim kitlu wstała, aby sprawdzić wynik głosowania.

Kilku młodych od razu podniosło ręce, później zdecydowali się inni. Ledwie parę osób wstrzymało się od głosowania.

Wszyscy patrzyli na Halembę, który długo ociągał się aż wreszcie uniósł dłoń, jakby się tego wstydząc i rzekł z drwiącym uśmiechem:

— Dla kompanii dał się Cygan powiesić.

Zaraz odwrócił się ku oknu i nie zauważył nawet, kiedy Gawryś opuścił pracownię.

U Frankowskiego wszyscy pracowali w milczeniu, odgrodziwszy się od słońca grubymi zasłonami z brązowego welwetu. Cicha muzyka sączyła się z głośnika. Stary Frankowski siedział w środku sali, skupiony nad rysunkiem, ale baczny na wszystko, co działo się wokół niego. Na regale z pedantyczną dokładnością ułożono rysunki i teczki z materiałami pomocniczymi, ściany były zupełnie nagie, nieskażone śladem gwoździa lub pluskiewki. Żadnych kwiatów, żadnych fotografii. Stary architekt nie znosił tego w pracowni i umiał swoje zdanie narzucić wszystkim swym podwładnym.

Kiedy Gawryś drzwi otworzył, nikt nawet głowy nie podniósł, jedynie Ola Górzyńska nieznacznie uśmiechnęła się na powitanie. Frankowski niechętnie spojrzał na sekretarza.

— Jak idzie robota? — spytał Gawryś.

— Wczoraj kolegium odrzuciło dwa projekty.

— Czyje?

— Tych młodych, których mi przysłano przed miesiącem.

— Czy pan je poprawiał?

— Ja? Nic podobnego.

— Przynajmniej konsultował?

— Albo projektowanie, albo belferka. Jeśli chcecie, żebym robił dobre projekty, nie zawracajcie mi głowy brygadami młodzieżowymi. Nie mam ani talentu, ani zamiłowania do szkolenia ludzi. Niech się przyglądają i uczą sami. Za parę lat się wyrobią.

— Wszyscy kierownicy pracowni opiekują się młodzieżą.

— Nie wszyscy. Zresztą projekty typowe wymagają szczególnej uwagi i umiejętności. Tu nic nie może być dziełem przypadku. A wy przysyłacie mi świeżo upieczonych architektów.

— Ustaliliśmy z dyrektorem Bostelem, że będzie im pan pomagał.

— Z czego bym wtedy żył? Z tych marnych groszy za kierownictwo pracowni? Coraz więcej pracuję i coraz gorzej zarabiam. Doszły mnie słuchy, że zamierzacie zmienić regulamin współzawodnictwa. Na żadne zbiorowe historie się nie piszę. Nikt mnie nie zmusi do ponoszenia odpowiedzialności za nieudolność innych.

— Może jednak reszta pracowni zechce wziąć udział w cyklowym współzawodnictwie? — zapytał dobitnie Gawryś, aby go wszyscy mogli słyszeć. Ale nikt nie oderwał wzroku od rysunku.

— Nie mają nic do powiedzenia, póki jestem kierownikiem pracowni — stwierdził spokojnie Frankowski mrużąc nieco oczy.

— Godność ta nie jest dożywotnia — powiedział Gawryś.

— Wcale o nią nie stoję — uśmiechnął się zgryźliwie stary architekt. — Poszukajcie lepszego na moje miejsce. — Odłożył papierosa na róg stołu i zajął się wyłącznie rysowaniem.

— Poszukamy — odrzekł Gawryś, choć wiedział, że to nie będzie łatwe. Przy drzwiach jeszcze raz zatrzymał się, namyślając się, czy by nie spróbować agitacji, ale postanowił ją odłożyć na sposobniejszą chwilę, kiedy Frankowskiego nie będzie w pracowni. Architekt podniósł głowę i zmierzył sekretarza wzrokiem wzgardliwym i pełnym niechęci: Gawryś poczuł się tym dotknięty do żywego. Wyszedł opanowując się, aby nie trzasnąć drzwiami.

Na korytarzu zaczepił go Klonowicz, młody inżynier z pracowni konstrukcyjnej.

— Zajdźcie do nas, towarzyszu — poprosił. — Chcielibyśmy pogadać z wami o nowym regulaminie współzawodnictwa.

— Nawet się do was wybierałem. Nie spodziewałem się zaproszenia z waszej strony.

— Sprawa ta bardziej leży nam na sercu niż architektom. Jest to najsłuszniejszy sposób usprawnienia pracy projektodawczej. Nieraz już rozmawialiśmy o tym między sobą, zanim wyście się nią zajęli.

Konstruktorzy mieli pracownię od południowego wschodu i pomimo zasłonięcia okien upał już od rana dawał się im we znaki. Pracowali więc bez marynarek, w koszulach rozpiętych pod szyją, popijając zimną herbatę z kubków o zielonkawym nalocie. Wszyscy tu byli młodzi, nawet kierownik. Szorstcy i rzeczowi mieli się za lepszych od architektów, jakby znajomość wyższej matematyki stanowiła o wartości człowieka. Na odwrót, architekci mówili o nich lekceważąco, twierdząc, że każdy może wykuć wzory ze statyki, do projektowania zaś trzeba mieć iskrę bożą. Konstruktorzy byli w mniejszości, przeto nie wiodło się im najlepiej. I lokal mieli ciasny i wczasy przydzielano im rzadziej. Z konieczności trzymali sztamę między sobą, nie wynosili na zewnątrz żadnych wiadomości, występowali solidarnie na zebraniach i naradach produkcyjnych, a wszystkie sprawy bytowe powierzali sekretarce, młodej i ładnej kobiecie, wobec której zdobywali się na szczególną uprzejmość. Uczyła się w wieczornym liceum budowlanym, więc pomagali jej w nauce z protekcjonalną serdecznością starszych braci. Ona za to zdobywała dla nich wszystko, co w Biurze Projektów było do zdobycia: najwcześniejsze wypłaty, bilety do teatru i kina, udział w wycieczkach i sportowych imprezach, a nawet czekoladę i szynkę w bufecie.

— Witamy, witamy — zerwali się na przywitanie sekretarza — upał taki, że mózg się topi.

— Siadajcie! — Klonowicz podsunął krzesło. — Szkoda, że kierownik wyszedł na politechnikę.

— Chcemy wam pomóc przy układaniu regulaminu — wyrwał się przysadzisty brunet.

— I oczywiście zaraz przystąpimy do współzawodnictwa, jeśli bodaj jedna pracownia architektoniczna zdecyduje się na wzięcie w nim udziału. Wreszcie wykażemy czarno na białym, z czyjej winy są opóźnienia w produkcji.

— O to wam chodzi! — roześmiał się Gawryś.

— Nie tylko o to — odparł Klonowicz. — Powiedzcie nam, towarzyszu, czy naprawdę dyrekcja zamierza poprzydzielać konstruktorów do pracowni architektonicznych?

— Był taki pomysł.

— Nie dopuśćcie do tego. Pracownie specjalistyczne w biurach projektowych są naprawdę wielkim osiągnięciem.

— Skarżycie się przecież, że architekci nie uwzględniają postępu technicznego, nie stosują nowych materiałów... Moglibyście wpłynąć na nich pracując w tej samej sali.

— Więcej zrobimy w tym zespole. Rozrzuceni w pracowniach architektonicznych stracimy ze sobą kontakt, przestaniemy się uczyć, wydajność naszej pracy zmaleje...

— Tak bardzo nie chcecie się rozstać? — zażartował Gawryś.

— Zżyliśmy się ze sobą — powiedział Klonowicz. — Zgraliśmy się w pracy.

— Kto zgłasza pomoc w układaniu regulaminu?

— Wszyscy, wszyscy!

— Wybieram Klonowicza, zgoda?

— Zgoda.

— No, to cześć!

— Do widzenia, towarzyszu. Nie zapominajcie o nas.

— Wpadnijcie czasem!

Odprowadzili go aż do drzwi. Wyszedł odmłodzony, nie czując nawet upału.

— Równi chłopcy! — pomyślał idąc do pracowni instalacyjnej.

Jeszcze na korytarzu zwrócił jego uwagę niezwykły gwar, dochodzący zza szklanych drzwi. Przez matową szybę dostrzegł kilku mężczyzn stojących między rajzbretami.

Gdy wszedł, wszyscy zamilkli, a kierownik schował do kieszeni rękę, którą przed sekundą gwałtownie wymachiwał. Wyjął chustkę złożoną w ośmioro i długo wycierał nos.

Tymczasem inni powrócili na miejsca. Jankowski stał przy oknie i wyglądał na podwórze.

— Zdaje się, że przerwałem dyskusję? — zapytał Gawryś.

— Nie dyskutujemy podczas pracy — sucho oświadczył Rączka, odzyskawszy pewność siebie. — Omawiamy najwyżej problemy związane z robotą.

— Ciekaw byłbym je poznać.

— Zagadnienia fachowe, trudno dostępne dla kogoś, kto nie specjalizował się w tym zakresie...

— Czy nikt nie potrafi objaśnić mnie w przystępny sposób? — zapytał z uśmiechem Gawryś.

Jankowski wykonał gwałtowny zwrot.

— Chętnie — powiedział.—Przyjdę do pana o trzeciej. Wybierałem się już od dawna — dodał patrząc znacząco na swego szefa.

— Do zobaczenia — sekretarz skłonił się ceremonialnie. Jankowskiemu podał rękę.

— To już dziesiąta! — zorientował się na korytarzu. — Może by zajść jeszcze do Erwina?

Pracownia jego mieściła się w niedawno wykończonym skrzydle Biura Projektów. Sale tu były wyższe, przestronniejsze, więcej luzu między rysownicami. Każdego, kto wszedł tutaj, uderzał nastrój pospiesznej krzątaniny, nie uciążliwej jednak dla nikogo.

Erwin kończył rozmowę telefoniczną. Dobiegał czterdziestki, trochę wyłysiał, lecz w świetnie wygolonej twarzy zachował młodzieńczą energię.

— Jakże się cieszę, że wreszcie wpadł pan do nas! — wykrzyknął zrywając się na powitanie. — Zaraz pokażę, co zdziałaliśmy do tej pory.

Chwycił Gawrysia za ramię i pociągnął go ku makiecie Nowej Rudni.

— Wczoraj stamtąd wróciłem. Cholerny sukces, bez przechwałek. Zawieźliśmy im ten model, trochę się w drodze uszkodził. Głupstwo, to dopiero pierwsza próba rozwiązania. Ale im trzeba było pokazać coś gotowego, co przemawia do wyobraźni. Podoba się panu? — badawczo spojrzał na sekretarza. Nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej:

— Przyszło na tę imprezę z tysiąc ludzi. Wie pan, jak na Rudnię, to już tłum. Entuzjazm szalony. Zaciąg ochotniczy na budowę zwabił od razu dwustu młodych. Wierzyć się nie chce, że dotychczas brakowało w kombinacie rąk do pracy. Zresztą zobaczy pan sam w kronice filmowej, jak się to wszystko odbyło. Artos także dał swój program...

— Bardzo się cieszę waszym sukcesem. Tym usilniej proszę o wzięcie udziału we współzawodnictwie cyklowym.

— Wiem, wiem! — przerwał Erwin. — Wyborny pomysł! My go już stosujemy we własnym zakresie. Stanowimy przecież odrębną komórkę produkcyjną.

— Na szczególnych prawach...

— Na pierwszej linii frontu! — zawołał z patosem Erwin. — Pracujemy po dwanaście godzin. Brak nam czasu na zjedzenie obiadu. Byle kęs chleba przełknąć nie odrywając się od kreślenia.

— Co tu macie na ścianach? — Gawryś z ciekawością rozejrzał się dokoła.

— Perspektywy, panoramy... Raczej dla orientacji. Żeby rozpalić umysły. Jeśli pana interesuje właściwy projekt, to proszę dalej.

Całe płachty papieru zarysowane byli ulicami Nowej Rudni. Sekretarz nie bardzo mógł się w tym rozeznać.

— Pracujecie równocześnie nad architekturą? — zapytał, aby przejść na bliższy sobie teren.

— Naturalnie. Budynki typowe, użyteczności społeczne, nie tracimy ani chwili. Zresztą, niech pan oceni.

Poprowadził gościa do sąsiedniej sali. Gawryś zobaczył kilkunastu młodych ludzi i Kosińskiego, który siedział przy uchylonych drzwiach balkonu. Na jego rajzbrecie leżały szkice różnych elewacji.

— Jak się dzielicie pracą? — zapytał sekretarz. — Czy każdy architekt opracowuje cały projekt, czy tylko jego część?

— Oczywiście, że tylko pewne stadium. Zespół jest bardzo młody i niedość wyrobiony...

— Jeśli dobrze rozumiem — upewnił się Gawryś — macie specjalistów od architektury w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu i wyrobników, którzy dorysowują mieszkania...

— Pan to zbyt lapidarnie ujmuje! — żachnął się Erwin. — Dzięki tej metodzie bijemy inne pracownie wydajnością. Proszę, tutaj jest zestawienie projektów skończonych i gotowych do wysyłki.

— Imponujące, rzeczywiście! — przyznał przedstawiciel Podstawowej Organizacji Partyjnej zdumiony ogromem roboty. Trudno było mu ocenić jej wartość, lecz włożony w nią wysiłek zasługiwał na uznanie.

Erwin uśmiechnął się bez słowa, wyraźnie zadowolony z siebie. Gawryś odniósł wrażenie, iż architekt nie jest z nim szczery, że pod wylewną uprzejmością skrywa odmienne uczucia.

— Zastanawiam się, czy wygląd miasta projektowanego zaledwie przez parę osób nie będzie zbyt jednostajny — wrócił do poprzedniego tematu.

— Skądże! — zaprzeczył Erwin. — Mamy świetne przykłady w historii. Choćby Zamość, dzieło Moranda.

— Czy młodzi inżynierowie — prowadził swoją myśl sekretarz — ślęcząc nad mechanicznym rysunkiem zdołają się wykształcić należycie? Czy za lat kilka stworzą sami wielkie założenia?

— Nie wątpię — stwierdził Erwin.

Nie zdawał się być jednak o tym przekonany. Obecność Gawrysia zaczynała mu ciążyć. Odprowadził go do drzwi siląc się na grzeczności.

Sekretarz zatrzymał się w progu i raz jeszcze objął spojrzeniem ludzi pochylonych nad stołami. Z uśmiechem wskazał ich Erwinowi.

— Niech się pan o nich troszczy nie mniej niż o Nową Rudnię... Wiem, wiem — uprzedził odpowiedź. — Zarabiają dobrze, to jednak nie wszystko. Kiedyś partia zażąda od was rachunku, ilu młodych wychowaliście w tym czasie, jak pomagaliście im rosnąć i hartować się w pracy.

KONCERT

Coraz częstsze rozmowy z Moniką zacierały zwolna rozczarowanie, jakie Jankowski przeżył z powodu swego szefa. Znowu spieszył się rano do Biura Projektów, aby ją jak najprędzej zobaczyć. Kiedy już był w pracowni i wystarczyło podnieść słuchawkę telefonu, żeby usłyszeć jej głos, droczył się sam z sobą, odwlekając tę chwilę, na którą czekał od wczorajszego popołudnia. Czasem wyrzekał się spotkania z Sulatycką, próbując się bez niej obyć. Wieczorem tęsknił bardziej za jej obecnością i gniewał się na siebie za zmarnowany dzień.

Zdziwił się jednak, gdy mu zaproponowała, aby z nią poszedł na koncert. Co innego znajomość biurowa, a co innego umawianie się w publicznym lokalu. Takie zaproszenie powinno wyjść od mężczyzny. Wobec plotek, jakie krążą o Monice, znajomi widząc ich razem, gotowi wziąć go za następcę Czernaka.

„Choćby nawet! — pomyślał — Sulatycka nikomu ujmy nie przynosi".

Nie bardzo wiedział, co ma rozumieć przez jej propozycję i jak się przy tym zachować. Gdyby szło o którąś z koleżanek, spotkanie na koncercie nie miałoby żadnych następstw. Z Moniką sprawa się wikłała. Mimo wszystko, postępowanie jej musiało być zbyt swobodne, skoro nasuwało ludziom podejrzenia. Nie ma dymu bez ognia. Zawsze to rozwódka, obracająca się niemal wyłącznie w męskim towarzystwie.

Myślał o tym wiążąc przed lustrem krawat i zaczesując włosy obficie zlane kolońską wodą. Podobał się sobie w granatowym ubraniu z białym rogiem chusteczki w kieszeni.

Bojąc się spóźnić, przybył o kwadrans za wcześnie do teatru Polskiego. Zatrzymał się na schodach niepewny, czy Monika nie zażartowała sobie z niego.

Publiczność dopiero zaczynała się schodzić. Młoda para na próżno starała się odkupić od kogoś bilety. Nad kasą w hallu wisiał napis „wysprzedane".

Podjechały jedna za drugą wielkie limuzyny. Wysiedli z nich znako-

mici widać goście, bo rozstąpiono się przed nimi i coś tam sobie szeptano.

Jankowski był ciekaw, kto to taki, lecz krępował się zapytać o to kogokolwiek. Grupa rozbawionych studentów potrąciła go, nie przepraszając nawet; nie wiedzieć po co tak spieszyli się na górę.

Zastanawiał się, czy kupić program. Co tam może być w środku, skoro afisz zapowiada tylko cztery sonaty Beethovena? Nie chodziło, rzecz prosta, o złotówkę, ale o to, aby nie ośmieszyć się przed Moniką.

Zjawiła się punktualnie, w tej samej sukience, w jakiej widywał ją w biurze. Dużo zielonych, miękkich fałd, ściągniętych w talii czarnym paskiem.

„Mogłaby przebrać się na koncert" — pomyślał Jankowski i zrobiło mu się nieswojo w odświętnym garniturze.

— Jaki pan wytworny! — zażartowała witając się z nim po koleżeńsku. — Czuję się wręcz onieśmielona. O mały włos całe starania poszłyby na marne. Ledwie zdobyłam bilety.

— Idziemy? — Jankowski chciał zejść z drogi jej trochę drwiącemu spojrzeniu.

— Jeszcze za wcześnie! — zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko, odrzucając głowę do tyłu. — Po co mają nam deptać po nogach.

Rozglądała się po całym hallu odpowiadając uśmiechem na ukłony.

— Ma pani mnóstwo przyjaciół — zauważył młody inżynier, który czuł się tu obco.

— Ach, nie — wzruszyła ramionami. — Na koncertach spotyka się wciąż tych samych ludzi. W końcu już nie wiem, kogo znam naprawdę, a kogo tylko z widzenia. Pan chyba nie jest melomanem?

— Raczej nie. Ale to już drugi dzwonek...

— Chodźmy. Nie, nie tędy, idziemy na samą górę.

Jankowski doznał zawodu. Stać ich było przecież na lepsze miejsca. Jak się już człowiek wybiera, to do pierwszych rzędów lub do loży. Nigdy by nie przypuszczał, że Monika jest taka oszczędna. Trzeba samemu było postarać się o bilety.

Zanim znaleźli swe krzesła, już Wójcicki podchodził do fortepianu. Przyjęto go oklaskami. Za przykładem Sulatyckiej inżynier parokrotnie uderzył w dłonie, lustrując równocześnie publiczność.

Nagle sala ucichła: pianista uniósł ręce nad klawiaturą.

Jankowski nie umiał słuchać muzyki; nauczył się nie zwracać na nią uwagi, kiedy radio sąsiadów przeszkadzało mu w nauce. Później, nawet w chwilach odpoczynku, nie zastanawiał się nad tym, co grają. Lubił przyciszone brzęczenie głośnika przy niedzielnej partii szachów.

Nie potrzebował muzyki, tak jak nie odczuwał braku wierszy. Sądził, że ludzie zajmują się nimi przez snobizm, że tylko nieliczni czerpią z nich prawdziwą przyjemność.

Nie zamierzał skrywać przed Moniką, że się na muzyce nie zna. Brzydził się wszelkim udawaniem. Lękał się jednak, żeby go nie wzięła za zupełnego prostaka.

Wszystkie miejsca były zajęte. Nigdy by nie przypuszczał, że tyle osób zbierze się na recitalu. Przeważali młodzi, jakich widuje się wszędzie: na ulicy i w tramwaju. Nie wiadomo czy studenci, czy robotnicy. W żadnym razie nie wyglądają na snobów. Czujnie chwytają każdy dźwięk, ściszając własny oddech.

Starsi przybrali jednoraki wyraz twarzy: obowiązkowy zachwyt i stereotypowe rozrzewnienie. Chociaż nie wszyscy. Siwa pani między uczennicami w mundurkach kiwa sobie dłonią do taktu. Ręka jej na poręczy fotela układa się do znajomego akordu. Nagle staruszka obejmuje obie dziewczynki i przyciąga je do siebie. Spojrzały na nią ze zrozumieniem.

O dwa rzędy niżej łysy mężczyzna kołysze się nieznacznie, oparłszy brodę na rękach, łokcie na kolanach. Przymknął oczy, pozwolił zgorzknieć ustom, jakby całego siebie powierzył muzyce.

W pierwszym rzędzie balkonu siedzi kobieta na czarno ubrana. Ma na ramionach koronkowy, biały szal, jakiego nikt już nie nosi. Obraca w palcach zwiędłą różę. Przy nagłym f o r t e zacisnęła dłoń; gdy ją ponownie rozwarła, posypały się czerwone płatki. Towarzyszący jej mężczyzna pochylił się ku niej coś szepcząc. Zwróciła ku niemu głowę nadmiernie obciążoną warkoczami i uśmiechnęła się łagodnie.

Jankowski przeniósł wzrok na Monikę. Uroda jej była kamienna: nic nie drgało w jej twarzy o prawidłowych rysach. Próżno by zgadywać, o czym myśli i czemu przyglądają się jej nieruchome, lśniące oczy.

Pianista skończył i otarł spocone czoło. Gorąco nie mniej dokuczało słuchaczom, zwłaszcza tym, którzy mieli miejsca pod plafonem. Nim Jankowski zdążył ochłodzić się nieco wachlowaniem, Wójcicki zaczął Sonatę Księżycową.

Przy najlżejszym ruchu krzesło skrzypiało niemiłosiernie i młody inżynier bał się drgnąć nawet, aby nie zmącić ciszy. Na chwilę znana melodia przykuła jego uwagę, spodobała się. Ale strużki potu spływające po skroniach tak dokuczały, że sięgnął wreszcie po chustkę, zerkając zazdrośnie na Monikę, której skóra zachowała matową świeżość.

Coraz silniej nabrzmiewały mu nogi w nierozchodzonych butach. Zmienił pozycję na fotelu, który znowu zatrzeszczał. Monika spojrzała pytająco. Jankowski zmieszał się, lecz wkrótce musiał się poruszyć, tak mu już było niewygodnie.

— Co panu? — szeptem spytała Sulatycka.

Westchnął, potrząsając głową na znak, że nic mu szczególnie nie dolega i jak na węglach oczekiwał przerwy.

Nie przyniosła mu ona wytchnienia. Monikę otoczyli znajomi, którym co chwila się przedstawiał, nie wiedząc dobrze, kim są, bo ledwie mamrotali swe nazwiska. Rozmawiali między sobą nie krępując się jego obecnością.

— Jestem zawiedziona — stwierdziła Sulatycka. — Gra zupełnie drewniana. Trzeba przyznać, że technika świetna. Ale interpretacja...— skrzywiła się i wydęła wargi. — W zeszłym roku zagrał to chyba lepiej.

— A, tak oczywiście — przytakiwał łysawy blondyn w okularach, nazywany redaktorem. — Prawie żałuję, że przyszedłem.

— Mnie to bardzo wzięło — powiedziała Kasia Wojnowska. — Stęskniłam się za Beethovenem. Moim zdaniem Wójcicki gra świetnie.

Monika wymieniła spojrzenie z redaktorem.

— Skończyłeś już czytać essay Sadoula o radzieckim filmie? — pytał swego towarzysza młodzieniec w koszuli z wykładanym kołnierzykiem.

— Jestem dopiero w połowie. To świetnie napisane.

— Co jest świetnie napisane? Szymonie, powiedz, czym się zachwycasz — domagała się Klementyna z miną ciekawej dziewczynki. Chociaż tęga, wyglądała młodo i wdzięcznie. Zwróciła się do Moniki nie czekając na odpowiedź szczupłego młodzieńca.

— Skąd masz tę suknię? Z Cepelii?

— Jeszcze z „Tuniki". To stare dzieje.

— W Zachęcie są wspaniałe garnki — mówił ktoś do kogoś. — Koniecznie idźcie zobaczyć.

— Przyniosłaś Czechowicza? — Szymon zbliżył się teraz do Kasi.

— Zapomniałam na śmierć! Podrzucę ci go jutro do redakcji. A może umówimy się na kawę? Będę o piątej w „Lajkoniku".

— Sama czy z Bostelem?

— Nie widziałam go od niepamiętnych czasów.

— Obraził się za twój reportaż w Biuletynie?

— Zapewne.

Jankowski spojrzał na Kasię z zaciekawieniem.

— To pani tak opisała nasze biuro?

— Czy przesadziłam?

— Za łagodnie potraktowała pani dyrektora.

— Bostel cieszy się względami Kasi — zażartował Szymon.

Jankowski zmieszał się nie wiedząc, czy tamten nie kpi sobie z niego. Miał wrażenie, że dostał się między cudzoziemców, mówiących umownym językiem o sprawach całkowicie mu obcych. Co gorsze, ich spojrzenia, półuśmiechy i półskrzywienia zdawały się przeczyć wypowiadanym słowom, tak że człowiek tracił do reszty orientację, kiedy żartują, a kiedy mówią serio i co naprawdę myślą o danej rzeczy.

Równie trudno było określić ich wiek. Wydawali się młodzi, lecz przygaszeni, czy też po prostu zmęczeni. Tym silniej odbijała od nich uroda młodego mężczyzny, który podszedł do nich, witany serdecznie, jak po długim niewidzeniu. Ogorzały, w niebieskiej, płóciennej koszuli, bez krawata, z marynarką zarzuconą na jedno ramię, wniósł ze sobą powiew wakacji, bliskich już urlopów.

— Ślicznie się opaliłeś w tym Kazimierzu! — wykrzyknęła Klementyna. — Musiałeś zdrowo się wałkonić, Mareczku!

— Żyłem jak braciszek zakonny.

— Znamy rozwiązłość mnichów.

— Przysięgam! — rozłożył ręce i pochylił głowę przymykając oczy z obłudnym uśmieszkiem.

Wśród ogólnej wesołości Kasia zapytała poważnie:

— Co tam namalowałeś?

— Sto razy Kazimierz.

— Poniechałeś aktu?

— Czekam, aż Klementyna zechce mi pozować. Zrobiłbym z niej boginię wszelkiej obfitości. Tymczasem przedstawcie mnie tej pani — zwrócił się ku Monice z udaną rewerencją.

— Znamy się z autobusu — uśmiechnęła się porozumiewawczo. — Gdzież pana towarzyszka?

— Nie wolno pytać o sprawy bolesne.

— Chyba nie ma pan powodu do smutku.

— W tej chwili na pewno nie — spojrzeniem dopowiedział Monice komplement.

— Dużo ludzi w Kazimierzu? Chciałbym wybrać się na dwa tygodnie z Klementyną.

— Nie do Zakopanego?

— Trzeba odpocząć od znajomych.

— To jedźcie do Głuchołazów.

— Gdzie to jest?

— Na końcu świata.

— Kawę dają?
— Zbożową.
— Nie jadę! — wykrzyknęła Klementyna.
— Po drodze wstąpiłabyś do Wrocławia.
— Nie znasz go dotąd? — zdziwił się Marek.
— Wyobraź sobie.
— Nie oglądałaś składanej wieży?
— Jakiej?
— Składanej wieży ratuszowej, dziwadła średniowiecznej techniki.
— Zmyślasz chyba...
— Nie słyszałaś o niej? Wstyd, Klementyno, luki w ogólnym wykształceniu.
— Jakże się to składa?
— Normalnie, jak turystyczna szklanka: jedna obręcz w drugą.
— Ale w jakim celu?
— Żeby piorun nie uderzył. W XIII wieku spaliła się w ten sposób część ratusza. Przy odbudowie zastosowano ten właśnie niecodzienny pomysł. Przed burzą i wieczorami wciąga się ją do środka.
— I można to zobaczyć?
— Nic łatwiejszego.
— Żartujesz.
— Zapytaj redaktora, jeśli mi nie wierzysz. O mały włos straciłby życie w czasie jej zsuwania. Nie zauważył hejnału, wiecie przecież, jaki jest roztargniony, i dał się wciągnąć razem z najwyższą kondygnacją. Szczęściem narobił takiego hałasu, że w ostatniej chwili udało się go uratować.
— Wszyscy już wracają na górę — przerwała rozmowę Kasia. — Co robicie po koncercie? Wypadałoby uczcić powrót Marka.
— Chodźmy do Kameralnej.
— Chętnie, stęskniłem się za ludźmi. Wybierze się pani, Moniko? — Marek poparł pytanie uśmiechem.
— Skąd pan zna moje imię?
— Nie tylko imię. Oczywiście z plotek. Nie na próżno przyjaźnię się z Klementyną.
— Szymon więcej plotkuje, niż ja — żachnęła się Klementyna. Nie może zasnąć, póki nie zda komuś sprawozdania z całego dnia.
— Trochę więcej cierpliwości, a byliby z niego Goncourtowie.
— Za wiele koloryzuje.
— To tylko przydaje barwy pamiętnikom.
— Miło jest kłamać wśród inteligentnych ludzi.

— Śpieszcie się, Wójcicki zacznie bez nas.

Rozpierzchli się w różnych kierunkach. Monika rzuciła się pędem po schodach, za nią zdyszany Jankowski. W ostatniej chwili dopadli swoich krzeseł. Syknęła jakaś pani, którą potrącili w przejściu. Nie zdążyli przeprosić, bo pianista wziął już pierwsze akordy. Monika oddychała szybko i to jej zmęczenie uczyniło ją bliższą Jankowskiemu. Ale po chwili siedziała nieruchomo, jakby znużenie i upał nie miały do niej dostępu.

— Co ona odpowiedziała Markowi? — zaczął kłopotać się Jankowski. — Pójdzie z nimi do Kameralnej? Nie mam żadnej ochoty bawić się w ich towarzystwie. Co to za jedni? Bez krawata przychodzić na koncert. Jakim wzrokiem Marek przyglądał się Monice. Po prostu nie wypada. Ładny przy tym i dobrze ubrany. Chyba się z nim nie umówiła?

Uprzytomnił sobie, ile traci w porównaniu z dorodnym Markiem, albo młodzieńczym Szymonem. Gdzie mu do ich swobody i błyskotliwości towarzyskiej. Uchodzi przy nich za nieokrzesanego gbura, choć może więcej wart jest od tej całej ferajny. Bo i gdzie tacy pracują, czym się mogą wykazać oprócz lekceważących słówek?

Rozgniewał się, że dał się zaciągnąć na koncert, który go tylko zirytował. Nieznośny upał, skrzypiące krzesło, nie wiadomo co z nogami zrobić, gdzie położyć spocone ręce.

Ziewnął — i Monika to zauważyła. Wszystko musi dojrzeć, jakby miała dwie pary oczu.

Siedziała teraz zupełnie blisko, tak że ramiona ich stykały się ze sobą. Wystarczyłby jeden ruch, żeby ją pocałować.

— Obrazi się — pomyślał. — Ej, nie, umyślnie zbliżyła się do mnie. A jeśli sąsiedzi zauważą? Całą uwagę skupiają na pianiście. Wreszcie to nic wielkiego; pocałuję ją w skroń.

Odsunęła się w ostatniej chwili. Spojrzała trochę zaczepnie, trochę pogardliwie, jakby przejrzała jego zamysły. Uśmiechnęła się do kogoś z lewej strony balkonu. Siedział tam Marek oparty o poręcz.

— Jeżeli dziś nie dojdę z nią do porozumienia, ten chłopak zdmuchnie mi ją sprzed nosa. — Przywykł już myśleć, że prędzej czy później zdobędzie Monikę, choć nie zastanawiał się, jak do tego dojdzie. Czekał, aż się to stanie samo odwiecznym biegiem rzeczy. Dopiero lęk przed jej utratą zmuszał go do działania, potęgując równocześnie pożądanie. Wyobraził ją sobie wyłuskaną z zielonej sukienki i do reszty utracił zdolność słuchania koncertu.

— Dobrze więc, odprowadzę ją do domu. I co dalej? Czy zgodzi się

na jakie poufałości? Może naprawdę jest uczciwa? Przecież się z nią nie ożenię.

Poprawił się na krześle. Monika zgromiła go wzrokiem. Boże, co za oczy! I dlaczego nie miałby się z nią ożenić? Jest śliczna, mądra, pełna wdzięku. Zazdroszczono by mu takiej przyjaciółki. Ale żony? — Cóż za różnica? — powiedział sobie, czując, że taka różnica istnieje. — Wszystko jedno, byle mieć prawo przebywania z nią jak najdłużej i najbliżej.

Poruszył się, aby z zegarka odczytać, jak długo przyjdzie mu jeszcze słuchać koncertu. Krzesło zatrzeszczało, jakby za chwilę miało się rozlecieć. Monika potrząsając głową westchnęła i wskazała mu nieznacznie Kasię, siedzącą o kilka rzędów wyżej. Jankowski nie chciał wierzyć własnym oczom. Pogodna dziewczyna, z którą rozmawiał przed godziną, słuchała muzyki z taką rozpaczą w twarzy, że przyglądanie się jej wydawało się niedyskrecją.

— Co z nią się dzieje? — zapytał, gdy sala zahuczała oklaskami. Monika poderwała się z miejsca.

— Uciekajmy, zanim zacznie bisować.

Zbiegli ze schodów, jakby ich kto gonił. Kroki zadudniły w nagłej ciszy. Z daleka doszły znowu dźwięki fortepianu. Monika zatrzymała się nasłuchując.

— Haydn? — zrobiło się jej żal, że wyszła. Jankowski przeraził się, że zechce wrócić, że spotka wszystkich znajomych. Ale nie, przemknęła przez hall, potrąciła drzwi i wypadła przed teatr w wieczór pachnący akacjami. Wciągnęła głęboko powietrze.

— Ach, jak dobrze!

Przed pomnikiem Kopernika znaleźli wolną taksówkę. Nim Jankowski zdążył zapytać Monikę, dokąd chce jechać, rzuciła szoferowi:

— Szustra, koło alei Niepodległości.

Gdy wóz ruszył z miejsca, nagle się zakłopotała:

— Nie wiem, czy to panu będzie po drodze?

— Odwiozę panią do domu.

— Może wolał pan pójść na dancing?

— Lepiej mi z panią.

W Alejach zatrzymało ich czerwone światło.

— Nie odpowiedziała mi pani, co jest z panną Wojnowską.

— Sam pan widział.

— Ale dlaczego?

— Skądże ja mogę wiedzieć. Może Bostel z nią zerwał.

— Sądzi pani, że ona jest...

— Wszyscy o tym mówią.
— Nigdy bym nie sądził. Wyglądała na uczciwą dziewczynę.
— Ma pan przedpotowe pojęcia o uczciwości kobiet.
— Bostel nie rozwiódł się przecież z żoną.
— Cóż z tego? — zapytała tonem pełnym irytacji.
— Myślę, że sytuacja taka musi być dla niej kłopotliwa.
— Dla Kasi? Nie sądzę.

Milczeli aż do końca drogi. Jankowski niecierpliwie oczekiwał biegu wydarzeń. Monika obojętnie wyglądała przez szybę. W zadrzewionych ulicach Mokotowa światło latarń przelewało się przez liście.

— To już tutaj — zatrzymała taksówkę przed domem, przysłoniętym zielenią. Pchnęła ogrodową furtkę oglądając się na Jankowskiego, który szukał drobnych. Pieniądze wypadły mu z ręki, schylił się, aby je zebrać z chodnika.

— Napije się pan ze mną wina?
— Chętnie.

Szofer zapuścił motor i odjechał. Nikt nie przechodził ulicą. Uciszyło się tak, że słychać było szelest liści. Cierpka woń szła od kwitnących krzewów.

Monika zapaliła światło w sieni. Na górę wiodły szerokie schody wykładane marmurem. Długo otwierała patentowe zamki. W sporym hallu koszykowe fotele otaczały stolik z telefonem i plikiem starych czasopism.

— Poczekalnia? — zapytał szeptem Jankowski.
— Teraz już nie. Mój gospodarz zrezygnował z prywatnej praktyki. Proszę, tędy — Monika wskazała drogę do swego pokoju. — Niech się pan rozgości. Zaraz przyniosę kieliszki.

Przystanął w progu urzeczony wyglądem tego wnętrza. Wiatr wydymał firankę w oknie zajmującym niemal całą ścianę. Na białej markizecie poruszały się cienie drzew. W poświacie księżyca rysowały się wyraźnie kształty mebli: sekretarzyk nieco na ukos pod oknem, półki z książkami po przeciwległej stronie, na środku stół prostokątny z opuszczonymi klapami po bokach, wokół niego wdzięcznie wygięte krzesła, blisko drzwi niewysoka szafka, na niej zegar z kolumienkami i bielejącą w mroku tarczą. Pachniały mocno wiejskie kwiaty, jak ogród po letniej ulewie.

— Niechże pan lampę zapali — powiedziała Monika z hallu. — Kontakt jest na prawo.

W żółtawym blasku meble nabrały wyrazu. Na jesionowym blacie sekretery leżał niebieski papier listowy; niedomknięte szufladki spra-

wiały wrażenie, że przed chwilą odszedł stąd ktoś zniecierpliwiony szukaniem. W głębokiej wnęce stała niepozorna figurka z wypalanej gliny. Ręce miała wyciągnięte wzdłuż ciała, uśmiechem i ułożeniem włosów przypominała egipskie piękności. Jankowski nie mógł od niej oderwać oczu.

— Należy się jej szacunek — powiedziała Monika. — Ma dwa i pół tysiąca lat i uchodzi za matkę bogów. Przywiózł mi ją znajomy archeolog, który życie strawił na rozkopywaniu grobów.

Usadowiła się na niskim tapczanie, obitym liliowym rypsem. Spływało na nią światło lampy ustawionej na komodzie o lekko wybrzuszonych szufladach. Każda z nich miała po dwie mosiężne rączki spłaszczone przy końcach na kształt liści bluszczu.

— Niechże pan odkorkuje butelkę i naleje nam wreszcie wina.

Zbliżył się do stołu, na którym w glinianym dzbanie stał różnobarwny bukiet: najwyżej strzelały niebieskie ostróżki, najgoręcej złociły się drobne słoneczniki, między nimi tkwiły rumianki, brodate goździki, dzikie róże i pospolite trawy.

— Tak układają kwiaty w wiejskich kościółkach — powiedziała Monika — albo w jadalni proboszcza. Jadł pan kiedy śniadanie na werandzie przy stole nakrytym płóciennym obrusem? Wdzierają się przez okno powoje, albo czerwonokwietna fasola, pachnie płynny miód, biały ser i świeży razowiec. Brzeczą senne muchy na wygrzanej słońcem szybie. Pies kładzie się pod nogami i leniwie uderza ogonem o białą podłogę. Znałam kiedyś uroczego księdza. Dożywał swoich dni w maleńkim miasteczku, miał ogromną bibliotekę, świetne reprodukcje włoskich mistrzów, które przywiózł z Rzymu...

— Ja tam z plebanii wyniosłem przykre wspomnienia. Proboszcz liczył krupy w garnku i ganiał ludzi od świtu do nocy, bo gospodarkę miał sporą, a na służbę skąpił. Matka moja służyła tam za gospodynię — zorientował się, że powiedział to niepotrzebnie i próbował naprawić błąd. — Ukrywaliśmy się tam po powstaniu. Teraz moja matka mieszka w Wągrowcu, bardzo jest przywiązana do swego rodzinnego miasteczka.

Ale i te słowa wypadły jakoś niezręcznie. Nalał wina do głębokich kieliszków i podszedł z nimi do Moniki.

— Dziękuję — uśmiechnęła się życzliwie. — Niechże pan wreszcie usiądzie. Może tam będzie panu wygodnie? — wskazała mu fotel pokryty jedwabiem w srebrne i niebieskie pasy.

Jankowski dotknął głową wysokiego oparcia i położył ręce na poręczach w kształcie lwich łap, z których starło się złocenie. Nie

czuł się jednak swobodnie w tej pozycji. Pomyślał, że musi wyglądać śmiesznie, jak król migdałowy na zaimprowizowanym tronie. Pod byle pretekstem podniósł się z miejsca i podszedł do kolekcji miniatur rozwieszonych nad komodą. Były tam portrety dam w muślinach, przewiązanych błękitnymi szarfami, i oficerów w napoleońskich mundurach. Po środku wzruszający konterfekt księcia Józefa.

— Interesuje się pan malarstwem?

— Owszem.

— Na przeciwległej ścianie znajdzie pan pastel Wyspiańskiego.

Jankowski przyjrzał się uważnie dziewczynce w wieńcu z zielonych liści.

— A tam, bliżej okna, wisi autolitografia lubelska Wyczółkowskiego. Podoba się panu?

— Bardzo. Tak jakoś czysto rysowane.

— Niech pan jeszcze naleje wina. Pokażę panu moje obrazki. Lubi pan oglądać reprodukcje?

— Nigdy na to nie miałem czasu.

— Niech pan usiądzie blisko światła, najlepiej na tapczanie. Proszę podsunąć sobie poduszki, o tak. I wino postawimy pod ręką. Niech pan się nie martwi, mam jeszcze drugą butelkę. Smakuje panu? Bo ja właśnie takie najlepiej lubię: czerwone i trochę cierpkie.

— Znakomite.

— Od czego zaczniemy? Malarstwo holenderskie, prymitywy francuskie, Boticelli? Czy coś nowszego? Woli pan impresionistów? A może Cezanne'a?

Nazwiska te nic mu nie mówiły, czuł jednak, że nie powinien zdradzać się z tym przed Moniką. Nie przyszedł tu przecież po to, aby oglądać obrazki. Nad krajobrazem Sisleya pochwycił jej rękę i pocałował poniżej łokcia.

— Co znowu? — zapytała z takim zdziwieniem, jakby go ujrzała w indiańskim pióropuszu. Zrozumiał, że w tej chwili powinien powiedzieć jej coś ważkiego, że ją kocha, albo że nie może bez niej żyć, ale powstrzymała go obawa śmieszności. Nie wiedząc, co począć, zdjął z komódki książkę w skórzanej oprawie i przeczytał:

„Jana Kochanowskiego Dzieła Polskie Edycya Tadeusza Mostowskiego w Warszawie w Drukarni n. 646 na Nowolipiu 1803 r.".

— Sądziłem, że poza uczniami nikt tego nie czyta.

— Przeglądam je często przed zaśnięciem — uśmiechnęła się nieznacznie i zaczęła cicho:

„Złota to strzała, i krom wszego jadu była

Którą mnie nie pochybna miłość ugodziła,
Bo ia w swym miłowaniu troski nie nayduję,
Owszem radość na sercu niewymówną czuię..."

Jankowski nie wiedział, czy ma to wziąć do siebie. Jeśli tak, z jakimże wdziękiem wskazała mu drogę! A jeśli nie? Okaże się chamem, skoro tą drogą pójdzie!

— Kto jest pana ulubionym autorem? — zapytała po długiej chwili milczenia.

— London — odpowiedział. — I morze bardzo lubię — dodał nalewając wino. — Mam za sobą kilka rejsów na jachcie.

— Po Bałtyku?

— Do wybrzeży Szwecji. Nie wyglądam na osiłka, ale na morzu spisywałem się lepiej od innych. Przy martwej fali, kiedy wszystkim żołądki podchodziły do gardła, czułem się wyśmienicie.

— Jest pan człowiekiem morza — uśmiechnęła się drwiąco Monika. — Czemu nie został pan marynarzem?

— Nie składało się — Jankowski poczuł się urażony.

— Niech pan opowie o jakiej wyprawie.

— Nie umiem opowiadać.

— Proszę spróbować.

— Cóż to panią obchodzi?

— Wszystko mnie obchodzi, co pana dotyczy.

— Naprawdę? Nie zawsze panią rozumiem, ale zawsze podziwiam. Zdaje mi się, że krąży pani po innej orbicie, znacznie szerszej niż moja. Jeszcze dziś wieczorem zadawałem sobie pytanie, dlaczego zwróciła pani na mnie uwagę.

— Boję się samotnych wieczorów. Nawiedzają mnie wtedy myśli, że wszystko, co robię jest pozbawione sensu. Od porannej kąpieli aż do wieczornej herbaty zmuszam się do wykonywania tysiąca rzeczy, które mnie nic nie obchodzą. Staram się zająć czymkolwiek, ale mnie nic nie interesuje.

— Jest tylu mężczyzn, którzy chętnie dotrzymaliby pani towarzystwa. Czy uwierzy pani, że byłem zazdrosny o Marka?

— Marek ma uroczą dziewczynę.

— Rzuciłby ją dla pani.

— I cóż z tego? Zanudzilibyśmy się na śmierć po tygodniu. Znamy na pamięć nasze rodzaje zachwytów, nasze kłamstwa.

— Jestem stokroć od niego nudniejszy. Jakże pani może ze mną przestawać?

— Polubiłam pana dlatego, że wrasta pan w życie jak perz, mocno

i uparcie. Byle czym się pan cieszy. Udało się zaoszczędzić na rurach — świetnie; zdobył pan katalog maszyn pralniczych — znakomicie. A jeśli przystąpią do fabrykacji pańskiego modelu wanienki dla niemowląt — to już będzie prawdziwe święto!

— Żartuje pani ze mnie!

— Broń Boże! Cóż bym dała, żeby się tak w pracy wyżywać!

— Przecież pani lubi swoją pracę.

— Ach, panie! Żadnego zadowolenia nie znajduję w wiecznym powtarzaniu domów mieszkalnych opartych na tych samych wzorach i sekcjach typowych. W czym tu wykazać inwencję? W przegrupowaniu okien, w śmiesznej attyce? To już nie sztuka, lecz liche rzemiosło. — Wypiła duszkiem wino i znowu napełniła szklankę.

— Przez lata wojny sztuka nadawała sens memu życiu. Teraz przestałam w nią wierzyć. Och, nie w tę, która zdała już egzamin z nieśmiertelności. Nie wierzę w twórczość naszych czasów.

Przerzuciła reprodukcje, wyławiając kilka najzupełniej dla Jankowskiego niezrozumiałych.

— Do tego dochodzi — powiedziała — jeszcze Chagall, jeszcze Braque, ale komu t o jest potrzebne? Widział pan wystawę francuskich malarzy w Zachęcie? Najrozmaitsze próby, a rezultat znikomy. Nie, panie, sztuka moja umiera, chociaż nowa jeszcze się nie narodziła.

— A nasze próby? — wtrącił nieśmiało.

— Niech pan o nich nawet nie wspomina! Niczego nowego już się nie doczekam. Stare poznałam dostatecznie.

— Mówiono mi jednak, że pracowała pani jak szalona nad tym projektem z Czernakiem.

— Chce pan wiedzieć dlaczego? Nie znosiłam tego człowieka. Pragnęłam w każdej sekcji projektu dowieść mu jego głupoty. I nie udało się. Biłam go na głowę zdolnością, techniką, wszystkim. Był na tyle ograniczony i zarozumiały, że nie zdawał sobie z tego sprawy. Taka historia, jak wyścigi między kretem i wiewiórką.

— Skądże ta nienawiść?

— Kiedy go poznałam, byłam gotowa zakochać się w byle kim. Przychodzą na człowieka takie złe godziny. Ale już nazajutrz ogarnęło mnie obrzydzenie. Strasznie się zakłamywał, gębę miał pełną frazesów. Wydawało mi się wtedy, że uzależniłam się od niego i trochę obawiałam się z nim zerwać. Najbardziej nienawidzimy tych, wobec których musimy się czegoś wstydzić.

— Biedna pani! — szczerość jej wyzwalała w nim odruchy opiekuńcze. — Dobrze, że to już za panią.

— Myli się pan. Są sprawy, z którymi skończyć nie można aż do śmierci. Wracają we wszystkie bezsenne noce. Niczym nie można zasłonić się przed własnym potępieniem.

— Mówiła kiedyś pani, że ze mną czuje się dobrze...

— Istotnie.

— Zastanawiałem się, co mogę pani dać. Chyba tę pewność, że nigdy pani nie zawiodę. Że nie będzie się pani potrzebowała wstydzić ani przed sobą, ani przed innymi...

— Po co pan mi to mówi? — zapytała zimno.

Nie stropił się jej tonem. Postanowił brnąć dalej, choćby to miało skończyć się małżeństwem.

— Bo to prawda.

— Są prawdy, których mędrzec nie zwierza nikomu...

— Pani lepiej wie ode mnie, co się ze mną dzieje.

— Dlatego właśnie doradzam panu milczenie.

— Moniko! — chwycił ją za obie ręce i przyciągnął do siebie. — Skoro zaprosiłaś mnie na noc...

— Na noc? Co panu w głowie świta? Chciałam napić się wina, to wszystko.

— Miałem prawo inne wnioski wyciągnąć z tego zaproszenia.

— Tym gorzej. Jest już późno i powinien pan myśleć o powrocie do domu.

Puścił jej ręce bez jednego słowa. Gotowała się w nim wściekłość i rozgoryczenie.

— Daleko pan mieszka? — zapytała uprzejmie.

— Na Żoliborzu.

— Olala! Odszedł już ostatni autobus, a nie wiem, czy znajdzie pan taksówkę.

— Niech się pani o mnie nie kłopocze — podszedł, aby się z nią pożegnać. — Do widzenia. Długo będę pamiętał ten wieczór.

Kiedy podała mu rękę ciepłą i miękką, targnął nim żal, że tak odchodzi. Może by ją rzucić na tapczan? Może na to właśnie czeka i jutro wykpi jego niemęskie poczynania? Zbyt mu była droga, aby na to miał się zdobyć, zbyt ją szanował, aby udawać gwałt. Wiedział jednak, że jeśli odejdzie teraz, to straci ją podwójnie: ani ona nie zechce go widzieć, ani on nie przemoże urazy.

— Moniko! Moniko! — powtarzał. Była mu bliska i nienawistna jednocześnie. Nawet dotyk jej palców wytrącał go z równowagi. Ale ona już odprowadzała go do drzwi, jakby wychodził z popołudniowego brydża.

W progu zatrzymała się raz jeszcze. Nie patrząc mu w oczy zaczęła się tłumaczyć:

— Tak mi przykro, że zaszło między nami to nieporozumienie... Nie moja wina. Żaden z moich znajomych nie spodziewałby się tak wiele po zwykłym koncercie...

To go dotknęło najboleśniej. Odpowiedział z godnością:

— Zapewne, Moniko. Bo nikt się w pani nie kocha.

Odszedł nie oglądając się ani razu, choć wiedział, że nie zamknęła drzwi od ogrodu i wypatruje go w ciemności. Prawie biegł wyludnionymi ulicami; dopiero w okolicach Dworca Głównego znalazł tańsówkę, która go odwiozła na Żoliborz.

W oknie swoim dojrzał światło: współlokator zapewne uczył się jeszcze do egzaminu. Jankowski wolałby wrócić po ciemku i nie rozmawiać z nikim. Czuł się jak zbity pies, który szuka kryjówki, aby się wylizać.

Znajomy odór spotkał go w klatce schodowej. Z obrzydzeniem ujął brudną poręcz, aby nie pośliznąć się w mroku na kamiennych schodach; słaba żarówka tliła się dopiero na pierwszym piętrze.

W pokoju zastał wszystko jak co wieczór: nie pomyte szklanki, buty kolegi rozklepane i nigdy nie czyszczone, jego samego w piżamie bez guzików.

— Późno wracasz — mruknął znacząco, przebierając palcami w rozkudłanej czuprynie. — Zabawiłeś się w dechę?

— Daj mi spokój! Lepiejbyś się trochę ogarnął. Wyglądasz, jak strach na wróble, tylko cię w konopie postawić.

— Nie gderaj, Tadziu, nie gderaj. Miej zrozumienie dla ludzi, którzy nie urodzili się w Poznaniu, nie kochają się w eleganckich kobietach, natomiast jutro stają przed obliczem profesora.

Jankowski w milczeniu począł się rozbierać. Gdy zdejmował buty, siedząc na zwykłym miejscu, wzrok jego spoczął na wielkim malowidle nad łóżkiem. W szafirowym mroku klęczała cukierkowa postać, do której spływał w obłoku złoty kielich ogromnych rozmiarów. Twarz klęczącego nie wyrażała absolutnie nic. Kamienie i drzewa nie przypominały żadnych tworów natury.

— Ja chyba zdejmę ten obraz — powiedział, zgnębiony brzydotą swego otoczenia.

— Z byka spadłeś? Gospodyni wyrzuciłaby nas z mieszkania za świętokradztwo.

Jankowski naciągnął kołdrę na głowę, aby nic już nie widzieć i czym prędzej zasnąć. Sen nie przychodził mimo wielkiego znużenia.

To Monika, to Rączka dostarczali mu tematów do rozmyślań. Jakże ich oboje podziwiał, jak dobrze im życzył! Zawiedli jego zaufanie i odwrócili się plecami. Rozumiał, że Rączka miał swoje dziwactwa i własny sposób postępowania z ludźmi, ale schowanie gotowej dokumentacji, to prawdziwe draństwo. I nie ma na to żadnego wytłumaczenia. Dlaczego stary inżynier tak postąpił, przecież był uczciwym człowiekiem? „Ma pan przedpotopowe pojęcie o uczciwości kobiet" — mówiła Monika. Skądże te różnice w pojmowaniu spraw najprostszych?

Jankowski pragnął we wszystkim upodobnić się do swych, jak mu się zdawało, przyjaciół. Jeśli nie osiągnął tego, nie on ponosi winę. Wyrósł w trudniejszych warunkach, kończył inną szkołę, był młodszy. Materialistyczny światopogląd ustalił się w nim nie wiadomo kiedy, bez żadnych wstrząsów wewnętrznych. Tylko takie podejście do świata wydawało mu się słuszne. Oczywiście różniło go od Moniki pochodzenie społeczne, lecz to sprawy tak dawne, że nie powinny wpływać na kształtowanie się stosunków między ludźmi. Rączka zresztą też sam wydźwignął się z jakiejś biednej rzemieślniczej rodziny. Czy nie pracowali obecnie w jednej instytucji, czy nie zarabiali mniej więcej tyle samo? Dlaczego więc stary inżynier zwracał się do niego mówiąc „wy, materialiści" i mimo woli popychał w stronę partii, a Monika w rozmowie z nim powtarzała „moi znajomi, moja sztuka", zaznaczając wyraźnie, że między nimi a Jankowskim widzi głęboki przedział?

Istotnie, oddalała go od nich różnica pojęć. Jankowski nie mógł pogodzić się ani z nieuczciwością Rączki, ani z pozorną uczciwością Moniki.

— Co wyznacza linię podziału między dobrym i złym, między społecznie przydatnym i społeczności wrogim, między twórczym i nowym a zbutwiałym i obumierającym? — zapytywał siebie, kiedy już jaśniało za oknem. Co jest probierzem ludzkiego postępowania? Stosunek do klasy robotniczej, do pracy, do strudzonego człowieka?

Zapragnął porozmawiać o tym z kimś sobie podobnym, prostym i rzetelnym. Nadaremnie szukał myślą wśród znajomych.

— Złych sobie wybrałem przyjaciół — stwierdził i raz jeszcze przypomniał sobie Monikę. — Mogłaby zatruć swoją niewiarą i chandrami, swoją dziwnością i smutkiem. Trzeba otrząsnąć się z jej uroku. Od jutra przestanę się z nią widywać. Od jutra? Ależ za dwie godziny muszę wstawać!

Zamknął oczy i zasnął natychmiast.

Bostel wyszedł na Mariensztadt wczesnym rankiem mówiąc Kasi, że przed udaniem się do biura przejdzie się trochę nad Wisłą. Mimo cudnej pogody nie miał jednak ochoty na przechadzkę. Po prostu chciał uniknąć spotkania ze znajomymi, których sporo mieszkało w tym osiedlu.

Czuł się źle po niedospanej nocy, wszystko go drażniło, zwłaszcza Kasia pośpiesznie gotująca kawę. Wyrzucał sobie teraz, że zatrzymując ją w Warszawie głupio całą sprawą pokierował. Nie kochał jej na tyle, aby jej całkowicie zaufać, aby mieć pewność, że mu w niczym nie zaszkodzi.

Bostel i we własnym domu sypiał źle, budziły go nocne lęki, z których zrywał się spocony. Lekarz twierdził, że to z serca i zwyczajem wszystkich eskulapów radził ograniczyć palenie, zażywać świeżego powietrza i niczym się nie denerwować.

Ani mowy o wypełnieniu takich wskazań. Powodów do irytacji aż za wiele. Przy tym zaburzenia w krążeniu nie były jedyną przyczyną lęków. Za często powracało jakieś zdanie, powiedziane nieopatrznie w rozmowie z Gawrysiem lub z kimś z Komitetu Warszawskiego. W dzień wydawało się niewinne, w nocy nabierało niebezpiecznego znaczenia, groziło katastrofą. Bostel znajdował też spóźnione odpowiedzi na jakieś kwestie, które dopiero teraz stawały się ważne. Męczyły go wszelkie myśli odpychane w ciągu dnia, obawy bezpodstawne i tym trudniejsze do przezwyciężenia. Podejrzewał wszystkich, że dybią na jego zgubę: Gawryś, aby wykazać własną przydatność, Erwin dla zdobycia dyrektorstwa, Orański wiedziony zemstą, Kasia z głupiej ambicji.

Utraty stanowiska i wpływów obawiał się przy tym bardziej niż niedostatku, nade wszystko jednak przerażała go myśl o więzieniu. Nie popełnił wprawdzie niczego, co by mu groziło pozbawieniem wolności, drżał jednak na myśl, że wśród tysiąca jego podwładnych jeden dopuścić się może przestępstwa, którego on nie spostrzeże i będzie za nie ponosił współodpowiedzialność. Ileż okazji szpiegostwa dostarczają tajne pisma i plany terenów przemysłowych! Jakie możliwości sabotażu kryją się w dokumentacji technicznej! Niepodobna samemu wszystkiego sprawdzić, wszystkiego dopilnować.

O pierwszym brzasku zaczynały się godziny najprzykrzejsze. Ledwie drzemiąc czuł, że drętwieje mu ramię, budził się, aby się przewrócić na bok i zerknąwszy na zegarek stwierdzał, że od ostatniej zmiany po-

zycji upłynął najwyżej kwadrans. Głęboki sen przychodził na krótko przed porą wstawania. Bostel zwolna wracał do przytomności i z wysiłkiem zwlekał się z tapczanu.

Odżywał dopiero w łazience. Samo golenie już nie było przykre. dzięki żyletkom i kremowi, które z zagranicy przysyłali krewni żony. Kąpiel czekała: woda nie za ciepła, nie za zimna, lecz właśnie taka, jaką lubił. Nie dowierzając własnej skórze sprawdzał jeszcze temperaturę na pływającym w wannie termometrze. Zanurzony po pierś wypalał dobrego papierosa.

Ubrawszy się szybko, przechodził do jadalni, gdzie starannie nakryto do śniadania. Obrus codziennie świeży, bez jednego załamania, bez jednej zmarszczki (przechowywano go po praniu na specjalnym wałku w bieliźniarce) harmonizował z rodzajem zastawy. Jeśli serweta była żółta — kawę podawano w niebieskich fajansach, jeśli biała — w meissenach z różyczkami; niebieska wymagała porcelany rosenthalowskiej gładkiej, białej, bardzo cienkiej.

Bostel siadał na honorowym miejscu naprzeciw drzwi. Znajdował przed sobą jajko, okryte włóczkowym kapturkiem, który miał je chronić od utraty ciepła na wypadek, gdyby pan domu dłużej zabawił w łazience. Jajko gotowano czujnie, z zegarkiem w ręku: białko powinno było ściąć się całkowicie, żółtko miało pozostać kleiste, lecz broń Boże nie twarde.

Żona pojawiała się przy śniadaniu w szlafroczku tak świeżym, tak odprasowanym, jakby dopiero wyszedł z rąk krawcowej. Felek przybiegał powiedzieć ojcu dzień dobry i zaraz odchodził do kuchni, aby zjeść owsiankę.

Bostel żuł powoli, ze smakiem, smarując cienkie kromki masłem przed chwilą wyjętym z lodówki. Próbował miodu, sera, ale niezbyt wiele, tyle tylko, ile pozwolił mu lekarz. Z żoną nie rozmawiał, lubił jednak mieć ją przy sobie; twierdził, że w samotności traci do szczętu apetyt.

Przed domem czekał już samochód z usłużnym szoferem i panią Wandą, która w drodze do biura opowiadała wszystkie plotki. Przez szyby auta Bostel z politowaniem patrzył na zatłoczone tramwaje. Opierał się wygodniej na poduszkach wozu, pukał papierosem w srebrną papierośnicę, otrzymaną od kolegów na któreś imieniny, i zanim zdążył sięgnąć po zapałki, sekretarka podawała mu już ogień.

Noc u Kasi pozbawiła go porannego ceremoniału, owego *„petit lever du roi"*, który tak sobie cenił i który na cały dzień zapewniał mu do-

bre samopoczucie. Do biura przyszedł za wcześnie, pocieszając się tym, że przyda się ludziom niespodziewana inspekcja.

W portierni Frankowski zdejmował klucze od pracowni. Zdziwili się obaj nieoczekiwanym spotkaniem.

— Co pan tu robi, kolego? — zapytał Bostel. — O tej porze?

— Jak co dzień, trochę wcześniej do pracy — odpowiedział architekt mrużąc oczy w złośliwym uśmieszku. — Ale czemu przypisać tu pańską obecność? Dyżur partyjny? Obawa sabotażu?

Bostel odburknął niegrzecznie i wielkimi krokami ruszył w stronę swego gabinetu. Cisza na korytarzu, pustka w sekretariacie, brak gazety na biurku — po kolei przykro go zaskakiwały. Wyjrzał przez okno, czując się zbyt znużony, aby zabrać się do jakiejkolwiek pracy. Wróciły przykre myśli o Kasi, która mu cały dzień zepsuła.

— Z moim sercem zarywanie nocy to zupełny nonsens — powtarzał sobie. — Przy tym ona robiła z tego poświęcenie, ofiarę, bo ja wiem co. Wolę już przelotne znajomości, człowiek nie musi drżeć o każde słowo powiedziane bez zastanowienia.

Czuł się winny wobec Kasi. Rozmowa z dyrektorem Instytutu na długo przesądziła jej losy. — No cóż — usprawiedliwiał się przed sobą — musiałem się jakoś zabezpieczyć. Z takimi jak ona, trzeba się mieć na baczności.

Własna małoduszność odsuwała go teraz od niej. Najtrudniej przebaczyć bliźnim podłostki, które się im wyrządziło. Instynkt samoobrony działa i na wewnątrz, gromadząc przeciwko skrzywdzonym tyle zarzutów, że po niejakim czasie przestaje się mieć pretensję do siebie, całą winę zrzucając na tamtych.

— Urządziłem ją w Warszawie, to chyba dosyć, nawet za wiele, jak na zgryzoty, których mi przyczyniła — myślał — Niech sobie sama radzi dalej. Ja umywam ręce.

Decyzja ta poprawiła mu humor. Żeby do reszty przestawić się na inne tory, postanowił przywołać Gawrysia. Czuł potrzebę serdecznej z nim rozmowy, w której mógłby wykazać swą prostolinijność, szlachetność, wszystkie cnoty charakteru.

Gawryś nadszedł bez zwłoki, w tym swoim szarym ubraniu źle skrojonym i z lichego materiału, w krawacie wełnianym, którego węzeł obsunął się pod niedopięty kołnierzyk. Twarz miał szeroką, opaloną, nos gruby, usta wąskie, oczy uśmiechnięte pod gęstymi siwiejącymi brwiami. Robił wrażenie człowieka pewnego siebie, lecz nie zarozumialca. Widać było, że czuł się w biurze jak na swoim gospodarstwie.

To zwykle gniewało Bostela. Dziś jednak pełen dobrej woli wobec sekretarza nie pozwalał sobie na nieprzyjazne uczucia.

— Witam was — podkreślił i tonem i zwrotem swoją życzliwość. — Chciałem z wami raz obszerniej pogadać. Mam trochę wolniejszy dzień — trzepnął palcami po terminarzu. Spostrzegł w tejże chwili, że kartka była gęsto zapisana, ale nic sobie z tego nie robił.

Gawryś usiadł, wyjmując z kieszeni papierosy. Dyrektor ubiegł go i poczęstował swoimi. Ceremoniowali się jeszcze, kto komu ma podać zapałkę. Wreszcie Bostel zagaił rozmowę:

— Ostatnie sprawozdanie z produkcji wypadło całkiem okazale. Jak sądzicie, czy przerób biura utrzyma się na tym poziomie?

— Spodziewam się, że nawet wzrośnie — odparł Gawryś mocno zaciągając się dymem. Oparł na biurku łokieć i podniósł dłoń, odchylając kciuk przy następnych słowach. — Po pierwsze, dzięki właściwej polityce kadr. Nowy personalny, chociaż młokos, ma dobrze w głowie. Likwidacja „martwych dusz" dała nadspodziewane rezultaty. — Wyciągnął niebieski notes i odczytał spisane maczkiem informacje.

— W pracowni Zajcowej wymieniono ośmiu pracowników na pełnowartościowe siły, u Halemby znaleziono trzy etaty faktycznie niewykorzystane, gdyż ci inżynierowie od roku są na delegacji w Krakowie i tam powinni być ostatecznie przeniesieni. Kilkunastu pracowników z ćwierć lub jednej ósmej etatu przeszło na pełne zatrudnienie...

— Wiem już o tym — przerwał Bostel.

— Po drugie — sekretarz wyprostował palec wskazujący — w administracji zmieniło się wiele na lepsze. Odciążyliśmy pracownie od niepotrzebnej pisaniny, uprościliśmy sprawozdawczość i rozliczenia. Przyśpieszyliśmy kontrolę i wysyłkę dokumentacji.

— Po trzecie — odchylił środkowy palec — wprowadziliśmy współzawodnictwo cyklowe, na razie w wąskim zakresie, bo tylko w brygadach młodzieżowych. Jeśli się ono powiedzie, rozszerzymy je na całe biuro, a czas potrzebny na wykonanie dokumentacji technicznej skróci się, moim zdaniem, o jedną trzecią.

— Jeżeli się powiedzie — Bostel uśmiechnął się z powątpiewaniem. — Jakie są wyniki do tej pory?

— Brygady młodzieżowe w pracowniach architektonicznych sprawują się dobrze, zwłaszcza u Orańskiego. Agnieszka Doraczyńska szczególnie się wyróżnia. Bardzo pracuje, bardzo... Duniak także i ten, jakże się on nazywa, mówią na niego Gnuśny Jasio?

Dyrektor nie umiał podsunąć potrzebnego nazwiska i to go trochę krępowało.

— Sarnecki! — przypomniał sobie sekretarz. — Zdolny chłopak i ambitny, tylko nierówny w pracy. Jeszcze się wyrobi. W pracowni Halemby wybija się Rogóyska, choć jej koledzy nie lubią, musi w tym coś być. Brejwo ma dużo młodzieży, ale nie zorganizowanej. Brygada młodzieżowa istnieje tylko na papierze, w robocie się jej nie czuje. Za to u konstruktorów — świetnie! W instalacyjnej prym wiedzie Jankowski; odkąd mianowano go zastępcą szefa, stara się podwójnie i ma większy mir wśród kolegów. Rączka przycichł we własnym kącie. Elektrycy wykazują dobre chęci. Za parę tygodni przyjdzie na nich okres próby. Kilku chłopaków trzeba by wciągnąć do partii.

Bostel słuchał nieuważnie. Drażniło go, że sekretarz zamiast ogólnie omawiać sytuację, zatrzymuje się przy różnych ludziach, których on bezskutecznie próbował sobie wyobrazić, nudząc się przy tym jak w rozmowie o nieczytanej powieści. Ziewnął, zasłaniając usta dłonią. Gawryś przerwał:

— Jesteście zmęczeni?

— Nie specjalnie — opanował się inżynier. — Trochę choruję, trochę niedosypiam. — Pragnął nawiązać z sekretarzem bardziej osobisty kontakt, pozyskać go dla siebie. Gawryś nie należał jednak do ludzi układnych. — Mój Boże! — powiedział sobie dyrektor — jak trudno poznać myśli człowieka z innej sfery! Podobieństwo wychowania, szkoła, wzory obyczajowe ułatwiają porozumienie się w jednym kręgu. Z kolegami wiem na ogół czego się trzymać, jak połechtać ambicję, czym przynęcić. Ale z Gawrysiem?

— Nie mam waszej energii — powiedział z podziwem — ani waszej umiejętności postępowania z ludźmi. Cóż począć, piętno społecznego pochodzenia.

— Pochodzenie jeszcze nie przesądza stosunku do człowieka.

— Tak? — zdziwił się uprzejmie dyrektor. — Cóż więc, waszym zdaniem, o nim decyduje?

— Dojrzałość polityczna.

— Zatem — żachnął się Bostel, który spodziewał się całkiem innej odpowiedzi — pomawiacie mnie o nieznajomość ideologii?

— To dwie różne sprawy. Wiecie o tym sami. Nie żądajcie zresztą, abym oceniał waszą postawę i działalność.

— Uchylacie się od odpowiedzi? — Bostel brnął dalej przymuszając się do uśmiechu, gdy kiełkował w nim lęk, grożący wielonocną bezsennością.—Przecież zwracam się do was z zaufaniem, powinniście mi pomóc.

— Z zaufaniem? — zapytał Gawryś lekko krzywiąc usta. — Nie jestem o tym przekonany.

— Dlaczego? Nie dałem wam żadnych powodów... Mówcie jasno — starał się, aby słowa jego brzmiały zupełnie szczerze.

Gawryś spojrzał mu w oczy tak wymownie, że dyrektor zmieszał się i byłby przerwał rozmowę, gdyby nie głupia chęć dowiedzenia się prawdy za wszelką cenę.

— Nie rozumiem was — powiedział bawiąc się przyciskiem do papierosów. — Chyba w interesie biura leży ścisła współpraca między dyrekcją i partią.

— Oczywiście.

— Co macie przeciwko mnie? — Spostrzegł, iż całkiem niepotrzebnie sam stawia się w stan oskarżenia. Niewyspanie odbierało mu zręczność i pozbawiało pewności siebie. — Czy nie pracuję z całych sił, czy nie dokładam wszelkich starań? — mówił to z wewnętrznym przekonaniem. — Jeśli nie liczyłem się z Gorzkowskim, wina była po jego stronie, bo nie umiał mnie przekonać, jak cenna jest pomoc organizacji partyjnej. Wy dowiedliście mi tego czarno na białym. I to nie gołosłownie, lecz wzrostem produkcji w biurze. To przecież wasza, wyłącznie wasza zasługa...

— Nie mówmy o tym! — przerwał Gawryś. — Przyjdzie czas, że egzekutywa to osądzi.

Przycisk wypadł dyrektorowi z ręki. Nie schylił się, aby go podnieść.

— Słusznie — stwierdził. — Tymczasem chciałbym usłyszeć, kogo typujecie na przodownika pracy w związku ze świętem lipcowym.

— Ustalimy to kolektywnie.

— Jasne! Ciekaw jestem jednak waszej opinii.

— Sięgnijmy do cyfr. — Gawryś znowu otworzył notes. — Największy przerób ma Frankowski, dalej Brejwo, Rogóyska, kilku młodych z pracowni Orańskiego, sam Orański — odwrócił stronę pośliniony palcem. — Tyle o architektach. Konstruktorzy...

— Od nowa czytacie sprawozdanie — zniecierpliwił się dyrektor. — Prosiłem was o wybór, sugestie...

— Więcej mógłby wam powiedzieć Orański — rzekł sucho sekretarz chowając notes do kieszeni. — Zna lepiej działalność architektów, słuszniej może ocenić ich twórczość. Wezwijcie go tutaj.

Dyrektor przygryzł wargi. Nie na rękę mu było spotkanie z Orańskim, ale też nie umiał wymyślić na poczekaniu żadnego powodu do odmowy. Nade wszystko nie chciał się już dzisiaj narażać sekretarzowi. Sięgnął więc po słuchawkę i poprosił centralę o połączenie z pracownią siedemnastą.

Mikołaj wszedł pośpiesznie, zostawiając za sobą drzwi otwarte. Przeciąg zatrzasnął je z taką siłą, że posypał się tynk przy futrynie.

— W jakiej sprawie? — zapytał od progu.

— Rozmawiamy o przodownikach pracy. Gawryś nie chciał decydować bez was.

— Beze mnie? — zdziwił się Orański. — Jakby ktokolwiek w biurze liczył się z moim zdaniem. Zabieracie mi nawet pracowników bez porozumienia się ze mną.

— Jakto? — zdziwił się Bostel.

— Noskiewicza, najlepszego mieszkaniowca, przeniesiono dzisiaj do Erwina. Myślałem, że wezwaliście mnie po to właśnie.

— Dobrze, że się o tym dowiedziałem. Sam to załatwię — ofiarował się dyrektor i zwrócił się do Gawrysia. — Widzicie, że personalny nie zawsze wywiązuje się tak składnie ze swoich obowiązków. Ale do rzeczy. Chodzi o wytypowanie najlepszych. Co do Frankowskiego nie macie chyba zastrzeżeń?

— Frankowski przodownikiem pracy! — roześmiał się zjadliwie Orański. — Ależ to kiepski żart!

— Pracuje za trzech.

— Bo nie traci nawet minuty na szkolenie młodych ani na pracę społeczną.

— Fakt faktem, że pierwszy przychodzi do biura i wychodzi z niego ostatni.

— Czy nie płacicie mu za to?

— Nikt nie pracuje za darmo.

— Nikt nie zgarnia takich akordów za równą liczbę godzin.

— Widocznie lepiej organizuje sobie pracę.

— O, znakomicie! Projekty typowe przynoszą największe korzyści. Nie uzgadnia się niczego w terenie, nie marnuje czasu na spory z wykonawstwem...

— Odbiegacie od tematu — przerwał Bostel.

— Już wracam. Czy znacie stosunek Frankowskiego do współzawodnictwa albo do zobowiązań lipcowych? Kiedy porządkowaliśmy podwórze, wykręcił się od roboty mówiąc, że nie po to kończył politechnikę, żeby gruz uprzątać. Przyglądał się nam z tym swoim uśmieszkiem, a później wrócił do pracowni, aby „sobie dobrze organizować pracę".

— Trzeba mu było odpowiednio zwrócić uwagę.

— Na cóżby się to zdało, skoro i tak zyskuje wasze pochwały? Orański zwrócił się tylko do Gawrysia.

— Inaczej rozumiałem przodownictwo pracy. Dla mnie było ono nie tylko probierzem osiągnięć zawodowych, lecz sprawdzianem wyrobienia politycznego i aktywności społecznej. Po prostu — sprawą honoru.

— W zasadzie macie rację — śpiesznie odpowiedział sekretarz. — Ale tu zachodzi wypadek specjalny. Frankowski jest nam na razie niezbędny, musimy się z nim liczyć...

— Nie potrzeba się z nim cackać! — uniósł się Mikołaj. — Skończcie wreszcie z mitem niezastąpionych specjalistów, odbierzcie mu monopol! Rozdzielcie projekty typowe między wszystkie pracownie architektoniczne. Nie święci garnki lepią! Podejmuję się z moim zespołem wykonać jeden projekt typowy w miesiącu poza pracami bieżącymi.

— Jesteście w gorącej wodzie kąpani— odwlekał decyzję dyrektor.

— Zrozumcie, że bezkarność Frankowskiego ośmiela wszystkich naszych wrogów. Mylicie się, twierdząc, że nie występuje on przeciw nam. Codziennie, w każdej rozmowie, w każdym żarcie, zachęca do biernego oporu sącząc niewiarę w swoje otoczenie. Jest groźniejszy niż sabotażysta. Jest zaraźliwy!

— Przesadzacie! — Bostel zaczął tracić cierpliwość.

— Architektura Frankowskiego jest odbiciem jego obcości ideologicznej. Jest tandetą, pozbawioną plastycznej wartości, zwykłą robotą od metra pod gust taniej publiczki. Gorzej: jest nadużywaniem waszej dobrej wiary. Płacicie mu za kubaturę budynku, który w niewielkim stopniu różni się od poprzedniego. Gzyms trochę bardziej wysunięty, cokół w inny wzorek, w najlepszym razie dach płaski zamiast spadzistego...

— Za ostro go sądzicie — ujął się sekretarz. — Wszystkim podobają się jego projekty, nawet mnie, choć przyznaję, że się na nich nie znam.

— Wszystkim? Nie mamy więc o czym mówić. — Orański chciał wyjść z gabinetu.

— Niepotrzebnie się unosicie — uspokajał go dyrektor. — To nie są sprawy zasadnicze.

— Jakość architektury i stosunek do pracy wydają się wam sprawą błahą? — zaperzył się Mikołaj. — To co jest ważne? Cyferki, sprawozdania, papierzyska? — Uderzył tak silnie w leżący na biurku plik aktów, że mimo woli strącił je na podłogę. Papiery wyfrunęły z różnokolorowych teczek. Bostel zerwał się z krzesła i prawie krzyknął:

— Zachowujcie się przynajmniej przyzwoicie!

— A wy jak postępujecie ze mną? — głos Orańskiego łamał się z oburzenia. — Nowa Rudnia dawana i odbierana, później obiecywana

znowu wzamian za poparcie i pomoc! Szykany z Ostrzynem i Kamionką! To przyzwoicie?

— Liczcie się ze słowami!

— Liczcie się z ludźmi!

Orański wypadł z gabinetu jak oparzony. Bostel schylił się nad aktami. Gawryś w milczeniu pomagał mu je zbierać.

— Histeryk! — odezwał się wreszcie dyrektor. Przeczesał potargane włosy i wyciągnął papierośnicę, ani myśląc o częstowaniu sekretarza. Godzina uprzejmości minęła bezpowrotnie.

Przez resztę dnia męczył się Bostel czytając korespondencję i przeglądając sprawozdania. Z ulgą powitał koniec pracy. Oznajmił pani Wandzie, że jej dziś odwieźć do domu nie może, ma bowiem jeszcze pilne sprawy do załatwienia na mieście. Nie chciał, aby mu towarzyszyła do kwiaciarni.

Lubił zapach roślin i wilgotnej ziemi, spotęgowany tutaj jak w cieplarni. Ledwie rzucił okiem na lewkonie, nasturcje i nagietki: od razu zwabiły go róże, świeżo przyniesione z chłodni. Na twardych pąkach, na sztywnych liściach krople wody połyskiwały jak rtęć. Sprzedająca i kasjerka prześcigały się w uprzejmości, zwłaszcza że wóz dyrektora zatrzymał się przed witryną.

Kładąc pieniądze na szklanej płycie Bostel miał wrażenie, że spłaca ostatnie zobowiązanie wobec Kasi. Dyskretnie i elegancko.

W domu odetchnął swobodniej. Na razie nic mu nie groziło. Życie szło normalnym trybem. Feliks wrócił ze spaceru, w jadalni gosposia nakrywała do stołu. Zanim Bostel umył ręce, podano obiad.

Rozkładając serwetkę na kolanach spostrzegł przed sobą w krysztale dwie czerwone róże, takie same, jakie był posłał Kasi. Tak go to rozbawiło, że pochwalił wybór żony.

Zupa pomidorowa smakowała mu ogromnie. Pieczeń cielęca i kompot bardzo delikatny całkiem już poprawiły jego samopoczucie. Wstając od stołu pocałował żonę. Udał się na poobiednią drzemkę prosząc, aby nie zapomniano podać mu o piątej kawy.

Jeszcze jeden papieros, dotknięcie lekkiego pledu i Bostel zasnął przekonany, że stanowi we własnym domu ośrodek planetarnego systemu, którego równowagi nie może zakłócić nic, oprócz kosmicznej katastrofy. Spał głęboko, bez snów; zawsze po obiedzie sypiało mu się znakomicie.

Po wczesnej kolacji, kiedy Felka już położono do łóżka, a Róża siadła przy oknie, Bostelowi zachciało się muzyki. Otworzył szafkę z płytami, nabytą jeszcze we Wrocławiu, nie mogąc się zdecydować na wybór.

Miał ich wiele, skatalogowanych w grubym zeszycie, poustawianych w przegródkach z numerami. Wyjął wreszcie symfonię VIII Beethovena, pogodną, odprężającą nerwy. Zmienił igłę, włączył adapter i wyciągnąwszy nogi przed siebie — odpoczywał.

Feliks zapłakał przez sen. Róża poderwała się, aby do niego zajrzeć, ale Bostel unieruchomił ją jednym słowem:

— Zostań! Zbytnio go rozpieszczasz.

— On jeszcze malutki — westchnęła Róża posłusznie siadając na krześle.

— Od jesieni poślę go do przedszkola.

— Zrobisz, jak zechcesz. Jest wątły, przyniesie stamtąd wszystkie choroby.

— Jest wątły, bo go przekarmiasz i ubierasz za ciepło.

— On wcale nie ma apetytu.

— Dajesz mu za wiele słodyczy. Przez cały dzień coś ssie.

— Mój Boże! — rozżaliła się. — Zwalasz wszystko na mnie, a dziecka na letnisko nie wysłałeś.

— Pojedziemy razem w sierpniu.

— Co to jest jeden miesiąc! Ledwie się przyzwyczai do klimatu.

— Przestań! — skinął niecierpliwie, bo właśnie kończył się jego ulubiony menuet. — Widzisz, że słucham muzyki.

Opuściła ręce na kolana wypatrując przechodniów na ciemniejącej ulicy. Lubiła oprzeć się na parapacie z poduszką pod łokciami, ale mąż na to nie pozwalał. Sprawiało mu przyjemność zakazywanie jej różnych rzeczy, chociaż opór z jej strony mógłby go może na dłużej przywiązać. Uległość jej budziła w nim teraz obrzydzenie, jak wszystko, co mu się niegdyś tak podobało, iż ożenił się z Różą, mimo że pochodziła z bardzo biednej rodziny i nie miała żadnego wykształcenia. Chciał ją rzeźbić jak Pygmalion, ale im dłużej kształtował ją wedle własnych chęci, tym mniej znajdował w niej powabów. Cóż z tego, że nauczył ją składnie prowadzić dom i wyszukał jej dobrego krawca, skoro przy gościach popełniała niewybaczalne gaffy i nigdy nie nabrała prawdziwego szyku. Elegancja to nie tylko świetnie skrojone suknie i drogie do nich dodatki — to przede wszystkim umiejętność najlepszego znalezienia się w danej sytuacji. Róża nie ubierała się, lecz stroiła. Zawsze czegoś było na niej za wiele: niepotrzebna maskotka, kwiatek, psuły kreację krawcowej. Bostel nie mógł tego żonie darować.

Urodzona w dalekim prowincjonalnym miasteczku nie miała w Warszawie przyjaciół. Bała się ludzi, z nikim nie rozmawiała bez koniecznej

potrzeby, nie podnosiła słuchawki telefonu, unikała spotkań na mieście nawet z dobrymi znajomymi.

Bostel nie taił, że bywa u Kasi Wojnowskiej. Ani się z tego tłumaczył, ani żona go o to pytała. Nie umiałby powiedzieć, czy go kocha. Nie wiedział o niej prawie nic.

Spojrzał na róże, które zauważył przy obiedzie. Jedna rozwinęła się nadmiernie, druga więdła, zwieszając nierozkwitły pąk. Nie były już ładne.

Bostel zasmucił się przelotnie tą nietrwałością piękna. Dopadł go znowu lęk, że Gawryś knuje coś przeciwko niemu, że tym samym złudny jest spokój tego wieczora. Raz jeszcze pomyślał o Kasi, jak o czymś bardzo odległym, przykrym i pomyślnie zakończonym. Obiecał sobie, że jutro wcześnie wstanie, aby zabrać się do pracy zleconej. — Ile ten dom kosztuje! — pomyślał. — I Róża nie zarabia ani grosza!

Siedziała wciąż przy oknie, choć przez firankę niewiele mogła widzieć z tego, co działo się na ulicy. Lekki wiatr poruszał kosmyk czarnych włosów na jej skroni, czego nie czuła nawet, zamurowana żywcem w sobie samej.

Symfonia dobiegała końca.

GOŹDZIKI

Ola nie spodziewała się, że tak ciężki okaże się dla niej powrót do pracowni Frankowskiego. Stary architekt przywitał ją cierpko.

— Nie wiem, jak pani — rzekł — ja tam nie jestem zachwycony tym zarządzeniem dyrekcji. Rad nie rad, będę panią poganiał, bo roboty jest co niemiara. Proszę zrezygnować z góry ze wszystkich zajęć popołudniowych.

Ani myślała go usłuchać na miesiąc przed skończeniem liceum. Starała się w ciągu ośmiu godzin wykreślić więcej niż inni podczas dziesięciu. Musiała przy tym uważać, żeby rysunki były bez zarzutu, bo Frankowski nie przepuścił najdrobniejszej usterki. Przychodziła więc do biura jak mogła najwcześniej i zasiadała do pracy nie patrząc, co się koło niej dzieje. Wyrzekła się obiadów i wszelkiego odpoczynku. Bywało nieraz, że przez cały dzień nie rozprostowała pleców i dopiero w nocy, przed zaśnięciem chwytał ją ból przyczajony w mięśniach.

Przy takim tempie pracy nie starczało jej energii na rozmowy z kolegami, na robotę polityczną, dla której przeniesiono ją do tej pracow-

ni. Cieszyła się skrycie, że Gawryś jakby o tym zapomniał i nie daje żadnych poleceń. Raz i drugi zaszedł do Frankowskiego, zobaczył, co się u niego święci i wyszedł, nie wspominając więcej o współzawodnictwie cyklowym.

Tymczasem stary architekt nabrał do Górzyńskiej przekonania. Widząc jak starannie i szybko pracuje, wziął ją do pomocy we własnych projektach. Było to wyróżnienie, wszakże dosyć dla niej uciążliwe. Należało dokładać jeszcze większych starań, aby go zadowolić.

Stał się dla niej bardziej uprzejmy, nie pozwalał sobie na uszczypliwe uwagi. Zgodził się nawet dać jej tygodniowy urlop w okresie końcowych egzaminów.

Ola bardzo już potrzebowała odpoczynku. Wytężona praca zawodowa przy gorączkowym uczeniu się nocami tak ją wyczerpała, że odsunęła w cień nawet wspomnienia o Marku.

Od wyprawy kazimierzowskiej Ola widziała go raz jeden. Przyznała, że go kocha, że z mężem współżyć nie zdoła, lecz że wszystko sprzeciwia się tej miłości: dzieci, praca, plany osobiste.

— Nie bierz tak poważnie życia! — Marek próbował w żart obrócić jej skrupuły. — To katolicy mają monopol na wyrzuty sumienia. Ty przecież jesteś marksistką...

Rozstali się niemal wrogo: on dotknięty w ambicjach młodego mężczyzny, z którym żadna kobieta nie zerwała dotąd; ona gniewając się na jego niestatek.

Do domu wracała teraz później jeszcze, ucząc się razem ze Stefą Dworską w jej mieszkaniu nieraz do popółnocnych godzin. Aby nikogo nie budzić sypiała w kuchence na składanym łóżku. Nawet niedziele spędzała nad książką.

Czy Józef domyślał się istotnych pobudek jej postępowania? Tego nie wiedziała. Dość jej było, że nie nalegał na żadną zmianę, częściej tylko wychodził gdzieś wieczorami. Z kolei ona powstrzymywała się od pytań.

Jak pływak wie, że nie ma dlań ratunku, jeśli osłabnie przed brzegiem, tak i Ola zbierała ostatek sił, byle dobić do celu. Czytała, kreśliła, uczyła się wzorów nie folgując sobie ani na jedno westchnienie. Sypiała po kilka godzin, oblewała się lodowatą wodą dla otrzeźwienia i czym prędzej wchodziła w codzienny kierat.

Rzadkie chwile wytchnienia dawały jej rozmowy z Orańskim, gdy go spotkała czasem na zebraniach czy na przystanku tramwajowym. Mówili przyciszonym głosem o powszednich troskach, powściągliwie wspominali o swych domach. Unikali przy tym słów, które by jaskrawo

malowały stan ich ducha, bojąc się nawzajem urazić nie tylko pytaniem, lecz i zwierzeniem. Czuli się dobrze razem nawet nie rozmawiając.

Kiedy mu powiedziała, że obawia się egzaminu z rysunku, nieśmiało zaproponował, że ją do niego przygotuje. W sobotę, dzień wolny w liceum budowlanym, chodzili odtąd na Starówkę, każde ze szkicownikiem. Rysowali oboje, dzieląc się uwagami, doświadczeniem. Nie wstydziła się wobec niego swych gryzmołów; zawsze w nich dopatrzył się choć kilku dobrych kresek. Przede wszystkim szanował jej pasję rysowania, jej na wpół dziecinny upór. Przyglądał się jej z upodobaniem, gdy gryząc wargę mocowała się z prawami perspektywy.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym z rąk dyrektora otrzymała upragniony dyplom. Ze wzruszeniem zeszła po raz ostatni ze stromych, wydeptanych schodów na ulicę wymoszczoną słońcem. Stanęła, nie wiedząc, gdzie iść, z kim podzielić się swoją radością. Do wszystkich niemal kolegów podeszli jacyś znajomi. Nawet po Stefę Dworską przyszedł narzeczony.

Wybrała się tedy do Biura Projektów, choć urlop jej kończył się dopiero nazajutrz.

— Tam są moi przyjaciele — pomyślała. Nie dotyczyło to specjalnie Orańskiego ani Gawrysia, ani kolegów z ZMP. Tak jakoś biuro wydało się jej bliższe niż rodzinny dom.

Następnego dnia, kiedy w pracowni jeszcze nie było nikogo oprócz Oli, Mikołaj wręczył jej dwa puchate, różowe goździki.

— Za dobre sprawowanie — powiedział jak do dziewczynki, która przyniosła ze szkoły chlubne świadectwo.

— Pierwszy raz otrzymuję tak piękne kwiaty — uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Wzięła je ostrożnie do ręki bojąc się złamać kruche łodygi nadmiernie obciążone koroną różowych płatków. Wilgotne gałązki asparagusa podkreślały jeszcze ich świeżość.

— Nieraz wystawałam przed kwiaciarnią myśląc, kto i dla kogo je kupuje. — Zmieszała się tym zwierzeniem.

Orański nie wiedział, co odpowiedzieć, aby nie umniejszyć niczym jej radości.

— Pójdę już — rzekł wreszcie. — Lada chwila pojawią się pani koledzy...

Skoro wyszedł, Ola rozejrzała się, w co by tu wstawić goździki. Zdecydowała się wreszcie na butlę po atramencie i wybiegła, aby ją napełnić wodą. Jakże się zdziwiła, gdy po powrocie zobaczyła Frankow-

skiego, schylonego nad kwiatami, które w roztargnieniu zostawiła na jego rajzbrecie.

Już chciała się usprawiedliwiać, wiedząc dobrze, iż stary architekt nie znosi bukietów, lecz zastanowił ją wyraz jego twarzy. Frankowski był wzruszony do łez.

— Dziękuję pani — rzekł ze ściśniętym gardłem. — Nie tylko za pamięć o tej bolesnej rocznicy... Za intuicję niezwykłą.

Nim zdążyła cokolwiek mu wyjaśnić, sam ciągnął dalej:

— Na parę dni przed aresztowaniem obchodziliśmy jej imieniny. Dostała wtedy cały pęk takich właśnie — wskazał ręką goździki, nie mogąc wymówić ich nazwy. — Bo ona je najbardziej lubiła...

Przełknął głośno ślinę, zacisnął powieki, a kiedy je otworzył ponownie, wzrok jego stracił zwykłą srogość.

— Nie wiedziałem, że jest w konspiracji. Nigdy bym jej na to nie pozwolił. Jedynaczki strzeże się jak źrenicy oka...

Wodził palcem po zgrubieniach zielonej łodygi, podobnych do artretycznych stawów.

— Gestapo męczyło ją bardziej niż innych. Ale nie sypnęła nikogo.

To była, zdaje się, cała jego pociecha. Jedyny powód do dumy, która z czasem łagodzi cierpienie. Kiedy o tym wspomniał, twarz mu odtajała, zmiękły fałdy koło ust, wygładziło się czoło.

— Co dziwniejsze — mówił — przeżyłem jej śmierć, choć wydawało się, że wprost fizycznie tego nie przeniosę. Byłem ogłuszony, rozbity... Nieprawda, że się człowiek przyzwyczaja... Wracam do domu — pustka. Żona milczy, albo mnie dręczy wymówkami. O głupstwa, wiem. Z tej beznadziejności, z nudy, ciągle robi coś na przekór. Sobie, mnie, ludziom. Nieraz chciałbym, żeby umarła.

Ola próbowała przerwać.

— Tak się to mówi — uspokoił ją Frankowski. — Nikogo oprócz niej nie mam na świecie. Trochę dalekich krewnych, bida z nędzą, lepiej się do nich nie przyznawać. Kto się mną zajmie na starość? Chyba, że się tych parę groszy odłoży na przynętę. Niewiele tego zresztą.

Myśl o pieniądzach przemogła jego wzruszenie.

— Raz jeszcze dzięki — uśmiechnął się do Oli. — Niech pani odstawi te kwiaty na okno. Po co się ludziom tłumaczyć.

Myślała długo o tym zdarzeniu. Frankowski stał się jej nagle bliższy, godny współczucia. Po prostu stary, sterany człowiek, któremu należy się pobłażanie. Powiedziała o tym Gawrysiowi.

Spojrzał na nią dociekliwie, zapalił papierosa. Zapytał jakby od niechcenia:

— Jak wam tam idzie agitacja? Dogadaliście się z kolegami?

— Nie jeszcze. — Ola poczuła się nie w porządku i próbowała się tłumaczyć. — Byłam tak zajęta w liceum...

— Nadszedł czas działania — rzekł sekretarz z naciskiem. — Pierwsze zadanie: zmontować zespół w pracowni dla podjęcia cyklowego współzawodnictwa.

— Jeśli Frankowski się nie zgodzi? — zaniepokoiła się Górzyńska.

— Nie zgodzi się? — spytał Gawryś z udanym zdziwieniem. — Dlaczego? Taki porządny człowiek...

Ola przygryzła wargi.

— Dobrze! — powiedziała twardo. — Za tydzień zespół będzie gotów.

Gawryś położył dłoń na jej ramieniu.

— Walka klasowa trwa. Pamiętajcie o tym.

W drzwiach zderzyła się z Orańskim, który wpadł z numerem Biuletynu w ręce.

— Towarzyszu! — zawołał od progu. — Przeczytajcie tylko, co oni tu wypisują!

Wskazał wymowny tytuł długiego reportażu:

„Brak dokumentacji technicznej hamuje budowę Ostrzyna".

— Posłałem im przecież na czas wszystkie projekty — gorąco tłumaczył Mikołaj. — Nie tylko te, które przeznaczono ostatecznie do realizacji, lecz i tamte, których nie można budować w bieżącym sezonie, gdyż nie udało się dotąd wyburzyć ruder stojących na tym miejscu. Dostarczyłem im wszystko w komplecie, mam na to formalne pokwitowania. Sam sprawdzałem, bo nie dowierzam kancelarii. Tymczasem tutaj piszą wyraźnie:

„Wobec niedostarczenia w terminie dokumentacji technicznej dyrekcja nie mogła należycie przygotować placu budowy, ani zwerbować odpowiedniej liczby robotników..."

— Nie moja wina — oburzył się Orański — jeśli w ostatniej chwili kazano mi robić nowy projekt węzła komunikacyjnego i w związku z tym nie zatwierdzono mi kilku budynków. Nie na mnie spada za to odpowiedzialność. W dodatku chodziło tu zaledwie o cztery bloki, więc w stosunku do tego, co się w Ostrzynie buduje, to bardzo niewiele...

— Co wam jeszcze zarzucają? — Gawryś zaczął przeglądać nowy numer Biuletynu.

Orański wskazał palcem.

„Często zdarzają się przestoje, spowodowane licznymi wadami i pomyłkami w dokumentacji technicznej".

— Istotnie — wyjaśnił — zdarzyły się usterki w jednym jedynym wypadku. Ale trzydzieści innych projektów może służyć za wzór dokładności. W żadnym razie nie mogło być z ich powodu przestojów. Wystarczyło porozumieć się z pracownią. Ostrzyn niedaleko od Warszawy.

— Skąd reporter zebrał takie informacje? — zastanowił się Gawryś.

— Na pewno od Siemińskiego, z kierownictwa budowy. Walczę z nim od samego początku, bo to kiepski organizator i niesumienny człowiek. Nałgał, żeby swoją skórę ocalić. Z wykonaniem planu bardzo u nich krucho.

Gawryś wstał z krzesła.

— Chodźmy do Bostela! — zdecydował. — Niech zażąda sprostowania.

— Myślicie, że zechce się w to mieszać?

— Bez wątpienia! Taki artykuł obciąża całe biuro!

— Dobrze — zgodził się zgnębiony Mikołaj. — Niechby najostrzej wytykali błędy popełnione... Ale żeby na niewinnego tak napaść, żeby go tak ukrzywdzić...

— Nie przesadzajcie — próbował załagodzić sekretarz. — Rzecz nie ma większego znaczenia. Przecież to tylko wewnętrzny Biuletyn...

— Wszyscy koledzy to czytają! — wybuchnął Mikołaj. — Dopiero zacznie się gadanie! Jak bym w ostatnich czasach mało miał przykrości.

— Weźcie się w garść, towarzyszu!

Mikołaj z urazą spojrzał na sekretarza.

— Rudnię mi odebrali, Ostrzyna nie dają dokończyć. Brzydnie mi już wszystko, doprawdy.

Zaraz się jednak zmitygował i dodał spokojniejszym tonem:

— Muszę już na urlop wyjechać. Nerwy odmawiają posłuszeństwa...

Bostel przyjął Orańskiego bez trudności. Był w dobrym humorze, wyciągnął obie ręce na powitanie, częstował wybornymi papierosami, które mu ktoś przywiózł z Moskwy. Ledwie jednak rzucił okiem na artykuł o Ostrzynie, twarz mu się zmieniła, warga zaczęła latać nad ostrymi kłami, palce zabębniły po biurku.

— Zostawcie mnie tę sprawę — rzekł. — Już ja się nią zajmę.

I sięgnął po słuchawkę telefonu.

SPOTKANIE W POLITECHNICE

Ostatniego dnia przed zamknięciem wystawy Orański zaszedł na Politechnikę, aby raz jeszcze przyjrzeć się projektom, których publiczne

omówienie było dlań zupełną niespodzianką. Nie oczekiwał ani tak ostrej krytyki Ostrzyna, ani takich pochwał dla pierwszych szkiców Nowej Rudni. Dziwnym trafem prace te znalazły się obok siebie, chociaż różniły się nie tylko tematem i ujęciem, lecz i wykonaniem plansz.

W perspektywach z Nowej Rudni uderzał niesłychany rozmach. Pod kłębami czarnych chmur dźwigały się olbrzymie ściany, otwierały szerokie schody, wyczarowane jednym pociągnięciem pędzla. Po lśniącym asfalcie sunęły wspaniałe limuzyny.

Detal architektoniczny był co się zowie ozdobny. Z wykuszem wawelskim sąsiadowały kolumnady godne pałaców dożów. Strzelały w niebo pseudogotyckie wieże, jakich wiele w niemieckich wzorcach z końca ubiegłego wieku. Były w tej Rudni i wymyślne arabeski i wazy perskie z Ispahanu i kolumny z głowicą w kształcie lotosu.

Ostrzyn wydawał się przy tym ubogi. Perspektywom osiedla wykreślonym według teoretycznych zasad brakowało swobody, z jaką szkicował Erwin, nie krępując się matematycznymi wyliczeniami. Odbite na światłoczułym papierze plany mieszkań również nie wyglądały okazale, mimo że Orański doszedł do nich w drodze kilkuletnich przemyśleń i uznano je powszechnie za wielkie osiągnięcie w tej dziedzinie. Erwin w ogóle nie pokazał swoich mieszkań.

Mikołaj długo stał przed swym projektem, chociaż znał go na pamięć i wystarczyło mu zamknąć oczy, aby go dokładnie zobaczyć. Sam go przecież wykonał, sam dobierał barwy, wielokrotnie rozjaśniając lub przyciemniając tony. Ileż starań włożył w to, aby osiedle jego ożyło przed oczyma widzów, aby wyglądało tak, jak je sobie wymarzył. Cztery lata pracy i doświadczeń, zwycięstw i niepowodzeń zamykało się w tej planszy, której brzeg oklejony płótnem uszkodzono przy przewozie, a później przytwierdzono niedbale pluskiewką. Uszkodzenie nie miało, oczywiście, żadnego znaczenia, ale Mikołaj nie mógł oderwać oczu od skazy. Jak u kochanego dziecka byle guz powoduje wylew rodzicielskiej czułości, tak i na tym rozdarciu skupiła się cała Mikołajowa żałość.

— Dzień dobry — usłyszał nagle głos miły i znajomy — przypomnicie sobie moją osobę?

Obok niego stała Irena i wyciągała dłoń na powitanie.

— Czego tu szukacie? — zdziwił się i trochę zmieszał.

— Nowej Rudni.

— Ach — westchnął — to na tamtym stojaku. Tylko że ja nic z nią nie mam wspólnego.

— Domyślałam się tego, czytając wzmianki w gazetach. Dlaczego tak się stało?

Mikołaj rozłożył ręce.

— Sam nie wiem. I to jest właśnie najgorsze. Odebrano mi projekt w chwili, gdy zdawało mi się, że pojąłem właściwie zagadnienie. A to nie było proste, przynajmniej dla mnie. I chodziło nie tylko o Nową Rudnię, ale o podejście do nowej architektury. Sądziłem, że jestem na tropie realizmu socjalistycznego — zażartował. — Widocznie trop okazał się fałszywy.

— Nad czym teraz pracujecie?

— Właśnie nad Ostrzynem — wskazał ręką plansze. — Niesłusznie umieszczono je obok Nowej Rudni. Zacząłem je przed kilkoma laty, kiedy pojęcie osiedla wcale się nie skrystalizowało i toczyły się jeszcze dyskusje między zwolennikami „normalnej", wzdłużulicznej zabudowy, a poplecznikami anglosaskich „miast ogrodów". Jedni chcieli zużytkować nasze kredyty na zapełnienie wszelkich luk w istniejącej zabudowie, drudzy marzyli o jednorodzinnych domkach tonących w zieleni.

— Obie alternatywy nie wytrzymały krytyki — uśmiechnęła się Irena. — Znam te dyskusje, sama w nich uczestniczyłam.

— W takich warunkach Ostrzyn był próbą kompromisu, ale narażał się obydwu obozom. Zdecydowałem się na użycie w nim budynków trzy i czterokondygnacjowych dość luźno rozstawionych w terenie. Problemy wielopiętrowego budownictwa przyszły do nas dopiero później ze Związku Radzieckiego.

— Zaczynaliście po omacku.

— Właśnie. Programowanie wszelkiego rodzaju było jeszcze w powijakach. Nikt z kompetentnych nie umiał nam na przykład wyjaśnić, ile sklepów potrzeba w osiedlu i jaką na nie przeznaczyć powierzchnię. Dzisiaj wydaje się to śmieszne, lecz wtedy mówiono mi, że w ogóle nie warto się nad tym zastanawiać i że w miarę potrzeb przerobi się na sklepy parterowe mieszkania.

— Przecież to zbędny wydatek!

— I, co ważniejsza, sklepy takie nigdy nie mogą w pełni sprostać wymaganiom. Teraz opieramy się już na standardach i ścisłych wyliczeniach. Przed czterema laty próbowaliśmy określać wszystko „na wyczucie".

— Poglądy na sztukę również uległy zmianom.

Mikołaj gorzko się uśmiechnął.

— Architektura musiała być oszczędna wobec trudności materiałowych; trochę pociągał nas konstruktywizm, z którym po formalnym zerwaniu niejeden z nas jeszcze flirtował. Wszystko to są sprawy dawne — dodał. — Toteż niesprawiedliwe jest, że Ostrzyn dopiero

teraz przywędrował na wystawę, kiedy nasza architektura i urbanistyka są na innym etapie.

— Co się stało z waszym projektem Nowej Rudni?

— Leży gdzieś na dnie szuflady.

— Chciałabym go zobaczyć — poprosiła Irena. — Nie mogę się przekonać do koncepcji Erwina. Gdybym nie znała Rudni pewno by mi się spodobał przepych tych rysunków. Kiedy jednak zaczęłam wyobrażać sobie jego miasto nad tamtą rzeką, na tamtym wzgórzu, wydało mi się całkiem obce, niczym nie związane z krajobrazem, ani z miejscowymi budynkami. Pamiętacie te ganeczki na pękatych kolumienkach, te barokowe szczyty, śmieszne pierożki na sklepieniach? Bardzo przy nich rażą pilastry na pięć pięter i greckie kolumnady.

— To są pierwsze jaskółki — lojalnie bronił Orański. — Nawet projekt urbanistyczny nie jest ostatecznie zatwierdzony.

— Pokażcie mi wasze rysunki, to chyba nie tajemnica?

— Nie. Tylko że nie chciałbym pokazywać się w biurze. Od dwóch dni jestem na urlopie.

— Już piąta — Irena spojrzała na zegarek. — O tej porze pewno już wszyscy poszli do domów.

— Nie warto zaprzątać sobie głowy... Zrezygnowałem z projektowania. Staram się o posadę w wykonawstwie.

— Naprawdę? To szaleństwo!

— Raczej kapitulacja.

— Przed czym?

— Przed opinią.

— Kolegów?

— Kolegów, dyrekcji, organizatorów wystawy.

— Przyznajecie im rację?

— Właśnie, że nie.

— Wierzycie w słuszność swoich sądów?

— Teraz już zaczynam wątpić.

— Dlaczego?

— Włożyłem w Ostrzyn tyle pasji, jak mało kto z moich kolegów. Uczyniono wiele, aby podważyć jego pierwotną koncepcję, wykonawstwo także niejedno zepsuło. Doczekałem się w końcu, że projekt uznano za nieprzemyślany i słaby. Nie dostrzegli w nim żadnych osiągnięć, nie ocenili obiektywnych trudności, o których wam wspominałem. Nie przyznali, że Ostrzyn — to ich najbardziej postępowe stanowisko sprzed kilku laty. Ale jeszcze nie koniec na tym.

Wyciągnął papierosy. Ręce mu drżały, gdy pocierał zapałkę o pudełko.

— Mój projekt Nowej Rudni jest o wiele dojrzalszy i lepszy od Ostrzyna, tak mnie się przynajmniej wydaje, bo nikt go przecież nie oglądał. Nie wiecie, jak się traci ufność w swoje siły, kiedy braknie probierza... Jak się czuje nicość dobrych chęci, gdy się nie jest pewnym, czy kiedykolwiek zamknie się je w kształcie z cegły i betonu. Sukcesy, poklask stwarzają namiastkę tego sprawdzianu, który w pełni daje tylko oglądanie wybudowanego już osiedla.

— Zwodna to namiastka.

— Skąd mam wiedzieć, jaka architektura jest dobra? Czy ta Erwina, pochwalona przez jury? Czy tamta Frankowskiego masowo stosowana w całej Polsce? Czy ta, którą czuję i wyrażam w rysunkach? Braknie nam kryteriów oceny.

— W wykonawstwie pożałujecie możliwości projektowania.

— Zapewne. Przywykłem już do tego, że los się do mnie nie uśmiecha. Zresztą, powiedzcie sami, czy w tych warunkach mógłbym stworzyć jeszcze cokolwiek dobrego?

— Zapalicie się do nowego projektu.

— Sądzi pani, że mi dadzą jakieś duże zlecenie? Gdzie tam! Zrobiłem sobie śmiertelnych wrogów w dyrekcji, w kolegium. Nie warto mówić. Przyszła pani na wystawę, a ja ględzę o swoich biedach...

— Przyszłam w nadziei, że was tu zobaczę.

— Prościej było do biura.

— Trzeba by jakiś interes wymyślić, choćby dla otrzymania przepustki.

— Myślałem o was często, zwłaszcza gdy projekt mi odebrano. Znikła możliwość odnalezienia was w Alei Pokoju.

— Pokażcie mi ją przynajmniej na rysunku.

— Nie chcę tam wracać. Złożyłem podanie o zwolnienie.

— Szkoda — westchnęła Irena. — Zatem rozstaniemy się znowu. Do widzenia.

— Czekajcie! — Mikołaj zatrzymał jej rękę w swojej. — Dlaczego tak się śpieszycie? Pewno zajmowało was we mnie tylko to, co tworzę, spodziewaliście się, Bóg wie czego. Kiedy nic z tego nie wyszło, braknie wam czasu dla mnie.

— Pokażcie mi swój projekt — prosiła uparcie Irena.

— Dobrze! — zgodził się wreszcie Mikołaj. — Skoro wam na tym zależy.

Wyszli z chłodnego wnętrza Politechniki na wygrzany słońcem plac.

Ogarnęła ich wielkomiejska duchota, nie złagodzona powiewem wiatru. Nawet cień drzew przy autobusowym przystanku nie przynosił ulgi. Zakurzone liście zaczynały już usychać. Nie żółkły jak w jesieni, tylko ciemniały i zwijały się niby przepalony papier.

— Zmizernieliście bardzo — nieśmiało stwierdziła Irena. — Macie kłopoty domowe?

— Lepiej nie myśleć o nich, skoro i tak nic wskórać nie można.

— Spędzacie urlop w Warszawie?

— Nie, jutro wyjeżdżam w góry.

— Na wczasy?

— Na włóczęgę po Tatrach.

Nadbiegł sapiący autobus. Z trudem wcisnęli się do środka. Nim Orański wykupił bilety, tłum pasażerów odsunął go od Ireny. Nie widząc jej przez chwilę miał wrażenie, iż całe to spotkanie jest tworem zmęczonego mózgu. I kiedy napotkał znowu jej uśmiechnięte oczy, zdziwił się, jak chory, któremu w gorączce ukazuje się droga osoba.

Biuro przyjęło ich ciszą i chłodem. Sprzątaczki pośpiesznie kończyły codzienne porządki w opustoszałych pracowniach.

— Urlopy — wyjaśnił Mikołaj. — Wszyscy się rozjechali.

Szli wąskim korytarzem, wysłanym czerwonym chodnikiem, mijając drzwi z nazwami pracowni. Konstrukcyjna, elektryczna, architektoniczna trzecia, piąta, szósta. Przy każdej spis pracowników.

— Dużo kobiet — zauważyła Irena. — Dobrze sobie radzą?

— Rozmaicie. Są i bardzo zdolne, zwłaszcza wśród młodych.

Mikołaj szedł parę kroków za Ireną, trochę wzruszony nieoczekiwanym powrotem do biura, którego obiecał był sobie więcej nie odwiedzać. W siedemnastej pracowni zamek się zacinał i dopiero po chwili mocowania się z nim Orański pchnął drzwi do wnętrza. W czerwonawym świetle stały przykryte zgrzebnym płótnem rysownice. Szafy pozamykano na kłódki, rysunki porządnie ułożono na regałach. — To Chomik tak się stara — pomyślał z rozczuleniem o sekretarce, której przed wyjazdem powierzył troskę o ład w pracowni.

— Siadajcie — podsunął krzesło Irenie. — Zaraz wydobędę Nową Rudnię.

Otworzył niską i pękatą szafę, przyklęknął na podłodze, aby wyjąć z najniższej szuflady wielobarwne plansze. Zastanawiał się, czy pokazać Irenie szkice, zebrane w niebieskiej, wyblakłej teczce, wyciągnął je przecież i zaczął wykładać na rajzbretach.

Uwijał się przy urządzaniu tej wystawy jak dwudziestoletni chłopak, podniecony nieoczekiwanym spotkaniem. Sądu Ireny obawiał się wię-

cej niż najsurowszego kolegium, chociaż spodziewał się usłyszeć od niej słowa uznania i może nawet podziwu. Cokolwiek miałaby powiedzieć, Mikołaj przyjąłby to bez sprzeciwu, jako wyrok ostateczny. Nie wiedział przy tym, czy ona zna się na architekturze, miał o Irenie pojęcie mgliste, wysnute z tęsknoty i fantazji, ale jak autor odrzuconego dramatu gotów odwołać się do opinii przygodnego czytelnika w pociągu, tak i Mikołaj zwracał się do Ireny z głębi swoich rozczarowań.

— To jest pierwsza alternatywa projektu — wyjaśniał pochylając się nad rysunkiem. — Przemieszczenie starego z nowym, jakby stopniowe wrastanie w socjalizm, oczywiście błędnie pomyślane — uśmiechnął się zakłopotany. — A oto druga próba — podszedł do sąsiedniej rysownicy, na której leżał szkic wykonany podczas pamiętnej nocy. Daleko było do staranności pierwszego opracowania, ale wyższość tej koncepcji nie ulegała dyskusji.

— Nawiązanie twórcze do tradycji — mówił Mikołaj. — Wizja socjalistycznego miasta, które byłoby bliskie mieszkańcom, takie jakieś własne i niepowtarzalne...

Irena przyglądała się skupiona, czując na sobie ciężar Mikołajowego zaufania. Wydawała mu się bardziej obca niż w Nowej Rudni, silniej jednak niż wtedy pragnął z nią podtrzymać znajomość. Poddając swoją pracę jej ocenie równocześnie badał ją spojrzeniem, jakby z oczu i ust mógł odczytać, czy tak jest mądra i dobra, jak sobie wyobrażał.

— Tutaj mam jeszcze szkice perspektywiczne i kilka projektów elewacji, zrobionych od ręki — wyjął kartony z niebieskiej teczki. — Podobają się wam? Powiedzcie szczerze.

— Znakomite! — stwierdziła Irena z przejęciem. — Czy nikt wam tego nie mówił?

— Któżby? Projekt nie wyszedł nigdy z tej pracowni. Do pochwał współpracowników nie mogę przywiązywać wagi.

— Znakomite! — powtórzyła Irena nie odrywając oczu od projektu — I wiecie dlaczego? Bo wydaje mi się, że inaczej Nowej Rudni w ogóle zaprojektować nie podobna. Że inne domy wyglądałyby tutaj obco.

— O to mi właśnie chodziło! — ucieszył się Mikołaj i dodał żartem:

— Udało mi się zaprzyjaźnić z tamtejszym *genius loci* i z jego pomocą podpatrzeć intymne wdzięki tamecznej architektury.

Irena uśmiechnęła się nieznacznie. Zachodzące słońce ociepliło jej twarz, nadając oczom wyraz wielkiej łagodności.

— Zaczęło się od zestrojenia z krajobrazem — opowiadał Mikołaj wreszcie znalazłszy słuchaczkę. — Mgły nad rzeką, tumany kurzu na

drogach biegnących przez ledwie sfalowane pola, nad nimi niebo najczęściej poszarzałe, albo szarugą przesłonięte — aż tu nagle dni takie modre, zieleń jaskrawsza niż gdziekolwiek indziej, chaty błękitnieją przy szosie, a w miasteczkach tynki czerwone, szafirowe, żółte. Pomyślałem więc, że i Nowa Rudnia musi być bardzo kolorowa...

— Jak rynek w Zamościu.

— Jak rynek w Starej Rudni. Na fasadach spalonych kamienic widziałem też naiwne ornamenty, przypominające w jakiś odległy sposób wyszywania na koszulach albo wycinanki. Widocznie wpływy się krzyżowały: trochę ze wsi przynieśli rzemieślnicy do miast, trochę od obcych majstrów nauczyli się wioskowi ludzie. Różne style docierały z zagranicy, miejscowi przekształcali je po swojemu, w każdym z nich przemycili swoisty wątek. Jakże tu przychodzić z czymś zupełnie obcym, wymyślonym z dala od tych stron?

Irena poruszyła się na krześle. Mikołaj nie dopuścił jej do słowa.

— Wiem — mówił dalej — przychodzimy z całkiem odmienną treścią, wymagającą nowych form. Budownictwo przemysłowe, urządzenia społeczne... Inna zupełnie skala... Dręczyło mnie to zagadnienie podczas niejednej nocy. Budzi się człowiek, pozornie wyspany, i myśli w kółko o tym samym. Ani mowy o zaśnięciu, chyba już o świcie.

— Znam to — uśmiechnęła się Irena.

— O sile wyrazu nie decyduje ani wielkość budynku, ani bogate zdobnictwo. Rozstrzygają o tym proporcje, umiar, ustawienie w terenie, zgranie z otoczeniem, rzetelność kompozycji. Nie znoszę widoku paradnych ulic, jeśli ich zaplecze jest ubogie, jak przysłowiowy kopciuszek, jeśli kosztem ozdobności fasad powstają smutne i ciasne podwórza. W Nowej Rudni wnętrza między domami miały tworzyć przytulne dziedzińce, na których miło jest poczytać książkę, albo pobawić się z dziećmi. Oczywiście, główne arterie zostały potraktowane okazalej niż uliczki o mniejszym znaczeniu, nie stało się to jednak z niczyją krzywdą i służy jedynie do podkreślenia zasad kompozycji.

— Jakie miało być przeznaczenie tego ślicznego budynku z kamiennym cokołem i delikatną attyką?

— Projektowałem w nim zwykłe mieszkania.

— Oparte na tych standardach, na które ludzie tak narzekają?

— Te standardy są naszą wielką zdobyczą — odparł poważnie Mikołaj. — Wiecie, ile izb budujemy rocznie w naszym kraju? Około stu tysięcy. Gdybyśmy powiększyli każdy pokój tylko o jeden metr kwadratowy, a więc o niewiele znaczącą powierzchnię — musielibyśmy przy obecnych kredytach zmniejszyć liczbę mieszkań dwupokojowych o dwa

i pół tysiąca i pozbawić dachu nad głową prawie dziesięć tysięcy osób.

— Przyznajecie jednak, że te wasze mieszkania są troszeczkę za ciasne.

— Tak krawiec kraje, jak mu materii staje — zażartował Mikołaj. — Różne są wymagania. Rodziny robotnicze są z naszego budownictwa na ogół zadowolone: mniej mebli, mniej pretensji. Muszę wam zresztą powiedzieć, że w ramach naszych możliwości dajemy mieszkania wygodne, praktycznie rozplanowane, w których każdą piędź można należycie wykorzystać. Pod tym względem prześcignęliśmy o wiele długości zachodnich architektów.

— Doprawdy? — Irena niebardzo temu dowierzała.

— Zaraz wam tego dowiodę. — Mikołaj wyjął z szuflady numer „Architecture d'aujourd'hui". — Niedawno odbył się we Francji konkurs na najlepsze rozwiązanie tanich mieszkań robotniczych. Brał w nim udział nawet sławny Le Corbussier. I oto, jakie prace nagrodzono, spójrzcie na rysunki. Wnętrza „czaso-przestrzenne", bez wyraźnego oddzielenia dwóch pokoi, co oczywiście uniemożliwia odgrodzenie się od innych członków rodziny podczas pracy albo snu. Brak łazienki — jest tylko nisza z prysznicem w kuchni. Wejście do WC również z kuchni, co nie przydaje apetyczności przyrządzanym w niej posiłkom. Pokój dziecinny o szerokości 2.20 m! Za to w środku mieszkania martwa przestrzeń, zwana *debarras*, czyli po prostu graciarnia.

— Jak to możliwe?

Mikołaj uśmiechnął się z wyższością.

— U nas nad takim mieszkaniem w budynku typowym biedzą się najlepsi architekci od kilkudziesięciu lat. Jeszcze w starym, poczciwym WSM-ie się zaczęło... Ulepsza się w nieskończoność. Są już specjaliści — mieszkaniowcy. Zresztą u nas to kwestia państwowa; budownictwo masowe nakłada specjalne obowiązki. A tam — konkurs tego rodzaju daje tylko pole do popisu sztukmistrzom, którzy o masowym budowaniu w ogóle nie myślą.

— Napiszcie o tym konkursie do „Stolicy", albo do „Architektury".

— O ważniejszych sprawach się nie pisze. Czasem odnoszę wrażenie, że my już nie spostrzegamy wielu zmian na lepsze, wielu zjawisk, które od razu przyjmujemy, jak rzecz naturalną. Punkty biblioteczne na wsiach, ogniska plastyczne w prowincjonalnych miastach, dobrodziejstwo przeróżnych szkół, wszechobecność Wszechnicy Radiowej — ani nikt o tym nie mówi, ani tym się cieszy, oprócz zainteresowanych bezpośrednio. Z mieszkaniami jest podobnie: ledwie się człowiek zadomowił

w dwuizbówce, już marzy o trzeciej izbie, o szafach w murze, o większym balkonie.

— Rosnące postępy są dźwignią postępu.

— Nie o potrzebach myślałem, lecz o stosunku ludzi do wszystkiego, co ich otacza, o skłonności do narzekań, o niedocenianiu najistotniejszych osiągnięć...

— Jesteście zadowoleni z własnego życia? — spytała znienacka.

Mikołaj zmarszczył brwi.

— Mówiłem już wam, że mnie pech prześladuje.

— Resztki magicznego myślenia — zadrwiła Irena.

— Tak się jakoś składa, że z żadnym swoim planem nie dobijam do brzegu.

Powiedział to z goryczą wygładzając palcem brzeg projektu odklejony od tektury. Słońce zniżyło się już za boczne skrzydło biura i w pracowni zaczęło mrocznieć. Barwy na planszach przygasły, a twarz Ireny stała się bardziej znajoma.

— Trzeba walczyć o Nową Rudnię, inżynierze.

— Nie wracajcie do tego — obruszył się Mikołaj. — Przyszedłem tu po raz ostatni.

Pożałował swych słów, nim Irena zdążyła na nie odpowiedzieć. Ciężko mu było myśleć, że za chwilę przyjdzie złożyć rysunki na miejsce, zamknąć szafę na kłódkę, opuścić swoją pracownię. Żeby zapomnieć o tym zwrócił się do Ireny:

— Nie spytałem nawet, gdzie teraz pracujecie.

— W Warszawie. Dam wam swój telefon.

— Nic z tego — powiedział Mikołaj. — Ja z kolei przeniosę się na prowincję.

Miał nadzieję, że Irena przeciwstawi się jego planom, że znajdzie argumenty, zdolne podeprzeć jego wahania. Milczała jednak, zostawiając go samemu sobie. Na korytarzu krzątała się jeszcze któraś ze sprzątaczek, wreszcie odeszła nucąc. W zupełnej ciszy melodia nikła zwolna, jak ostatnie blaski zachodu na pogodnym niebie.

— Czas iść — powiedziała Irena, ale nie wstała z miejsca. — Może w górach zmienicie swoje postanowienie. Nie jesteśmy już tak młodzi, żeby trwonić siły na pracę, która nas nie zadowala. Musimy się śpieszyć.

Teraz Mikołaj nie odpowiedział gryzmoląc jakieś znaki na papierze.

— Musimy się śpieszyć — powtórzyła ciszej. — Nasze czasy odsuwając starość czynią ją tym smutniejszą...

Urwała. Dopiero po chwili, prawie szeptem, dokończyła:

— Boję się o tym myśleć...

Mikołaj znał te lęki. Widząc fizyczną sprawność młodych, łatwość, z jaką wbiegają na schody, albo pracują po nieprzespanej nocy, czuł urazę do własnego ciała, że tak się przedwcześnie zestarzało. Prawda, naszarpał się w młodości łącząc pracę ze studiami, przez całe życie skąpił sobie snu i odpoczynku. Ani się spostrzegł, kiedy zwiotczały mięśnie i zardzewiało serce. Przyszło zrezygnować z wyczynów taternickich i wszelkie ambicje zadowalać pracą. Gdy i ona nie dawała nic oprócz zawodów, cóż pozostało? Odbębnienie całodziennych zajęć bez żadnych zapędów twórczych. Rezygnacja z tego, co w człowieku uważał za najlepsze. Starość. Nie tylko fizyczna, mierzona wydolnością serca i wątroby. Starość całkowita bez żadnych już nadziei.

— Cóż za głupstwo zrobiłem! — powiedział sobie Mikołaj. — Wyrzekać się projektowania, kiedy się wreszcie doszło do jakichś sformułowań, kiedy architektura jest mi szczególnie droga.

Chwyciła go złość na siebie, że złożył prośbę o zwolnienie, i na Irenę, że tak milczy, zaprzątnięta widać własnymi sprawami. Zapalił lampę nad rajzbretem i zaczął składać rysunki. Kiedy je już zamykał w szafie przyszło mu na myśl, że Irena musi mieć własne strapienia, z których może chciała mu się zwierzyć, że szukała go nie po to, aby mu pomóc, lecz aby z jego pomocy skorzystać. Zwrócił się do niej zakłopotany pragnąc nadrobić ten swój brak zainteresowania.

Irena stała przy rajzbrecie opierając się na nim jedną ręką. Uśmiechała się jak aniołowie Leonarda. Włosy rozsypały się jej na skroni i karku rozświetlone od dołu blaskiem lampy. Poza nią, przez otwarte okno widać było park w błękitnym zmierzchu.

— Dziękuję wam — powiedział wreszcie Mikołaj. — W imieniu Nowej Rudni.

I tak jak kiedyś po maturze poczuł się zupełnie spokojny, a nawet uradowany. Uścisnął mocno jej rękę, spojrzał serdecznie w oczy.

Odpowiedziała mu uśmiechem, którego długo nie miał zapomnieć.

(Dokończenie w następnym numerze)

Danuta Bieńkowska

GRAŻYNA WOYSZNIS-TERLIKOWSKA

Zaminowane pola

... — ale żeby całkiem nowe miasto na kartofliskach wymyślić, to tego jeszcze nie widziałem!

Jechaliśmy w Warszawie z pracowni architektonicznej, projektującej Nowe Tychy, do Centralnego Zarządu Budownictwa Miejskiego Śląsk. Kierowca Bandura, dawny mój kolega z BOS-u i Trasy W—Z, rozgadał się na dobre.

— Jeździłem w zeszłym roku z naszymi architektami na te Tychy. Właśnie były wykopki. Ładnie tam jest na Śląsku...

Uśmiechnął się, jakby przed oczyma stanął mu tamtem pejzaż koło miasta stare Tychy: pola połogie, lekko sfalowane, horyzont podkrążony lasem, dalekie jezioro i niewyraźnie rysujące się we mgle błękitnawe pasmo Beskidu.

— Jak profesor stanął na kartoflisku, popatrzył na baby kopiące ziemniaki i powiedział: „teraz stoimy na osi trasy defilad", to wie pani, co mi się zaraz przypomniało? Jakeśmy w czterdziestym siódmym wleźli na takie czortowskie rumowisko koło Hipotecznej. Dokoła — nic, tylko gruz jak cholera i te wypalone domy... A kierownik BOS-u powiada: „teraz stoimy nad tunelem, na samej osi Trasy W—Z"...

Przyhamował, bo właśnie zapłonęło czerwone światło na roku Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej.

— Nic wtedy nie rozumiałem. No, teraz, osiem lat już człowiek z architektami jeździ, to się oblatał w planach i rysunkach. Nawet mam już swój własny sposób, żeby wiedzieć, jak wygląda taka budowa, której całkiem jeszcze nie ma!

Dodał gazu, przejazd był już wolny.

— To się tak robi. Trzeba najpierw dobrze popatrzeć na teren: tu rów, tu drzewko, tu piasek. Potem na rysunek. A potem wystarczy już tylko zamknąć oczy: aha, tam gdzie był rów — stoi magistrat, przez drzewko pędzluje facet limuzyną, bo tu właśnie wypada arteria, a tam na piaseczku patrzeć — szkoła stoi. Akurat dzieciaki wychodzą po dzwonku. I już wiadomo co i jak! Ja właśnie w taki sposób oglądałem z architektami te Nowe Tychy. Słowo daję, piękne miasto!

Pokręcił głową z uznaniem. Zatrzymując już wóz przed gmachem Centralnego Zarządu Budownictwa Miejskiego Śląsk, zapytał jeszcze:

— Oni tam zdaje się już sporo nabudowali, nie? W gazetach piszą...

Przypomniały mi się wycinki prasowe ze zbieranych skrzętnie materiałów o Nowych Tychach: — „Urosło miasto szybciej, niż rosną drzewa, zasadzone przy głównym wejściu"... „Domy w Nowych Tychach rosną jak grzyby po deszczu..." i tak dalej. Przed oczyma stały mi jeszcze wspaniałe plany i rysunki nowego miasta dla górników, które pół godziny temu oglądałem w pracowni. Tuż przy obrzeżu zadymionej, węglowej niecki, gdzie miasta i osiedla utkane są tak ciasno, że na mapie brakuje niemal miejsca na wydrukowanie ich nazw: Katowice, Gliwice, Bytom, Chorzów, Zabrze, Sosnowiec, rozciąga się już Śląsk inny, zielony i pogodny. I właśnie tam, w odległości kilkunastu zaledwie kilometrów od Katowic, na skraju największego kompleksu śląskich lasów, w pobliżu jeziora, obok miasteczka Tychy, wyrasta nowe, stutysięczne miasto. Miasto, o którym tyle już...

— No cóż... — powiedziałam — Ja, niestety, jeszcze tam nie byłam. Dopiero teraz pojadę, a jak wrócę, to panu wszystko opowiem.

Pożegnaliśmy się i weszłam do Centralnego Zarządu. Idąc po schodach, myślałam z żalem, po raz nie wiem już który, jaka to szkoda, że nie zaproponowano mi tego pisania o Nowych Tychach wcześniej, kiedy budowa zaczynała się dopiero. Teraz — cóż? Przyjadę do miasta już istniejącego. Nie zobaczę najciekawszego i najtrudniejszego okresu pierwszych początków olbrzymiej budowy. Ale na to nie ma już rady.

Naczelnego dyrektora, z którym chciałam się widzieć, nie było. Zastępował go inżynier Ligota. Jego więc prosiłam o wstępne informacje i wskazówki. Inżynier wysłuchał cierpliwie serii moich pytań, a potem nagle zagadnął.

— A nie wolałaby pani pisać o jakiejś innej budowie?

Spostrzegłszy zaś moje zdumienie, dodał:

— Też na Śląsku. Mamy tam bardzo wiele pięknych i interesujących obiektów. Na przykład...

— Ale dlaczego nie o Tychach?!

Wyjaśnił, że Nowe Tychy są budową bardzo trudną, że realizowane obecnie pierwsze Osiedle A ma tyle trosk i kłopotów, że doprawdy lepiej chwilowo o czym innym...

Okazało się zresztą, że schody, którymi weszłam na trzecie piętro Centralnego Zarządu Śląsk w Warszawie, wprowadziły mnie w jakiś zaczarowany krąg. Dużo było jeszcze innych schodów i innych instytucji, najpierw w Warszawie, potem w Katowicach, ale wszystkie były dalszym ciągiem tego kręgu. Wchodząc do coraz nowych pokojów, poznając coraz nowych ludzi, wiedziałam już, że jedno z pierwszych pytań będzie brzmiało:

— A nie lepiej o innej budowie? Tyle mamy wspaniałych obiektów... Bo Nowe Tychy mają tyle trudności...

Przerwałam krąg zaczarowany. Pojechałam do Nowych Tych.

*

Pierwszy raz zobaczyłam Nowe Tychy wczesną jesienią 1952 roku, w deszczu i szarej mgle. Na wielkim, gliniastym polu w pobliżu miasteczka Tychy, wyraźnie już ukształtowały się zarysy mieszkaniowego osiedla. Pachniało wapno, cegły, świeże drzewo. Szeroka, wyboista droga szła daleko, w głąb budowy. Droga poprzerzynana była rowami i wykopami, koło których wznosiły się hałdy wyznaczonej niedawno, żółtej, gliniastej ziemi. Po obu stronach stały wielkie, nowe bloki z czerwonej cegły. Jedne ukończone, z kwiatkami w oknach, niektóre wyciągnięte pod dach, inne dopiero wyłażące z fundamentów, a tuż koło nich znowu bloki już zamieszkałe, z firankami w oknach i dymem, cienkimi pasmami płynącym z kominów.

— No i proszę! — powiedział zgryźliwie oprowadzający mnie inżynier Jaśkiewicz z kierownictwa budowy.

Jaśkiewicz był niewysoki, cały okrągły jak obrączka, twarz miał różową i bajeczne, czarne wąsy. Zatoczył ręką szerokie półkole, w zasięgu którego znalazły się całe Nowe Tychy i rzekł cierpkim głosem:

— Oto owoc naszego grzechu pierworodnego!

— Cóż to był za grzech? — zapytałam z ciekawością.

— Grzech, za który pokutują i pokutować będą ci wszyscy frajerzy, którzy dali się namówić na budowanie Nowych Tych... ja pierwszy, król frajerów! I co mnie tu trzyma, u licha, na tej zamazanej budowie? Dlaczego wreszcie stąd nie pójdę? Wszyscy uciekają, to dlaczego, pytam się, ja jeden mam tu siedzieć?

Zadając te retoryczne pytania zaczął dreptać dalej, zamyślony, potykając się o leżące w nieładzie deski i potłuczone cegły.

— Wam, warszawiakom — mówił da-

lej z goryczą — wydaje się pewnie: o co tyle krzyku? Co się tu buduje od półtora roku? Miasto? Zawracanie głowy! Dopiero jedno małe, wstępne osiedle na 6 tysięcy ludzi, dziesięć razy mniejsze niż wasz jeden Muranów. I nie można sobie poradzić? Ano, nie można!

— Ale dlaczego?!

— Ba, gdybym zaczął wyliczać tak zwane przyczyny obiektywne i subiektywne, to bym do północy nie skończył. Moim zdaniem główna przyczyna jest taka, że od początku odwracano tu kota ogonem. Roboty nie szły w należytej kolejności.

Mówił coraz szybciej, tak, jakby tę sprawę co najmniej sto razy już opowiadał, a przecież ciągle mu jeszcze na sercu leżała.

— Weźmy prehistorię... początek 1951 roku. Już było wiadomo, że będziemy budowali, już tutaj, na ten plac waliły całe wagony materiałów, a projektu zagospodarowania placu nie było i niebyło, choć skakaliśmy z pazurami do oczu komu trzeba. Jak wreszcie wydarliśmy inwestorowi — dosłownie z gardła — tę nieszczęsną lokalizację, to oczywiście, okazało się, że w tym miejscu, gdzie leżą całe tony żwiru i piasku — akurat tutaj mają stanąć budynki. I rób teraz przekładaniec! Z miejsca na miejsce, jak w kontredansie. Jeszcze się ta budowa nie zaczęła, a my już dusiliśmy się od bałaganu i chaosu. Ufff!

Poruszył wąsami tak zamaszyście, że mu w nich nagle cały nos utonął.

— A potem... szkoda gadać! Ciągle ten sam refren, jak w kiepskiej piosence: brak dokumentacji... brak dokumentacji... Ten refren tośmy coraz cieńszym głosem śpiewali... Wreszcie przyszła dokumentacja. Ale tylko na jeden typ budynku. A w planach „ten typ" był rozsypany po całym osiedlu, o, tu, i tu, i tam, i o kilometr dalej, i jeszcze u czorta na kuliczkach — wskazywał ręką. — Musieliśmy więc budować w rozsypce. Rezultat? Ani transportu nie można było zorganizować, ani zastosować systemu potokowego, któryśmy planowali, ani nic... Ufff! Potem dokumentacja w dalszym ciągu przychodziła w kratkę: raz na ten budynek, raz na tamten... To jest właśnie ten grzech pierworodny, ale nie jedyny, o nie.

Przystanął, rozejrzał się po osiedlu.

— Ale mimo wszystko dużo wybudowaliście — powiedziałam.

— Otóż to właśnie, tu jest ten piesek pogrzebany... „Mimo wszystko"! Ale jak?! Jak to jest budowane! Mówimy: troska o człowieka. A co robimy? Ludzie mieszkają na rozbabranym placu budowy, dzieci podłażą pod robocze kolejki, łykają dziennie pół łyżki cegły i kurzu. I po co to? A takie było proste: wykończyć jeden fragment osiedla, zapiąć elegancko na wszystkie guziczki, posiać trawkę, kwiatki powsadzać i niech się wprowadzają na zdrowie! Potem drugi kawałek. Potem trzeci. I tak dalej. A tak? Wielka improwizacja jest dobra u wieszcza, ale nie na budowie.

— A kto jest temu winien?

— Daję tysiąc złotych żywą gotówką temu, kto złapie winowajcę! — wykrzyknął żwawo, obracając się ku mnie szerokim frontem swej kulistej postaci. — My atakujemy Dyrekcję Budowy Osiedli Robotniczych. Dyrekcja atakuje Biura Projektowe w Gliwicach, bo — dodał nawiasem — Osiedle A jest projektowane przez Gliwice, a dopiero następne, właściwe miasto, będzie robiła pracownia warszawska. Więc Biura znowu krzyczą, że im terminy dają na przedwczoraj, że sama procedura zatwierdzania projektów trwa, jak tam sobie wyliczyli, czterysta dni... i tak w kółko! Wszyscy krzyczą: łapaj złodzieja! A złodzieja — nie ma!

Strzepnął desperacko krótkimi rączkami. Nagle coś sobie przypomniał, bo

szybko wyciągnął zegarek z kieszeni i, ruszając wąsami, rzekł:

— Bardzo przepraszam... ale u nas jest dziś komisja, muszę iść do kierownictwa. Proszę sobie pospacerować, rozejrzeć się, dobrze?

— A co to za komisja?

Skrzywił się niechętnie.

— Jak to zwykle na budowie... ciągle przyjeżdżają jakieś komisje.

Pożegnał się pośpiesznie i zaczął toczyć się szybko, jak mała, chropawa szyszka, w kierunku baraku, gdzie mieściła się dyrekcja.

Pozostawiona samej sobie w środku budowy, zaczęłam się zastanawiać, dokąd teraz iść. W mglistym i wilgotnym powietrzu cicho pogwizdywał parowozik roboczej koleiki, pracowicie ciągnąc za sobą długi sznur wagoników, wyładowanych piaskiem i żwirem. Maszynista, młody człowiek w granatowej watówce, z falą złocistych włosów, opadających na jasne brwi, krzyknął coś do dziewczyny, idącej z łopatą w ręku. Roześmieli się oboje. Dziewczyna, przystanąwszy, dłuższą chwilę patrzyła za odjeżdżającym.

Z góry, z budującego się muru, przechylony w dół robotnik wołał do windziarza: — Dawaj! Prędzej!

Windziarz, nie podnosząc nawet głowy, odkrzyknął: — Nie pali się!

Z góry posypała się wielobarwna „wiązanka murarska", zakończona konkluzją:

— Tobie też żona mordę obije, jak premii nie wyrobisz!

Argument poskutkował. Winda ze zgrzytem pojechała w górę.

Chłodno było. Zaczął mżyć kapuśniaczek. Napęczniałe chmurami niebo sunęło nisko po dachach. Pomiędzy dwuszeregiem murowanych bloków, jak grzybek w lesie, tkwił malutki drewniaczek, noszący szumne miano „Baru mlecznego". Wewnątrz nie było jednak miejsca dla gości. Właściwy bar znajdował się na dworze, pod małym okapem, nie osłaniającym dostatecznie od wiatru i deszczu. Dwie panienki w białych fartuchach, narzuconych na płaszcze, podawały przez okienko białe kubki z parującym mlekiem i posmarowane grubo szmalcem kromki chleba. O parę kroków od baru warczała dzielnie betoniarka, podnosząc w górę swą okrągłą, stale wirującą mordkę. Obok kilku ludzi pogłębiało wykop, który wyglądał tak, jakby był kilkakrotnie już kopany, zasypywany, i znowu odkopywany.

Dwaj robotnicy, oparci łokciami o drewnianą ladę baru, wolno popijali ciepłe mleko, przegryzając chlebem. Stanąłem obok i również dostałam gorący kubek z rąk ciemnookiej panienki. Robotnicy rozmawiali ze sobą półgłosem, nie zwracając na mnie uwagi. Mówili gwarą.

Z ich słów wynikało, że zamierzają przenieść się do innego zakładu pracy, czekają tylko na wiadomość od jakiegoś Antosia. Zainteresowana tematem, wtrąciłam się do rozmowy. Po kilku wstępnych zdaniach o mleku i pogodzie, zapytałam, gdzie mają zamiar pracować. Tego nie wiedzieli jeszcze dokładnie, może pójdą do węgla, może na inną budowę. Czemu? Bo na pewno wszędzie będzie lepiej niż w Nowych Tychach. Wprawdzie przyjechali ze wsi spod Lublina dopiero dwa tygodnie temu, ale już się zorientowali, że nie mają po co tu siedzieć.

Zapytałam: dlaczego? Odpowiedzieli drwiącym pytaniem: czy widziałam robotnicze hotele? Młodszy z nich dodał jeszcze, że zarobki są bardzo marne i w ogóle wszystko jest inaczej, niż im to w złotych barwach przedstawiali werbownicy. Mówili o tym skąpo i niechętnie, jakby nieufnie.

— Płaciłeś, Leon? — zapytał starszy, wyraźnie chcąc urwać pogawędkę. — To idziem.

Odeszli zresztą niedaleko, bo do betoniarki. Zaczęli sypać do taczek piach.

Zwróciłam się do dziewcząt z baru z prośbą o informację, gdzie są hotele. Ciemnooka dziewczyna wychyliła się z baraczku, wskazując wyciągniętym ramieniem:

— Jedne hotele są w blokach, o tam, z lewej strony, czternastka, szesnastka, tak jak skręca ten mężczyzna z kilofem. A drugie są w barakach, tam trzeba iść prościutko tą ulicą do samego końca budowy.

Poszłam powoli w tamtą stronę. Ciężko było iść po rozmiękłej, gliniastej mazi. Gdyby nie wysokie, gumowe buty, w które ubrano mnie w Radzie Zakładowej, ani chybi utonęłabym w tym błocie. Przechodząc przez rozległy plac budowy widziałam całe Nowe Tychy w ciemnych barwach. Właśnie mijałam duży blok, podciągnięty do wysokości pierwszego piętra, gdy tuż przede mną zahamował ostro samochód ciężarowy, wypełniony cegłami. Dwóch młodych chłopców i dziewczyna w kombinezonie zaczęli śpiesznie rzucać cegły na ziemię.

— Żywiej! — poganiał ich równie młody kierowca, który wyszedł z szoferki i paląc papierosa przyglądał się robocie. Cegły padały bezładnie jedna na drugą, niektóre tłukły się, ale to nie hamowało impetu młodzieżowej brygady.

Nagle z góry, z pochyłej sztagi opartej o mur, zbiegł, a raczej ześlizgnął się błyskawicznym, wiewiórczym ruchem, chłopak w czapce, zsuniętej zawadiacko na tył głowy. Brwi miał groźnie ściągnięte i rozgniewane oczy, co tworzyło nieoczekiwany kontrast z wesołym, zadartym nosem i dziecinną niemal twarzą, opaloną na kolor ciemnego bursztynu.

— Talerze w chałupie możecie sobie tak tłuc! — wrzasnął.

Dziewczyna na aucie zachichotała cienko, z zakłopotaniem, jej towarzysze speszyli się wyraźnie, kierowca zaś rzekł trochę niecierpliwie, a trochę tłumacząc się:

— Nie krzycz, Kobiałka. Chcieli my jeszcze raz przed fajrantem obrócić.

Kobiałka? Nazwisko to było mi znajome, ale skąd? Prawda, pisano o nim w śląskiej prasie, łącząc z tym nazwiskiem jakieś wysokie cyfry przekroczonych norm i tytuł przodownika pracy. Osiemnastoletni chłopiec ze wsi w Poznańskiem stał się organizatorem brygad ZMP-owskich w Nowych Tychach. Patrzyłam teraz na niego, jak oglądał uszkodzone cegły z miną pełną żalu i złości, jak dziecko, któremu stłuczono zegarek.

Burknął coś jeszcze pod adresem niedbałych kolegów, potem wyprostował się i wyciągnął ku nim ręce:

— Podawajcie! — i do szofera: — Chodź, Zdzisiek!

Stojący na wozie zaczęli im podawać cegły, które szybko rosły w regularną stertę.

Powędrowałam dalej. Niedaleko, na środku drogi, stało kilku ludzi, wśród których rej wodził niewysoki mężczyzna, chudy, nieogolony, ubrany w uwalaną wapnem i błotem „fufajkę". Wymachując rękami, krzyczał głośno:

— A teraz pretensje! Żyły człowiek z siebie wypruwa i za to go jeszcze...

Nie dokończył, bo przez zainstalowany w pobliżu megafon, z którego płynęła dotąd skoczna muzyka, odezwał się głos:

— Uwaga! Inżynier Węgrzynowicz proszony jest o zgłoszenie się w dyrekcji!

Mały człowieczek zwrócił się ze złością do swych rozmówców:

— Widzicie? Już się zaczyna tańcówka. Jasna cholera, jasny piorun!

Speaker mówił znowu:

— Uwaga! Powtarzam! Inżynier Węgrzynowicz proszony jest...

— Przecież idę! — odrzyknął z irytą-

cją niski mężczyzna w stronę głośnika, jakby speaker mógł go usłyszeć. I znowu do towarzyszy:

— Przyjechała jaśnie komisja, a jakże!

Nacisnął mocno czapkę na uszy i wielkimi krokami podążył w kierunku baraku dyrekcji. Pozostali ludzie przez chwilę stali w milczeniu, potem, nie odzywając się do siebie, rozeszli się do roboty. Zapytałam jednego z nich, co to za komisja? Robotnik wzruszył ramionami i odpowiedział wymijająco, że nie wie dokładnie. Poradził mi zapytać w Podstawowej Organizacji Partyjnej albo Radzie Zakładowej.

Poszłam znowu przed siebie. Zanim oglądając wnętrza nowobudujących się domów i pogadując z ludźmi, dotarłam do hoteli, rozległ się sygnał, zawiadamiający o skończeniu dnia pracy. Budowa zwolna pustoszała. Robotnicy schodzili z rusztowań, wyłazili z wykopów, zatrzymywali maszyny. Jedni szli do stołówki, inni od razu po robocie wracali do hoteli.

Hotele rzeczywiście wyglądały niezachęcająco. Oba bloki, o paroizbowych mieszkaniach, czasowo tylko przeznaczone na zakwaterowanie budowniczych, zupełnie nie odpowiadały potrzebom zbiorowego życia. Pokoje były umeblowane mniej niż skromnie, na ogół brudne, robiące wrażenie opuszczonych.

W barakach nie było lepiej.

Właśnie w jednym z hotelowych baraków poznałam Józefa Machurę. Kiedy weszłam, siedział w pokoju sam. Łóżek było wprawdzie sześć, ale współlokatorzy nie wrócili jeszcze po robocie.

Machura twarz miał brązową, suchą, jakby wyrzeźbioną z gruszowego drzewa, poradloną grubymi bruzdami zmarszczek, oczy szare, łagodne, włosy na pół białe, na pół jeszcze ciemne.

Podsunął mi taboret. Ukroił parę kromek chleba, posmarował szmalcem:

— Proszę! — powiedział z życzliwym uśmiechem.

Jedliśmy chleb, gawędząc o tym o owym. O Warszawie, której on nie znał i o jego wsi w Rzeszowskiem, której ja nie znałam, o mojej pracy i o jego pracy. W Nowych Tychach pracował od trzech miesięcy jako kopacz. Kiedyśmy się na dobre już rozgadali, zapytałam, jak mu się tutaj mieszka.

Zdziwił się tym pytaniem, aż mu szpakowate brwi podleciały w górę. Przecież nigdy jeszcze w życiu, a żyje już pięćdziesiąt sześć lat, tak dobrze nie mieszkał. Mówiąc to, rozjaśnionymi nagle oczyma rozejrzał się po całym pokoju. Patrzyłam i ja. Na podłodze — śmiecie, pod sufitem — pająk i pajęczyna, pościel na łóżkach — brudna, pod jedną ścianą sześć brzydkich, tandetnych szafek, pozamykanych na kłódki. Ani śladu jakiegoś życia osobistego: fotografii, obrazka, książki, jakiegoś „prywatnego" ubrania. Przez uchylone na korytarz drzwi zawiał smród z ubikacji.

— I król w pałacu lepiej nie ma! — powiedział z zadowoleniem.

Byłby mówił dalej, ale do pokoju wszedł wysoki, silnie zbudowany mężczyzna. Był to maszynista kolejki, za którym parę godzin temu tak tęsknie spoglądały dziewczęce oczy. Teraz, z bliska, widać było, jaki jest dorodny. Oczy miał piękne, ciemno-szafirowe, a w zapadającym już zwolna wczesnym zmierzchu włosy jego zdawały się świecić złotym blaskiem.

Machura poznał nas ze sobą. Maszynista nazywał się Jędrzej Sierpień, pochodził z tej samej wsi co Machura. Nie robił wrażenia zachwyconego moją wizytą. Śpiesznie ściągał z siebie watowaną kurtkę, wkładał inną, „cywilną", wyciągniętą z szafki, poprawiał ZMP-owski krawat, przeczesywał żelaznym grzebyczkiem czuprynę.

— Idziesz gdzie, Jędruś? — zagadnął go Machura.

— A co, mam w tym chlewie siedzieć? — odburknął Sierpień.

— Nie gadałbyś tak, synku, bo to wstyd — rzekł z przyganą w głosie Machura.

Maszynista, który już gotowy do wyjścia, stał przy drzwiach, zawrócił i wybuchnął gwałtowną tyradą, nie przebierając w wyrazach. Najwidoczniej nie pierwszy to raz toczyli spór na tematy hotelowe, bo Sierpień kilkakrotnie powoływał się na swoje dawniejsze wypowiedzi. Twierdził, że organizacja hoteli jest fatalna, oskarżał dyrekcję, Podstawową Organizację Partyjną i Radę Zakładową o brak ciepłej wody do mycia, że nie ma łaźni, którą mieli zrobić pół roku temu, że w ubikacjach cuchnie jak w gnojówce, a ze świetlicy korzystają tylko pająk i myszy. Mówił o tym wszystkim gorąco i zaciekle. Z irytacją wspominał różne komisje, które sto razy łaziły po hotelach, a tyle z nich było pożytku co z łażących much. Przerwał w tym miejscu i zapytał, czy może ja jestem też z jakiejś komisji? Słowo to wymawiał z nieopisanym akcentem pogardy. Kiedy dowiedział się, że mam pisać o Nowych Tychach, zastanowił się chwilę, odłożył czapkę i usiadł. Powiedział, że stanowczo trzeba opisać ten cały bałagan. Że on sam język już sobie wystrzępił, gadając bezskutecznie „u góry" o potrzebie całkowitej reorganizacji hoteli. Pytał, jak te sprawy wyglądają w Warszawie, i dlaczego, jeśli wzorujemy się na metodach radzieckich, nie stawiamy hoteli przed rozpoczęciem budowy?

Przerwał mu Machura. Był widocznie zaniepokojony. Ściszonym głosem zaczął tłumaczyć, że wcale nie jest tutaj źle. Ubikacja, to takie miejsce, gdzie zawsze śmierdzi, a o ile wygodniej niż chodzić za stodołę. Wody całkiem wystarczy, od zbyt wielkiego mycia człowiek może się przeziębić, albo broń Boże i na płuca padnie. I też wygoda: ze studni nie trzeba wyciągać, podjedzie beczkowóz i sprzątaczki rozniosą wiadra. A świetlica? No, to może dobre dla dzieci, albo dla całkiem młodych. Po co o tym wszystkim pisać i wodę mącić? Jeszcze z pracy wyrzucą, a on co dzień Bogu dziękuje za taką odmianę losu.

Sierpień wysłuchał go niecierpliwie, postukując obcasem w podłogę.

— Skończyliście, ociec? — zapytał wreszcie i choć Machura miał widoczną chęć mówić dalej, nie dopuścił go już do głosu.

Burzliwie, zachłystując się własnymi słowami, domagał się, żeby Machura raz już wreszcie do diabła zapomniał o tych czasach, kiedy żyłował go i siódmy pot z niego wyciskał Jamroziak. To się skończyło i nigdy nie wróci.

— Wy teraz na swoim jesteście, ociec! — krzyczał. — A na swoim to trzeba dobrze gospodarować. Każdy z nas tu gospodarz i wy też. A jak kierownictwo źle gospodarzy, to my mamy rączki składać i cicho siedzieć?

Machura, najwidoczniej mocno skrępowany obecnością obcej osoby, cicho i łagodnie powtarzał: — No już dobrze, już dobrze... — byle tylko jak najprędzej zakończyć dyskusję. — Dodał jeszcze nieśmiało, że jego zdaniem nie wolno wszystkiego zwalać na kierownictwo, bo i mieszkańcy hotelu nie są bez winy: zdarzają się tacy bez sumienia, co piją, kradną, biją się, nieraz i noże w ruch idą.

W tym punkcie Sierpień przyznawał mu całkowitą rację, twierdząc, że tych ludzi trzeba wychowywać, a najgorszych, z którymi nic nie da się zrobić, wyrzucić z budowy, żeby nie szkodzili innym.

Rozmowa ciągnęłaby się pewno jeszcze długo, ale ktoś leciutko zastukał do drzwi i Sierpień skoczył otwierać.

W progu stała dziewczyna, którą pozdrawiał z kolejki. Okazało się, że to jego narzeczona, Marysia Rębielanka, z tej samej wioski. Dziewuszka była młodziutka, drobniutka, o nieładnej buzi, rozświetlonej nieśmiałym, uroczym uśmiechem. Sierpień patrzył w nią jak w tęczę, a ona wodziła za nim oczami jak za słońcem. Maszyniście, kiedy mówił do niej, głos się zupełnie zmieniał, stawał się cichy i miękki. Marysia na pewno nigdy nie zdobyłaby się na opuszczenie rodzinnej wsi, gdyby nie to, że on tu przyszedł na budowę i ją porwał za sobą. Przyniosła mu teraz starannie wycerowane skarpetki, a Machurze świeżo wypraną koszulę. Mieszkała w sąsiednim baraku z kilkoma innymi dziewczętami. Sierpień od paru miesięcy robił już starania o mieszkanie; skoro je otrzymają, pobiorą się natychmiast.

Kiedy już wychodziłam, Sierpień prosił jeszcze, żeby napisać o braku życia kulturalno-oświatowego na budowie, o konieczności zorganizowania dobrze prowadzonej świetlicy i biblioteki.

Po wyjściu z hotelu skierowałam się na drugi koniec osiedla, gdzie w drewnianym baraku mieściło się kierownictwo budowy, Podstawowa Organizacja Partyjna i Rada Zakładowa. Ale spojrzenie, rzucone na zegarek, przekonało mnie, że nie warto się śpieszyć, bo i tak prawdopodobnie nikogo już nie zastanę. Zwolniłam więc kroku, obserwując małego chłopaczka, który kręcił się po drodze. Miał pewno dziesięć lat, wystrojony był w długie, gumowe butki i ciepłą, obcisłą kurteczkę, na plecach telepał mu się niewielki tornister.

Mały kroczył poważnie od kałuży do kałuży, wybierał największe, wchodził w nie i zaznaczał palcem na cholewce buta głębokość wody. Potem, mrucząc coś pod nosem, szedł do następnego bajorka, wlokąc za sobą długi patyk, znaczący ślad jego trasy. Oglądał się często, sprawdzając, czy ślad jest dostatecznie wyraźny. Jeśli był zamazany — pracowicie pogłębiał po patykiem.

Kiedy do niego zagadałam, łypnął nieufnie ciemnymi ślepkami, najwyraźniej niezadowolony. Rozjaśnił się dopiero wtedy, kiedy spytałam, czy wyznacza trasę kanału, który połączy jakieś wielkie jeziora albo morza. Oczywiście, zamierzał z kolegami budować kanał Wołga—Don. Niewiele więcej zdążyłam się dowiedzieć, bo na pierwszym piętrze uchylono okno i przenikliwy głos kobiecy zawołał:

— Alojz! Alojz!

Malec z żalem spojrzał na wielkie obszary nie zgruntowanych jeszcze mórz, głos był jednak tak nakazujący, że odkrzyknął:

— Zarozki ida!

Ułożył swój patyk starannie między ścianą a stertą desek i nie zwracając już na mnie uwagi wbiegł na klatkę schodową. Poszłam za nim. Na drzwiach mieszkania, do którego wszedł, wisiała metalowa tabliczka z napisem: Gustaw Ligęza. Zastukałam. Otworzyła kobieta z okna. Nie była zdziwona odwiedzinami. Odkąd się tu przed kilku miesiącami wprowadzili, ciągle były jakieś wizyty; a to z kierownictwa budowy, a to z prasy, a raz to nawet fotografowali całe mieszkanie.

Mąż jej, Gustaw, jeszcze nie wrócił z kopalni „Wesoła", właśnie czeka na niego z obiadem. W kuchni, do której mnie zaprosiła, smakowicie perkotały garnczki, świeżo wyszorowana podłoga, po której spacerowała na czworakach młodsza siostra Alojza, pachniała czystością. Ale kiedy spojrzałam na ściany, stwierdziłam ze zdumieniem, że wyglądają, jakby przejechał się kto po nich serią z karabinu maszynowego.

Ligęzowa objaśniła, że wprawdzie mieszkanie jest piękne, ale wykończenie całkiem niechlujne, chociażby ta odpryskująca od tynku farba, chociażby ten

zatkany teraz starym rękawem otwór między futryną okienną a murem, i te piece kuchenne, co już trzeci raz trzeba było przestawiać, bo dymiły, i ten brak wentylacji w łazience, sam Gustaw musiał wybijać przewody...

Pokazała mi całe mieszkanie. Z pokojów, które otworzyła, powiało przykrym, wilgotnym chłodem. Ano właśnie! Kotłowni nie wybudowali jeszcze, ogrzewanie centralne nie czynne, a przecież mury mokre są i świeże, trzeba by je przed zimą przesuszyć. I nie wiadomo, jak z tą kotłownią będzie, podobno rur nie mają, podobno kotłów nie ma... No i mają mieszkanie dwupokojowe, a siedzą wszyscy w kuchni, na kupie! I tak jeszcze dobrze, że dostali przydział w tym bloku, bo w sąsiednim woda w piwnicach po kolana stoi i ludzie nie mają gdzie kartofli na zimę złożyć!

Mówiła to wszystko spokojnie, ale z pewną goryczą: — nie szkoda to pieniędzy i ludzkiej pracy i czasu? I po co to takie partaczenie? Pomęczyliby się jeszcze miesiąc na starym mieszkaniu, ale niechby nowe było całkiem jak się należy!

Alojz słuchał tej rozmowy z oznakami zniecierpliwienia: odkąd posłyszał, że jestem z Warszawy, domagał się opowiadania o ruchomych schodach na Trasie W—Z. Wróciliśmy więc do ciepłej kuchni i zaczęłam, dobierając jak najprostszych wyrażeń, mówić o tym, jak to ludzie jeżdżą w górę i w dół, ale mały przerwał mi, oznajmiając, że o tym wszystkim to on już dobrze wie, i na obrazkach widział i na filmie, ode mnie zaś oczekiwał wyjaśnienia zasad i tajników konstrukcji, ponieważ trzeci już z kolei model nie chciał mu się ruszać. Ta sprawa przyśpieszyła znacznie moje wyjście z gościnnego domu. Obawiając się ostatecznej kompromitacji, wymówiłam się brakiem czasu i zaczęłam się żegnać. Alojz patrzył na mnie podejrzliwie, odgadując zdaje się najzupełniej trafnie właściwy powód śpiesznego odwrotu.

W oknach baraku kierownictwa jeszcze się jednak świeciło. W pokoju siedzieli dyrektor Zjednoczenia Nowe Tychy — Karczmarkiewicz, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej — Borzemski i przewodniczący Rady Zakładowej — Górka.

Zdziwili się, że jeszcze jestem na budowie. Od rana, kiedyśmy się widzieli, byli tak zajęci, że zupełnie zapomnieli o moim istnieniu.

— No i jak wam się podobają Nowe Tychy? — zapytał Górka.

Opowiedziałam im swoje wrażenia, nie owijając w bawełnę. Słuchali uważnie, nie przerywając, chwilami potakując ruchami głowy lub wymieniając między sobą spojrzenia.

— Skończyliście? — zapytał sekretarz Borzemski, gdy umilkłam. — Macie rację. Nie jest tu dobrze. Nikt nie wie o tym lepiej od nas.

Borzemski mówił wolno i z rozwagą. Był jeszcze młody, mógł mieć około trzydziestki, ale koło ust rysowały mu się dwie głębokie bruzdy, nadające twarzy wyraz zmęczenia. Wstał, przeszedł się po pokoju i stanął przy oknie.

— Przecież towarzysza Karczmarkiewicza i mnie dlatego tutaj skierowano, że było źle. My obaj jesteśmy tu od niedawna, wiecie o tym?

Tak, o tym mówiono mi w Warszawie, w Centralnym Zarządzie. Inżynier Ligota opowiadał zwłaszcza o Karczmarkiewiczu, starym towarzyszu partyjnym, dawnym KPP-owcu, murarzu, który po wyzwoleniu awansował, ostatnio był naczelnikiem wydziału kadr w wielkim zakładzie pracy. Od paru miesięcy został dyrektorem w Nowych Tychach.

Drobny, szczupły Górka z Rady Zakładowej westchnął i powiedział:

— Tak, wy jesteście od niedawna,

a ja, pierona, siedzę tu od samego początku, już blisko półtora roku. Już nieraz miałem takie chwile, że chciałem to wszystko cisnąć i iść do innej roboty, żebym widział, że moja praca nie idzie na marne.

Wy mówicie, obywatelu: brak opieki nad ludźmi. Dajecie przykład: że nie mają łaźni. To ja wam właśnie na tym przykładzie powiem, jak to u nas jest. O tę łaźnię tyle już robiliśmy szumu, że wreszcie wybudowali specjalny barak, koło samych hoteli, a jakże, widzieliście może, taki trochę z boku.

— Widziałam, owszem.

— No więc właśnie. Jak już był barak, a ci, co go stawiali, dawno już się z budowy ulotnili, to przyszli inni i dopiero gwałt podnieśli: — czyście oszaleli, pod samą linią wysokiego napięcia łaźnię robić? Wystarczy jakieś spięcie, uszkodzenie przewodów i z ludzi w łaźni — marmolada! No i co? Pieniędzy na nowy barak w tym kwartale już nie ma, łaźni też nie ma, w tym baraku składzik zrobiliśmy na razie, żeby pusty nie stał... I tak ze wszystkim. Czego nie dotknąć — w ręku się rozsypuje. A spójrzcie na naszego dyrektora! Twardy człowiek, robociarz, lekkiego chleba całe życie nie miał, roboty zwyczajny, a po trzech miesiącach dyrektorowania pół człowieka z niego zostało.

Spojrzałam na Karczmarkiewicza, który siedział dotąd milcząco, paląc papierosa. Twarz miał znużoną i jakby wyblakłą, szczupłe plecy były przygarbione. Strzepnął popiół, zwrócił się do mnie:

— Widzicie, tu sprawa nie jest łatwa. Od początku budowy ile to już razy... —

— Towarzyszu Górka, ile razy się zmieniało kierownictwo?

Górka zaczął wyliczać. Budowę rozpoczęło Zjednoczenie Bielskie. Potem przejęło Zjednoczenie Sosnowiec. Teraz, niedawno, utworzono samodzielne Zjednoczenie Nowe Tychy. Ale ilu przewinęło się tu ludzi, kierowników budowy, zaopatrzenia, transportu, inżynierów, techników — niesposób wszystkich wymienić.

— Ale dlaczego tak się zmieniali?

Karczmarkiewicz powiedział:

— Tutaj, wiecie, nie chcą ludzie przychodzić. Jak się budowa zapaskudziła od początku, to się taka wytworzyła opinia, że lepiej nie wiem gdzie niż tutaj. A co przyszło nowe kierownictwo, to było coraz gorzej. Bo to, widzicie, ciężko tu u nas na Śląsku z kadrami technicznymi. Nowe Tychy krzyczały, że potrzebują ludzi, a dla każdego Zjednoczenia przecież dać od siebie człowieka — to jakby ząb wyrwać. No, to dawali przeważnie najgorszych pracowników, rozumiecie...

— A jak przyszedł dobry, to też nic nie mógł poradzić — wtrącił Górka. — Na przykład inżynier Smuglewicz. Przyjechał wprost z Nowej Huty, tam już chyba nabrał doświadczenia, no nie? Ale co się okazało? Technicznie, owszem, bardzo podciągnął budowę, ale położył się jako organizator. Co miał organizować? Ludzi, co przepływają jak woda? Albo taki towarzysz Murań z Bytomia. Pieruna, co za chłop! Od prostego cieśli do kierownika budowy — rozumiecie? Przez trzy miesiące się mordował, wreszcie złożył rezygnację. Mówił, że ma chorą żonę w Bytomiu, ale on sam też wyglądał jak półtrup. Namawiał go Centralny Zarząd, żeby został, ale siłą przecież człowieka trzymać nie będą. No i poszedł...

— I takie buty... — rzekł dyrektor Karczmarkiewicz. — Każdy prawie traktował Nowe Tychy jak dopust boski, tylko myślał, jak stąd dać nogę. Myślicie — tu uśmiechnął się niewesoło — że mnie tutaj lekko? Nikomu nie lekko. Kto tu przyszedł, to mieszkania przecież nie dostawał, tylko musiał mę-

czyć się dojazdami, albo rodzinę zostawić, a samemu się tu po kawalersku urządzać. Komu się uśmiecha takie życie na dwa domy? I co tutaj miał? Zgryzot po uszy i tyle.

Siedzieliśmy chwilę, milcząc. Górka poruszał szczękami, jakby przeżuwał własne, pełne strapień myśli.

— No i tak było — podjął znowu — że się przez cały czas ani rusz nie mógł wytworzyć żaden kierowniczy kolektyw, tylko jednostki ciągnęły robotę. No, a jakie kierownictwo — taka i załoga. O nas mówią, że mamy „pływającą załogę". I tak jest. Bo jak miesiąc temu pracowało na przykład 800 ludzi, to dziś też jest 800, ale to już zupełnie inni ludzie... I ciągle za mało rąk, ciągle za mało! Na palcach można policzyć tych, co zostają. Przecież my mamy całą kupę ludzi, co nawet jeszcze nie wiedzą, że po tym Osiedlu A będzie budowane całe miasto. Bo i jak mogą wiedzieć? Co oni mogą wiedzieć, jak przychodzą na parę miesięcy, albo tygodni, a nieraz tylko dni... Ech! Pieroński los! Zanim zdążą zżyć się ze sobą, to już uciekają. Co ich może obchodzić budowa, jak oni tu się nie czują gospodarzami tylko gośćmi? Odbębni taki robotę i idzie spać albo na wódkę...

Górka był coraz bardziej rozgoryczony. Mówił nerwowo, zacinając się.

— Wy na przykład krytykujecie, że nie ma życia kulturalno-oświatowego. Pewnie że słusznie. Ale powiedzcie, jak mamy to k.o. zorganizować, kiedy niema do tego ludzi z sercem. Był, proszę was, taki jeden bilbioterz co tak prowadził bibliotekę, aż ją całkiem wyprowadził, był świetlicowy jeden, drugi, piąty. I co? Narobili bałaganu, poszli sobie. I tak prawie każdy: przyleci na te Nowe Tychy jak ptaszek, podziobie, podziobie, napaskudzi i pójdzie... Podstawowa Organizacja Partyjna robi co może, chłopaki z ZMP ze skóry wyłażą, ale ciągle za mało tych, co wóz ciągną, a za dużo takich, co na nim siedzą i tylko poganiają. Niedaleko takim wozem ujedzie... niedaleko...

Potrząsnął głową, zamyślił się. Odezwał się teraz dyrektor Karczmarkiewicz, podejmując dalszy ciąg tego trójgłosu, pełnego zwątpienia.

— A znowu załoga — to prawie wszystko ze wsi. Co drugi tutaj kładzie cegły, a tam się obziera, czy nie czas już siać albo kosić u siebie. Niech tylko taki czas przyjdzie — już go nie ma! A myślicie, że nie zdarzają się i tacy, co chcą przy tym naszym ogniu upiec tylko swoją własną, parszywą pieczeń? Tacy owszem, przychodzą chętnie, żeby się nakraść, korzystając z bałaganu, albo nawet wrogą robotę robić.

Mówił to wszystko bez żadnej modulacji, wolno sącząc wyrazy. Kiwał się przy tym leciutko na krześle jak człowiek, którego morzy sen.

Przerwał mu sekretarz Borzemski. Powiedział głośno, marszcząc brwi:

— A z tym wszystkim łączy się jeszcze jeden problem. Bardzo ciężki orzech do zgryzienia. Wiecie jaki? Stare Tychy!

Wiedząc, że nie rozumiem, wyjaśnił:

— W starych Tychach, uważacie, siedzi jeszcze kupa drani spod ciemnej gwiazdy. Handlarze, wiecie, spekulanci, knajpiarze. Tacy, co to muszą na wszystkim zarobić. Jak już ich spotkała ta klęska, że pod samym ich nosem rośnie socjalistyczne miasto, to i na nim chcieliby się obłowić. My właśnie musimy przeciwstawić Nowe Tychy tym starym. Ale pomyślcie sobie, jak to trudno idzie: załoga — to zlepek z całej Polski, ze wszystkich możliwych województw, nie zżyta ze sobą, nie zgrana. Element na ogół bardzo słabo uświadomiony. Przychodzą, żeby sobie swoją dotychczasową biedniacką dolę polepszyć. I trafiają, uważajcie, na takich cwaniaków, co ich zaczynają kształcić:

— wyniesiesz mi, bracie, coś z budowy

to literek stoi, z zagrychą, a jakże. Wolisz forsę? Może być i forsa. Są słabsi, głupsi, mniej uczciwi, biorą się na ten lep. To są wiecie, nieduże stosunkowo straty dla budowy, licząc na pieniądze, ale pomyślcie, jaka demoralizacja ludzi!

— A najgorsze jest to — wtrącił Górka — że tej historii całą garścią złapać nie można, zawsze między palcami się prześlizgnie. No, złapiesz jednego czy dziesiątego, co wynosi coś tam z budowy i sprzedaje. Ale to nie rozwiązuje sprawy... Ech!

Wydmuchał niedopałek ze szklanej fajeczki i zaczął ją starannie czyścić. Ponieważ nikt nie odzywał się dłuższy czas, zapytałam, co to za komisja była dziś na budowie? Pytanie było widać kłopotliwe, bo nikt nie kwapił się z odpowiedzią, wreszcie Borzemski, po lekkim chrząknięciu, rzekł, że w związku z pewnymi sprawami, których nie określał bliżej, zaszła konieczność sprawdzenia, jak to właśnie było, ale że jeszcze na pewno nic nie wiadomo, więc...

Nie chcąc przedłużać drażliwej rozmowy, przerwałam mu i zapytałam o ZMP-owców: Kobiałkę i Sierpnia. Na dźwięk tych nazwisk twarze rozjaśniły się natychmiast.

— Kobiałka? — powiedział żywo Górka — ech! jeszcze dziesięciu takich, a wtedy byśmy dopiero pokazali! A Sierpień to też pieroński diasek! On nam tu ciągle do oczu skacze. I ma rację. A robi za pięciu. I patrzcie — w głosie Górki brzmiała teraz nutka wyraźnego szacunku — już sto razy mógłby stąd odejść, a on siedzi, nawet swoją dziewczynę sprowadził.

Dyrektor Karczmarkiewicz uśmiechnął się pogodnie, po raz pierwszy w ciągu tego wieczora.

— Ta Rębialanka całkiem podobna do Zochy... Zocha to moja córka — dodał wyjaśniająco w moją stronę.

— Sierpień chce się żenić — powiedziałam. — Jakie ma szanse na otrzymanie mieszkania?

Na twarz Karczmarkiewicza powrócił wyraz zatroskania.

— Widzicie — rzekł — z tym też jest kłopot. Przecież nie jemu jednemu byśmy dali, ale jemu może i specjalnie, bo o drugiego takiego Sierpnia trudno... Ale węgiel nie chce nam dawać izb ze swojej puli. Powiadają: każda izba dla górnika, to ileś tam ton węgla dziennie. No dobrze, ale dobry przodownik czy inżynier, co te izby buduje, toteż przecież węgiel, no nie? Przydzielili tylko trochę mieszkań, dało się najbardziej potrzebującym, inni muszą poczekać, trudno!

Sekretarz Borzemski wstał nagle z krzesła, jakby się czymś zniecierpliwił.

— A ja wam powiem, towarzysze — rzekł takim tonem, jakby coś ważnego odkrył — że my tu za dużo biadolimy. Co u licha, nie my jedni mamy takie trudności. Ja myślę tak: kobieta jednego małego dzieciaka rodzi i co się nacierpi bólu, a to całe nowe miasto się rodzi i ma być bez bólu, czy jak?

— Jak boli, to się i krzyczy — zauważył Górka. — Wy młodzi jeszcze jesteście, towarzyszu Borzemski, wszystko wam się wydaje łatwiejsze niż nam. A poza tym — poczekajcie. Niedawnoście tu przyszli. Jeszcze i wam tak się ta budowa da we znaki, że baranim głosem będziecie stękać.

— Myślałby kto, że wy tylko stękać potraficie — roześmiał się Borzemski. — Inni już sto razy nogi za pas wzięli, a wy siedzicie od samego początku i jednak nie odchodzicie. Z was taki śląski pierun zatracony.

Łagodna twarz Górki przybrała nagle wyraz uporu. Nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami.

— No więc? — podjął Borzemski — Albo taki inżynier Jaśkiewicz. Poznaliście go? — zwrócił się do mnie.

Kiwnęłam głową, że tak.

— Toście się pewno też nasłuchali jęków i lamentu, nie? A twardy diabeł, powiadam wam! Dziesięciu by odeszło, on siedzi. Bezpartyjny towarzysz, dobry towarzysz! Ale fakt jest faktem, że Centralny Zarząd powinien pomóc Nowym Tychom.

— Był niedawno towarzysz naczelny dyrektor z Centralnego Zarządu z Warszawy — powiedział Karczmarkiewicz. — Obiecał, że bezwzględnie pomogą.

— Oni też mają z nami tańcówkę — wtrącił Górka. — Tyle różnych obiektów na Śląsku idzie jak złoto, a u nas taka grzebanina. Ale naczelnemu ja wierzę, że tym razem kogoś do rzeczy nam podeśle. Widzicie, towarzysz Karczmarkiewicz, Borzemski, Jaśkiewicz, jeszcze paru i ja — to już jest kawałek kolektywu, no nie?

—A inżynier Węgrzynowicz? — zapytałam, przypominając sobie małego, mocno przybrudzonego człowieczka w „fufajce".

Popatrzyli po sobie.

— No... on... — zaczął wahająco Górka.

Dyrektor Karczmarkiewicz poruszył się niespokojnie na krześle.

— On przyszedł do nas niedawno... no i tego... już zdążył robotę na swoim odcinku zawalić — objaśnił wreszcie Borzemski z wyraźną niechęcią.

Nie pytałam więc dalej, a Górka z ulgą wrócił do poprzedniego tematu.

— No więc, jakem mówił, kawałek kolektywu już jest... Taak... A naczelny dyrektor Centralnego Zarządu z Warszawy...

Przerwał sam sobie i zwrócił się do mnie:

— Wy go znacie?

— Z Centralnego Zarządu znam tylko inżyniera Ligotę.

— Naczelnego? Nie.

— Niemożliwe! — wykrzyknął żywo Górka. — Musicie go poznać. Przecież on jest...

Urwał, jakby nie mógł znaleźć właściwego określenia, namyślał się chwilę, szukając słów, wreszcie machnął ręką:

— No, jednym słowem... — zakończył wreszcie — powinniście go poznać. Więc o czym to ja mówiłem? Aha... no, że wiecie, my bardzo liczymy na Centralny Zarząd. Jak oni nam pomogą, to się przecież jakoś wydobędziemy z tej ciężkiej sytuacji.

Umilkł, zakaszlał, i, jakby wstydząc się trochę tego, co ma powiedzieć, rzekł niegłośno, ale z jakimś głębokim, wewnętrznym uporem:

— Bo myśmy, wiecie, cholernie się zawzięli na te Nowe Tychy...

Wracałam do Warszawy, nie wiedząc jeszcze zupełnie, co właściwie o Nowych Tychach myśleć. Już pierwsze zetknięcie z budową wykazało taką ilość spiętrzonych problemów i trudności, że dopiero teraz zrozumiałam, co miał na myśli inżynier Ligota mówiąc, że „lepiej chwilowo pisać o czym innym". Ale, ba! Żadna sztuka pisać o budowie, gdzie wszystko rozwija się w zasadzie harmonijnie i pomyślnie... Poczułem, że tak samo jak Górka zaczynam powoli „zawzinać się" na te Nowe Tychy. Właśnie dlatego, że trudne!

Natychmiast po powrocie poszłam do Centralnego Zarządu. Chciałam prosić naczelnego dyrektora o rozmowę. Ale, jak poinformowała mnie uprzejma sekretarka, naczelny wyjechał w teren, a w ogóle jest tak zajęty, że trudno będzie się z nim umówić. Zwróciłam się więc ponownie do inżyniera Ligoty.

W przeciwieństwie do przygnębiającego raczej nastroju, jaki panował w Nowych Tychach, tutaj nastrój był — o dziwo! — wspaniały!

Inżynier Ligota pełen był optymizmu i niecierpliwie machał ręką, gdy opowiadałam mu o swoich wrażeniach z budowy.

— Jasne! Jasne! O tym wszystkim

Centralny Zarząd dobrze wiedział. Przypomina sobie pani naszą pierwszą rozmowę? Mówiłem wtedy przecież, że sytuacja jest bardzo ciężka. I dziś jeszcze jest taka, ale wydaje nam się, że znaleźliśmy nareszcie właściwą kurację dla chorego!

— Oni właśnie oczekują pomocy od Centralnego Zarządu...

Ligota przechylił się ku mnie przez biurko, oczy jego błyszczały:

— Próbowaliśmy już na tysiąc sposobów. Zdaje się, że tysiąc pierwszy będzie naprawdę skuteczny. Robimy wielki eksperyment!

— Oni chcą pomocy, a nie eksperymentów! — powiedziałam, może trochę zbyt szorstko.

Roześmiał się.

— Zaraz wszystko wyjaśnię... Wie pani coś o Zjednoczeniu Budowlanym Bytom?

— Słyszałam, że to jest podobno najsilniejsze zjednoczenie na Śląsku.

— Nie „podobno", tylko na pewno! — poprawił. — Wszystko, co robił dotąd Bytom, było bez pudła. Otóż eksperyment polega na tym, że Zjednoczenie Bytom ma objąć opiekę nad młodym Zjednoczeniem Nowe Tychy. Co jest największą bolączką Tych? Brak okrzepniętego kolektywu. Otóż właśnie Bytom da im silny trzon, dokoła którego będzie mógł okrzepnąć zespół nowotyski... Konkretnie wygląda to tak, że do Nowych Tych idzie cały kolektyw: inżynier, kierownik budowy, trzej świetni kierownicy odcinków: Łukowicz, Chabrowicz i Kalina, kilku majstrów, około stu ludzi załogi! No, dla Bytomia dać tylu ludzi na czwarty kwartał — to... pani rozumie, co to znaczy? Ale powiadają, że dadzą radę i z własnym planem rocznym i z Tychami. A dla Nowych Tych to będzie zastrzyk świeżej krwi. Co ja mówię! Nie zastrzyk — transfuzja!

Pomyślałam w tej chwili o ludziach nowotyskich. O przemęczonym, bladym dyrektorze Karczmarkiewiczu, o wiecznie zaaferowanym i zabieganym Górce, o nieśmiałym, starym Machurze, o narzekającym inżynierze Jaśkiewiczu... Tak, im wszystkim na pewno przyda się transfuzja...

Inżynier Ligota ciągnął:

— Bytom zobowiązał się do końca roku wyprowadzić osiedle A na czyste wody i wykonać plan roczny, który jest poważnie zagrożony. Poza tym pokażą bardzo niezgranej ze sobą załodze Nowych Tych piękny styl pracy.

Zapytałam:

— A jak to będzie wyglądało od strony organizacyjnej?

Ligota pokręcił głową.

— Jak mówiłem, jest to pierwszy tego typu eksperyment. Trudno więc przewidzieć, jak ostatecznie ukształtuje się taki nowy twór. Na razie sprawa stoi tak, że ludzie z Bytomia przyjdą na najbardziej zagrożone, kluczowe pozycje, a więc przede wszystkim na kierownictwo odcinków budowy. Czy zostaną w Nowych Tychach na stałe, czy tylko przez pewien okres przeszkolą i podciągną pracowników nowotyskich, którzy będą mogli dzięki temu dalej prowadzić samodzielnie budowę — tego Centralny Zarząd jeszcze nie ustalił. To się okaże w praktyce. Wprawdzie nasz naczelny dyrektor twierdzi, że...

Zadzwonił telefon.

— Co? Już? — zapytał inżynier, spoglądając na zegarek. — Ale naturalnie, w tej chwili będę...

Wstał z krzesła i zaczął z pośpiechem zbierać papiery ze stołu.

— Pan nie dokończył, panie inżynierze — powiedziałam, zabierając się do wyjścia — co mówi o tym naczelny dyrektor?

— To już może kiedy indziej — uśmiechnął się przepraszająco — bo ja już naprawdę muszę lecieć...

Wyszłam z Centralnego Zarządu peł-

na otuchy i nadziei co do przyszłości Osiedla A. Trzeba będzie jak najszybciej pojechać do Nowych Tych. Samo życie pisało tam obecnie wspaniałą pointę mojego opowiadania o budowie.

Tak się jednak złożyło, że znalazłam się w Tychach dopiero po paru tygodniach od tej rozmowy, kiedy na Osiedlu A gospodarował już Bytom.

W baraku kierownictwa nie zastałam nikogo, okazało się, że dyrekcja, Podstawowa Organizacja Partyjna i Rada Zakładowa przeniosły się już do wykończonej części biurowca.

Biurowiec stał opodal placu budowy. Był to jednopiętrowy, obszerny, dwuskrzydłowy budynek, szerokim frontem zwrócony na wielkie pole stadionu. Wewnątrz panował jeszcze chaos, schody nie były wykończone i trzeba było drapać się po stromych sztagach, na korytarzach kładziono dopiero podłogi, wszędzie leżały kupy dosek i wiórów, sterty kafli do pieców, pomiędzy tym wszystkim kręcili się zaaferowani ludzie. Niektóre pokoje były już gotowe, tam właśnie urzędowało kierownictwo.

Odnalazłam drzwi, na których wisiała kartka z napisem „Dyrektor" i zamierzałam zastukać, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazał się kulisty tułów inżyniera Jaśkiewicza. Inżynier, trzymając jeszcze rękę na klamce, krzyczał:

— Więc kto tu ostatecznie rządzi? Wy czy Bytom?

Z głębi pokoju doleciał znużony głos dyrektora Karczmarkiewicza:

— Co ja na to poradzę? Czy to ja ich tu sprowadziłem?

— Kupa wariatów! — jęknął Jaśkiewicz i wypadł na korytarz, zostawiając otwarte drzwi do gabinetu. Nie widział mnie. Stał chwilę nieruchomo, trzymając się obu rękami za czarne wąsy, potem puścił w ruch swoje krótkie nóżki i potoczył się dalej, sapiąc:

— Rany boskie! Po co ja tu siedzę!

Zajrzałam przez uchylone drzwi. Dyrektor Karczmarkiewicz sidział sam, nad rozłożonymi na biurku papierami. Zobaczył mnie i uprzejmym, choć zmęczonym gestem zaprosił do wnętrza.

W świetle, padającym z okna, widać było wyraźnie, jak zmizerniał. Oczy miał zapadnięte i podkrążone ciemnymi obwódkami, policzki i wargi jeszcze bledsze niż dawniej.

— Chorzy jesteście, dyrektorze? — spytałam, zaniepokojona jego wyglądem.

Zaprzeczył powolnym ruchem głowy.

— Ależ wyglądacie jak z krzyża zdjęci!

— Wydaje wam się — rzekł bez przekonania. — Zresztą, z czego mam dobrze wyglądać?

— Nic nie rozumiem! Przecież chcieliście pomocy. Dali wam pomoc i to podobno pierwszorzędną.

Dyrektor Karczmarkiewicz milczał. W oczach jego, wpatrzonych w leżące na stole papiery, malował się wyraz najwyższego znużenia i rezygnacji.

Ktoś nacisnął mocno klamkę i do pokoju wpadł Górka z Rady Zakładowej.

— Towarzyszu, musimy natychmiast...

Zobaczył mnie, urwał.

— Aaa... to wy... cześć! Słyszeliście już, jak nas Centralny Zarząd pięknie urządził?

— Jakto?! — wyrwało mi się. — Przecież mówiliście, że naczelny...

Górka zrobił niecierpliwy ruch ręką.

— Wtedy mówiłem jedno, a teraz myślę drugie — powiedział gorzko. I, nie dając mi dojść do słowa, zwrócił się znowu do dyrektora:

— Musimy natychmiast..

Wyszłam z gabinetu, pełna zdumienia. Kontrast między entuzjazmem inżyniera Ligoty a nieoczekiwaną zupełnie reakcją kierownictwa Nowych Tych był

dla mnie zupełnie niezrozumiały. O cóż im, u licha, chodzi?!

Na placu budowy, tak samo jak i w biurowcu, panował nastrój jakiegoś przykrego zdenerwowania i rozprzężenia. Koło jednego z niewykończonych bloków wysoki, tęgi majster Zaręba o czerwonej twarzy perorował głośno, wymachując rękami przed samym nosem bladego, młodego technika, Ziarnistego:

— No widzicie? Samiście się przekonali! Jak Boga kocham, miał rację Leszczycki. Parobków z nas sobie porobili. Ja będę orał, tyrał, a oni potem nosa będą drzeć i premie zbierać!

Blady człowiek chciał coś wtrącić, ale majster mu nie dał:

— Ja wam tyle powiem, towarzyszu Ziarnisty, że tak jak was wykiwali, tak wykiwają nas wszystkich, całą budowę. Cholera jasna!

Jeden z robotników, oparty o łopatę i przysłuchujący się rozmowie, rzekł do majstra:

— Myślicie, towarzyszu Zaręba, że kto z nas pójdzie robić pod bytomskim majstrem? Majster Raniuch nam mówił, że...

Urwał, bo zza węgła muru wyszedł sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej, Borzemski, i zbliżył się do stojącej bezczynnie grupki.

— Nad czym tak obradujecie? — zapytał z uśmiechem, ale oczy jego bacznie spoglądały na rozczerwienione twarze.

— Niby to nie wiecie! — mruknął basem Zaręba.

Sekretarz lekko westchnął.

— Słuchajcie, gadaniem nic nie zwojujecie. O co wam zresztą idzie? W ambicję was zadrasnęli? No to co? Tu chodzi o ważniejsze sprawy niż wasza ambicja. Centralny Zarząd...

— Tylko mi nie mówcie o Centralnym Zarządzie — rzekł gwałtownie Zaręba. — Wiem, co mam myśleć. Chłopaki, idziemy na dziewiętnastkę — zwrócił się do robotników, i poszedł pierwszy wielkimi krokami, a za nim podążyli ludzie.

Sekretarz wyjął paczkę „Mocnych", zapalił z wyraźnym zdenerwowaniem. Podeszłam do niego.

— No widzicie — powiedział. — Ludzie się buntują przeciw bytomiakom. Może oni rzeczywiście za ostro się wzięli... licho wie... Choroba, sam tu jestem przecież od niedawna, trudno mi opanować sytuację.. Ciągle coś człowiekowi na łeb się wali. Jadę teraz do Pszczyny, do Komitetu Powiatowego, może tam coś uradzimy...

Odszedł, zachmurzony i zatroskany, tłumacząc coś Ziarnistemu, który się do niego przyłączył.

Pomyślałam sobie, że najwyższy już czas zobaczyć, jacy są ludzie z Bytomia.

Zapytałam przechodzącego właśnie majstra Raniucha, gdzie można znaleźć kierowników odcinków z Bytomia.

— A bo ja wiem! — odrzekł szorstko. — Nam nic do nich, a im do nas.

Raniuch był wysoki i chudy, jego inteligentna, zamyślona twarz o mocno wystających kościach policzkowych, odcinała się ciemnym bronzem opalenizny od niemal białej szyi, widocznej spod rozchylonego kołnierza.

Spróbowałam wciągnąć go w rozmowę na temat bytomiaków, ale Raniuch zbywał mnie półsłówkami i wzruszaniem ramion. Wyciągnęłam z niego wreszcie tyle, że „na budowie i tak pieski bałagan, a te chmyzy jeszcze go powiększą", że „trzeba było na głowę upaść, żeby coś podobnego wymyślić" i że on osobiście nie ma zamiaru z nimi współpracować, bo ludzi zna i życie też, i dobrze wie, co w tej trawie piszczy.

Więcej mówić nie chciał. Odmówił wspólnego wypalenia papierosa, odwrócił się ode mnie tyłem i poszedł w głąb budowy.

Zbliżyłam się do pracującej w pobliżu grupy betoniarzy i powtórzyłam pyta-

nie o bytomiaków. Odpowiedzieli niechętnie, że każdy z trzech kierowników urzęduje gdzie indziej, pokazali: Łukowicz tu, Chabrowicz tam, a Kalina tam, ale że złapać ich jest bardzo trudno.

Rzeczywiście, we wskazanych miejscach nie zastałam nikogo z bytomskiego kierownictwa.

— A cholera wie, gdzie oni są. Latają przecież, jakby im kto pieprzu nasypał — poinformował mnie jeden z kolejno zagadniętych robotników. — Podobno poszli do biurowca.

Ale w biurowcu też ich nie można było znaleźć. Owszem, był tu przed chwilą Chabrowicz, tędy przemknął Kalina, a tam ktoś widział Łukowicza.

— Oni są przecież jak żywe srebro!— powiedziała sekretarka dyrekcji i uśmiechnęła się, poprawiając sobie loczki. Westchnęła przy tym leciutko jakby do wszystkich trzech naraz. — Możliwe zresztą, że już odjechali. Oni przecież tu nie mieszkają.

Rzeczywiście, było już późno.

W sekretariacie dyrekcji stukała maszyna do pisania, sekretarka i goniec pilnie lizali nagumowaną taśmę, zaklejając nią jakieś zawiadomienia, które jeszcze dziś miały być rozesłane.

Po południu rozpogodziło się trochę i przez okno widać było, jak w skośnych, czerwonych promieniach jesiennego słońca idą ludzie z budowy do stołówki. Wiatr był widocznie silny, bo mężczyźni naciskali czapki na uszy, a dziewczęta odgarniały od twarzy fruwające końce kolorowych chustek, spod których wymykały się uparcie ciemne albo płowe, rozwiewające się włosy.

Tutaj, w sekretariacie było przytulnie i ciepło, od kaflowego pieca szły fale rozgrzanego powietrza. Przez uchylone drzwi sąsiedniego pokoju słychać było donośny głos męski, prowadzący rozmowę przez telefon. Nie widziałam mówiącego. Słyszałam tylko ten głos: rozgoryczony, nabrzmiały niechęcią, momentami ironiczny:

— O tak... bardzo jesteśmy zadowoleni, że Centralny Zarząd pomógł... niech ich diabli porwą! Nie słyszę... No właśnie, współpraca z Bytomiem układa się na krzywej płaszczyźnie... no, na pochyłej, rozumiecie? Zaczęło się źle, a jest coraz gorzej...

Rozmowa była widocznie zamiejscowa, bo głos wznosił się chwilami aż do krzyku:

— Tak, dobrze wam mówić! Nie siedzicie w tym wszystkim. A my w pewnych momentach jesteśmy zupełnie bezradni. Oni kierują meldunki bezpośrednio do Bytomia... Nasz wydział wykonawstwa jest zupełnie pomijany. Nasza dyrekcja jest zupełnie lekceważona!

Weszło paru ludzi i nie słyszałam już dalszego ciągu. Ktoś otworzył drzwi do pokoju, w którym był telefon. Spojrzałam zaciekawiona, ale zobaczyłam tylko szerokie, barczyste plecy i ciemną nad nimi czuprynę. Drzwi zamknięto. Nie chciałam pytać, kto telefonuje. Zresztą — po co? Był to przecież głos całych Nowych Tych. Dobitne podsumowanie wszystkich skarg i żalów.

Tego samego dnia, kiedy zapadł już wczesny zmierzch, przyjechał na budowę naczelny dyrektor Centralnego Zarządu z Warszawy.

Naczelny miał zapewne około czterdziestki, był szczupły, lekko szpakowaty. Uwagę zwracały jego oczy: spokojne, szare, przenikliwe. Miał zwyczaj, mówiąc z kimś, patrzeć mu prosto w oczy uważnym, skupionym spojrzeniem.

Naczelny, razem z kilkoma osobami, poszedł na obchód Osiedla A. Przyłączyłam się do nich. Niestety, z bytomiaków nie było nikogo: naczelny przyjechał niespodziewanie i załoga bytomska po skończeniu pracy odjechała ciężarówkami do domu.

Nowe Tychy wieczorem wyglądały

inaczej niż za dnia. W dzień osiedle rozbrzmiewało wielogłosem budowy: słychać było rozmowy i nawoływania, czasem jakieś pogwizdywanie albo wybuch śmiechu, świst roboczych kolejek, turkotanie ciągników, warkot betoniarek, czasem dźwięczne uderzenia młotkiem, albo głuche ciosy siekiery. Z głośników radiowęzła płynął spokojny, niski głos dispeczera, albo rozlegała się muzyka.

Teraz osiedle było zupełnie ciche. Między niebem a ziemią wisiał gęsty, listopadowy mrok. Jeszcze ciemniejsze od tego mroku były nierównej wysokości sześciany budujących się bloków. Od razu można je było odróżnić od zamieszkałych, które lśniły złocistymi prostokątami okien. Na firankach rysowały się wyraźnie cienie doniczkowych kwiatów. Czasem na tle światła pojawiała się jakaś sylwetka ludzka. Zza niektórych okien dolatywała muzyka radiowa, brzmiąca jakby z daleka, stłumiona szybami.

Wzdłuż drogi, wiodącej przez osiedle, w dość dużych od siebie odległościach, świeciły nowe latarnie. Pomiędzy jedną a drugą panoszyła się głęboka ciemność. Zaledwie oczy zaczynały się z nią oswajać i rozróżniać zarysy wyboistej, gliniastej drogi, już napływał nikły krąg światła z następnej latarni. Powietrze nasiąknięte było wilgocią, wiatr ściszył się i wiał teraz lekko, bezszelestnie, a przecież przejmował chłodem. Błoto chlupało pod nogami. W idącej powoli grupie odzywały się na zmianę głosy: bas majstra Zaręby, ściszony, ale głęboki głos naczelnego, zachrypnięty inżyniera Jaśkiewicza i przeplecione ze sobą półgłosy innych. I przez cały czas słychać było milczenie dyrektora Karczmarkiewicza.

Naczelny zadawał pytania, słuchał odpowiedzi, wydawał decyzje. W jakimś momencie zatrzymał się koło świeżo ukończonego budynku, do którego dwa tygodnie temu wprowadzili się już górnicy. Popatrzył na oceany błotnistej gliny, potem na swe długie buty, zabłocone aż po kolana i zapytał:

— A jak się dostają do tego domu mieszkańcy?

— Myśmy, towarzyszu dyrektorze, wysypali tu dokoła budynku ścieżkę z żużlu — padła odpowiedź.

— Nie widzę żadnej ścieżki — zauważył naczelny.

— A tutaj, o, pod samą ścianą.

— Aha. I ta ścieżka obiega budynek dokoła?

— Dokoluśka! — odpowiedziano z dumą.

— Ale przecież ludzie nie chodzą ciągle wokół budynku. Ja pytam, gdzie jest ścieżka, która wyprowadza poza teren budowy?

Pod latarnią zapadło zakłopotane milczenie. Wreszcie ktoś się odezwał z wielką pewnością siebie:

— Tam, z drugiej strony domu, jest taka ścieżka. Prowadzi do toru kolejki, a tor jest suchy i tamtędy ludzie wychodzą z osiedla.

Głos mówiącego był znajomy: był to ten sam człowiek, który rozmawiał przez telefon. Naczelny popatrzył w jego stronę:

— Zrobiliście tak? Świetnie. Zobaczmy, jak to wygląda.

Skierował się w stronę budynku.

— Towarzyszu dyrektorze — zaprotestował głos — tam jest zupełnie ciemno. I szkoda waszego czasu.

— Ja czas mam — odpowiedział pogodnie naczelny. — Chodźmy.

— Ale... — nie ustępował głos.

Naczelny już nie słuchał. Cała grupka szła za nim. Z każdym krokiem oddalaliśmy się od latarni, robiło się coraz ciemniej i coraz głębiej zapadaliśmy w glinę. Doszliśmy wreszcie do toru kolejki. Wydawało się, że nie może już istnieć głębsze i większe błoto, niż to, po którym szliśmy dotychczas. A jednak było: właśnie na torze! Nierówne,

oślizgłe podkłady, pozapadane w rozmiękły grunt, jedne głębiej, inne płyciej, tworzyły najgorsze wyboje. Co chwila chwytałam za ramię idącego obok majstra, żeby się nie przewrócić.

Naczelny wreszcie stanął. Nie było po co iść dalej. Żadnej ścieżki nie było.

Nikt nic nie mówił, słychać było tylko zakłopotane pochrząkiwanie towarzysza Górki. Po dłuższej chwili naczelny odezwał się spokojnie:

— Proszę, żeby jutro była zrobiona ścieżka. Od tego bloku do wyjścia z osiedla.

— Tak jest, towarzyszu dyrektorze — mruknął ktoś niepewnie a skwapliwie.

Naczelny podjął inny temat z taką naturalnością, jakby nic nie zaszło. Znowu zaczęliśmy iść. Obejrzałam się, żeby zobaczyć wyraz twarzy człowieka, który twierdził, że ścieżka istnieje. Ale choć wchodziliśmy w krąg światła latarni, zobaczyłam tylko zarys wysokiej postaci, chowającej się za plecy kolegów. Twarzy nie można było dojrzeć.

Obchód budowy trwał jeszcze długo. Wchodziliśmy do ciemnych wnętrz niewykończonych budynków, brnęliśmy pracowicie od jednego bloku do drugiego, przez całą długość osiedla, aż po jego kraniec, gdzie nisko przy ziemi przycupnęły hotelowe baraki. Mówiono o tysiącu spraw: o terminach i przerobach, planach i wykopach, kotłowni, i dostawach, stanach surowych zamkniętych i otwartych. Ale pod nurtem rozmowy fachowej wyczuwało się nurt drugi: przemilczeń i niedomówień. Mianowicie nie padło ani jedno słowo na temat Bytomia!

Było w tym coś nienaturalnego. W zestawieniu z rozmowami, prowadzonymi przez kierownictwo i załogę w ciągu dnia, to wieczorne przemilczanie najboleśniejszej sprawy wydawało się dziwne i przykre.

Kiedy, zatoczywszy koło po całym osiedlu, wracaliśmy do biurowca, przysunęłam się do idącego na końcu grupy majstra Zaręby i spytałam po cichu:

— Dlaczego nie powiecie nic o Bytomiu? — wzruszył niechętnie ramionami.

— A po co? Na jego pupilków przed nim się skarżyć? Przecież to on ich na nas napuścił. Nie miał do nas zaufania.

Naczelny, idący w tej chwili o kilkanaście metrów od nas i rozmawiający z Górką i inżynierem Jaśkiewiczem, w żadnym wypadku nie mógł słyszeć tych paru, szeptem zamienionych zdań. A przecież, jakby podejmując temat, odezwał się głośno, nie kierując swego pytania do nikogo personalnie:

— A jak wam się układa współpraca z Bytomiem?

Przez dłuższą chwilę jedyną odpowiedzią był tylko chlupot błota, potem ktoś mruknął z ciemności:

— Owszem... dobrze...

— Tak? — zapytał naczelny. — Nie macie żadnych uwag? Żadnych zarzutów?

Ciemność odpowiedziała paru niewyraźnymi słowami zaprzeczenia.

— Ano to dobrze — rzekł naczelny i zaczął mówić o czym innym.

Basowy głos idącego za mną majstra mamrotał niechętnie:

— Ot i troska o budowę. Powiesz mu byle co i wystarczy.

Ktoś inny dorzucił szeptem:

— Całkiem się zmienił. Miał rację Leszczycki.

Naprzeciw naszej grupy ktoś szedł szybko i raźnie, rozpryskując butami małe fontanny.

— Aaa! Dobry wieczór! — zawołał naczelny. — Otóż i jest ktoś z Bytomia.

Był to inżynier Mrożewski, którego znałam dotąd tylko ze słyszenia. Przyłączył się do naszej grupy i razem weszliśmy do biurowca. Ogarnęło nas ciepło i jasność. Ludzie zrzucali z siebie nasiąknięte wilgotnym wiatrem watowane kurtki, niektórzy ściągali długie,

gumowe buty, wszyscy rozsiedli się w pustym pokoju biurowym. Nie było to wprawdzie ani oficjalne zebranie, ani narada produkcyjna, ale przez dobrą godzinę toczyła się dyskusja rzeczowa, pełna liczb i technicznych wyrażeń. Brali w niej udział wszyscy, z wyjątkiem dyrektora Zjednoczenia Nowe Tychy, Karczmarkiewicza. Dyrektor Karczmarkiewicz nie usiadł, choć obok niego stało wolne krzesło. Oparty o stół, patrzył uparcie w ziemię. Na jego ustach, jakby sztucznie dolepiony, trwał nienaturalny uśmiech, który nadawał całej twarzy wyraz człowieka skrzywdzonego. Milczał przez cały czas. Wydawało się jednak, że to milczenie jest równie głośne jak głosy zebranych.

Za to inżynier Mrożewski odzywał się dość często, zawsze bardzo rzeczowo, czasem notował coś sobie w małym zeszyciku. Twarz miał jasną, okrągłą, zdobną w blond wąsiki, oczy też jasne, niebieskie, uważne. Robił wrażenie człowieka, którego wątroba i przewód pokarmowy funkcjonują znakomicie, a zatem jest spokojny i nie nerwowy.

Usiłowałam, z krzyżujących się pytań i odpowiedzi, z cyfrowych danych, wyłowić to, co było w nich najważniejsze. Trudno było. Całą uwagę przykuwał ten drugi, niedopowiedziany nurt dyskusji.

W pewnej chwili posłyszałam hardy, donośny głos „człowieka z telefonu". Teraz dopiero można było przyjrzeć mu się dokładnie. Był młody, muskularny, sprężysty w ruchach, opalona twarz pod brązowymi włosami była niezmiernie ruchliwa i wyrazista. Na pewno miał wielkie powodzenie u dziewcząt. Mówił szybko i namiętnie, jakby stale czymś podniecony. Gestykulował żywo, a gdy obracając się w stronę słuchaczy, chwytał za poręcz krzesła, robił to takim ruchem, jakby poskramniał nieujeżdżonego rumaka. Widocznie łatwo przeszedł do porządku dziennego nad sprawą nie istniejącej ścieżki, bo znowu zachowywał się, jak człowiek bardzo pewny siebie.

— Kto to jest? — zapytałam po cichu swego sąsiada.

— Kierownik działu zaopatrzenia, Leszczycki.

Leszczycki z werwą i swadą zreferował jakąś sprawę, domagając się od Centralnego Zarządu ponaglenia instytucji, opóźniającej dostawy belek stropowych. Naczelny dyrektor, potakując mu głową, zanotował coś sobie w terminarzu i nagle, najzupełniej nieoczekikiwanie rzucił pytanie:

— Towarzyszu Leszczycki, a jak wam się układa współpraca z bytomiakami?

Przez pokój jakby przebiegł prąd elektryczny. Wszyscy poprawili się na krzesłach, pochylili lekko w przód, wszystkie oczy utkwione były w kierownika zaopatrzenia.

Leszczycki, zaskoczony, rzucił szybkie spojrzenie na naczelnego, potem na inżyniera Mrożewskiego, chmurnie rozejrzał się po obecnych i ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami:

— No cóż? Dobrze... I pewno będzie coraz lepiej.

Przez pokój przeleciał leciutki szmer.

— Wszystko jest w zupełnym porządku? Nic więcej nie macie do powiedzenia? — pytał dalej naczelny, nie odrywając swych szarych, przenikliwych oczu od twarzy rozmówcy.

— Cóż ja? Dlaczego akurat ja? — odrzucił Leszczycki. — Może towarzysze mają coś do powiedzenia na ten temat.

Brzmiało to trochę wyzywająco. Nie wiadomo tylko, czy wyzwanie skierowane było pod adresem naczelnego czy zebranych.

— No, jakże, towarzysze? Kto chce zabrać głos? — rzekł naczelny.

Nikt się jednak nie kwapił. Był to widocznie dzień pod znakiem zakłopotań, chrząkań i przemilczeń.

— A wy, towarzyszu Górka? — zwró-

cił się naczelny do przewodniczącego Rady Zakładowej.

Górka rozłożył obie ręce, kościste i suche, patrzył na nie chwilę ze zmarszczonymi brwiami i odrzekł oględnie:

— Może i są jakieś tarcia... na początku to tak zawsze... ale się przecież przyzwyczaimy: my do nich, a oni do nas.

Dyrektor Karczmarkiewicz ciągle stał sztywno przy stole, patrząc niewidzącym wzrokiem w ciemność za oknem. Gdy usłyszał swoje nazwisko, wymówione teraz przez naczelnego, drgnął, jak człowiek zbudzony ze snu i odezwał się nieswoim, stłumionym głosem:

— Ja mam jedno tylko do powiedzenia.. i wy dobrze wiecie co, towarzyszu dyrektorze.

Wyciągnął ku naczelnemu jakąś kartkę. Papier leciutko szeleścił, jakby trzymająca go ręka drżała.

Trudno byłoby określić wyraz twarzy i spojrzenia, z jakim naczelny zwrócił się w stronę Karczmarkiewicza. Taki wyraz miewają czasem lekarze, gdy pod ich słuchawką bije chore serce człowieka.

Nie wiedziałam, o co chodzi, ani co zawiera papier, tkwiący w nerwowo zaciśniętej dłoni towarzysza Karczmarkiewicza. Inni jednak wiedzieli. Musieli wiedzieć. Mówił o tym sposób, w jaki patrzyli na obu dyrektorów. W ich spojrzeniach nie było ciekawości, świadczącej o nieświadomości sprawy. Było natomiast głębokie zainteresowanie: jaki obrót przybierze ta sprawa?

Cisza trwała prawdopodobnie zaledwie parę sekund, ale wtedy wydawała się bardzo długa. O wiele za długa. Kilku spośród obecnych poruszyło się niespokojnie, jakby mieli ochotę wyjść i zostawić tych dwu ludzi samych — jak w lekarskim gabinecie. Niewątpliwie tkwiło w tej sprawie coś, co kwalifikowało ją, przynajmniej w tym momencie, do rozmowy w cztery oczy.

— Towarzyszu — odezwał się naczelny, a brzmienie jego głosu stało się głębokie i ciepłe. — Przecież mówiliśmy już o tym. I znowu do tego wracacie?

Nie wziął podawanej mu kartki i Karczmarkiewicz wolno opuścił wyciągniętą rękę.

Tuż za moimi plecami rozległ się cichutki, niewyraźny szept:

— Najpierw awansują robociarza, a potem...

Szept stał się niedosłyszalny.

— Cicho! — syknął ktoś drugi.

Naczelny zwrócił się teraz w stronę inżyniera Mrożewskiego.

— A co powie przedstawiciel Bytomia o współpracy z Tychami?

Mrożewski, który rozpalał właśnie fajeczkę, cmokając i pykając, rozejrzał się uważnie po twarzach zebranych, jakby coś sobie obliczał i, wypuszczając ogromny kłąb dymu z rozżarzonej już fajki, rzekł powoli:

— Ja, panie kolego, jestem zadowolony. Czemuż nie miałbym być zadowolony? Oczywiście, istnieją jakieś drobne tarcia, o których wspominał tu pan kolega z Rady Zakładowej, ale ja również mam nadzieję, że to minie i wszystko ułoży się jak najlepiej.

Była to jedyna, jak dotąd, odpowiedź wygłoszona z całkowitym spokojem. Nie znaczy to bynajmniej, żeby była szczera. Wydawało się absolutnie niemożliwe, aby przy tak niechętnym, wrogim niemal nastawieniu, jakie istniało wśród ludzi z Nowych Tych w stosunku do Bytomia, ludzie z Bytomia nie mieli nic „na wątrobie". Wypowiedź ta robiła wrażenie, że inżynier Mrożewski podchwycił taktykę przemilczania, stosowaną przez kontrpartnerów. Może uważał za niekoleżeńskie wysuwanie zarzutów przeciw ludziom, którzy ani na niego, ani na jego instytucję nie chcieli się głośno skarżyć. Przyjął widocznie ich platformę rozegrania konfliktu: Nowe Tychy — Bytom, wew-

nętrznie, bez ingerencji Centralnego Zarządu.

— A więc dobrze — rzekł naczelny swoim przyciszonym głosem. Zakręcił wieczne pióro, złożył notatnik i wsunął go do kieszeni. Ludzie poruszyli się, ten i ów sięgnął po leżącą opodal czapkę, rozległo się szuranie nóg. Wyrazy twarzy były różne. Na jednych malowała się ulga, na innych gorycz i wyraźne rozczarowanie: więc tak miało się skończyć pierwsze spotkanie z naczelnym po objęciu gospodarki przez Bytom? Górka z Rady Zakładowej otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, spojrzał na Leszczyckiego i widocznie się rozmyślił, bo machnął tylko ręką i ze zrezygnowaną miną zaczął zapinać swoją watowaną kurtkę. Wszyscy czekali, aż naczelny wstanie i da sygnał zakończenia rozmowy. Ludzie zaczęli półgłosem rozmawiać między sobą.

Naczelny zdawał się nie widzieć i nie słyszeć tego wszystkiego. Siedział nieruchomo, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na leżące przed nim pudełko „Sportów". Zupełnie nieoczekiwanie, innym niż dotąd tonem, powiedział:

— A więc dobrze. Jeśli wy, towarzysze, nie chcecie mówić, to ja będę mówił.

Szmery i szepty ucichły, urwane w pół słowa.

— Nie jesteście szczerzy. Nie chcecie być szczerzy. Dlaczego?

Powiódł uważnym wzrokiem po zebranych. Nie wszyscy wytrzymali to spojrzenie. Ten i ów odwrócił głowę, albo poruszył się, jakby mu się naraz niewygodnie zrobiło na krześle.

Naczelny powiedział:

— Przecież ja sobie doskonale zdaję sprawę z tego, co w tej chwili przeżywacie i co myślicie. Powiedzmy sobie otwarcie, towarzysze. Jest ciężki moment? Jest! Są zadrażnienia między wami a Bytomiem? Są. Macie do mnie żal? Macie. A przecież mówiliście tu o wszystkim, tylko nie o tym.

Mówił powoli, cicho, ale niesłychanie sugestywnie. W tym ściszonym głosie było coś, co przykuwało uwagę znacznie silniej, niż namiętny ton Leszczyckiego. Naczelny w niewielu słowach odmalował znaczenie atmosfery, jaka panuje na budowie.

— A dzisiejsza rozmowa — mówił — jest sygnałem, że wytworzyła się tutaj atmosfera zła i szkodliwa. Takiego sygnału nie wolno lekceważyć, bo sytuacja, dziś niewyraźna i przykra, jutro może stać się groźna dla Nowych Tych. Musimy, towarzysze, zdać sobie jasno sprawę i ani przez chwilę nie zapominać, że takie zaognione sytuacje i rozgrywki ambicjonalne, mogą być zupełnie celowo podsycane i wykorzystywane przez tych, którzy chcą szkodzić budowie.

— I dlatego — kończył — zwracam się do was, jako do towarzyszy i kolegów budowlanych: musimy tę atmosferę przełamać i oczyścić. Potrzebna nam jest prawda. I tylko prawda. Potrzebna jest szczerość, towarzysze.

Umilkł. Znowu zrobiło się cicho. Ale była to już cisza inna niż to zakłopotane milczenie, które nieraz zapadało podczas dzisiejszego dnia. W tamie, która jeszcze przed chwilą dzieliła obecnych od naczelnego, został zrobiony pierwszy wyłom. Czy i kto go teraz poszerzy? Górka i Zaręba wyglądali tak, jakby układali sobie w myśli, co mają powiedzieć. Jeszcze sekunda — a zabiorą głos. Ale nikt nie zdążył się odezwać, kiedy Leszczycki, który kręcił się niespokojnie, nagle zrobił głośny, głęboki wdech, jakby miał zamiar dać nurka i zaczął wyrzucać z siebie szybko i głośno:

— Ma być szczerość? To będę mówił szczerze. Na początku jedno. Żebyście nie myśleli, towarzyszu dyrektorze, że mnie chodzi o siebie. Mnie wszystko jedno. Jak nie będę tutaj, to będę gdzie indziej. Zawsze znajdę i robotę i stanowisko. Ale mnie chodzi o towa-

rzyszy. Ja nie chcę krytykować tego zarządzenia, że do nas przyszedł Bytom. Tak zadecydowała partia, tak zadecydował Centralny Zarząd, znaczy, że to jest słuszne. Chociaż ja osobiście uważam, że moglibyśmy się bez nich obyć i bez nich plan roczny wykonać. No, są tutaj — trudno. Ale ich nastawienie jest złe. Oni nas lekceważą. Traktują jak swój folwark. Rządzą się jak szare gęsi. Taki przykład: na I odcinku potrzebują gwoździ. To ten Łukowicz, kierownik I odcinka, zamiast mnie o tym zameldować, idzie wprost do magazynu i żąda. I żeby się chociaż po ludzku odezwał! Skąd! O te parę kilogramów gwoździ takiego szumu narobił, że się szyby trzęsły. Czy on jest dziedzic, a nasz magazynier jego parobek? A on z pyskiem, z wrzaskiem, z trzaskiem. Po wyjściu z magazynu jeszcze tak wrzeszczał...

— Po wyjściu z magazynu jeszcze krzyczał — powtórzył naczelny.

— Krzyczał! — potwierdził Leszczycki, z nutką zaniecierpliwienia w głosie. — A innym razem...

— A gwoździe dostał? — przerwał mu naczelny.

Leszczycki stropił się.

— No... tego... zdaje się nie było takich, jak chciał...

— Więc nie dostał. Mówcie dalej, towarzyszu...

— No więc — Leszczycki usiłował pochwycić przerwany wątek, ale nie szło mu. Twarz miał nadąsaną i obrażoną. Przełknął wreszcie głośno ślinę raz i drugi, zakaszlał. Ten moment wykorzystał technik Ziarnisty, długonogi, wychudzony młody człowiek, o twarzy bladej i wielkich, ciemnych oczach.

— To może ja teraz? — zwrócił się w stronę naczelnego. Głos miał jak i całą postać: nikły i wątły. Chwilami lekko się jąkał. Mówił wolno i z przystankami, jakby wahająco.

— Wiadomo, że było niedobrze, że nie wykonywaliśmy planu. Nasza dyrekcja prosiła Centralny Zarząd o pomoc. No dobrze. Ale myśleliśmy, że ta pomoc to będzie usprawnienie dostaw, zwiększenie załogi i kadr technicznych. A tymczasem fakt jest taki, że po prostu przyszło nowe kierownictwo. No dobrze. Ale co to pomoże? Bo ja wiem, może oni są tacy fachowcy, że z niczego potrafią coś zrobić? Ja tam w to nie wierzę.

Westchnął i wzruszył ramionami.

— Powiem od swojej strony. Byłem kierownikiem odcinka. No dobrze. Planu nie wykonałem, to prawda. Ale jak miałem ten plan wykonać? Zamiast stu ludzi miałem czterdziestu pięciu. DMS-ów nie było. Zapraw nie było. Zresztą co ja będę wyliczał... wszyscy wiemy, czego nie było. No dobrze. Napazurował się człowiek jak ten koń, a potem przychodzi obywatel Chabrowicz z Bytomia i powiada: zdawaj odcinek! No to zdałem. Może ja rzeczywiście jestem już taki ostatni, że nic nie potrafię... Ale zobaczymy, co Chabrowicz potrafi!

Rozległ się niewyraźny szmer współczującego potakiwania. Ludzie kiwali głowami na znak pełnej aprobaty. Leszczycki, który zdążył już odzyskać kontenans, podniósł rękę do góry i od razu zaczął z rozpędem:

— Towarzyszu dyrektorze, wyście mnie źle zrozumieli z tymi gwoździami... — a widząc coś na kształt leciutkiego uśmiechu na ustach naczelnego, dodał szybko, jakby bojąc się, żeby mu kto nie przerwał: — Mnie nie tyle chodzi o fakty, bo fakty są tylko ilustracją, ile o tę właśnie atmosferę, o której mówiliście... Może myślicie, że to tylko wśród kierownictwa, że nami kieruje zazdrość albo uprzedzenie. Ale wystarczy przejść się po budowie i posłuchać, co mówi załoga. Ludzie chcą rzucać robotę, mówią, że z Bytomiem nie sposób pracować. Co tu ukrywać — chcieliście prawdy,

to powiem prawdę: atmosfera w stosunku do Bytomia jest wroga. Taka atmosfera nie sprzyja robocie!

— Taka atmosfera nie sprzyja robocie — powtórzył naczelny powoli. — A co wy, towarzyszu, zrobiliście, żeby tę atmosferę rozładować?

— Ja? Ja? — żachnął się Leszczycki. — Cóż... robiłem co mogłem...

— Żeby jeszcze gorzej jątrzyć! — odezwał się nagle dudniący bas.

Zwróciliśmy się wszyscy w stronę, gdzie oparty o piec siedział majster Zaręba. Nie wiadomo czy od gorąca, czy ze zdenerwowania, twarz jego była czerwona jak cegła. Odsapnął ciężko, oparł wielkie, żylaste ręce na rozstawionych szeroko kolanach.

— Mogę mówić, towarzyszu dyrektorze? Dobrze, to ja odpowiem towarzyszowi Leszczyckiemu. Wyście, kierowniku, z całkiem złej beczki zaczęli. Wyście tu nam powiedzieli, że wam jest wszystko jedno, jak nie będziecie w Nowych Tychach, to gdzie indziej też znajdziecie stanowisko. To takie buty? Ładny bajc! Mnie tam nie jest „wszystko jedno". Ja tu przyszedłem nie po to, żeby robotę rozbabrać i innym zostawić, tylko żeby skończyć.

Znowu posapał chwilę, wytarł głośno nos wielką, niebieską chustką, wepchnął ją do kieszeni i ciągnął:

— Towarzysz dyrektor wezwał nas do szczerości. Ale ja po robociarsku rozumuję tak: jemu nie chodzi o to, żebyśmy tu płakali, że się nam nie podoba wrzeszczenie Łukowicza albo nos innego faceta z Bytomia, tylko żebyśmy powiedzieli uczciwie, co nas naprawdę gryzie, tak jak Ziarnisty powiedział. Dobrze was zrozumiałem, towarzyszu dyrektorze?

Naczelny skinął potakująco głową.

— Dobra jest — podjął Zaręba. — Ziarnisty powiedział, że jego boli, że go wywalili z odcinka i to w moim rozumieniu jest szczere, a towarzysz Leszczycki nie mówi, co go boli, tylko się niby ujmuje za towarzyszami, a co oni języka w gębie nie mają? I to jest w moim rozumieniu całkiem nieszczere. A po drugie i towarzysz Leszczycki i my wszyscy całkiem co innego mamy na wątrobie. I ja o tym właśnie powiem, bo inaczej, to my tej atmosfery nigdy nie...

Urwał. Jeszcze bardziej pochylił się w przód, jeszcze silniej wparł się rękami w kolana. Patrząc prosto w oczy naczelnemu wyrąbał:

— To ja proszę o odpowiedź. Czy to, że bytomiaki do nas przyszli, to znaczy że my wszyscy idziemy w odstawkę? Że jesteśmy do chrzanu? Że już nie będziemy samodzielnym Zjednoczeniem Nowe Tychy, tylko jakimś tam zarządem, którym rządzi Zjednoczenie Bytom?

Nareszcie zostało obnażone sedno sprawy! Wszystkie oczy zawisły na twarzy naczelnego, jakby chciały wyczytać odpowiedź, zanim jeszcze padnie jakiekolwiek słowo.

W tym właśnie momencie największego napięcia, za drzwiami rozległy się pośpieszne, głośne kroki. Do pokoju wszedł Borzemski, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej. Był zdyszany i zarumieniony, razem z nim wtargnął do zadymionego wnętrza powiew jesiennej wilgoci i prąd chłodnego, świeżego powietrza.

— Zadzwonili do mnie, do Pszczyny, że jesteście, towarzyszu dyrektorze, byłem tam w Komitecie Powiatowym. Nie mogłem wcześniej, bo wóz nawalił i musiałem czekać na pociąg.

Usiadł i zwrócił się do Ziarnistego:

— Daj papierosa. Tak się śpieszyłem, że zapomniałem kupić.

— Szkoda, że was nie było — rzekł naczelny. — Omawialiśmy wiele ważnych spraw.

— Nie wiem, o czym towarzysze rozmawiali — powiedział Borzemski, z wi-

doczną przyjemnością zaciągając się „Mocnym“ — ale ja uważam, że koniecznie musimy omówić z wami, towarzyszu dyrektorze, sprawy współpracy z Bytomiem. Cholera wie, co się tu porobiło. To trzeba postawić zupełnie otwarcie, a nie jak dotąd, szurać po kątach. Z takiego szurania jeszcze nigdy nic dobrego nie wyszło.

— Czekajcie, sekretarzu — przerwał mu niecierpliwie Zaręba — bo właśnie towarzysz dyrektor w tej sprawie...

Naczelny rzekł:

— Właśnie o tym mówimy. Z wami porozmawiam obszerniej jutro, towarzyszu Borzemski. A teraz odpowiadam na zasadnicze pytanie towarzysza Zaręby. Czy Zjednoczenie Nowe Tychy zostanie Zjednoczeniem, czy zostanie przekształcone w zarząd w ramach Zjednoczenia Bytom? Odpowiem szczerze: nie wiem!

Ludzie poruszyli się niespokojnie, Leszczycki patrzył na mówiącego z jawnym niedowierzaniem, Zaręba i Górka pełni byli zdumienia, Ziarnisty spoglądał to na dyrektora to na kolegów, jakby chcąc się upewnić, że dobrze słyszał. Inżynier Jaśkiewicz nie odrywał oczu od swego papierosa. Po twarzy dyrektora Karczmarkiewicza, który ciągle jeszcze stał, nie można było poznać, czy słyszał choć jedno słowo z dotychczasowej dyskusji. Jeden tylko inżynier Mrożewski nie utracił zwykłego spokoju. Leszczycki patrzył teraz zmrużonymi oczyma na kolegów, na ustach miał ironiczny grymas, jakby chciał powiedzieć: — Macie szczerość! Ten was dopiero kiwnął!

Naczelny wytrzymał chwilę pauzy, uśmiechnął się i powtórzył:

— Nie wiem! Mówię naprawdę szczerze, towarzysze. To zależy przecież tylko i wyłącznie od was.

— Jakto?! — wyrwał się zdenerwowany Zaręba.

— Zwyczajnie. To nie jest sprawa, którą Centralny Zarząd może rozstrzygnąć już teraz, z góry. To się okaże przy końcu roku, zależnie od wyników i stylu waszej pracy. Od rezultatów, jakie da współpraca z bytomiakami.

— Znaczy, taki egzamin dla nas?—zapytał pochmurnie Zaręba, który słuchał ostatnich słów z rozchylonymi ustami i ręką przytkniętą do ucha, jakby bał się uronić choć jedną sylabę.

— Idź, Zaręba, na egzamin, po tylu latach majstrowania — powiedział półgłosem Leszczycki.

Naczelny ściągnął brwi.

— Towarzyszu Leszczycki — rzekł nie podnosząc głosu, a przecież zabrzmiało to niespodziewanie ostro — wy już dzisiaj kilka razy obcięliście się na egzaminach. Na ten temat lepiej nie mówcie. Możecie — zwrócił się do reszty słuchających — nazwać to jak chcecie. Egzaminem, próbą, sprawdzianem. Ja bym to nazwał egzaminem z socjalistycznego stosunku do pracy. Każdy z was mówi: ja, my, i znowu ja! Czyście zapomnieli, co my tu właściwie budujemy? Przecież my budujemy miasto dla górników!

Naczelny zgasił niedokończonego papierosa, ale natychmiast sięgnął po nowego. Dopiero ten gest ujawnił, że i on ma nerwy. Najbliżej siedzący Ziarnisty podsunął mu płonącą zapałkę z takim wyrazem twarzy, jakby mówił: — no już dobrze, przecież rozumiemy...

— Ta próba — podjął naczelny, wracając do zwykłego tonu — będzie przecież...

— i dla bytomiaków próbą — wtrącił sekretarz.

— Oczywiście! — przytaknął naczelny. — Sytuacja była taka: roczny plan jest wyraźnie zagrożony. Dotychczasowe środki zaradcze, które proponował towarzysz Ziarnisty, były przecież nieraz już na tej budowie stosowane. Nie pomogły. Wiecie o tym sami. I dlatego Centralny Zarząd postanowił wzmocnić Nowe Tychy kadrami i załogą zjedno-

czenia bardzo silnego i okrzepłego wewnętrznie, jakim jest Bytom. To przecież jasne. Równie jasne — tu uśmiechnął się — jak to, że w takiej sytuacji musiały zaistnieć tarcia i nieporozumienia. Myślę, że dziś wyjaśniliśmy sobie sporo nawzajem. I myślę, że towarzysze zobowiążą się, że będą ze wszystkich sił zwalczać objawy tej szkodliwej atmosfery. Pamiętajmy, że chodzi nie tylko o osiedle A. Pamiętajmy, że w przyszłym roku rozpoczynamy już Osiedle B. A potem następne, towarzysze!

— No cóż — zaczął basem Zaręba — że towarzysz naczelny ma rację, to ja wiem, pewnie... Ja tam się zobowiązuję... Tylko, wiecie, ja tych cholerskich bytomiaków tak nie znoszę, że nie wiem!

Ostatni zwrot był tak nieoczekiwany i wygłoszony z takim żalem i głęboką szczerością, że wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nastąpiło ogólne odprężenie. Nawet inżynier Mrożewski wyszedł ze swojej zwykłej rezerwy i śmiał się na całe gardło, zapominając o gasnącej fajeczce.

— A toście mi, panie kolego, przygadali — mówił przerywanym głosem. — Ale jeszcze się, panie kolego, zaprzyjaźnimy. Zobaczycie!

— Nic nie zobaczę — mruknął uparcie majster, ale i on dał się porwać ogólnej fali wesołości, bo pomidorowa twarz mu drgnęła, a kąciki warg zaczęły się podnosić w krzywym jeszcze, ale już uśmiechu.

Naczelny spojrzał na dyrektora Karczmarkiewicza i przestał się śmiać. Zapomniany przez wszystkich, z tym samym co na początku zebrania bolesnym wyrazem twarzy, Karczmarkiewicz patrzył za okno, gdzie poza jedną, ogołoconą z liści gałęzią nic nie było widać. Naczelny pochylił się w jego stronę:

— Towarzyszu! — powiedział półgłosem.

Wesoły gwar ścichł w mgnieniu oka. Dyrektor Karczmarkiewicz oderwał wzrok od gałęzi i zaczął patrzeć na podłogę, unikając spojrzeń kolegów.

— Widać... marny ze mnie towarzysz... — odezwał się cicho — bo się całkiem... wykończyłem...

Głos miał zdrewniały, jakby mu w gardle zaschło.

— Musicie wziąć się w garść! — rzekł stanowczo sekretarz Borzemski. — I dlaczego wy stoicie? Przecież tu jest krzesło. Zmęczeni jesteście.

Energicznym ruchem przysunął krzesło i wziął dyrektora za ramię, chcąc go nakłonić, żeby usiadł. Karczmarkiewicz poruszył przecząco głową, odsunął dłoń Borzemskiego.

— Zmęczony bardzo jestem... Ale nie od stania — rzekł cicho.

Trwał tak chwilę, przygarbiony, z opuszczoną głową.

— Towarzyszu! — zwrócił się nagle do naczelnego szeptem, który wydał się niemal krzykiem. — Towarzyszu! Jestem... prosty robociarz... nie dam rady... Wyście mnie mianowali dyrektorem. Przyjmijcie nareszcie... tę... dymisję...

I znowu wyciągnął rękę z arkuszem. Ktoś westchnął. Naczelny powolnym ruchem, jakby bał się urazić Karczmarkiewicza w bolesne miejsce, wziął papier i położył na stole.

Zapadła głęboka cisza. Naczelny odłożył palącego się papierosa. Przesunął ręką po czole. Twarz jego miała wyraz niezwykłego skupienia. Wstał. Spojrzał dyrektorowi prosto w oczy mocnym, otwartym spojrzeniem:

— Towarzyszu! To nie ja was mianowałem.

Karczmarkiewicz zamrugał znużonymi oczami. Rozciągając sylaby, jak człowiek zupełnie wyczerpany, zapytał powoli:

— Jakto... nie... wy...?

Naczelny, nie odrywając od niego

wzroku, powiedział głosem cichym i głębokim:

— Nie. Nie ja. Partia!

Nastąpiła długa pauza. Nikt z obecnych nawet nie odetchnął głośniej. Wszystkie oczy wbite były w ziemię. Gdzieś, daleko, zagwizdał parowóz i rozległ się szum odjeżdżającego pociągu.

Karczmarkiewicz powtórzył bezdźwięcznie:

— Partia...

Znowu głos naczelnego:

— Tak, towarzyszu. Nasza partia.

I po chwili:

— Ja tej dymisji przyjąć nie mogę, towarzyszu.

Dyrektor Karczmarkiewicz milczał. Naczelny dorzucił:

— Dopóki nie wypełnicie waszych zadań na tej budowie.

Po twarzy Karczmarkiewicza przelatywały nerwowe drżenia. Otworzył usta raz i drugi, ale głos mu nie dopisał. Oddychał teraz głośno i z trudem. Stojący tuż przed nim naczelny ani przez sekundę nie odrywał od niego wzroku. Po długim dopiero czasie Karczmarkiewicz zdołał przemówić:

— Ja zawaliłem... robotę... ale... jeżeli...

Głos załamał mu się. Ledwo dokończył:

— ...to zostanę... dopóki... trzeba..,

Naczelny wziął papier i oddał Karczmarkiewiczowi. Dyrektor mocno zagryzł wargi. Jeszcze przez chwilę zdawało się, że rzuci arkusz na ziemię. Ale nie. Złożył kartkę drżącymi lekko palcami i schował do kieszeni. Teraz dopiero ciężko usiadł, opierając głowę na obu rękach.

Naczelny wrócił na swoje miejsce. Twarz jego wydała się naraz ogromnie zmęczona. Wziął z popielniczki niedopalonego papierosa, który oczywiście dawno już zgasł, zapalił go i zaciągnął się bardzo głęboko. Powiedział:

— Myślę, towarzysze, że na dziś skończymy. Chyba, że ktoś z was ma jeszcze jakąś sprawę...

Odczekał chwilę, ale nikt się nie odezwał.

— W takim razie dziękuję, wam, towarzysze. Do widzenia.

Zaszurały odsuwane krzesła. Ludzie wstawali, rozprostowując kości. Do naczelnego podszedł jeszcze Górka, przynosząc jakieś papiery do podpisu. Zebrani wychodzili powoli z pokoju, rozmawiając półgłosem. Naczelny powiedział do Górki: — Chwileczkę! — i rozejrzał się po pokoju, szukając kogoś Ujrzawszy przy drzwiach Karczmarkiewicza, szybko podszedł do niego:

— Towarzyszu dyrektorze, chciałbym jeszcze z wami pomówić. W waszym gabinecie, dobrze? Za chwilę przyjdę.

Karczmarkiewicz spojrzał na niego udręczonymi oczami i kiwnął głową. Przez otwarte drzwi widać było, jak powoli przeszedł przez sekretariat i wszedł do swego pokoju.

Naczelny patrzył za nim przez moment, potem wrócił do stołu, przy którym cierpliwie czekał Górka. Zbliżył się ku nim Borzemski. Zaczął mówić coś z przejęciem, ale po cichu. Doleciały mnie tylko fragmenty:

— ...przecież on się wykończy... ja bym od razu puścił... niech jedzie na urlop...

Zniżył głos. Koło mnie stali Zaręba i Ziarnisty. Udawaliśmy, że rozmawiamy między sobą, ale wszyscy troje niedyskretnie nastawialiśmy uszu. Zaręba mruknął:

— I pewnie! Po co chłopa męczyć!

— A potem do innego zakładu pracy — rzekł trochę głośniej sekretarz.

Teraz rozległ się ściszony, ale wyraźnie brzmiący głos naczelnego.

— W żadnym wypadku! Nie możemy go stąd puścić teraz, kiedy jest załamany. Musimy go podtrzymać, pomóc mu. On musi swoją robotę tutaj wykonać.

Dopiero wtedy... Rozumiecie mnie, towarzyszu?

Borzemski zamyślił się.

— Nie może stąd odejść załamany! — powtórzył z naciskiem naczelny.

— Macie rację! — rzekł nagle sekretarz, uderzony widocznie słusznością rozumowania.

Siedzieliśmy jeszcze długo z Borzemskim, Górką i Zarębą w opustoszałym pokoju. Naczelny miał nas odwieźć autem do Katowic. Wprawdzie sekretarz i Górka mieszkali tutaj, na osiedlu, ale jutro mieli od samego rana załatwiać jakieś sprawy w Komitecie Wojewódzkim i postanowili przenocować u znajomych w Katowicach. Mówiliśmy niewiele. Za to często spoglądaliśmy na zamknięte starannie drzwi gabinetu, w którym naczelny rozmawiał z dyrektorem Karczmarkiewiczem.

— Jego dobiła ta historia z Węgrzynowiczem — mruknął Zaręba w odpowiedzi na nurtujące mnie od kilku godzin pytanie, które dopiero teraz mogłam głośno zadać.

— To o tej właśnie sprawie nie chcieliście mówić, kiedy byłam tu pierwszy raz? — spytałam sekretarza.

— Wtedy nie było jeszcze o czym mówi... komisja dopiero zaczynała sprawdzać.

— Cicho! — rzucił nagle Górka, pochylając się w przód. Zaczęliśmy nadsłuchiwać. Spoza drzwi dolatywały stłumione głosy, ale słów rozróżnić nie było można.

— Nic, nic, mówcie dalej — rzekł Górka — Zdawało mi się, że już kończą.

— Ale gdzie tam! — wzruszył ramionami Zaręba.

Urywanymi zdaniami, często zatrzymując się, aby z niepokojem posłuchać niewyraźnych odgłosów, dochodzących z gabitetu, Górka zaczął opowiadać. W skrócie cała sprawa wyglądała tak: inżynier Węgrzynowicz był jednym z nielicznych fachowców, którzy zgłosili się do Nowych Tych z dobrej woli, a że z poprzedniego miejsca pracy opinię miał dobrą, więc kierownictwo przyjęło go z otwartymi ramionami, zwłaszcza dyrektor, który, nie mając dotąd silnego podparcia technicznego, miał ogromne trudności w kierowaniu budową. Węgrzynowicz szybko zdobył sobie zaufanie Karczmarkiewicza, przed którym roztaczał coraz to nowe projekty uzdrowienia budowy. Zdobył sobie również tanią popularność wśród niektórych robotników jako „swój chłop", chodząc stale w uwalanej wapnem „fufajce" — i, jak się potem dopiero okazało, gęsto z nimi popijając. Borzemskiemu ani Górce się nie podobał, ale nic konkretnego nie mogli mu zarzucić. a plan miesięczny został jednak mocno podciągnięty. Kiedy załoga podejmowała zobowiązania, aby nadrobić zagrożony plan kwartalny, Węgrzynowicz wysunął projekt podjęcia zobowiązań bardzo wyśrubowanych. Mimo ostrzeżeń sekretarza, Karczmarkiewicz zobowiązania te podpisał.

— Rozumiecie? — przerwał w tym miejscu Górce sekretarz. — Wziął na siebie odpowiedzialność, choć tłumaczyliśmy mu z inżynierem Jaśkiewiczem, że te zobowiązania w naszych warunkach nie są realne.

— Uch! — rzekł, ożywiając się Zaręba. — To była narada, aż drzazgi szły! Węgrzynowicz wyskoczył wtedy na nas, od „minimalistów" wymyślał, bajerował, powiadam wam, aż się kurzyło: że drugie w Polsce socjalistyczne miasto musi na cały kraj przykładem świecić a nie wlec się pod planem, w ogóle co drugie słowo u niego to był socjalizm, Plan 6-letni albo partia...

Majster zapalił się i zaczął mówić głośno. Sekretarz uniósł w górę rękę, patrząc na zamknięte drzwi i Zaręba urwał. W gabinecie panowała teraz zu-

pełna cisza. Nie dochodził ani jeden dźwięk.

— Co tam się zrobiło? — szepnął ledwo dosłyszalnie Borzemski.

Zaręba wstał i na palcach, ostrożnie, tłumiąc skrzypienie grubych butów, zbliżył się do drzwi. Stał tak chwilę, nasłuchując ze zmarszczonymi brwiami, wreszcie rozłożył ręce i spojrzał na nas pytająco. Z taką samą ostrożnością wrócił i usiadł koło nas.

— Nic nie słychać! — wyszeptał takim tonem, jakby to była dla nas wielka nowina.

Skupieni blisko siebie przy stole, wyglądaliśmy jak rodzina chorego czekająca w napięciu na wynik operacji pod drzwiami sali chirurgicznej.

Wreszcie rozległ się trochę zachrypnięty, przerywany głos Karczmarkiewicza i zaraz potem niski głos naczelnego, brzmiący sugestywnie i miękko. Odetchnęliśmy, spojrzeliśmy po sobie.

— No! — rzekł z wyraźną ulgą Zaręba. — A ja już myślałem, że...

Nie dokończył, zrobił tylko jakiś ruch ręką.

— O czym to ja mówiłem? — zapytał Górka. — Aha.. no więc towarzysz Karczmarkiewicz te zobowiązania podpisał i od tej chwili na budowie sądny dzień nastał. Nie schodziliśmy z roboty w dzień, ani w nocy, a Karczmarkiewicz ze trzy kilo nerwów w te dni stracił. Na początku zresztą było jako taki, bardzo wyróżniła się brygada młodzieżowa Kobiałki i grupa towarzysza Zaręby i ludzie Ziarnistego, ale słabych brygad było o wiele więcej, więc baliśmy się pierońsko. A Węgrzynowicz ciągle swoje: że nie takie rzeczy już robił, że będzie wszystko dobrze...

Westchnął, zapalił papierosa.

— No i proszę was — zaczął znowu — termin już na karku, my wszyscy na uszach stajemy, a tu pewnego dnia do pokoju Karczmarkiewicza włazi Węgrzynowicz, rozkłada ręce i oświadcza, że jednak w takich warunkach, z takimi ludźmi i tak dalej... on sam siebie nie przeskoczy, nie może zobowiązania wykonać i, uważacie, jeszcze z pretensją do Karczmarkiewicza, że podpisał! Rozumiecie?!

— Byłem akurat wtedy u dyrektora — odezwał się Borzemski. — On jest, wiecie, chory na serce, taką ma pamiątkę z Berezy. Myślałem wtedy, że źle z nim będzie, lekarza trzeba było wołać. Niewiele mu wtedy brakowało...

Milczeliśmy chwilę.

I zobowiązanie nie zostało ostatecznie wykonane? — zapytałam.

Borzemski rozłożył ręce.

— Ano — nie! Myśmy oczywiście wszyscy winni, żeśmy się ostatecznie zgodzili je podjąć, ale towarzysz Karczmarkiewicz uważa, że sam całą winę ponosi, że tak się dał omotać... Ale, wiecie, i nie to jeszcze było najgorsze, tylko jak komisja przy okazji zaczęła sprawdzać co i jak...

— Piękny pasztecik znaleźli! — zadudnił Zaręba.

— Okazało się, że Węgrzynowicz wszedł w porozumienie z jednym z administracji i do spółki fałszowali raporty i rachunki, podając większe przeroby niż były... rozumiecie, co to znaczy? W taki właśnie sposób Węgrzynowicz „podciągnął" plan miesięczny i liczył, że mu z kwartalnym ten sam numer się uda. Na jakie straty budowę narażał, zdajecie sobie sprawę?

— I przy tej samej okazji — dodał niewesoło Górka — wylazło jeszcze jedno szydło z tego worka: że on jest fałszywym inżynierem.

— Jakto? On nie był inżynierem?

— A nie. Nie skończył politechniki przed wojną, a potem, po wyzwoleniu, skorzystał, wiecie z chaosu, co to akta spalone, świadków nie ma i tak dalej, i jakoś tam sobie lipny dyplom wyskrobał... No, teraz cała historia jest u prokuratora. Ale jaki swąd został na

budowie! I to właśnie jest najgorsze!

— I, rozumiecie — powiedział Zaręba, ściszając swój silny bas i spoglądając z troską w kierunku gabinetu — dlatego właśnie Karczmarkiewicz tak całkiem klapnął, że dał się podejść nie jak stary towarzysz, ale jak ostatnia fujara. Tłumaczyliśmy mu wszyscy, że my tak samo winni jak on, ale on uważał, że nikt poza nim nie ponosi odpowiedzialności...

— Może by się chłop jakoś i zebrał do kupy — rzeł w zamyśleniu Górka — ale akurat przyszedł Bytom, i on to zrozumiał tak, że do niego nikt już nie ma zaufania, że jest już całkiem tutaj niepotrzebny, że nic nie potrafi... No, cóż, resztę już wiecie...

Umilkliśmy. Zaręba spojrzał na zegarek.

— A oni ciągle jeszcze mówią...

— Niełatwa to rozmowa! — westchnął Górka.

I znowu nastała cisza. Patrzyliśmy na drzwi, nie mogąc oderwać od nich wzroku. Czas płynął. Na popielniczce wyrosła już ogromna sterta niedopałków. Na wszystkich twarzach malowało się zmęczenie i niepokój.

— Właściwie — odezwał się bez przekonania Górka — po kiego licha my tu siedzimy? Koleją już pięć razy bylibyśmy w Katowicach.

To była prawda i wszyscyśmy o tym wiedzieli. Ale, mimo bardzo już późnej pory, nikt z nas się nie ruszył. Nie można było stąd odejść, nie znając rezultatu tej wieczornej rozmowy.

Po bardzo długim czasie skrzypnęły wreszcie drzwi. Poderwaliśmy się na krzesłach.

Z gabinetu wyszli Karczmarkiewicz i naczelny. Obaj wydawali się bardzo wzruszeni. Może to było złudzenie, że powieki Karczmarkiewicza były mocno zaczerwienione. Tylko wyraz oczu był już zupełnie inny, choć zmęczony. Spojrzenie miał rozjaśnione, spokojne. Uśmiechał się — już nie tym bolesnym skurczem warg, ale dobrym, trochę nieśmiałym uśmiechem, który jego suchą, ściągłą twarz, czynił po prostu piękną.

Nareszcie ich zobaczyłam i to wszystkich trzech naraz. Stali w pełnym słońcu, jak trzy rosłe dębczaki przebrane w robocze kombinezony: Łukowicz, Kalina i Chabrowicz. Mniej więcej jednego wzrostu, ruchy mieli podobne: zdecydowane i pewne. Nawet stali podobnie, muskularnymi nogami silnie zaparłszy się w grunt. Wyglądali wszyscy na 25—30 lat. Twarze mieli szerokie i otwarte. Zrozumiałam teraz dlaczego, gdy nowotyscy mówili o bytomiakach, te trzy nazwiska występowały najczęściej w nierozłącznym, „trójkowym“ zestawieniu. Ci trzej wyglądali jak upostaciowanie jakiegoś zbiorowego pojęcia o Bytomiu.

Stojący obok nich Ziarnisty wydawał się jeszcze szczuplejszy niż zwykle, nawet Kobiałka, ubrany dziś w ZMP-owską koszulę i krawat, który wyzierał z rozchylonego kołnierza ciepłej kurtki, zdawał się być mniej rosły. Tylko barczysty i pleczysty majster Zaręba dorównywał „bytomskiej skali“.

Rozprawiali wszyscy z takim ogniem, że nie chcąc im przerywać, przysiadłam opodal na stercie desek.

Najwyższy z trójki, jak się okazało Łukowicz, o twarzy szerokiej, na której kwitły mocne jak u dziecka rumieńce, z rękami jak łopaty, mówił huczącym głosem:

— Wszystko, pierony, zadeptali. Cholera z taką budową!

— Kto zadeptał? Co wy opowiadacie? — burknął zgryźliwie podmajstrzy Łopacki, podchodząc ku bytomiakom.

— Jakto co? — krzyczał już na dobre Łukowicz. — Macie oczy? To patrzcie. Tu schody świeżo zabetonowaliśmy i wszystko zniszczyli, sto diasków!

— Przecież wam nikt tego naumyślnie nie zrobił — wtrącił łagodząco Ziarnisty swym nikłym głosem.

— Nie naumyślnie, powiadacie? — odezwał się drwiąco Chabrowicz. — A może mi w takim razie wytłumaczycie, dlaczego — tu zawiesił głos i rozejrzał się po stojących — dlaczego na moim bloku codziennie — uważacie? — codziennie o godzinie szesnastej piętnaście następuje spięcie. Regularnie — jak w mordę dał! Też pewnie przypadek, co?

— Choroba! — zaklął półgłosem Kobiałka. — Towarzyszu, to już głębsza sprawa!

— Ty wszędzie węszysz sabotaż — rzekł cierpko podmajstrzy Łopacki.

— A co to jest innego? — uniósł się Łukowicz.

Łopacki wzruszył ramionami.

— Tylko mnie tu nauk nie dawajcie. Chwalić Boga dwa razy przodownikiem pracy byłem, to chyba to i owo wiem.

— Przodowniki nie kajzerki, różni bywają — zauważył spokojnie trzeci bytomiak, wiercąc końcem buta dziurę w gliniastej ziemi.

— Ej, wolnego kierowniku Kalina! — rzucił z groźbą w głosie Łopacki.

— Wy tu wszyscy nic tylko „wolnego" — rzekł zniecierpliwionym głosem Kalina. Był on najmłodszy z trójki, twarz miał chłopięcą, wysokie, wypukłe czoło i szerokie usta. — Ja tu ciągle mam taką tańcówkę. Nic — tylko przestoje. Posyłam wczoraj rano po dziesięć metrów sześciennych zaprawy do tej waszej wytwórni zapraw. Powiadają: pisz pan zlecenie. Napisałem. I co myślicie? Gówno dostałem, nie zaprawę! A ludzie czekają.

Podniecał się widać wspomnieniem wczorajszego dnia, bo zaczynał mówić coraz szybciej i z coraz większym ferworem.

— Idę sam do wytwórni. Pytam: jest zaprawa? Mówią: jest! To dlaczego do cholery ja jej od dwóch godzin nie mam na odcinku? Bo, powiadają, lokomotywki nie ma. Zajęta. Nie możemy wam przywieźć. Ale patrzę, jedzie akurat na lokomotywce taki blondyn. Sierpień się nazywa. Mówię mu: możesz, bracie, przywieźć zaprawę na I odcinek? — Dlaczego nie? Jestem akurat wolny. Idę na odcinek, czekam, czekam, ludzie czekają. Lecę znowu do tych zaprawiaczy: co jest? A tam awantura, ten Sierpień do oczu im skacze, że nie chcą dać zaprawy, tylko żądają osobnego zlecenia na lokomotywkę. Jeszcze mu gadają: to przecież dla bytomiaków, co się masz śpieszyć? Jak mnie zobaczyli, zrobili baranie miny. Ja się wziąłem w garść — i nic. Na spokojno. Napisałem to drugie zlecenie. Wracam na odcinek zobaczyć, co się tam dzieje. Ludziom już przedtem rozdzieliłem inną robotę, bo przestój trwa już trzy godziny... Ludzie mi mówią: zostaniem po fajrancie, będziem robić. No dobrze. Ale, patrzę, leci pieszo ten Sierpień, ledwie nóg nie połamie, i krzyczy, że przez ten czas, jak główny mechanik załatwiał zlecenie na lokomotywkę, to wytwórnia dała zaprawę na inny odcinek. Myślałem, że mnie krew zaleje. Jakem do tych zaprawiaczy przyskoczył, jakem ich zaczął nazywać po imieniu! Oni się tłumaczą, że to, że owo... Tłumaczenie dali, tylko zaprawy nie dali. Mówię im: nic mnie nie obchodzi, nie róbcie fajrantu, tylko dawajcie zaprawę, moi ludzie chcą zostać do późna, — Owszem, powiadają, czemu nie, ale na to musimy mieć osobne zlecenie! Jakem posłyszał jeszcze raz o tym zleceniu...

— Nowy kierownik — nowa miotła! — rzucił niechętnie Zaręba.

Bytomiacy spojrzeli na niego.

— A żebyście wiedzieli, że tu potrzebna nie miotła tylko rózgi! — huknął Łukowicz.

Na czole Zaręby nabrzmiały wszystkie żyły.

— Co wy? Grozicie? Komu?

Postąpił krok w kierunku Łukowicza.

— Towarzyszu, dajcie spokój — złapał go za rękaw Ziarnisty.

Zaręba opanował się z trudem, sięgnął po papierosa.

— Z byle kim będziecie się użerać! — rzucił półgłosem Łopacki.

Bytomiacy spojrzeli po sobie i jak na komendę wzruszyli ramionami.

— Dom wariatów! — zauważył Chabrowicz.

— Całkiem zwichrowana budowa! — przytwierdził z przekonaniem Łukowski.

— No, ja idę do siebie — rzekł Kalina. — Idziesz? — spytał Chabrowicz.

Odeszli we dwóch szerokim, lekko kołyszącym się krokiem. Przechodzący obok majster Raniuch, nie zaszczycając bytomiaków ani jednym spojrzeniem, kiwnął chudą ręką na Łopackiego, który odłączył się od grupki i podążył za Raniuchem. Kobiałka zamienił jeszcze parę słów z Łukowiczem i również oddalił się.

Wstałam z desek, podeszłam do pozostałych. Zaręba i Ziarnisty poznali mnie z Łukowiczem. Zrobili to zresztą bez entuzjazmu, zdaje się, że mieli mi za złe, że chcę rozmawiać z bytomiakiem.

Rozmowa z początku nie kleiła się zupełnie, mimo wysiłków Ziarnistego i moich. Zaręba i Łukowicz ciągle jeszcze byli nastroszeni jak dwa rozgniewane indory.

Nagle doleciał nas wesoły pogwar bardzo młodych głosów i śmiechu i zza zakrętu uliczki między blokami wysypała się spora gromadka dzieci i młodzieży. Pomiędzy nimi, z rozpromienioną twarzą, z wąsami, wesoło podkręconymi ku górze, toczył się na swych krótkich nóżkach inżynier Jaśkiewicz, rozprawiając z wielkim ferworem. Spojrzałam niedowierzająco, czy to rzeczywiście on? W tej chwili w niczym nie przypominał tego zgryźliwego pesymisty, który zaszczepił mi tyle wątpliwości co do dalszych losów Nowych Tych.

Wymieniliśmy szybkie spojrzenia z Zarębą i Ziarnistym, i wszyscy troje uśmiechnęliśmy się jednocześnie.

Jaśkiewicz nie spostrzegł nas. Pochłonięty był całkowicie odpowiadaniem na pytania, którymi zasypywali go młodzi. Wycieczka przystanęła teraz, chłopcy i dziewczęta notowali coś skrzętnie w małych zeszycikach i notesach. Dosłyszałam pytania dziewczynki z dwiema granatowymi kokardami na jasnych warkoczykach. Mogła mieć około piętnastu lat.

— Panie inżynierze, ile wykonaliście izb w I kwartale?

Uśmiechnięty Jaśkiewicz podał liczbę. Dziewuszka zapisała i pytała dalej:

— A drugim? A w trzecim?

Wśród uczestników wycieczki dostrzegłam małego Alojza, który najwyraźniej grał, obok inżyniera, rolę gospodarza. Mały miał minę skupioną i przejętą, wskazywał ręką w różne strony udzielając jednocześnie objaśnień kilku otaczającym go chłopaczkom. Powaga jego doszła do szczytu, gdy paru chłopców zapisało i jego słowa. W pewnej chwili spostrzegł naszą grupkę i uchylił lekko ciepłą czapeczkę, po czym niezwłocznie zwrócił się do zwiedzających, dając nam w ten sposób do zrozumienia, że na żadne pogawędki nie ma teraz czasu. Przez ten króciutki moment można było jednak zauważyć radosny i pełen dumy błysk jego czarnych ślepek, że oto widzimy go jako przewodnika po Nowych Tychach.

Przerwał jednak niedługo swoje wyjaśnienia, bo inżynier Jaśkiewicz podnosząc głos, aby go wszyscy mogli słyszeć, zaczął opowiadać o przyszłym wspaniałym mieście Nowe Tychy. Alojz poważnie kiwnął ręką na swych towarzyszy i wraz z nimi przysunął się do inżyniera, przysłuchując się uważnie i

od czasu do czasu przytakując ruchami głowy.

Jaśkiewicza słuchałam, ciągle jeszcze nie wierząc własnym uszom i oczom. Jego krótki wykład o nowym mieście, przeznaczonym dla górników z ogromnych kopalni, położonych w pobliżu Tych, mieście zdrowia, pogody i słońca, mieście Planu Sześcioletniego, był nacechowany takim entuzjazmem i rzetelnym uczuciem, że młodzież, zapominając o robieniu notatek, stała nieruchomo, wpatrując się w pyzatą, wąsatą twarz inżyniera z niekłamanym podziwem.

Nagle Zaręba rozkaszlał się tak głośno, wielkim, basowym kaszlem, że Jaśkiewicz spojrzał w tę stronę i potok płynnej wymowy zamarł na jego ustach. Dawno już nie widziałam nikogo tak bardzo speszonego jak ten „zdemaskowany" entuzjasta Nowych Tych. Jaśkiewicz miał minę uczniaka, przyłapanego na ściąganiu w czasie klasówki. Zrobił w naszym kierunku jakiś niewyraźny grymas i bezradny gest, jakby chciał powiedzieć:

— No co ja zrobię, muszę tym szczeniakom bajerować!

Zakłopotanie jego było tak zabawne, że nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu. Nasza wesołość dobiła go do reszty, zwrócił się do młodzieży:

— Chodźmy dalej, tu już nic ciekawego nie ma! — i mówiąc ostatnie wyrazy rzucił na nas spojrzenie spode łba.

Cała grupa podążyła w głąb budowy. Jaśkiewicz poprowadził ich tak, aby jak najszybciej zniknąć nam z oczu.

— Cooo?! — powiedział do mnie Zaręba, mrugając porozumiewaczo.

Ale spojrzał na Łukowicza i jego chwilowy dobry humor zgasł. Wraz z Ziarnistym zaczęli się zabierać do odejścia.

Łukowicz jednak zatrzymał ich, pytając o jakieś narzędzia, których nie mógł dostać w magazynie. Z rozmowy dalszej wynikło, że narzędzia te potrzebne są bytomskiej brygadzie, która prowadzi roboty wykończeniowe w jednym z bloków, na którym uprzednio „zapaskudziła wszystko" wedle wyrażenia Łukowicza brygada nowotyskiego majstra Raniucha. Budynek miał być oddany do użytku w najbliższych dniach i sprawa narzędzi była bardzo pilna.

Zaręba półgębkiem udzielał informacji. Odnosiło się wrażenie, że myślał przy tym o czymś zupełnie innym. Nagle zapytał Łukowicza:

— Jak wam się tu wszystko tak nie wydaje, to po coście w ogóle przychodzili na naszą budowę?

Łukowicz podniósł w górę brwi.

— A bo ja chciałem? Od takiej fajnej roboty na Rudzie Śląskiej iść na te wasze pierońskie Tychy? Przecie wróble świergocą, co się tu dzieje.

— No to jak? Zmusili was czy co? — spytał niedowierzająco Ziarnisty.

Łukowicz splunął ze złością.

— Zaśbym się dał? Pierona! Na to wyszło w końcu, że sam na ochotnika się zgłosiłem.

— Cooo? — zaciekawił się na dobre Ziarnisty.

Zaręba, po zadaniu pierwszego pytania, nic już nie mówił, tylko słuchał uważnie, obserwując bacznie Łukowicza spod krzaczastych brwi.

Łukowicz nagle roześmiał się na całe gardło.

— Naczelny, wiecie, z Centralnego Zarządu, tak mnie zażył...

— Aaaa! — rzekł z nagłym zrozumieniem Ziarnisty.

— Przecie go znacie — zaczął opowiadać Łukowicz. — Przyjechał, uważacie, na Rudę Śląską i powiada do mnie: tu macie piękne wyniki, już bez was robota pójdzie, a w Nowych Tychach potrzeba takiego pierona jak wy. Sto diasków, myślę sobie! Na taką zamazaną budowę mam iść?! Mówię: nie mogę!

On pyta: dlaczego? Nic mi na razie do głowy nie przychodzi. Mówię: słabe zdrowie! A on w śmiech...

Patrząc na tryskającą zdrowiem i humorem twarz Łukowicza również parsknęliśmy śmiechem.

— To ja wtedy mówię, że się boję ciężkiej roboty. I co powiecie? Nie uwierzył, choroba. Że to niby do mnie nie podobne. Ja wtedy, że zginę tam samotnie, co jeden człowiek na takie bagno poradzi? To naczelny na to, że mi nie każe iść samotnie, tylko razem z moimi ludźmi. Myślę sobie: tuś się, pieronie, machnął, bo oni za żadne skarby nie pójdą. A ten, uważacie, diasek, jakby mi z oczu czytał, najspokojniej mówi: oni mi już przyrzekli, że pójdą, jeżeli wy się zgodzicie... I tu mnie strzelił! On najpierw z majstrami gadał i z załogą, rozumiecie?

Znowu roześmiał się na wspomnienie tej rozmowy.

— I tak, wiecie, wykręcił kota, że nie wiedziałem już gdzie łeb a gdzie ogon. Potem zabiera się już i na zakończenie gada: ja teraz idę, a wy się do jutra zastanówcie, może — mówi — przez noc wymyślicie lepsze argumenty, bo te to się wam nie bardzo udały... Całą noc wałkowałem się z boku na bok, żona mi skórę suszyła, że jej spać nie daję. Myślałem, myślałem, g.... wymyśliłem. Na drugi dzień przychodzę do naczelnego — zły jak sto diabłów, i mówię z ponurą gębą, że chyba muszę jednak jechać na te Tychy... To ten pieron znowu się śmieje i mówi: — byłem pewny, że się zgłosicie na ochotnika! Krew mnie całkiem zalała, uwziąłem się i powiadam: — A żebyście wiedzieli, dyrektorze, że na ochotnika! No i jestem!

Kiedy ustał śmiech, Zaręba zapytał:

— No a Chabrowicz i Kalina?

Łukowicz zsunął sobie czapkę do tyłu, w oczach błyskały mu iskierki wesołości.

— Oni byli akurat wtedy na parę dni delegowani do Bielska i to ich zgubiło!

— Dlaczego? — zapytał Zaręba, który zdawał się wychodzić trochę ze swej rezerwy w stosunku do Łukowicza.

— No, dlatego, że nic nie wiedzieli, że naczelny tak mnie urządził. A on pojechał do nich i powiedział, że ja się zgłosiłem na ochotnika. Oni zgłupieli, oczy wytrzeszczyli, ale że my zawsze we trójkę razem, więc się też zgłosili...

— Łeb to on ma! — rzekł w zamyśleniu Zaręba, podczas gdy my z Ziarnistym dusiliśmy się ze śmiechu, patrząc na minę Łukowicza.

— Co tam zresztą fanzolić! — rzekł raźno Łukowicz. — Jak moi ludzie płaczą mi w kamizelkę, że już mają dosyć, to im mówię: co się martwicie, pierony, przemęczymy się te trzy miesiące, byle do końca roku, i jazda!

— I pewnie... co was ta budowa obchodzi — rzekł Zaręba z przymieszką goryczy i szyderstwa w tonie.

— Wyście napaskudzili, a my mamy po was sprzątać! — odparł szorstko Łukowicz.

Uprzedziłam wybuch Zaręby, który już otwierał usta, aby coś powiedzieć, zły jak chrzan i do żywego dotknięty w swojej zawodowej ambicji, i zapytałam Łukowicza:

— Jak myślicie, kierowniku, czy plan roczny będzie wykonany?

Ziarnisty i Zaręba nastawili teraz uszy. Było to zdaje się pytanie, którego żaden z nich nie chciał głośno zadać.

Łukowicz spoważniał, zsunął czapkę do tyłu, wyglądał teraz jak zamyślony słonecznik.

— Budowa robaczywa jak sto diasków — rzekł wreszcie z namysłem — my tu niedawno... trudno coś na mur powiedzieć. Ja bym przede wszystkim wyciepnął stąd połowę ludzi. Lepiej mniej dobrych jak więcej złych.. To raz.

A dwa... pierona... myśmy jeszcze żadnej roboty nie zawalili, uważacie? Zrobimy i to. Trudno! Pokażemy im tutaj jak się robi, a potem — odjazd!

— Z ładną premią w kieszeni, co? — zapytał Zaręba, mrużąc złośliwie oczy.

Łukowicz sponsowiał aż po czoło z nagłej irytacji.

— Rzygać się chce od takiego gadania! — rzucił ostro. — Czekajcie! — burknął ostro, widząc, że Zaręba, rozzłoszczony jego tonem, chce mu przerwać. — Ja wam zaraz powiem, jaki my złoty interes na was robimy!

Aż go zatykało z oburzenia.

— Te premie, cośmy mieli u siebie na pewniaka, to tutaj... choroba! Co wy myślicie, że my tak prędko tutaj premie wyrobimy? Za głupie łatanie tych wszystkich dziur, coście tu narobili?!

Szerokim, pełnym lekceważenia gestem wskazał osiedle.

— Najwyżej od żony po łbie dostanę... A poza tym... — tu zbliżył się o krok do Zaręby i utkwił w nim rozgniewane oczy — niby stary z was fachowiec, a nie rozumiecie...

Urwał nagle, zrobił niechętny ruch ręką.

— Co tam zresztą gadać! — mruknął jakby do siebie i kopnął jakiś kawałek deski, który leżał koło jego nóg. Zrobił na pięcie zwrot w tył, chcąc odejść.

— Jakeście zaczęli, to dokończcie! — huknął teraz Zaręba. — Czego to ja niby nie rozumiem? Cooo? No czego?!

Łukowicz obrócił się błyskawicznie ku niemu.

— A tego — powiedział dobitnie, stłumionym głosem — że jak się robi w Zjednoczeniu przez trzy lata, to chyba człowieka trochę obchodzi, co się tam dzieje, nie uważacie? A jak od nas, z Bytomia, pod koniec planu rocznego wyciągają naraz taką kupę ludzi, to co wy, dziecko jesteście? Nie rozumiecie, czym to dla Bytomia pachnie? My tutaj będziemy się babrać w tej waszej partaninie, a tam, cholera jasna, jakby kto rękę Zjednoczeniu uciął akurat na czwarty kwartał... Choroba!

Skrzyżował teraz ręce na plecach i patrząc gdzieś poza nas, zaczął pogwizdywać z cicha.

Pierwszy raz widziałam Zarębę zmieszanego. Chrząknął raz i drugi, wyciągnął swoją wielką chustkę i, aby pokryć zakłopotanie, długo wycierał nos.

Ziarnisty popatrzył niepewnie najpierw na Zarębę, potem na Łukowicza i, odkaszlnąwszy, odezwał się pojednawczo:

— No pewnie, towarzyszu Łukowicz, no pewnie...

Łukowicz jeszcze chwilę gwizdał z odętymi jak u dziecka policzkami, potem rzucił przelotne spojrzenie na ciągle jeszcze niewyraźnego Zarębę, i wrodzony humor przemógł jego złość. Rozchmurzając się, rzekł:

— Co tam, pierona! Dajcie papierosa, bo swoje gdzieś posiałem.

Zapalił, przysunął wprawnie papierosa w sam kącik warg, wsunął ręce do kieszeni i stał, kołysząc się leciutko na sprężystych nogach. Mógłby służyć za model do rzeźby: „Zdrowie i siła" czy coś w tym rodzaju. Zaręba, Ziarnisty i ja patrzyliśmy na niego chwilę w milczeniu. Zaręba nagle westchnął, zgarbił się jakoś i rzekł niewesoło:

— No, Ziarnisty, czas na nas...

Odeszli, nie oglądając się.

Łukowicz przeczekał chwilę, aż się dostatecznie oddalili, i powiedział:

— I co zrobić, jak to wszystko dziady pierońskie? Albo wariaty, albo mamlasy jakieś, całkiem bez ikry... Albo ten ich dyrektor, ten Karczmarkiewicz. Ani to pierze, ani to mięso, chodzi jakiś zachrapociały... Ech!

Splunął pogardliwie. Nie chcąc zaczynać teraz dyskusji o Karczmarkiewiczu, zapytałam, czy Bytom ma zamiar zrobić jakieś generalne porządki w robotniczych hotelach. Ożywił się. Poradził mi,

żebym poszła do nowego kierownika hoteli, fajny chłop, on tam już powinien porządek zrobić. Kostek się nazywa, spod Lublina, ale na Śląsku dobre kilka lat już siedzi. Pogadaliśmy jeszcze chwilę, opowiadał, jaka to niewygoda z dojazdami z Bytomia. Dwie godziny jedzie się ciężarówką w jedną stronę, a że ciężarówki mają parę tylko ławek, więc ludzie śpieszą z roboty, żeby zająć siedzące miejsca, bo komu by się chciało dwie godziny na stojaka jechać. Wyraził obawę, aby nawet tak zgrani ze sobą i na takim poziomie ludzie, jak załoga bytomska, nie zdemoralizowali się na tej budowie. Rozgadał się na dobre, ale że musiał iść już do roboty, więc pożegnaliśmy się, umawiając się na dłuższą rozmowę razem z Chabrowiczem i Kaliną.

Pod koniec dnia wstąpiłam do hoteli robotniczych. Chciałam pogadać z kierownikiem Kostkiem i odwiedzić starego Machurę.

Na korytarzu pachniało kartoflanką i kapustą. Robotnicy, którzy nie korzystali ze stołówki, gotowali sobie sami na małych, żelaznych piecykach. Słychać było szczęk przesuwanych po blasze garnczków.

Długi korytarz był pusty. Z któregoś pokoju wyraźnie dolatywał schrypnięty, przepity głos:

— Ty k....! Odczepisz się do cholery czy nie?

Potem rozległo się piskliwe, kobiece jazgotanie, w którym trudno było rozróżnić poszczególne wyrazy, i znowu męski bas:

— Wont, mówię raz jeszcze!

Nastąpił jakiś stuk i szamotanie. W sąsiednim pomieszczeniu ktoś głośno zaklął, widocznie pod adresem kłócącej się pary.

W głębi korytarza było cicho, pobrzękiwała tylko mandolina melodią skocznej piosenki.

Nowy kierownik był to mężczyzna trzydziestokilkuletni, mocno rozrośnięty w barach. Twarz miał suchą, ściągłą, oczy patrzące bystro i uważnie.

Powiedział mi, że siedzi tutaj już parę tygodni, w hotelach. Robota bardzo tu trudna. Najgorsze są „elementy", jak się wyraził. Taki już w pojedynkę potrafi narozrabiać, a co dopiero jak się ich kilku do kupy zbierze. Złodzieje też się trafiają, więc ludzie trzymają wszystkie swoje rzeczy na kłódkę pozamykane w szafkach. A wiadomo, że domowego złodzieja najtrudniej upilnować.

— Ale ja nie pierwszy raz na takiej robocie — opowiadał Kostek. — Na sposoby — mam sposoby. Niedługo jakem tu przyszedł, otwierają się któregoś dnia drzwi, patrzę, wchodzi Malisz, cieśla. Znaliście go? Nie? Taki, wiecie, niby grzeczny, ale morda lisia. Że pije — wiedziałem. Nieraz od niego zajeżdżało, ale żeby się zatoczył albo co, to nie. Mocny widać łeb. No więc wchodzi i od razu z żalami: koc, mi, powiada ukradli, a to przecie nie mój koc, tylko państwowy, już dość, mówi, tego złodziejstwa w hotelach, dobrze, żeście tu przyszli, kierowniku, zróbcie z tym porządek. I znowu o tym kocu, że on nie może za to odpowiadać, żeby spisać, że on melduje o kradzieży, pod czym on teraz będzie spał, żeby mu dać z magazynu nowy koc.

Gada i gada, a ja nic, tylko patrzę na niego. I tak myślę: łżesz, bracie! Nie tobie ukradli, tylko ty sam ukradłeś, a mnie się chcesz z dobrego końca przedstawić. Bo ja się, wiecie, na ludziach znam. Głowę dam sobie uciąć, że to złodziej oczy mi mydli. Ale jak ja mu to powiem? Za rękę go nie złapałem. A nuż jednak niewinnie posądzam, bo mi się gęba nie podoba? Może się przyszedł użalić, może go naprawdę krzywda spotkała, a ja z pyskiem na niego wyjadę? A uwierzyć mu, cholera, ani rusz nie mogę!

Skończył wreszcie Malisz gadać, czeka, aż zacznę spisywać meldunek. A mnie, wiecie, ręka nie idzie, pióro... Myślę: łże czy nie łże? Ja się patrzę na Malisza, Malisz na mnie. On wreszcie mówi: piszcie prędzej, bo nie mam czasu. A ja milczę. On się zaczyna kręcić, widzę, że się zdenerwował, myślę: to dobrze, jak jesteś winien, to się zaraz wysypiesz. Zaczął mi do oczu skakać, krzyczy coraz głośniej: że na skargę przyszedł, a tu go lekceważą, odezwać się nie raczą, że się skończyły czasy takiego traktowania robociarza, że do partii na skargę pójdzie i do dyrekcji. A ja coraz ciszej siedzę! I słyszę, że on jakoś fałszywie krzyczy i widzę, że w ślepiach ma coś paskudnego: chce mnie zastraszyć, bo sam się boi. Jak się człowiek boi, to paskudnie wygląda, wiecie... I widzę, że on już prędzej chciałby stąd wyjść, ale mu nijako, koniecznie chce, żebym się odezwał, bo już całkiem nie wie, co ja myślę. A ja ciągle nic — tylko patrzę. Aż jak zupełnie nerwy go opuściły i wrzasnął, że ja widać ze złodziejami sztamę trzymam, coś mi powiedziało: teraz go łap!

Jak nie skoczę do niego, jak go nie przycisnę do ściany: — Oddawaj koc, złodzieju!

Zbaraniał zupełnie, ślepia mu zaczęły latać: — Co wy kierowniku, co wy?!

— A ja: — Oddawaj koc!

Próbował jeszcze kręcić, że jak on może oddać, kiedy ktoś go ukradł, ale ja ciągle swoje: nie ktoś, tylko ty sam! Wreszcie się załamał, powiada: o jeden koc tyle krzyku, są inni, co się tyle nakradli, a ja pierwszy raz i taki raban!

Zadzwoniłem do Podstawowej Organizacji Partyjnej, do Rady Zakładowej. Dopiero teraz spisaliśmy protokół. A ręce, to mi się, wiecie, z godzinę jeszcze potem trzęsły jak u chorego...

Wyciągnął przed siebie obie dłonie, opalone i silne, przyjrzał im się i zauważył z uśmiechem:

— Taki najsłabszy to znowu nie jestem. Ale to szarpiąca robota!

— Usunęliście tego Malisza z budowy? — zapytałam.

Pokręcił głową.

— Otóż właśnie, że nie. Ja, przyznaję się, chciałem z punktu go wylać. Ale, uważacie, ujął się za nim podmajstrzy Łopacki, bo Malisz jest z jego brygady. Łopacki zaczął go bronić, że to jeden z najlepszych jego cieśli, że przecież pierwszy raz taką sprawę wyciął, że, powiada, co to za sztuka wyrzucić człowielka z roboty, pójdzie gdzie indziej i też będzie psuł. Fachowiec jest zdolny, powiada, trzeba się nim zająć, ja sam, powiada uwagę na niego zwrócę i tak dalej...

Zamyślił się.

— Prawdę mówiąc — dodał — to ja tam nie bardzo wierzę, żeby z tego Malisza anioł się zrobił, może to zresztą moje uprzedzenie... Ale w gruncie rzeczy Łopacki miał rację: nie sztuka wylać, sztuka wychować. No i został. Na razie nic mu nie można zarzucić, nie powiem. Może się i zmieni... A Łopacki dobre podejście wykazał, owszem, przyznaję, o wiele lepsze niż ja.

Kostek opowiadał mi też sporo o obyczajowej stronie hotelowego życia. Wprawdzie kobiety mieszkają osobno, ale jak upilnować? Na klucz zamykać czy jak? Była na przykład taka jedna, niewykwalifikowana. Właściwie to miała kwalifikacje, ale całkiem nie do pracy. Jak się zaczęło te jej kwalifikacje sprawdzać na budowie, z której przyszła do Nowych Tych, to się okazało, że stamtąd usunęli ją za nierząd, który uprawiała za pieniądze. Ogromnie dużo kłopotów sprawiają pijacy i bumelanci. Niedawno takich trzech zostało usuniętych z hotelu. Nie tylko z hotelu. Z pracy zwolnienia nie dostali, przez dwie noce nocowali na stacji, potem przyjęli ich koledzy pod wspólny

koc, bo im się żal zrobiło. Już trzeciego dnia jednemu trąba zmiękła, przyszedł, żeby go znowu na mieszkańca przyjąć, że już nie będzie. Kostek mu wtedy „wychowawczą gadkę“ zrobił: tak i tak, bracie, możesz wrócić, ale podpisz zobowiązanie, że nie będziesz pił ani bumelował, ani innych namawiał. Podpisał. Teraz jest nawet z niego pociecha, dostał w skórę, to go nauczyło. Drugi też się zgłosił, a trzeci, najbardziej zacięty, odszedł z budowy bez zwolnienia.

— Tutaj, widzicie — mówił Kostek — jest jeszcze taka sprawa, że pracują ludzie z różnych stron. Ze Śląska, naturalnie, a poza tym z lubelszczyzny, biłgorajskiego, z rzeszowskiego, spod Warszawy, trudno nawet wyliczyć. Każda okolica ma swoje zwyczaje, to lubi, tego nie lubi, jedni drugim jacyś obcy się wydają. Zdażało się, jakeśmy potańcówkę zrobili, że na przykład niektórzy Ślązacy nie chcieli iść do dziewcząt z centralnej Polski, a znowu góralka nie chciała tańczyć z rzeszowiakiem. Tak się głupio utarło: że ty inny i ja inny. A jaka jest różnica między tobą a nim? Żadna!

Dobrze by było, żeby podkręcić Okręgową Radę Związku Pracowników Budowlanych, żeby dali kogo na świetlicę. My tu organizujemy teraz wieczorynki, wspólne czytanie gazet... ale to wszystko za mało, musi być fachowa siła. Inna sprawa, że ja w ten ORZ nie bardzo wierzę. Wiecie, że budowa trwa już blisko dwa lata, a od nich z wydziału kulturalno-oświatowego jeszcze ani razu nikt tu nie był? Może partia nam pomoże. Towarzysz Borzemski rozmawiał w Komitecie Powiatowym w Pszczynie, żeby nam skombinowali dobrego świetlicowego... może to się uda?

Nagle coś sobie przypomniał, ożywił się:

— Ale wiecie, najważniejsze jest to, że na wiosnę zaczniemy budować dwa wielkie hotele, nowe, murowane. Żadne baraki! I nie będzie też tak jak teraz w tych dwóch blokach, co to na mieszkania przeznaczone, a na razie tylko budowlani mieszkają. Zobaczycie, jak tam będzie! Ci, co będą robili osiedle B, będą już w innych warunkach!

Aż oczy mu się śmiały do tych nowych hoteli. Mówił o tym jak człowiek, który wreszcie ma dostać jakąś wymarzoną od dawna rzecz.

— Przyjedźcie do nas na wiosnę! — zapraszał przy pożegnaniu.

Po wyjściu od niego skierowałam się w głąb korytarza, gdzie w jednym z ostatnich pokojów mieszkał Machura z Sierpniem.

Drzwi zastałam uchylone. Na lekkie stukanie nikt nie odpowiedział. Zajrzałam. W pokoju panował już popielaty zmierzch, tylko przez okno wpadała ukośna smuga różowych promieni zachodzącego słońca.

W tej smudze zobaczyłam Marysię Rębielankę i Sierpnia. Dziewczyna stała z przechyloną do tyłu głową, z której zsunęła się chusteczka, z rękoma, opartymi o szeroką pierś Sierpnia gestem pełnym ufności, niemal dziecinnym. Oczy miała zamknięte. Sierpień całował ją łagodnie i miękko. Potem odsunął ją na odległość wyciągniętych ramion i popatrzył na jej zarumienioną twarz z nieopisaną czułością. Dziewczyno otworzyła oczy. Wtedy przyciągnął ją znów ku sobie ruchem silnym i opiekuńczym, i, ogarnąwszy ramionami, zaczął całować po czole i oczach.

Od drzwi odchodziłam na palcach.

Następnego dnia przyszłam na budowę raniutko, kiedy załoga schodziła się do roboty. Ranek był świetlisty i niebieski, na żółtej ziemi leżał biały szron, czerwień nowotyskich bloków zdawała się intensywniejsza niż kiedykolwiek.

Ludzie dążyli na osiedle z dwu stron. Mieszkający w hotelach ciągnęli pojedynczo i gromadkami, zamiejscowi tłumnie wysypywali się w pobliskiego dworca i wchodzili przez szeroką bramę na teren budowy.

Z zamieszkałych już budynków wychodziły żony górników z obszernymi, płóciennymi torbami w rękach, kierując się ku starym Tychom po ranne zakupy.

Z daleka już widziałam grupkę ludzi, stojących koło bloku, w którym bytomska brygada majstra Mielca prowadziła roboty wykończeniowe. Widocznie Mielec rozdzielał swoim ludziom robotę i wydawał dyspozycje. Ale nie. To musiało być coś innego, bo do grupy podchodziło coraz więcej ludzi, niektórzy nawet podbiegali. Z klatek schodowych sąsiednich domów wyszło kilku górników i przyłączyło się do zebranych. Zobaczyłam paru małych chłopców, pędzących również w tamtym kierunku, skaczących przez zamarznięte kałuże. W jednym z nich poznałam małego Alojza. Był ogromnie zaaferowany, w biegu śpiesznie dogryzał kawałek bułki. Słychać było jakiś krzyk.

Cóż się tam działo? Przyśpieszyłam kroku. Za mną ktoś biegł, dysząc głośno. Był to Górka, który pozdrowił mnie w przelocie. Razem z nim zbliżyłam się szybko do stojących. Silny głos, który niósł się szeroko przez powietrze, należał niewątpliwie do Łukowicza.

Tak, to był on. Stał w środku półkola, utworzonego przez ludzi, czapkę miał przekrzywioną, pięści zaciśnięte.

— To jest sabotaż! — huczał.

Wcisnęłam się między robotników za Górką, który łapiąc oddech wołał:

— Co się stało?

Ludzie obrócili się i rozsunęli nieco, robiąc miejsce przewodniczącemu Rady Zakładowej. Twarze mieli zacięte, w oczach złe błyski.

Posypały się głosy:

— Drzwi w nocy wywalili!

— Wszystko poniszczone na pierwszym piętrze!

— Pokradli! Zrujnowali!

Jakaś kobieta, która wybiegła mimo chłodu z gołą głową i bez płaszcza, powtarzała jękliwym głosem:

— Nawet półki zabrali z tych nowych spiżarek! Nawet półki! Mój Boże!

Mały Alojz, który przecisnął się między nogami starszych i stał teraz w pierwszym rzędzie półkola, kopiując dokładnie pozę Łukowicza, wcisnął ręce w kieszenie i odezwał się tonem dorosłego:

— Zaś tam półki! Rury dymowe z piecyków zdjęli, pierony!

— Kurki wodociągowe nawet wykręcili! — rzucił Ziarnisty, na którego blade zwykle policzki wystąpiły silne rumieńce.

Koło mnie rozległ się cichy głos:

— Tyle pracy na marne! Tyle pracy!..

Obejrzałam się. Był to stary Machura, stojący z łopatą w ręku, z twarzą stroskaną i zgnębioną.

— Gdzie jest stróż nocny? — pytał donośnie Chabrowicz, który wraz z Kaliną znalazł się przy boku Łukowicza.

— Jestem — rzekł niski, przysadkowaty mężczyzna w kożuchu, wysuwając się naprzód.

Majster Zaręba, bardziej pomidorowy niż zwykle, z nabrzmiałymi na czole żyłami, dudnił basem:

— Jakeście pilnowali, do cholery! Spaliście, psiakrew!

Stróż rzekł z głęboką urazą w głosie:

— Byłem w dyżurce. Nic nie słyszałem. A jakbym nawet słyszał, to dużobym zrobił przeciw takim bandziorom. Jeszcze by mnie zabili.

— Tfu! — splunął z wściekłością Łukowicz. — Takiego pampucha stróżem zrobili!

Obrażony stróż usunął się na bok. Chabrowicz, bardziej spokojny niż

wszyscy obecni, usiłował opanować sytuację:

— Milicję trzeba wołać! — zwrócił się do Górki.

— Zaraz poślę. Dyrektor zawiadomiony? I sekretarz?

— Posłałem człowieka — rzekł ponuro bytomski majster Mielec.

— Dużo to pomoże — mruknął ktoś inny.

Do majstra Mielca przysunął się Zaręba. Rozległ się jego bas, mówiący z oburzeniem i przekonaniem:

— Ja wam powiadam, towarzyszu Mielec, że znajdziemy tych sukinsynów. I dobrze nam oni zapłacą!

Zwróciłam znowu uwagę na Machurę, który zachowywał się jakoś dziwnie. Kręcił się i dreptał niespokojnie, jakby nie mógł ustać w miejscu, oglądał się za siebie spłoszonymi oczyma, wreszcie jakoś bokiem, chyłkiem, zaczął wycofywać się z grupy. Nie rozumiałam, co się z nim dzieje? Zachorował czy co? Zniknął teraz za plecami wyższych od niego mężczyzn. Chciałam iść za nim, ale właśnie w tej chwili Chabrowicz zaczął ponownie zadawać pytania stróżowi nocnemu i robotnikom z bytomskiej brygady Mielca, którzy pierwsi zjawili się dziś na bloku i zauważyli zrobione przez noc szkody.

Blok ten miał być już w najbliższych dniach oddany do użytku górnikom. Był podobno wykończony o wiele lepiej niż poprzednie, starannie i bez braków. Bytomiacy niewątpliwie chcieli pokazać nowotyskim, jak potrafią pracować.

Z relacji wynikało, że zarówno drzwi do poszczególnych mieszkań, jak i na klatkach schodowych na dole, były po wczorajszej pracy starannie pozamykane. Bandyci wyłamali je. Wprawdzie nie zdołali zrobić szkód w całym budynku i ograniczyli się tylko do kilku mieszkań na pierwszym piętrze, te jednak obrobili gruntownie, niszcząc i demolując to wszystko, czego nie mogli ukraść.

— To jest wroga robota zorganizowanej bandy — dał się słyszeć głos sekretarza Borzemskiego, który od dłuższego już czasu stał wśród zebranych, uważnie słuchając opowiadań robotników.

— Towarzyszu sekretarzu — rzekł przez zaciśnięte zęby Kobiałka — ja i moje chłopaki będziem pomagać milicji ich szukać!

Stojący obok Kobiałki młodzieżowcy z brygady ZMP wyglądali tak, jakby mieli iść do ataku.

Ktoś odezwał się tuż za mną, schrypniętym, zmartwionym szeptem:

— Pasy drzeć z tych złodziejów! To był najlepiej wykończony blok! Sam wczoraj jeszcze oglądałem!

To mówił inżynier Jaśkiewicz. Twarz jego wydawała się mniej pyzata niż zwykle i jakby postarzała, nerwowo nakręcał na palec czarne wąsy.

Nagle z tyłu, za grupą, rozległ się gorączkowy okrzyk:

— Już go mamy, ścierwo!

Zelektryzowani ludzie zwrócili się w tę stronę. Do środka kręgu przepychał się wzburzony maszynista Sierpień, ciągnąc za rękę opierającego się Machurę. Machura był trupio blady, chwiał się na nogach.

Osłupieliśmy. Ludzie patrzyli na Sierpnia, nie pewni, czy nie oszalał. We wszystkich oczach malowało się najwyższe zdumienie.

Machura usiłował oswobodzić rękę, ale silna dłoń Sierpnia trzymała mocno.

— Puść!... — rozległ się wśród zapadłej ciszy bolesny szept starego chłopa.

— Nie puszczę! — odrzekł zdyszanym głosem Sierpień. — Gadajcie zaraz! Tu, w oczy wszystkim gadajcie!

— Sierpień, zwariowałeś! — wybuchnął nagle Zaręba, z trudem odzyskując mowę.

Łukowicz, Chabrowicz i inni byto-

miacy, którzy nie znali jeszcze Machury, patrzyli na winowajcę z niedowierzaniem i jakby zażenowaniem. To miał być sabotażysta? Drobny, przygarbiony, siwiejący chłop, o szarych, przerażonych oczach, wyglądający przy nich wszystkich, silnych i rosłych, żałośnie i nieporadnie?!

— Gadajcie! — krzyczał Sierpień.

— Boga ty chyba w sercu nie masz — rzekł z jękiem Machura.

Ludzie poruszyli się niespokojnie. Patrzyli na Machurę i Sierpnia, potem na siebie, i znowu na tych dwóch. Tutaj, w środku kręgu panowała zupełna cisza. Ale dalsze rzędy, do których dotarły tylko okrzyki Sierpnia, zaczęły napierać coraz mocniej, chcąc ujrzeć bandytę.

I coraz bardziej narastał, pęczniał w powietrzu, szum wzburzonych głosów:

— Na milicję!

— Zbić go od razu!

— Bić go!

Machura rozejrzał się wokoło z rozpaczą i lękiem. Przed sobą miał pierwsze rzędy, stojące w osłupiałym milczeniu, spoza nich nacierał wrogi tłum.

Maszynista powtórzył jeszcze raz:

— Gadajcie!

Wtem, spoza pleców gromady odezwał się silny, nakazujący głos:

— Sierpień! Puście go natychmiast!

Przez zwartą grupę ktoś się przedzierał szybko i energicznie. Był to dyrektor Karczmarkiewicz. Takim nie widziano go jeszcze na tej budowie. Łagodna zwykle i znużona twarz miała wyraz zacięty i stanowczy.

— Towarzysze! Cisza! I odsuńcie się! — wołał tym samym nowym, nie słyszanym dotąd u niego tonem. Ton był taki, że wzburzony tłum ścichł i zakołysał się, cofając się do tyłu.

Karczmarkiewicz był już przy Machurze.

— Puście go! — rzucił dobitnie, patrząc ostro na Sierpnia.

Maszynista, patrzący na swego dyrektora, jakby go nie poznawał, machinalnie puścił dłoń starego chłopa. Dyrektor Karczmarkiewicz zwrócił się do Machury:

— Ojciec, nie bójcie się!

Machura podniósł na niego zalęknione oczy.

— Nie bójcie się! — powtórzył Karczmarkiewicz. — My tu wszyscy tacy sami robociarze jak i wy. Mówcie śmiało:

Patrzył na Machurę spokojnie i uważnie. Powiedział powoli:

— Ja wiem, że to nie wyście zrobili. Ale wyście widzieli, kto to zrobił, tak?

Przez całą naszą gromadę przeleciało gwałtowne westchnienie ulgi.

Teraz dopiero zrozumieliśmy!

Machura powoli opuścił głowę gestem potakiwania. I powtórzył ten ruch kilkakrotnie, żałośnie, jakby kiwał głową nad ludzką złością, nad tą zmarnowaną robotą, nad sobą.

— Oni... tamci... mnie widzieli... grozili, że jak powiem...

Rozległ się gorączkowy szmer oburzenia. Jakiś górnik głośno zaklął.

— Nic oni wam nie zrobią! Słyszycie? — rzekł Karczmarkiewicz. Zabrzmiało to jak jakieś uroczyste przyrzeczenie.

— Nie bójcie się. Przecie ich milicja zamknie! — wtrącił się nagle Alojz.

Wszyscy spojrzeli na dziecko. Dyrektor Karczmarkiewicz długą chwilę nie odrywał oczu od małego.

— Ojciec — zwrócił się znowu do Machury — ci dranie zrobili krzywdę takim jak on! —

Ruchem głowy wskazał na Alojza.

— Musicie nam powiedzieć, kim oni są. A wam nikt nic złego nie zrobi. My wszyscy nie damy was ukrzywdzić!

I znowu krąg się zacieśnił. Zrobiliśmy wszyscy ten krok naprzód, jakby chcąc osłonić Machurę od wrogiej napaści.

Stary chłop spojrzał najpierw na Alojza, który przysunął się bliziutko i wlepił w niego swe czarne ślepki, patrzące teraz ze szczerą troską, potem powiódł oczyma po nas wszystkich.

Ciasno ze sobą zwarci, stali przemieszani, wspólną złączeni sprawą nowotyscy i bytomiacy. Ogromny Łukowicz obok chudego Ziarnistego, Zaręba tuż przy Mielcu, obok nich żona górnika, i potem Chabrowicz i Kobiałka, Kalina i Sierpień, i inżynier Jaśkiewicz i jakiś górnik, i sekretarz i Górka, i cisnący się za nimi, wtykający im głowy między ramiona dalsi robotnicy i majstrowie.

Wyraz wszystkich twarzy i oczu był jednaki.

A wyraz ten był taki, że Machura zaczął rozprostowywać wolno przygarbione plecy, jakby coś ciężkiego z siebie odrzucał, podniósł głowę, zacisnął ręce i, odetchnąwszy głęboko, rzekł:

— Wszystko powiem! Tam był podmajstrzy Łopacki i jego ludzie!

Dopiero w parę tygodni po tych wydarzeniach mogłam przyjechać znowu do Nowych Tych. Trafiłam na zakończenie narady produkcyjnej, która się właśnie odbywała w biurowcu. Weszłam po cichu i usiadłam przy drzwiach. Niezbyt uważnie słuchałam przebiegu zebrania i niecierpliwie wyglądałam końca, chcąc jak najszybciej dowiedzieć się o ostatecznych rezultatach dochodzenia w sprawie sabotażu. Na moje jednak szczęście narada prowadzona była bardzo sprężyście i wkrótce już witałam się ze znajomymi, prosząc, aby opowiedzieli, co się dalej działo.

— Chodźmy tutaj, obok — huczał Zaręba — pogadamy spokojnie.

Weszliśmy więc w kilka osób do sąsiedniego pokoju. Z początku panował wielki gwar, bo wszyscy mówili jednocześnie i na razie nie bardzo mogłam ich zrozumieć. Uwagę moją zwróciło również zachowanie inżyniera Jaśkiewicza, który, stojąc nieco z boku, patrzył na mnie z takim wyrazem, jakby chciał coś ważnego zakomunikować, a nie mógł podjąć decyzji. Zbliżył się parę kroków, potem odszedł w drugi koniec pokoju, wreszcie zdecydował się:

— Przepraszam panią, na chwileczkę... Tylko dwa słowa!

Odciągnął mnie aż do okna, z miną zaaferowaną.

— Wie pani, ja bym chciał z panią pogadać... ale nie teraz, nie tutaj... Niech pani sobie porozmawia z nimi — wskazał ruchem głowy stojącą przy drzwiach grupkę — a potem... Lubi pani dobrą kawę? — zapytał niespodziewanie.

— A kto nie lubi! — odrzekłam machinalnie, zaskoczona nieoczekiwanym zwrotem.

— Tak właśnie myślałem. Ja sam, wie pani, nie mogę bez kawy. Żona mi codziennie w termosie... Bardzo szlachetny wynalazek taki termos! Więc może pani zajdzie później do mojej pracowni? Łupniemy sobie jedną głębszą kawkę. I... tego... ja tu porobiłem, uważa pani, różne wiekopomne odkrycia. A zresztą, ot, tak sobie człowiek chciałby czasem pogadać...

Mówił to wszystko dość nalegająco, ale i z pewnym wahaniem. Uśmiechał się przy tym tak, jakby sam z siebie trochę się podśmiewał, obserwując mnie przy tym uważnie, jakby badał, czy jestem rzeczywiście człowiekiem, który jest mu w tym momencie potrzebny.

Mocno zaintrygowana, umówiłam się, że mniej więcej za godzinę do niego przyjdę. Wolałabym zresztą iść z nim od razu, byłam ogromnie ciekawa, co mi chce powiedzieć, a poza tym obawiałam się, że może się w końcu rozmyślić i że zapowiadana rozmowa skończy się wyłącznie na kawie. Ale Zaręba, Górka, Chabrowicz i inni czekali, wróciłam

więc do nich, a inżynier, ruszając mocno wąsami, wytoczył się z pokoju.

— Wiecie — rzekł Górka, uderzając od razu w sedno sprawy — że korzonki tej historii łączą się z Węgrzynowiczem? Pamiętacie aferę Węgrzynowicza?

— Wiadomo, takie sprawki w pojedynkę nie chodzą — wpadł mu w słowo Zaręba.

Poprosiłam, żeby opowiedzieli wszystko od początku. Górka spojrzał na zegarek:

— No, chyba na razie pokrótce... bo mamy niewiele czasu.

Usiedliśmy i Górka, chrząknąwszy, zaczął się namyślać od czego zacząć, aż zniecierpliwiony Zaręba rozpoczął pierwszy:

— Co tu się zastanawiać! Wiadomo — nie ma dymu bez ognia, a myśmy rozpędzali dym, zamiast gasić ogień — rozumiecie? Przecież dziećmi nie jesteśmy, mogliśmy wiedzieć, że heca Węgrzynowicza na nim się nie skończy. Ale zaraz potem przyszedł Bytom i zaczęły się te wszystkie rozróbki i jątrzenia, a my zamiast uważać na prawdziwych szkodników, zaczęliśmy gryźć się z bytomiakami. Pamiętacie, towarzyszko, na tej wieczornej rozmowie naczelny nas ostrzegał, że wróg może to gryzienie się wykorzystać? I co? I grasował tu sobie pan podmajstrzy Łopacki i pan majster Raniuch i pan cieśla Malisz i ich pomagierzy, a myśmy im jeszcze pomagali, cholera!

Zasapał się z irytacji.

— To Raniuch też był w szajce? — zapytałam.

— Całym prowodyrem tam był! — wykrzyknął Łukowicz, obracając ku mnie swą twarz szeroką i jasną jak słonecznik.

— A pamiętacie — zapytał kierownik hotelu, Kostek — co wam opowiadałem o Maliszu? I że go Łopacki wybronił? Chwaliłem go jeszcze, że dobre podejście wykazał, wychowawcze, choroba!

Górka podniósł rękę.

— Czekajcie, towarzysze. Jak będziemy tak w kratkę mówić, to nigdy do końca nie dojedziemy. Więc, uważacie, Węgrzynowicz ściągnął tu za sobą Raniucha. Jak się zrobił tamten swąd z Węgrzynowiczem, to Raniuchowi się upiekło, na żadne jego sprawki nikt nie wpadł.

— Bo i trudno było wpaść — rzekł Zaręba, podpierając w zamyśleniu twarz ręką. — On był za chytry, żeby jakąś większą sztukę wyciąć od razu, tylko tak po troszku, po cichutku, i zawsze na dwa fronty: samemu zarobić, a budowie zaszkodzić. Wiecie, na przykład, co te dranie wymyśliły — ciągnął coraz głośniej, podniecając się wspomnieniami — posyłali swoich ludzi na naprawy tynków, bo to są roboty dobrze płatne i trudne do sprawdzenia. To oni naumyślnie psuli te tynki, żeby się wykazać większą ilością napraw, a jednocześnie opóźniali terminy wykonania.

— I w wytwórni zapraw też mieli swego kumpla — zauważył Kalina.

— A gdzie nie mieli! — odezwał się znowu Górka. — Oni byli, wiecie, z Łopackim, dwoma głównymi macherami. Jeden od drugiego lepszy. Przy okazji dochodzenia poznaliśmy życiorys Raniucha, nie ten oficjalny, który wypitrasił dla personalnego, tylko prawdziwy. On wiecie, na początku się oczywiście wyłgiwał, na innych zwalał, ale w końcu, jak inni go sypnęli i widział, że nic mu nie pomoże, to mu się zrobiło całkiem wszystko jedno... powiadam wam, jak bluznął tym gadaniem, to tam była tylko połowa słów, a reszta — sam jad!

— On wszystkich nienawidził! — rzekł cicho Ziarnisty.

— No bo jak? — mówił dalej Górka, marszcząc brwi — Pamiętacie — zwrócił się do towarzyszy — jak on krzy-

czał, że całe życie był tylko ścigany i tropiony? Że jak przed wojną szukał uczciwej pracy, a przecież był dobrym fachowcem, to z głodu zdychał razem z rodziną, i dopiero jak ze złodziejami się zwąchał, to w piórka zaczął porastać, złoty zegarek nawet nosił! Deptali mu granatowi po piętach, ale się jakoś migał, tu prysnął, tam dał łapówkę i interes szedł. A jak przyszła wojna — to się złapał za szmugiel, z żandarmerią kombinował, i już tak całe życie się odkuwał za tamte swoje głodowe lata... Zaraz po wyzwoleniu też miał złote czasy: szaber z Ziem Odzyskanych. Ale zaczęło mu się robić coraz ciaśniej, trzeba było się gdzieś zahaczyć, żeby się wykazać papierkiem z pracy. To się zahaczył o jedną robotę, o drugą, zdolny jako fachowiec był, a kuty przy tym na cztery łapy, więc się zawsze niezgorzej urządzał. Przyszedł tu z Węgrzynowiczem, z którym się zwąchał na poprzedniej robocie, bo wiedział, że tu bałagan...

— Co tam bałagan! — przerwał mu Zaręba. — Cały raj tu był dla szkodników i nierobów. Kierownictwo ciągle do kitu, organizacja budowy pod psem, fachowców na lekarstwo, słabe uświadomienie załogi i to w dodatku ciągle się zmieniającej, pod bokiem handlarze i knajpiarze ze starych Tych — czego więcej chcieć?! Nic, tylko mieszać w tym kociołku swoim patykiem. To też i mieszał!

Górka westchnął ciężko na wspomnienie tego okresu i wszyscy się zamyślili. Milczenie przerwał Łukowicz, mówiąc wesoło:

— Co tam, pierona, myśmy im dali szkołę, jakeśmy tylko przyszli. Nie, nie! — zastrzegł się od razu — ja nie mówię, że myśmy się pokapowali, że to wrogowie, tylko, uważacie, chcieliśmy porozdzielać trochę takich, co nam się wydawali zanadto zgrani, więc Raniucha — buch! na jeden odcinek, Łopackiego — ciach! na drugi i ich brygady też przemieszaliśmy z innymi. Ech, sto diasków! Łopacki trochę kawęczał, ale Raniuch się zaciął, ani pary z gęby. No, teraz wiemy, że wtedy sobie odgrywkę kombinował. No i odrywali się, aż wpadli na tym bloku.

— A Łopacki? — zapytałam.

Odpowiedziało od razu kilka głosów:

— Kułak zwyczajny, wiadomo!

— Tu, koło Pszczyny miał kawał ziemi, chałupę sobie właśnie nową stawiał.

— Też mu się ciasno robiło, ciesiółkę znał, to i przyszedł na budowę.

— Kumotrów miał pełno dokoła, bo tutejszy, i w Tychach i w Pszczynie, czort go wie, gdzie jeszcze!

Górka spojrzał na zegarek.

— Towarzysze, trzeba iść. Potem sobie jeszcze pogadamy. A może wy pójdziecie do hoteli? — zwrócił się do mnie. — Towarzysz Kostek pięknie tam odmalował, a jakże, wyczyścił pokoje, w kwiatki całkiem inaczej wygląda!

Kostek chrząknął skromnie.

— Ech, wiecie — powiedział — to tylko półśrodki, nie będzie prawdziwego życia, zanim dobrej kanalizacji nie będzie, łaźni, i to zresztą za mało... ludzie powinni mieć takie hotele, jak na przykład na Pyskowicach albo na Marchlewskiego, czy gdzie indziej. Ale już na wiosnę postawimy przecież takie hotele!

— No, idziemy już, towarzysze, idziemy! — popędzał Łukowicz.

Ale zatrzymałam ich jeszcze na chwilę.

— Jeszcze powiedzcie mi tylko, co się dzieje z Leszczyckim?

— A już nie pracuje u nas. Będzie ze dwa tygodnie jak odszedł.

— Dlaczego?

Zaręba zawrócił od drzwi i mrugając jednym okiem, gwizdnął przeciągle:

— Fiuuu! U nas — za niskie progi na jego nogi. On, proszę was, wysoko mierzył. Wiecie, co sobie wymyślił? Ni

mniej ni więcej, tylko że zostanie dyrektorem Zjednoczenia Nowe Tychy!

Odwrócił się w stronę stojących przy drzwiach kolegów i machnął im ręką:

— Idźcie już, ja was zaraz dogonię.

W pokoju został jeszcze Chabrowicz, który przez cały czas naszej rozmowy siedział przy bocznym stole i coś pisał.

Zaręba usiadł koło mnie, oparł mocno ręce o szeroko rozstawione kolana. Była to jego ulubiona poza, którą przybierał, ile razy chciał coś ważnego powiedzieć.

— Z nim, widzicie, była znowu taka historia... On dość mocno popierał Raniucha i Łopackiego, bo oni podbechtywali w nim te dyrektorskie ambicje i kadzili, ile wlazło, a on to bardzo lubi. Zresztą — dodał mimochodem — kto nie lubi, jak go chwalą? I, wiecie, nie można o nim powiedzieć, żeby był z gruntu zły, tylko cholerny miał ambit ten człowiek, wiecie, taki niekorzystny ambit! W czasie tego dochodzenia Raniuch i Łopacki chcieli część winy na niego zwalić i zaczęli opowiadać, jak to on się na tego dyrektora szykował. Liczył na to, że towarzysz Karczmarkiewicz nie da rady, wiedział, że chce odejść, a on po nim chciał na to miejsce wskoczyć. Najlepsze jest to, że on naprawdę wierzył, że potrafi! No, jak przyszedł Bytom i on zobaczył, że z dyrektorowania nici, to się naturalnie na bytomiaków wściekł i szurał na nich na prawo i na lewo, zresztą o tym wiecie... Dopiero jak wybuchła ta sprawa sabotażu, to on się połapał, z jakimi to ludźmi sztamę chciał trzymać. I wiecie, ja mu wierzę, że był szczery, jak samokrytykę składał...

Przerwał na chwilę, jego ceglasta twarz była teraz bardzo poważna.

— Ja mu wierzę! — powtórzył, uderzając się szeroko rozpostartą dłonią o kolano. — A więc dlaczego wierzę? Bo jemu nie przyszło łatwo zrozumienie swoich błędów, on się cholernie męczył, kłócił się nawet z nami na początku...

— A my — wtrącił nagle ze swego kąta Chabrowicz — byliśmy wtedy tacy źli i rozgoryczeni, że na początku nie potrafiliśmy tak się do niego odnieść, jak trzeba było, wytłumaczyć, tylko wsiedliśmy na niego bardzo mocno, bardzo ostro! I w gruncie rzeczy mieliśmy rację, tylko z takim człowiekiem trzeba umieć mówić, trzeba mieć cierpliwość i podejście. A myśmy nie mieli! Prawda, towarzyszu Zaręba? I ja myślę, że gdybyśmy dłużej tak z nim mówili, to on mógłby się zaciąć i nie zrozumiałby tak, wiecie, naprawdę, swoich błędów.

— Więc w jaki sposób ostatecznie je naprawdę zrozumiał? — zapytałam.

Pomiędzy Zarębą a Chabrowiczem nastąpiła teraz szybka wymiana uśmiechów.

— Co dużo gadać... — rzekł Zaręba i znowu trzepnął się silnie w kolano ogromną, sękatą ręką. — Naczelny, wiecie, wziął go w obroty...

Tym razem uśmiechnęliśmy się wszyscy troje.

— Ten diabeł potrafi sumienie człowiekowi poruszyć — dodał jeszcze niższym niż zwykle basem Zaręba. — Potrafi, choroba!

Wstał.

— No, jeszcze się zobaczymy, pogadamy. Lecę na odcinek.

Wyszedł swoim ciężkim, wielkim krokiem. Od drzwi odwrócił się jeszcze, powiedział:

— Te bytomiaki, wiecie, jeszcze nie takie najgorsze...

Nie chcąc przeszkadzać Chabrowiczowi, który wrócił znowu do pisania, zabierałam się do odejścia. Ale Chabrowicz podniósł znad papierów twarz i coś mnie w jego wyrazie uderzyło. Pierwszy raz widziałam go tak zasępionego.

— Co wam, kierowniku? — zapytałam.

Machnął ręką.

— Powinienem się cieszyć. Tutaj się zaczyna poprawa, ale, wiecie, w Bytomiu nie jest najlepiej! — i znowu wrócił do przerwanej roboty.

Więcej jednak mówić nie chciał. Może zresztą rzeczywiście miał tak pilną pracę, jak twierdził. Pożegnałam go więc.

Inżyniera Jaśkiewicza zastałam w pokoju samego.

— Proszę, proszę! Witam w niskich progach! — wykrzyknął.

Zakrzątnął się zaraz z wielką zwinnością, obracając swą kulistą postać szybko i zręcznie na małej przestrzeni między stołem a ścianą. Zsunął na jeden koniec biurka wielkie arkusze planów i wykresów, postawił dwa fajansowe kubeczki, wyciągnął z szafki ogromny termos.

— Takiej kawy, jak moja żona parzy, nie dostanie pani nawet w Warszawie! — rzekł z dumą i otworzył termos, z którego buchnął rzeczywiście wspaniały aromat.

— Doskonała! — potwierdziłam szczerze po spróbowaniu.

— A więc *ad rem!* — powiedział tonem, zdradzającym niecierpliwą chęć jak najszybszego przejścia do sedna rzeczy.

Po tym wstępie jednak urwał, zajął się wykruszaniem papierosa, w którym znalazł jakiś patyczek, zrobił kilka uwag pod adresem monopolu tytoniowego, a potem zamilkł, jakby zastanawiając się, od czego rozpocząć.

— Mówiłem pani — zaczął wreszcie powoli i z namysłem, śledząc uważnie lot smugi dymu — że porobiłem tu różne odkrycia... No, oczywiście, żeby ocenić należycie ich wagę i skalę, trzeba by najpierw opowiedzieć mój życiorys, wie pani: kto mnie rodzi, z jakich to Jaśkiewiczów, te tam wszystkie warunki, światopogląd od szczeniaka i tam dalej... No, ale to wszystko zostawmy na boku, niech sobie bystra słuchaczka w duszy dośpiewa, a ja, że tak powiem, zrobię skok prosto w jądro tematu... Otóż, kiedy wybuchła ta historia z sabotażem na bloku, który wykańczali bytomiacy, nawiasem mówiąc, była pani tutaj wtedy, prawda?

— Tak, byłam.

— I teraz rozmawiała pani z Górką i tamtymi, opowiedzieli co i jak?

— Wszystko mi opowiedzieli.

— To mi bardzo ułatwi życie w ciągu tej rozmowy...

Zakaszlał i znowu się zatrzymał. To, co miał do powiedzenia, nie było jednak widocznie łatwe.

— Otóż... widzi pani, Borzemski wtedy od razu powiedział, że to robota wroga klasowego. A mnie, uważa pani, z punktu diabli wzięli. Jaki tam wróg klasowy! Kłóciłem się wtedy z nim, mówiłem: kradnie? No to zwyczajny złodziej, co za wróg! Borzemski mnie wtedy pytał, dlaczego w takim razie zniszczył to, czego ukraść nie mógł? Dziecinne pytanie! Na bytomiaków był wściekły, prywatna zemsta parszywego gatunku i koniec. Ząb za ząb żarłem się z Borzemskim, żeby nazywał rzeczy po imieniu, a nie według gazetowego schematu! Borzemski spierał się ze mną, ale nie mogliśmy się ani rusz dogadać, bo on używał ciągle tego słownika, co to, wie pani: walka klasowa, wróg klasowy, czujność, no i te inne określenia. Poprosiłem go wreszcie, żeby mówił własnymi słowami a nie sloganami, te może jakoś prędzej do ładu dojdziemy, ale on mi znowu zaczął tłumaczyć, że on na pewno lepszych określeń nie wymyśli, bo te są najcelniejsze, et caetera, pamiętam jeszcze, że na zakończenie tej dyskusji powiedział mi: — Może ja was, inżynierze, nie potrafię przekonać, ale wyniki dochodzenia was przekonają, zobaczycie!

Umilkł, pociągnął parę łyków kawy, wytarł wąsy świeżutką chusteczką.

Po chwili zaczął znowu:

— Takie rozmówki, wie pani, mają to do siebie, że kończą się na niczym. Każdy zostaje przy swoim... No cóż, niezbyt mi się te całe dochodzenie uśmiechało, zwłaszcza że na te i owe okoliczności musiałem świadczyć, a to, jak wiadomo, nic przyjemnego. Z drugiej znowu strony myślałem sobie, że taka przepierka może się nawet i przyda, żeby wreszcie budowę ze złodziei i wszelkiego gałgaństwa wyczyścić, bo tak się tu już u nas, wie pani, namotało, nakręciło, nasupłało...

Pochylił się w swoją stronę, w oczach miał wyraz napięcia.

— No! Ale jak zaczęli odwijać te supełki, odplątywać... Co tam na wierzch nie wychodziło... Po prostu nie do wiary!

Potrząsnął głową, w oczach pojawiło się teraz zdumienie, jakby ponownie przeżywał tamte momenty.

— Bardzo uważnie śledziłem przebieg całej historii... bardzo uważnie... Otóż, uważa pani, ja dotąd każdy z tych supełków traktowałem, że tak powiem, osobno. Tymczasem okazało się, że od każdego z nich idzie nitka do następnego, wszystko zbudowane na zasadzie pajęczej siatki, pani rozumie?

Nie czekając na odpowiedź mówił dalej.

— Zacząłem więc iść myślą za tymi nitkami, do tych supełków. Tamci, którzy zadawali pytania, i ci, którzy zeznawali, rozciągali niteczki coraz szerzej, a ja patrzyłem... Więc tak... Kradnie. Dobrze! Ale komu kradnie? I dlaczego? Skąd ta pazerność, drapieżność, to stałe dążenie, żeby mieć więcej, więcej, aż do udławienia się, kosztem... Więc kto to właściwie jest?

Zmrużonymi oczyma patrzył przed siebie, nie widząc nic więcej poza własną myślą. Naraz spojrzał na mnie tak, jakby miał mi obwieścić wielkie odkrycie:

— I tutaj! Tutaj jest ten piesek pogrzebany! Rozumie pani? K t o ? Kto to robi?!

Rozstawił palce lewej ręki, zaczął z namysłem wyliczać:

— Węgrzynowicz wprowadza na budowę Raniucha. Raniuch kuma się z Łopackim. Obaj do spółki kradną, szkodzą. Wciągają w to innych — i szafa gra! A teraz — najważniejsze!

Przysunął się razem z krzesłem blisko mnie.

— Najważniejsze, uważa pani? Przełóżmy to na język gazetowy: oszust po kumotersku wprowadza złodzieja, produkt ustroju kapitalistycznego. Ten produkt kuma się z kułakiem. Co robią? Dywersję! Pieką własną pieczeń i przeszkadzają w robocie. Wszystko według schematu, wypisz, wymaluj!

Podniósł się gwałtownie z krzesła, zaczął chodzić po pokoju.

Wykrzyknął:

— I to nie jest schemat, jak Boga kocham!

Nie mógł się uspokoić, podniecony i pełen zdumienia.

— I nie ma lipy! I trzyma się kupy... Nie, przecież ja zrobiłem odkrycie na molierowską skalę! Pan Jourdain odkrył, że mówi prozą... A ja, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku pańskim, a w pięćdziesiątym pierwszym roku mego żywota odkryłem walkę klasową w Nowych Tychach!

Jednym haustem dopił resztę kawy. Podsunęłam mu pudełko z papierosami. Wziął machinalnie, nie patrząc. Równie machinalnie zapalił od zapałki, którą mu podałam. Zaciągnął się kilkakrotnie.

Powtórzył w głębokim zamyśleniu:

— Walka klasowa...

Powiedział to cicho i powoli, do siebie, jakby jeszcze raz, jeszcze głębiej odkrywał istotny sens tych słów.

Dłuższą chwilę nic nie przerywało milczenia. Inżynier sięgnął po termos, dolał sobie gorącej kawy i dopiero, gdy

miał termos odstawić, przypomniał sobie o mnie:

— Najmocniej przepraszam! — zawołał. — Ładny ze mnie gospodarz, co?

Chcąc się zrehabilitować, nalał mi kubek aż po brzegi, po czym natychmiast wrócił do swego.

— I myśli pani, że to wszystko? Skąd! Jak już raz człowiek na ten trop wpadnie, to leci po nim jak pies za zającem. Otóż ciąg dalszy jest taki. No dobrze, myślałem sobie, tego zamknęli, tamtego usunęli z budowy wszystko cacy, cacy, ale kto mi zaręczy, że nie ma tu jeszcze wśród nas takiego przydekowanego Węgrzynowicza czy Raniucha, albo innego Łopackiego czy tam Malisza. Albo czy jutro nie przyjdą? No, kto mi zaręczy? Nikt!

Znowu wstał, przeszedł parę kroków i wrócił. Jego pyzata, okrągła twarz pełna była żaru i nurtującej go pasji.

— Ja tego nie potrzebuję przecież szczegółowo... pani na pewno te rzeczy zna... to dogryzanie się do istoty rzeczy... Taka już nasza inteligencka dola, że się z trudem musimy przez to...

Urwał, patrzył na mnie teraz bardzo uważnie, jakby sprawdzał, czy na pewno dobrze rozumiem to, co się w nim dzieje.

— Otóż — powiedział po chwili wolniutko — doszedłem do tego, że najważniejsze jest nie rozplątywanie już zrobionych supełków, ale niedopuszczenie do ich powstawania... Rozumie pani? Nie tyle leczenie, ile profilaktyka. I to jest słuszne. To jest — konieczne!

Znowu się zatrzymał. Podniósł rękę z palącym się papierosem, powiedział po cichu:

— ...oni to nazywają czujnością...

Przedzierał się przez słowa i pojęcia, borykał się z nimi, usiłował dotrzeć do samego dna ich znaczenia.

— I znowu: to nie schemat! Prawda prosta jak obręcz. A ja dopiero teraz zaczynam to rozumieć... Dopiero teraz!

Długo milczał, pogrążony w zamyśleniu. Potem nagle rozjaśnił się cały w szerokim uśmiechu. Wrócił do swego zwykłego sposobu mówienia, powiedział z lekkim zaabsorbowaniem i drwiną, skierowaną pod własnym adresem:

— Ba! Ja nawet i to zaczynam rozumieć, że socjalizm naprawdę jest trudno zbudować!

Był wietrzny, mroźny, ale na wskroś słońcem przepojony dzień, kiedy w początku stycznia 1953 roku szłam z dworca kolejowego do Nowych Tych. Nie byłam na budowie około miesiąca. Idąc wolno przez Osiedle A i wypatrując po drodze kogoś ze znajomych, dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo rozrosły się Nowe Tychy od chwili gdy widziałam je kilka miesięcy temu po raz pierwszy.

Budynki, które na jesieni zaczynały dopiero wyłazić z fundamentów, dziś były już pod dachem, inne, niedawno dopiero na ukończeniu, błyskały teraz w słońcu szybami, starannie wyczyszczonymi przez nowych mieszkańców, a w wielu miejscach, dotąd zupełnie pustych, pojawiły się nowe fundamenty.

W oknach jednego z parterowych mieszkań zobaczyłam wywieszkę, że mieści się tu spółdzielnia spożywcza. Słyszałam wprawdzie, że Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych przyrzekła mieszkańcom Nowych Tych założyć prowizoryczny sklep, zanim nie zostaną ukończone budynki, przeznaczone dla uspołecznionego handlu, nie sądziłam jednak, że spółdzielnia powstanie tak szybko.

Weszłam do wnętrza. Sklep zaopatrzony był zupełnie dobrze, i żony górników nie musiały już biegać po zakupy aż do Starych Tych. Kupiłam sobie bułkę i, pogryzając ją, słuchałam rozmowy ekspedientki z kilku klientkami.

Jedna z nich, młoda, ładna kobieta o ciemnobrązowych oczach i włosach, pokazywała właśnie materiał, który miała zawieźć dziś do Katowic, do krawcowej. W dyskusji na temat fasonu wzięłyśmy, oczywiście, wszystkie udział jak jeden mąż. Przez dobry kwadrans rozprawiałyśmy z ogniem i ostatecznie zostało ustalone, że z tej pięknej wełenki w rdzawo-zieloną kratę powinna zostać uszyta sukienka dwuczęściowa, ze spódniczką układaną w luźne fałdy i gładką bluzką z długimi rękawami.

Następnie rozmowa przeszła na tematy gospodarskie i mieszkaniowe. Mieszkanki Nowych Tych stwierdziły zgodnie, że choć ostatnio wykończonym blokom jeszcze to i owo można zarzucić, to jednak porównania nie ma z budynkami, które były uprzednio oddawane do użytku.

Ligęzowa, matka Alojza, która właśnie wpadła do sklepu po pudełko makaronu, powiedziała mi, że musi oddać sprawiedliwość kierownictwu budowy, które wreszcie postanowiło zrobić porządek z brakami i usterkami w zamieszkałych już blokach i przystępuje właśnie do naprawiania dawniejszych błędów.

Wprawdzie niektóre kobiety oburzały się, że będzie przez to bałagan w mieszkaniach i że należało od początku porządnie robotę wykonywać, inne jednak, z Ligęzową na czele, dowodziły im, że nad rozlanym mlekiem nie ma co płakać, było zrobiono po partacku, trudno, teraz nie ma co już wypominać, bo sami budowlani to zrozumieli i „samokrytycznie poprawiają", jak wyraziła się jedna z rozmówczyń.

Pierwszą znajomą osobą, którą zobaczyłam po wyjściu ze sklepu był inżynier Jaśkiewicz. Opatulony aż po nos w ciepłą kurtkę z futrzanym kołnierzem i grubą czapę z nausznikami, bardziej niż kiedykolwiek przypominał niewielkiego, dobrze upasionego niedźwiadka. Był zamyślony tak bardzo, że zauważył mnie dopiero wtedy, gdy zagrodziłam mu drogę.

— Aaaa... nasz gość z Warszawy! — wykrzyknął. — Kłaniam się nisko. Cóż słychać w pięknym, stołecznym mieście?

Mówił z roztargnieniem, najwyraźniej myśląc o czymś innym i wcale nie oczekując odpowiedzi.

Powiedziałam mu, że to ja chcę się dowiedzieć, co się na budowie dzieje, bo sądząc z relacji mieszkanek dużo się na lepsze zmieniło i wobec tego ciekawa jestem, czy plan roczny został tylko wykonany czy też przekroczony i o ile. Jaśkiewicz rzucił na mnie szybkie, przelotne spojrzenie.

— Prawda! Prawda! Znakomita autorka w poszukiwaniu pointy terenowego opowiadania, tak?

Przyjrzał mi się z jakimś nieokreślonym uśmieszkiem.

— Ja to pani mogę natychmiast zreferować, dwie minuty wystarczą, a jakże, wystarczą w zupełności! Otóż, po okresie ostrej walki między bytomiakami a nowotyskimi — to był — dodam nawiasem — konflikt nieantagonistyczny, została wykryta, jak pani wiadomo, działalność wroga tym razem prawdziwego, klasowego... Otóż bytomiacy i nowotyscy połączyli się we wspólnym pościgu za wrogiem, a skoro go wykryli i unieszkodliwili, doszli oczywiście do wniosku, że nie warto kłócić się między sobą, gdy obu stronom przyświeca ten sam cel: budowa nowego, socjalistycznego miasta dla górników. Zaczęli więc je zgodnie budować. Wyniki są wspaniałe, sama pani mówi, że mieszkańcy pełni są entuzjazmu. No i dałem pani gotowe, piękne zakończenie z wydźwiękiem. Dobre, co?

— Może trochę za gładkie! — zauważyłam, zastanawiając się, co się z Jaśkiewiczem dzieje?

— Wy, literaci terenowi, lubicie przecież gładkie zakończenia! — rzekł złośliwie.

— Panie inżynierze... — zaczęłam.

Nie dał mi dokończyć. Twarz jego zmieniła się.

— O, wiem, wiem, co pani chce powiedzieć... Że musi być ta jasna perspektywa! Ja tu pani zaraz otworzę jasną perspektywę!

Podniósł głos, niemal krzyczał, zbliżając się do mnie, coraz bardziej z rękami wciśniętymi w kieszenie, czarnymi wąsami, wystającymi z futrzanego kołnierza i pyzatymi policzkami, byłby w tej chwili niemal śmieszny, gdyby nie wyraz oczu, gniewny i rozpaczliwy jednocześnie. Przysunął się zupełnie blisko i rzucił mi prosto w twarz:

— Pani rozumie? NIE wykonaliśmy rocznego planu!

Upłynęła dłuższa chwila, zanim odzyskałam głos:

— Nie???!!!

— NIE!

Umilkliśmy. Zdawało się, że po tych dwóch, błyskawicznie wymienionych słowach, już nic więcej powiedzieć nie można. Jaśkiewicz, nie patrząc na mnie, ruszył naprzód. Poszłam za nim zupełnie machinalnie. Nie potrafiłam jeszcze zebrać kotłujących się gwałtownie myśli. Jaśkiewicz szedł, nie patrząc pod nogi, z ustami wykrzywionymi jakimś grymasem czy skurczem. Poruszył szczękami, jakby coś gryzł.

Przeszliśmy spory już kawałek, kiedy zdobyłam się na pytanie:

— Ale dlaczego?! Przecież...

Jaśkiewicz zatrzymał się. Spojrzał na mnie. Gniew jego opadł, wyglądał teraz żałośnie i bezradnie:

— A bo ja wiem? — powiedział z rzetelną rozpaczą w głosie. — A bo ja wiem?

Wzruszył gwałtownie ramionami.

— Przecież to jest pytanie, które ja sobie nieustannie teraz zadaję. I nie wiem! Nie rozumiem! Nie mogę zrozumieć!

Poszliśmy dalej. Inżynier zaczął mówić szybko, bezładnie, jakby pękła w nim jakaś tama:

— Trudności były ogromne, to prawda, i dostawy szwankowały w dalszym ciągu i czort wie co jeszcze, ale właśnie: „przecież"! Przecież kadry techniczne się zmieniły i załoga. Przecież zgraliśmy się jakoś z bytomiakami, przecież szkodnicy poszli pod klucz i nowych wypadków sabotażu nie było, przecież nareszcie zrobiła się jakaś lepsza atmosfera... I — co? Jaki ostateczny rezultat? No jaki?

— Panie inżynierze, to nie jest rezultat o s t a t e c z n y...

Przerwał mi niecierpliwie.

— Wiem, wiem, o co pani chodzi. Że to osiedle wstępne, że przed nami całe, stutysięczne miasto, że zaczynamy a nie kończymy... Mnie to już i Borzemski i inni... Ale ja nie mogę zrozumieć, dlaczego, jeżeli już było tak dobrze, skończyło się tak źle? Pani rozumie? I jak my się możemy porywać na stutysięczne miasto, jeśli tego durnego osiedla na sześć tysięcy łebków nie potrafimy zrobić? Proszę bardzo, na te pytania niech mi kto odpowie!

— Widząc, że chcę coś powiedzieć, nie dopuścił mnie do głosu:

— Nie, nie, niech pani nic nie mówi, ja to muszę sam... to się nie da w rozmowie załatwić...

Przez pewien czas szliśmy w milczeniu. Jaśkiewicz, nie patrząc w moją stronę, powiedział ochryple:

— No, ja tutaj skręcam.

Nie czekając na odpowiedź bez oglądania się, poszedł dalej sam, boczną uliczką między blokami. Patrzyłam za nim. Coraz to przyśpieszał kroku, coraz szybciej przebierał krótkimi nogami. Głowę miał wtuloną w podniesione wysoko ramiona, plecy przygarbione. Wyglądał, jakby uciekał. Znikł wreszcie za

zakrętem. Nie miałam zamiaru gonić go.

Uwagę moją przykuło coś zupełnie innego. W tej chwili dopiero zorientowałam się, że uliczki, w którą wszedł Jaśkiewicz, miesiąc temu jeszcze w ogóle nie był...

Poszłam wolno w stronę biurowca. Chciałam zobaczyć się najpierw z Borzemskim. Wyszedłszy na szerokie pole stadionu, zobaczyłam, że inżynier Jaśkiewicz zdążał w tę samą stronę, ale idąc szybciej i krótszą drogą, przegonił mnie znacznie i wchodził już do środka. Zbliżałam się już do wejścia, gdy minęło mnie osobowe auto i zatrzymało się przed biurowcem. Z auta wysiadł naczelny. Przywitał się, powiedział mi, że idzie teraz do podstawowej organizacji partyjnej. Wyraziłam wobec tego chęć odłożenia rozmowy z Borzemskim na później, ale naczelny odrzekł, że możemy wejść razem, chwilowo nie będę przeszkadzała. Powiedziałam, mu że właśnie przed chwilą poinformowano mnie, że Nowe Tychy nie wykonały planu. Patrzyłam przy tym na niego, ale mimo bacznej obserwacji nie mogłam dostrzec żadnych oznak przygnębienia przy rozdrażnienia. Skinął potakująco głową.

Powiedział bardzo rzeczowo i spokojnie:

— Nie tylko Nowe Tychy. Bytom również.

Nie potrafiłam zdobyć się ani na jedno słowo. Usiłowałam, jakby powiedział Zaręba, zebrać się do kupy, ale przyznaję otwarcie, że w tej chwili nie było to łatwe. Naczelny dodał:

— Pomówimy o tym.

Szliśmy długim, jasnym korytarzem, który teraz, po wykończeniu budynku wyglądał porządnie i czysto. Poprzez skłębione myśli, które kotłowały mi się po głowie, dotarł wreszcie do mnie gwar mieszanych głosów. To w lokalu podstawowej organizacji toczyła się jakaś wielka dyskusja. Dominował huczący jak organy głos Łukowicza, idący echem po korytarzu:

— Co? Myślicie, pierony, że ja naczelnemu w oczy nie powiem? Tak mu wyrąbię, jak wam rąbię!

Naczelny otworzył drzwi. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że w pokoju jest tłum ludzi, choć w rzeczywistości było ich kilku. Prawie wszyscy stali. Wszystkie twarze były rozczerwienione, oczy jarzące. W środku grupy stał wymachujący rękami Łukowicz. Inni zwróceni byli ku niemu.

Łukowicz pierwszy zobaczył naczelnego i urwał w pół słowa. Obecni obejrzeli się. Zapadła cisza.

Naczelny, stojąc jeszcze w progu, powiedział z uśmiechem:

— Racja, towarzyszu Łukowicz. Najlepiej rąbać w oczy!

Przez młodą, jasną twarz Łukowicza przeleciał cień zakłopotania, ale natychmiast znikł. Usta rozciągnęły mu się w szerokim, szczerym uśmiechu, kiedy odrzekł z fantazją:

— A żebyście wiedzieli, towarzyszu dyrektorze!

Przywitaliśmy się wszyscy. Sierpień i Łukowicz skoczyli do sąsiednich pokojów po krzesła, bo w pokoju podstawowej organizacji było ich za mało.

— Nie, to nie jest właściwie zebranie — wyjaśnił Borzemski na pytanie naczelnego. — Tak zeszliśmy się w kilku i omawialiśmy różne sprawy. Towarzysz Chabrowicz wprowadza właśnie na swoim odcinku harmonogramy dzienne i nawet godzinowe, żeby robota szła rytmicznie.

Zanim towarzysz Łukowicz zaczął robić burzę, to mówiliśmy właśnie, że trzeba ten system zastosować na całej budowie. Ja myślę, że to nam pomoże nadrobić zaległości planu rocznego prędzej, niż zobowiązaliśmy się, no i bez zawalania nowego planu miesięcznego.

Popatrzyłam na inżyniera Jaśkiewi-

cza, który, jak się okazało, już tutaj był, zdążył nawet zdjąć swą ciepłą kurtkę i teraz siedział pod piecem koło Zaręby, rozcierając zmarznięte ręce, skurczony trochę, jakby mu coś fizycznie dolegało. Zastanowiłam się, czy i w jakim stopniu dociera do niego istotny sens tych kilku zdań, wypowiedzianych przez Borzemskiego. Był to przecież plan nowego natarcia, układany przez ludzi, którzy ponieśli wprawdzie porażkę, ale dokładnie zdawali sobie sprawę, że to tylko porażka, nie klęska!

Dłuższy czas toczyła się dyskusja na temat rytmizacji i usprawnienia produkcji. Wysuwano coraz nowe projekty. W rozmowie tej brał ożywiony udział dyrektor Karczmarkiewicz. A przecież Zaręba zdążył już poinformować mnie szeptem na boku, że Karczmarkiewicz odchodzi stąd niedługo, czeka tylko na wyznaczenie następcy. Partia przesuwa go do innego zakładu pracy. Ponadto dowiedziałam się, że Zjednoczenie Nowe Tychy nie będzie jednak istniało, i tak, jak kiedyś przypuszczał Zaręba, zostanie przekształcone w zarząd budowlany w ramach Zjednoczenia Bytom.

Z rękoma jak łopaty, wpartymi mocno w rozstawione kolana, z czerwoną, nabrzmiałą od gorąca twarzą — w piecach palono aż miło! — Zaręba trąbił mi wprost do ucha głośnym, dudniącym szeptem:

— To była cholerycznie gorzka pigułka, aleśmy ją połknęli, ja sam, proszę was, przyznaję, że tak będzie lepiej. Jako samodzielne Zjednoczenie byliśmy słabi, całkiem bez zaplecza. A o Bytom będzie można mocno się oprzeć. A zresztą...

Urwał i przysunął się bliżej stołu, dokoła którego siedzieli teraz wszyscy obecni. Poruszono właśnie jakiś temat na który i Zaręba chciał coś powiedzieć.

Wydawało się, że i naczelny i wszyscy inni zapomnieli, że przecież Łukowicz miał coś „wyrąbać". Sam Łukowicz zresztą zdawał się o tym nie pamiętać, cały pochłonięty omawianymi sprawami.

Dopiero, gdy najważniejsze, i najpilniejsze problemy zostały gruntownie i, momentami dość burzliwie, przedyskutowane, i zebrani doszli wreszcie do uzgodnionych, konkretnych wniosków, naczelny zapytał:

— No to powiedzcie teraz, towarzyszu Łukowicz, co to chcieliście mi rąbnąć w oczy?

Ludzie odsunęli się nieco od stołu, przy którym dotąd, ciasno skupieni, pochylali się nad arkuszami harmonogramów i planów. Poprawiali się teraz na krzesłach, przybierając wygodniejsze pozycje, częstowali się nawzajem papierosami.

Łukowicz był bardzo poważny. Widać było, że zastanawia się, od czego zacząć. Szeroko otwartymi oczami patrzył na naczelnego. Zaczął wreszcie ciszej, niż zwykle, z głębokim namysłem:

— Wy mnie znacie, towarzyszu dyrektorze. Wiecie, że ja zawsze mówię to, co myślę...

Naczelny skinął lekko głową.

Łukowicz zatrzymał się na chwilę. Potem wstał z krzesła, wsunął ręce w kieszenie i wymijając siedzących towarzyszy, przeszedł się po pokoju. Całe jego zachowanie wskazywało, że chodziło mu o jakąś bardzo zasadniczą sprawę.

Zawrócił, stanął przed naczelnym i, tym razem już bez żadnych wstępów powiedział:

— Ja myślę, że Centralny Zarząd zrobił błąd, że tylu ludzi naraz rzucił na Tychy. I tu się nie uratowało planu, i tam, pierona jasnego, się zawaliło! A dlaczego? Bo się rozproszyło siły!

W tym miejscu Ziarnisty wtrącił swym nikłym, wątłym głosem, z wyraźnym zamiarem pocieszenia Łukowicza:

— Przecież Bytom niewiele plan nawalił... prawie nic... Można będzie szybko nadrobić!

Łukowicz obrócił się ku niemu gwałtownie, zirytowany i rozśmieszony jednocześnie:

— Ach ty mamlasie! — Tego by jeszcze brakowało, żeby Bytom całkiem klapę zrobił! I co ty, do choroby, nie rozumiesz że planu się nie mierzy na milimetry? Albo jest wykonany, albo nie! Pierona, przecież Bytom pierwszy raz nawalił! Pierwszy raz!

Urwał, stał chwilę gryząc wargi, brwi miał zmarszczone. Naczelny patrzył na niego uważnie i spokojnie, czekając na dalszy ciąg.

Łukowicz zaczął znowu:

— Żebyście znowu nie myśleli towarzysze, że ja albo Chabrowicz czy Kalina znowu tak bardzo się o ten Bytom rozczulamy... Choroba, wściekli jesteśmy na naszą dyrekcję, bo nas do wiatru wystawiła. Mieli nasi ludzie dostać premie za poprzednią robotę na Rudzie Śląskiej. Guzik dostali. Myślicie, żeśmy się tak bardzo z tego cieszyli? Szlag by ich trafił! Dużo mamy pretensji, wiadomo. Ale to inna sprawa. Przecież nam chodzi o ambicję Zjednoczenia, no nie?

Naczelny powtórzył powoli:

— Chodzi o ambicję Zjednoczenia...

Patrzyli sobie z Łukowiczem prosto w oczy. Wzrok Łukowicza był rozjarzony, zdawało się z jego rozszerzonych w tej chwili źrenic sypią się iskry. Spojrzenie naczelnego było skupione, i przenikliwe.

— Tak, towarzyszu dyrektorze! — odezwał się znowu Łukowicz. — Ja uważam, że to wszystko się stało przez błędną politykę Centralnego Zarządu. Tutaj i tak nie uratowaliśmy planu, bo nie było można...

— Czekajcie! — przerwał mu naczelny. — Myślicie, że absolutnie nie było można uratować planu na Nowych Tychach?

Łukowicz szeroko rozłożył ręce, jakby dziwiąc się temu pytaniu.

— No, jakto, towarzyszu dyrektorze? Zaśby nie był wykonany, jak by było można? Przecież zrobiliśmy, co się dało!

Naczelny, swoim zwyczajem, powtórzył ostatnie zdanie:

— Robiliśmy, co się dało...

Zamyślił się głęboko, zaczął machinalnie rysować jakieś kółka na leżącej przed nim kartce.

— Dobrze! — powiedział po chwili, podnosząc głowę i spoglądając na obecnych. — Spróbujmy zacząć od tego końca. Spróbujmy przeanalizować sobie istotne przyczyny zawalenia planu na Osiedlu A.

Ludzie znowu przysunęli się bliżej, jakby nawet fizyczna bliskość sprzyjała wspólnemu zgłębieniu zasadniczych spraw. Spojrzałam na inżyniera Jaśkiewicza, który pochylił się teraz w przód na krześle, stroskany jeszcze, ale już wciągnięty w to „dogryzanie się do sedna", jak sam to kiedyś określił. W jego oczach pojawił się znany mi już wyraz wielkiego napięcia.

Zaręba podniósł rękę:

— Można, towarzyszu naczelny? To ja powiem tak. Jakeśmy wygonili od nas hitlerowców, to oni zostawili po sobie takie pamiątki: miny. Pamiętacie, nie? Całe miasta, całe pola były zaminowane. Już tych drani dawno nie było, a miny ciągle wybuchały. U nas to samo. Tłuką się takie kapitalistyczne miny. Narozrabiał Węgrzynowicz, Raniuch, i ci inni. No, oni rozrabiali całkiem świadomie, żeby szkodzić. Ale ilu było i jest jeszcze takich co nie ze złej woli, tylko przez brak uświadomienia, przez głupotę, lenistwo, niedbalstwo. Sami zresztą wiecie. I my ciągle robimy na takich zaminowanych polach. Ciągle coś za kapotę trzyma: chcesz nowe robić a musisz stare naprawiać. To i trudno było wyciągnąć, no nie?

Skończył i patrzył na towarzyszy,

jakby sprawdzając, czy się z nim zgadzają. Przez pokój przeleciał lekki szmer potakiwania. Zaręba oparł się znowu wygodnie o piec, wycierając swą olbrzymią chustką spocone czoło.

O głos poprosił teraz Górka. Wydał mi się jeszcze drobniejszy i szczuplejszy niż miesiąc temu. Mówił wolno, wzdychając:

— Mnie się zdaje, że my naprawdę robiliśmy wszystko. Ale nie my przecież ustawialiśmy plan roczny, a ja uważam, że on był od początku źle ustawiony, jeszcze przed powstaniem Zjednoczenia Nowe Tychy. Już wtedy było widać, że w czwartym kwartale nastąpi spiętrzenie zadań. A jak potem jeszcze doszły błędy wykonawstwa i ta robota szkodników...

Sierpień, który dotąd ograniczał się do słuchania, odezwał się teraz po swojemu, gwałtownie i porywczo:

— Ja proponuję, żeby nie gadać o tych bykach, co inni strzelali. No wiadomo, że strzelali. My gadajmy o swoich bykach.

Zapanowało poruszenie, ludzie zaczęli się sprzeczać. Jedni twierdzili, że ani własnych błędów, ani osiągnięć nie można analizować w oderwaniu od całokształtu, inni, między którymi był Łukowicz, gorąco poparli Sierpnia, mówiąc, że o tym, co dawniej było, gadało się już na budowie do obrzydzenia, i rzeczywiście szkoda na to tracić czasu.

Naczelny nie brał udziału w dyskusji. widać jednak było, że słucha bardzo uważnie, nie tracąc ani jednego słowa, wędrując uważnym spojrzeniem szarych oczu po obecnych.

Dyskusja toczyła się coraz namiętniej. Wyliczano powody niewykonania planu. Był to jakiś wielogłos, nacechowany głęboką troską o losy budowy, brzmiący momentami samokrytycznie, momentami oskarżająco pod adresem Centralnego Zarządu, Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych, kierownictwa Zjednoczenia Bytom i Zjednoczenia Nowe Tychy. Ludzie mówili długo, nieraz przerywając sobie nawzajem, kłócąc się niemal, zapalając się coraz bardziej.

Stopniowo jednak wzburzenie zaczęło mijać, głosy cichły, zdawało się, że wszyscy powiedzieli już wszystko. Kiedy umilkł ostatni mówca, a nikt po nim nie kwapił się do zabrania głosu, odezwał się naczelny:

— To wszystko, co mówiliście, towarzysze, to są sprawy bardzo ważne i przyczyny bardzo istotne niewykonania rocznego planu. Myślę jednak, że najważniejsza i najistotniejsza przyczyna nie została tu przez nikogo poruszona. Wyliczaliście tutaj różne przyczyny obiektywne i subiektywne. Ja myślę, że trzeba znaleźć jakiś wspólny podkład tych wszystkich przyczyn. Częściowo powiedział o tym towarzysz Zaręba. Ale towarzysz Zaręba mówił o zaminowanych polach, które są poza nami. Ja myślę, że zaminowane pola są i w nas samych. W naszym stosunku do pracy...

Dyrektor Karczmarkiewicz, który wraz z innymi wpatrywał się w naczelnego, bacznie śledząc tok jego myśli, poruszył się nagle niespokojnie, z takim wyrazem twarzy, jakby przyszło mu do głowy coś bardzo ważnego, co natychmiast należy powiedzieć. Naczelny zauważył to.

— Towarzyszu Karczmarkiewicz, chcecie mówić? Proszę!

Dyrektor zawahał się.

— Wyście jeszcze nie skończyli...

— Nic nie szkodzi. Mówcie.

Karczmarkiewicz siedział na krześle wyprostowany, zaciskał mocno i zwierał ręce, zaczął wolno, z przystankami, jak człowiek, który głęboko przeżywa to, co mówi.

— Ja, wiecie, całkiem się zgadzam z towarzyszem naczelnym. Ja dużo o tym myślałem... Towarzysze, sprawa

jest taka, że walczyć to my już umiemy, ale zwyciężać to całkiem jeszcze nie!

Widząc gest niezrozumienia, jaki zrobił w tym momencie Zaręba, rzekł w jego stronę:

— Ja się postaram wytłumaczyć. Ja proszę was, analizuję tak: było u nas bardzo źle. Nie będę wyliczał co i jak, bo przed chwilą już wszystko wyliczyliśmy. Potem zrobiło się jeszcze gorzej, a jak przyszedł Bytom...

— To dopiero była pierońska katastrofa: — wtrącił nagle Łukowicz i wszyscy się roześmieli. Karczmarkiewicz zrobił znak ręką, żeby mu nie przerywać i ciągnął:

— ... jak przyszedł Bytom, to myśmy nie zdali egzaminu z socjalistycznego stosunku do pracy. Dopiero jak wybuchła ta sprawa z sabotażem, to nam się otworzyły oczy. Ale, towarzysze, mnie się zdaje, że właśnie wtedy kiedy zaczęło być dobrze, to naprawdę zaczęło się źle...

Uderzyło mnie to powiedzenie: tych samych słów użył niedawno inżynier Jaśkiewicz. Spojrzałam znowu na niego. Zmrużonymi oczami, zapominając o papierosie, który zgasł mu w ręku, wpatrywał się w Karczmarkiewicza, śledząc bacznie nitkę, która miała go doprowadzić do rozplątania nowego supełka.

— Zaczęło się źle! — powtórzył Karczmarkiewicz. — A wiecie dlaczego?

Podniósł głos. Wyprostował się jeszcze bardziej. Przemknęło mi przez myśl, że to chyba niemożliwe, żeby to był ten sam człowiek, który trzy miesiące temu...

— Dlatego — mówił Karczmarkiewicz coraz mocniej — że jakeśmy wyrzucili kilku szkodników, jak się stan budowy zaczął poprawiać, to myśmy do wszystkich naszych dotychczasowych błędów dołożyli samozadowolenie!

Na bladych zawsze policzkach dyrektora ukazały się rumieńce. Wstał.

— Towarzysze, myśmy w tym okresie dużo mówili, żeby być dalej czujnymi wobec wroga, że stare Tychy pod bokiem, że wśród nas może się jeszcze wróg trafić... Ale myśmy całkiem zapomnieli o czujności wobec siebie samych. Myśmy byli tak zajęci cieszeniem się z siebie, że — towarzysze! — myśmy przez to zawalili roczny plan!

Kiedy przebrzmiały ostatnie słowa, w pokoju zapanowała zupełna cisza. Patrzyliśmy wszyscy na Karczmarkiewicza. Wyraz oczu wszystkich obecnych wyrażał pełne zrozumienie i pełną aprobatę tego, co mówił dyrektor. Spojrzałam przelotnie na naczelnego. Nie widziałam jeszcze ani razu, aby jego szare, spokojne zawsze oczy, były tak rozświetlone do głębi, jak teraz gdy spoglądał na Karczmarkiewicza.

Dyrektor stał chwilę, milcząc, potem zaczął znowu, już zwykłym głosem:

— To już chyba rozumiecie, co ja powiedziałem o tym zwyciężaniu... Towarzysze, wy wiecie, że ja stąd odchodzę. Partia stawia mnie gdzie indziej... Towarzysze, ja chciałem jeszcze podziękować wam wszystkim...

Urwał, był bardzo wzruszony.

— Wam wszystkim... i towarzyszowi naczelnemu... — dokończył cicho.

Usiadł, wyciągnął rękę po papierosa, zapalił.

Jeszcze chwilę trwała cisza. Nagle spod pieca zadudnił głęboki bas Zaręby:

— Słowo honoru daję, że to wszystko racja... z tym samozadowoleniem, no nie?

Odezwały się zmieszane ze sobą głosy, przytakujące z przekonaniem. Odróżniłam wśród nich głos inżyniera Jaśkiewicza:

— Jak Boga kocham, to się nazywa złapać kota za ogon!

Inżynier powiedział to mimowolnie, spontanicznie. Był bardzo zamyślony i podniecony jednocześnie. Ograniczył się zresztą do tej uwagi.

Szmer trwał dłuższą chwilę, urwał się jednak, skoro głos zabrał naczelny:

— Widzę, towarzysze, że wszyscy zgadzamy się z tym, co powiedział towarzysz Karczmarkiewicz. Mnie się wydaje, że trafił w sedno. Ale — tu zwrócił się w stronę Łukowicza — musimy jeszcze wyjaśnić sobie sprawę Bytomia. Mam wrażenie, że po tej dyskusji będzie to już łatwiejsze... Towarzysz Łukowicz twierdzi, że Centralny Zarząd zrobił błąd, rzucając naraz tak wielki kolektyw na Nowe Tychy, osłabiając przez to Zjednoczenie Bytom właśnie przed końcem roku. Towarzysz Łukowicz twierdzi, że na skutek tego posunięcia Zjednoczenie Bytom nie wykonało swego rocznego planu. Tak, to prawda. Bytom dlatego nie wykonał swego planu, że pomagał Tychom.

Naczelny przerwał na chwilę, wyjął „Mocnego" z leżącego na stole pudełka. Górka przysunął mu zapałkę. Naczelny podziękował i mówił dalej.

— Towarzysze, Centralny Zarząd niejeden błąd popełnił i na pewno niejeden jeszcze popełni. To jest jasne. Ale, jeżeli chodzi o to konkretne posunięcie, że zabraliśmy ludzi do Nowych Tych, to ja się w ocenie tego posunięcia nie zgadzam z towarzyszem Łukowiczem. Moim zdaniem to było posunięcie słuszne.

Zaciągnął się mocno dymem. Ten moment pauzy wykorzystał Łukowicz i podniósł rękę:

— Towarzyszu naczelny... ale Centralny Zarząd nie przewidywał, że plan może zostać i tu i tu zawalony?

Na odpowiedź czekaliśmy z napięciem.

Naczelny powiedział po prostu:

— Mylicie się, towarzyszu. I taką ewentualność przewidywaliśmy. Oczywiście, założenie było takie, że plan zostanie wykonany i w Tychach i w Bytomiu. Ale w naszych dyskusjach braliśmy i najgorszą ewentualność pod uwagę.

Oczy Łukowicza stawały się coraz szersze.

— Pierona! I mimo to...

Naczelny uśmiechnął się leciutko.

— Tak, towarzyszu. Mimo to! Czy sądzicie, że to była decyzja łatwa? Ja jestem równie szczery z wami, jak wy ze mną. Towarzysze, to była decyzja niezwykle trudna...

W pokoju było cicho jak makiem siał. Nikt się nie odezwał. Ale oczy wszystkich pytały wyraźnie:

— Dlaczego właściwie a decyzja została podjęta?!

Naczelny odpowiedział:

— Tego problemu nie można rozpatrywać tylko pod kątem widzenia spraw bytomskich i nowotyskich. To trzeba, towarzysze, w skali szerszej. Nie tylko śląskiej, ale ogólnokrajowej. Nawet jeszcze szerzej... I nie tylko w perspektywie bieżącego roku, nie tylko w perspektywie Planu Sześcioletniego, ale i następnych etapów. I właśnie w tej wielkiej skali i w tej wielkiej perspektywie Nowe Tychy okazały się obiektem ważniejszym, niż inne nasze budowy, prowadzone przez Bytom. Oczywiście nie to małe Osiedle A, ale przyszłe, stutysięczne miasto, którego jak najszybsze wybudowanie jest w tej chwili jednym z czołowych zadań naszego budownictwa.

Przerwał, zdawał się coś sobie przypominać.

— Jak wyście to powiedzieli, towarzyszu Karczmarkiewicz? Że umiemy już walczyć, ale nie zawsze jeszcze umiemy zwyciężać. Tak, towarzysze. Wygrywamy nieraz bitwę lub potyczkę, a wydaje nam się, że wygraliśmy wojnę... Ale widzicie, towarzysze, czasem jest taka sytuacja, że aby wygrać wojnę, trzeba zaryzykować przegraną potyczki. Rozumiecie teraz, towarzyszu Łukowicz, motywy decyzji?

Nie czekając na odpowiedź Łukowicza, naczelny mówił dalej:

— Na froncie wykonania planu przegraliśmy. To prawda. Ale w ogólnym bilansie nie jest to porażka wielka. To, że tak mówię, nie oznacza bynajmniej, towarzysze, niedoceniania olbrzymiej wagi wykonania planu w terminie. Od tego jestem bardzo daleki. Ale co uzyskaliśmy mimo to, że Bytom nie wykonał w pełni planu? Zasadniczą poprawę sytuacji na Osiedlu A, które jest przecież bazą wypadową dla całego miasta Nowe Tychy, a na najbliższym etapie dla rozpoczęcia budowy Osiedla B. Plan roczny Osiedla A został niewykonany w takim procencie, że nadrobienie go, bez uszczerbku dla planów bieżących jest kwestią około dwóch miesięcy. To jest ogromny zwrot w historii tej budowy. Jeśli chodzi o Bytom, to, jak tu już zauważył towarzysz Ziarnisty, plan został nawalony w procencie minimalnym, i podciągnięcie go — to sprawa najbliższych tygodni. Ale również — i tu, towarzyszu Łukowicz, dochodzę do sedna poruszonej przez was sprawy, to jest również sprawa ambicji Zjednoczenia.

Zagadnienie bardzo ważne, bardzo istotne... Ale zanim przejdę do omówienia tej sprawy, chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że decyzja rzucania sił Bytomia na Nowe Tychy nie była wyłącznie decyzją Centralnego Zarządu. Decydowaliśmy wspólnie z dyrekcją Bytomia. Towarzysze, ta decyzja była tak istotna, nie tylko dlatego, że chodziło o przyszłość Nowych Tych. Ta decyzja miała olbrzymie znaczenie moralne. Nasi bytomscy towarzysze to rozumieli. Rozumieli, że chodzi o sprawy, ważniejsze niż ambicje...

Naczelny urwał. W tym momencie Zaręba, Ziarnisty, Borzemski i ja poruszyliśmy się żywo. Wymieniliśmy spojrzenia. To zdanie, powiedziane przez naczelnego, przypomniało nam wszystkim czworgu pewien jesienny dzień, bunt nowotyskich przeciw bytomiakom, rozmowę Zaręby z Ziarnistym i te wyrazy, które powiedział wtedy sekretarz:

— Tu chodzi o sprawy, ważniejsze, niż wasze ambicje!

Reakcja nasza, a zwłaszcza Zaręby, była tak żywa, że nie uszła uwagi obecnych, którzy spojrzeli na nas ze zdziwieniem i lekkim wyrzutem, że rozpraszamy ich uwagę w kulminacyjnym punkcie.

Zauważył to i naczelny.

—Chcieliście coś powiedzieć, towarzysze? Proszę, towarzyszu Zaręba.

Zaręba sapnął głośno. Z całej siły klepnął się ogromną, żylastą dłonią w kolano:

— Słowo daję, że ja dopiero teraz zaczynam na fest rozumieć:

Uśmiechnęłam się do siebie, myśląc, że teraz znowu Zaręba powtarza wyrażenie, parokrotnie już użyte przez inżyniera Jaśkiewicza w rozmowie o supełkach. Popatrzyłam na niego, ale nie zwrócił na mnie uwagi, bez reszty zaabsorbowany słuchaniem.

Zaręba mówił:

— Jak przyszli do nas bytomiacy, to ja ich traktowałem za psi pazur. Dlaczego? Bo w ambicję się czułem dotknięty. To mi od razu wytknął towarzysz Borzemski. Ale byłem taki zły, że nie chciałem go w ogóle słuchać. Potem sporo zrozumiałem z tej rozmowy, co wyście z nami mieli, towarzyszu naczelny. No dobra. Ale żeby mi wtedy złość na bytomiaków całkiem przeszła, to tego nie powiem...

Uśmiechnęliśmy się wszyscy. Zaręba mówił coraz głośniej, zapalając się do tematu.

— Potem znowu towarzysz Łukowicz mnie strzelił, bo puścił farbę, że go gryzie to osłabienie Bytomia w czwartym kwartale. Cholernie było mi wtedy głupio, że sam na to nie wpadłem... I tak dalej, wiecie... Ale teraz to ja już

wiem. Towarzysze, tu nie chodzi o nasze ambicje, rozumiecie, tu chodzi o tę naszą nową, socjalistyczną moralność!

Podniósł w górę rękę, zaciśniętą w pięść.

— O naszą moralność chodzi, towarzysze! Rozumiecie?!

Zadyszał się, ale nie chciał przerwać.

— Towarzysze, to jest najważniejsze! Bo co? Możemy mieć piękne plany, a co z nich wyjdzie, jak tej socjalistycznej postawy nie będziemy mieli? No co wyjdzie? Guzik wyjdzie! Tak jak dotąd wychodził nam guzik na naszej robocie. Patrzcie, a ci towarzysze z Bytomia to wcześniej pokapowali. Oni się zdecydowali przecież całkiem świadomie, że dadzą swoich najlepszych ludzi, żeby nas ratować. Towarzysze, ja bym chciał zobaczyć w ustroju kapitalistycznym, jak jakieś przedsiębiorstwo ryzykuje zawalenie swojej roboty, swojej, co tu gadać, forsy za premie za wykonanie planu, i swojej ambicji, że jest najlepszym przedsiębiorstwem, i to wszystko dlaczego? Żeby, powiadam, ratować drugich towarzyszy, co są po prostu fujary, a muszą wielką rzecz zrobić!...

Zaręba aż podrywał się na krześle, mówiąc. Nigdy nie widziałam go w takim uniesieniu. Przykuł zupełnie naszą uwagę.

— Towarzysze! — wołał wielkim basem. — Ja wam powiadam, że to jest możliwe tylko w naszym ustroju, bo nasza moralność to jest moralność pomagania sobie, a nie żadnej konkurencji!... Uffff.....

Zasapał się tak i zakaszlał, że musiał przestać mówić. Machał tylko ręką, dając znaki, że już skończył.

Ale długo jeszcze nikt się po nim nie odzywał. Było tak jasne, że wyraził głośno może nie przez wszystkich jeszcze dotąd uświadomione sobie, ale teraz zupełnie już jasne sprawy, tak dalece trafił w sedno zagadnienia, że nie zachodziła właściwie konieczność głośnej aprobaty. Naczelny wyczekał długą pauzę, widocznie nie chcąc niczym osłabiać wrażenia, wreszcie rzekł:

— Ja myślę, towarzysze, że to co najważniejsze, najgłębsze, to zostało już powiedziane. Skończmy na tym. Ja muszę jeszcze, ale niedługo, porozmawiać z towarzyszem Borzemskim. A potem zrobimy sobie wspólny obchód budowy.

Wstaliśmy wszyscy.

Zaręba, który opanował już dławiący go kaszel, zwrócił się do nas:

— Chodźcie na świetlicę. Tam sobie poczekamy.

Wkładaliśmy płaszcze i czapki, wolno wychodziliśmy z zadymionego pokoju. Świetlica mieściła się w innym budynku. Niewiele mówiliśmy po drodze. Za dużo było do przemyślenia.

Powietrze czyste było, mroźne i ostre. Osiedle A wydawało się piękniejsze niż kiedykolwiek.

Przysunął się do mnie inżynier Jaśkiewicz. Powiedział półgłosem:

— Jak Boga kocham, ci partyjniacy są jak koty... Zawsze w końcu spadną na cztery łapy, grzbietem do góry, a jakże!

Złapał mnie za rękaw, powiedział do ucha, jakby powierzając wielką tajemnicę:

— Jak tak dalej pójdzie, to jestem gotów uwierzyć, że i to mityczne stutysięczne miasto wybudujemy!

Choć było to powiedziane szeptem, idący obok Sierpień dosłyszał i powiedział ze zdziwieniem:

— A dlaczego nie mielibyśmy wybudować?

W świetlicy odbywała się próba nowopowstałego zespołu dziecięcego. Prowadziła ją nowa świetlicowa, skierowana na Nowe Tychy przez Komitet Powiatowy w Pszczynie. Według wyrażenia Łukowicza, świetlicowa zaczęła jazdę na dużych obrotach, zabrała się do wskrzeszenia komitetu kulturalno-

oświatowego, wprowadzała jaki taki ład w zaniedbanej wypożyczalni książek i, przy pomocy instruktorki z Katowic, organizowała zespoły artystyczne.

Na małej scenie tańczyły dzieci. Stół ping-pongowy był okupowany przez dwu młodych graczy i licznych kibiców, w jednym kącie szła gra w szachy i warcaby, kilku robotników czytało gazety.

Usiedliśmy w wolnym kącie, koło żelaznego piecyka.

— Czekajcie! — powiedział nagle Ziarnisty swym wątłym, łagodnym głosem, z taką miną, jakby sobie coś nagle bardzo ważnego przypomniał. Zwrócił się do mnie:

— Wy macie przecież pisać o Nowych Tychach, prawda?

— Tak, mam pisać — odrzekłam, mocno zainteresowana tym wstępem.

— Bo, widzicie — mówił Ziarnisty z lekkim zakłopotaniem, spoglądając na towarzyszy, jakby oczekiwał od nich poparcia — ja się na pisaniu całkiem nie znam, ale mnie się zdaje, że o tym sabotażu, co u nas był... i... no w ogóle tak zupełnie o wszystkim, to chyba lepiej nie, ...prawda?

— Co wy tam znowu! — rzucił porywczo Sierpień. — Niby dlaczego?

— No... — tłumaczył z zażenowaniem Ziarnisty — żeby nie zaszkodzić naszej budowie.

— Mydlenie oczu ludziom szkodzi, nieprawda! — odrzekł szorstko Sierpień.

W tej chwili podszedł do nas stary Machura, drobny, przygarbiony trochę, ale jak zwykle uśmiechnięty życzliwie i przyjaźnie.

— Ja tutaj.. tak sobie... popatrzeć jak te dzieci się bawią — pokazał na scenkę — tak wesoło tutaj...

Zrobiliśmy mu miejsce między sobą i, po wymianie kilku zdań, niezwłocznie wprowadziłam go w temat rozmowy i jej dotychczasowy przebieg. Zainteresował się.

— To mówcie dalej, niech i ja posłucham — poprosił.

Łukowicz zaczął dokuczać Ziarnistemu:

— Ech, ty pieronie, już trzy miesiące cię chowam i takiego mamlasa sobie wychowałem!

Patrzył wesołymi oczami na zakłopotaną twarz technika. Roześmieliśmy się. Zbity z tropu Ziarnisty nic nie odpowiedział, ale zaraz potem odezwał się Górka:

— A mnie się zdaje, że towarzysz Ziarnisty ma dużo racji. Co innego jak tu między sobą gadamy, a co innego w książce. Kłamać w takim pisaniu nie trzeba, wiadomo, ale od razu wszystko na patelnię wykładać — też nie dobrze. Z werbunkiem ciągle jeszcze są kłopoty i jeszcze przecież będą, ludzi ciągle za mało, a jak jeszcze wyjdzie książka o tym naszym bałaganie...

— A wy byście chcieli bujdami ludzi przyciągać? — rzekł szorstko Zaręba.

— Przecież ja nie mówię, żeby bujać, tylko żeby wszystkiego nie wywlekać, co było — bronił swego stanowiska Górka.

— I sam się zabujałeś! — odrzekł stanowczo Zaręba. — Bo to na jedno wychodzi. A zresztą co dużo gadać. Niektórzy werbownicy opowiadają ludziom czort wie jakie cuda o Nowych Tychach, żeby się wykazać, ilu to ludzi do nas ściągnęli, a potem ci ludzie uciekali, gdzie pieprz rośnie. Takie zamazywanie to jest niedźwiedzia przysługa. Kłamstwo ma krótkie nogi i tyle. Prawdę rżnijcie i już! — zakończył, kierując ostatnie słowa bezpośrednio do mnie.

Przez chwilę milczeliśmy, patrząc na scenkę.

— La, la, la... hop! hop! — śpiewała zadyszana świetlicowa, tańcząc razem z dziećmi. — Nie tak, Gustliczku, teraz lewą nogą... la, la, la...

Jasne włosy, ułożone w staranne loczki, rozwiały się i spadały jej na czoło i oczy. Odrzucała je co chwilę, potrząsając głową.

W pierwszej parze przytupywał dzielnie Alojz, trzymając za rękę dziewuszkę z malutkimi warkoczykami, splecionymi ciasno tuż przy skroniach.

Milczący dotąd dyrektor Karczmarkiewicz, zaczął mówić wolno, nie odrywając oczu od dzieci:

— Ja, wiecie, myślę, że prawda jest zawsze jedna, tylko ludzie z różnych stron na nią patrzą. Czasem tak jest, że jak za blisko nos przysuniesz, to poza końcem swego nosa też niewiele zobaczysz. Nasze patrzenie powinno być takie, żeby widzieć nie tylko to, co jest dzisiaj, bo wtedy będzie fałszywie, ale i to, co będzie jutro... rozumiecie... W tym naszym ciężkim jeszcze dniu dzisiejszym zobaczyć, no wiecie, tę perspektywę na jutro... No nie?

Dwaj malcy, może sześcioletni, którzy wydając radosne piski gonili się, ku rozpaczy ping-pongistów, dokoła ich stołu, zapędzili się aż do naszego kąta. Mniejszy, który uciekał, wpadł z rozpędu pomiędzy nas, obejrzał się i widząc, że drugi już go dogania, wcisnął się pośpieszenie między Machurę i Zarębę. Zaręba klepnął go lekko w przelocie po tłustym tyłeczku i posunął się trochę, robiąc szkrabowi miejsce. Malec ukryty teraz za plecami, wysunął spoza ramienia majstra okrągły, ciemny łebek i pokazał triumfalnie język goniącemu, który przystanął, niepewny co teraz zrobić.

Łagodna twarz Machury rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Powiedział poczciwie, obracając się do małego:

— No i kajżeś to zalazł, synku? Teraz nie wyliziesz, bo cię tamten wnet chyci!

Ale sprytny malec wypatrzył jakiś przesmyk między dwoma krzesłami i korzystając z chwilowego zagapienia kolegi, jednym skokiem znalazł się poza kręgiem dorosłych. Znowu rozległ się dziecinny śmiech, piski i gwałtowny tupot.

Uśmiechaliśmy się wszyscy, patrząc na tę gonitwę. Tylko Górka swoim zwyczajem wzdychał, jeszcze widać nie przekonany argumentacją Zaręby i Sierpnia.

Poczułam, że ktoś leciutko ciągnie mnie za rękaw. Był to Machura. Przysunął się bliziutko do mnie. W jego dobrych, szarych oczach malował się wyraz wielkiego napięcia myśli.

— Ja tam swoje, po chłopsku powiem — zaczął mówić nieśmiałym szeptem — że trzeba prawdziwie opisać i to co dobre i to co niedobre. I o tych naszych hotelach... Tam jest dobrze, ale pralnię koniecznie trzeba zrobić...

Wszyscy zwrócili się ku Machurze, zdumieni i zaskoczeni, że bez żadnej namowy zdecydował się zabrać głos w dyskusji.

— Co wy mówicie, ojciec? — zapytał Sierpień z niedowierzaniem.

Machura, ujrzawszy, że jest ośrodkiem zainteresowania, zmieszał się bardzo, zakaszlał, potarł z zakłopotaniem czoło suchą, żylastą ręką.

— Nie, ja nic, Jędruś... — odrzekł cicho i wstydliwie. — Ja nic... ja tylko o tym, że jak nam pokoje tak ładnie pomalowali, to jakoś nijako prać koszule w misce i rozwieszać... więc żeby pralnię zrobić...

— Choroba, pewnie, że racja! — wykrzyknął żywo Łukowicz i rozmowa zeszła na tory hotelowych bolączek. Machura nie brał już w niej udziału, siedział znowu cicho i skromnie, pogodny i uśmiechnięty, przysłuchując się uważnie każdemu słowu.

Górka znowu zaczął:

— Ja bym znowu tak powiedział. Jeszcze się nie śpieszyć z tym pisaniem. Jeszcze zaczekać, żeby można było na fest tę perspektywę pokazać. Bo teraz

to jak? W książce najważniejszy jest koniec. A tu jaki może być koniec? Zawalenie rocznego planu, tak?

Twarz mu posmutniała.

Zaręba żachnął się.

— Ty powiadasz, że plan niewykonany. Że to będzie zły koniec tej książki. Ślepy jesteś, czy co? Popatrz, co się z ludźmi przez te parę miesięcy porobiło! Jak to nie jest dobre zakończenie, to niech mnie tu szlag na miejscu trafi!

Zaperzył się ogromnie i chciał dalej mówić, ale w progu ukazał się Borzemski i kiwnął na nas:

— Chodźcie na ten obchód! — zawołał.

Wyszliśmy znowu na dwór. Powoli, bez pośpiechu, chodziliśmy po Osiedlu A, oglądając bloki nowe, starannie wykończone. Dogonił nas Alojz, naciągając w biegu ciepłą kurteczkę. Wcisnął się pomiędzy nas, i szedł teraz poważnie tuż koło naczelnego, podnosząc co chwila ku niemu czarne ślepki i słuchając uważnie produkcyjnej narady w terenie.

Na skraju Osiedla A naczelny przystanął.

— No cóż, towarzysze — powiedział z uśmiechem — na wiosnę stawiamy nowe hotele i zabieramy się na całego do Osiedla B!

— Gdzie to będzie? — rozległ się nieśmiały głos starego Machury.

— A o, tutaj! — uprzedził wszystkich w odpowiedzi Alojz. Przysunął się do Machury i objaśniał, wskazując palcem:

— Stąd, rozumiecie, zaczniemy, a potem ten kawałek, tam dalej, a potem jeszcze tam.

Po wszystkich twarzach przeleciały uśmiechy.

— Alojz! — zagadnął go naczelny. — A ty wiesz, jak będzie wyglądało Osiedle B?

— Zaśbym nie miał wiedzieć? — zdziwił się mały. — Takie same jak nasze! — wskazał ręką na Osiedle A.

— Nie, nie takie same! — poprawił go poważnie naczelny.

— A jakie? — zaciekawił się Alojz.

— Jeszcze piękniejsze! — powiedział naczelny w zamyśleniu.

Spojrzał na chłopaczka.

— Czekaj-no...

Otworzył swoją teczkę. Wyjął niewielki, piękny szkic perspektywiczny. Zbliżyliśmy się wszyscy, patrząc na przyszłość Nowych Tych.

Mały w milczeniu wziął rysunek z rąk naczelnego. Patrzył bardzo długo, jakby chciał dobrze wrazić go sobie w pamięć. Potem spojrzał na ośnieżone, lekko sfalowane pola, na daleki horyzont, podkreślony lasem. Stał tak, oblany jak i my wszyscy, czerwonym światłem zachodzącego słońca.

— Alojz, daj-no ten obrazek! — odezwał się Górka.

Mały nie odpowiedział. Nie słyszał. Stał nieruchomo, jak urzeczony, wpatrując się w pustą przestrzeń.

— A to się zapatrzył! — zauważył Łukowicz.

— Ej, ty, Alojz! Nowe miasto tam widzisz? — zagadnął go żartobliwie Sierpień.

Alojz milczał. Jego czarne, szeroko otwarte oczy wlepione były w rozległy pejzaż. Patrzył na te pola. My wszyscy zamilkliśmy również i patrzyliśmy na niego.

Naczelny pochylił się ku małemu. Zapytał ściszonym głosem:

— Alojz! Piękne miasto, prawda?

Mały oderwał wzrok od ośnieżonych pól i spojrzał w oczy naczelnemu. Nic nie mówiąc, kiwnął twierdząco głową.

Naczelny wyprostował się.

— Więc, towarzysze — rzekł, wracając do zwykłego tonu — od jutra wprowadzacie na budowie...

— Tak, towarzyszu dyrektorze — powiedział Sierpień — i ja bym jeszcze proponował takie ulepszenie w transporcie...

Grażyna Woysznis-Terlikowska

JADWIGA GORZYCKA

Ostatnie widzenie*)

Tej niedzieli miałem zobaczyć go z bliska. Z bliska, bo dopóki jeszcze miał żyć i czekać na wykonanie wyroku, wolno mu było rozmawiać z rodziną bez krat.

Straciliśmy ostatnią, podtrzymującą nas dotąd nadzieję, że może go skażą na zsyłkę. Do łaski carskiej nie chciał się odwoływać. Pozostawała mu tylko ucieczka. Była już zamierzona, przygotowywana... Słuch o niej zachwyciłem ze strzępów rozmowy ojca z najstarszą moją siostrą Zofią, skontaktowaną z towarzyszami brata i wreszcie z całej atmosfery domu, wyczekującej i nasłuchującej jakiegoś znaku czy słowa.

Po trosze znałem jej plan. Korytarz pierwszego piętra w dziesiątym pawilonie łączył się z mieszkaniem jakiegoś wojskowego inżyniera. Na tym korytarzu mieściły się cele proletariatczyków. Wyjście z mieszkania nie było strzeżone przez straż. Wystarczyło wybić otwór w suficie nad mieszkaniem inżyniera, runąć schodami w dół i w drogę... Mieli już piłkę, narzędzia i broń. Wśród oficerów rosyjskich na Cytadeli znalazło się kilku sympatyków ruchu, przyobiecali pomoc. Oczekiwano z chwili na chwilę już tylko oznaczenia terminu.

W niedzielę poszedłem z Zofią. Matka po ciężkim ataku serca nie mogła się jeszcze podźwignąć, ojciec czuwał przy niej bez przerwy. Przed naszym wyjściem przypomniał, że widzenie bez krat będzie znacznie dłuższe niż poprzednie i zalecił, by każde z nas rozmawiało ze Stachem osobno.

— Będę go zatem miał trochę dla siebie — myślałem biegnąc za Zofią ulicą ślepą od śnieżnej kurzawy. Szła obok szybkim, wyciągniętym krokiem, jak zwykle zamknięta w sobie i milcząca. Pozazdrościłem jej tego spokoju, którym tchnął każdy jej ruch. Wydała mi się całkiem wyzwolona ze wzruszeń, które alarmowały mnie jak dzwon na trwogę i okradały z mojej dzielności długo ciułanej po dniach i po nocach poprzedzających widzenie. Była gotowa na coś, coś w siebie przyjęła, czego ja w żaden sposób przyjąć nie umiałem. Chciałem jak ona zdobyć się na spokój, zebrać się w sobie i uporządkować wszystko, co chcę mu powiedzieć.

— Zacznę od ważnej rodzinnej nowiny — planowałem idąc. — Opowiem mu o naszych dwóch braciach ciotecznych, o Jasiu Strzemińskim i Kostku Zarzyckim, którzy pewnego ranka znikli z domu, pozostawiając swym matkom wiadomość, że prędko do nich nie wrócą.

Jak okazało się z późniejszych wieści, obaj przylgnęli do ruchu. Ledwo o kilka lat starsi ode mnie już mogą być w ruchu — jak Stach. I Zofia jest w ruchu, gdzieś jeździ w tereny, dromaderuje, rozwozi bibułę, a z nią Anatol i Jaś. Tylko ja jeden tkwię w Kole szczeniaków, które zmontowałem wśród moich kolegów i nic jeszcze dotąd — jak Stach.

— Pamiętaj — posłyszałem nagle nad sobą głos Zofii — że chociaż będziesz rozmawiał z nim z bliska, konwój ma słuch wyostrzony. — Patrzyła na mnie, nie zwalniając kroku, twardo i przenikliwie, jakby przejrzała mój zamiar.

Zdetonowałem się pod tym spojrzeniem. Zacząłem szukać gwałtownie sposobu, który ten konwój wyprowadzi w

*) Fragment oparty na opowiadaniu dr. Ryszarda Kunickiego, brata straconego Proletariatczyka.

pole i pozwoli mnie powiedzieć, co pragnę. — Po prostu — wymyśliłem — kiedy przy powitaniu zamknie mnie w uścisku, szepnę mu w ucho wszystko, co zamierzam, i dodam, że chociaż stronił od nas długie lata, bo przecież nie mógł inaczej, i choć od roku siedzi w Cytadeli, jest zawsze z nami w domu, w szkole, wszędzie, i że wskazuje nam drogę.

Stanęliśmy wreszcie przed bramą więzienia. Droga uliczką wprost, potem na lewo i w pierwszą bocznicę na prawo pod tamten, dziesiąty pawilon.

Zofię wezwano pierwszą na widzenie. Mnie umieszczono w małym, ponurym pokoju, gdzie wielu innych czekało swojej kolei. Patrzyłem uparcie w drzwi, którymi wchodził i wychodził żołnierz wywołujący nazwiska.

Pokój był duszny. Zwężał się w jakiś ścieśniony czworobok, w którym nie mogłem swobodnie oddychać. Zegar na ścianie cykał i cykał minuty. Wolno mijały kwadranse. Wreszcie otwarły się drzwi i weszła Zofia. Równym, ciężkim krokiem przemierzyła pokój i siadła przy mnie na ławce. Wydała mi się znowu nad podziw spokojna. A jednak, kiedy przysunąłem się do niej bliziutko, by ją o Stacha zapytać, poczułem, że całą jej postać wprawia coś w lekkie, nieuchwytne drżenie, które zaczęło się i mnie udzielać. — Zachowaj się dzielnie — zdążyła mi szepnąć, kiedy gwałtownie porwałem się z miejsca, by pójść za żołnierzem oczekującym mnie w drzwiach.

*

Kiedy stanąłem przed nim w rozmównicy, nie byłem zdolny przemówić. Chciałem zachować się dzielnie — lecz nie potrafiłem. Zachowałem się źle, jak mały, słaby chłopak. Łzy przesłoniły mi oczy. Wyrwałem chustkę z kieszeni.

— Mam katar — wykrztusiłem mu na powitanie.

Uśmiechnął się i przyciągnął mnie bliżej ku sobie.

— Mróz tęgi — odparł — o katar nie trudno. — Odgarnął mi włosy z czoła i porozpinał mi płaszcz.

Kątami oczu zerknąłem ku niemu. Z przerażeniem zauważyłem, że włosy ma dwukolorowe. Ciemniejsze nad czołem, już od połowy czupryny przechodziły w jaskrawą i obcą mi rudość. — One go widać zdradziły — pomyślałem i odwróciłem szybko twarz od Stacha, by znowu otrzeć łzy. Poczułem jego rękę na ramieniu.

— Patrz — mówił — coś zgubiłeś. — Podjął z ziemi scyzoryk, który widocznie wypadł mi z kieszeni przy wyjmowaniu chustki. — Ten sam, który darowałem ci jeszcze w Tyflisie — poznał go, zamyślił się nad nim i dodał ze szczególnym akcentem na słowach: — Czy przypominasz sobie, Ryśku, to zdarzenie, które się wiąże z tym oto prezentem? — Ważył w dłoni scyzoryk i pytająco zaglądał mi w oczy.

Skinąłem głową na znak, że pamiętam, lecz nie zdobyłem się na żadne słowo. Zaniepokoiło mnie, że teraz przypomina to dawne zdarzenie skądinąd dla mnie mocno niepochlebne. Podobnie jak dziś zachowałem się wtedy źle i po szczeniacku. Było to pewnego wczesnego, letniego ranka, kiedy stanąłem nad brzegiem przepaści, przerzynającej mi moje podwórko dotąd równiutkie jak stół. Ryknąłem głośnym rozpaczliwym płaczem. Nigdy dotąd tej wyrwy nie było, jeszcze jej wczoraj pod wieczór nie było, kiedy schodziłem z podwórza! Gdy zapytałem naszego „tułukczę" (woziwodę), który stał obok ze swoją szkapiną obładowaną worami ze skóry, skąd się tu wzięło takie rozwalisko — zdumiał się, że widocznie tej nocy przespałem lekkie trzęsienie ziemi, które tę przepaść otwarło. Z rozpaczą zacząłem się wmyślać w zjawisko, które nazywa się trzęsieniem ziemi i rozpłakałem się w głos.

Już nie pamiętam, jakim tłumaczeniem, a może tylko podobnym uśmiechem, z jakim i teraz zaglądał mi w oczy, Stach zdołał sprawić, że ta dziwna ziemia nagle przestała mi grozić wchłonięciem i znowu stała się zwykłym podwórkiem, po którym mogłem uganiać. Na „osuszenie łez" dał mi scyzoryk, o którym od dawna marzyłem.

— Cóż, byłeś wtedy mazgaj — podjął. — Mały mazgaj. — Znacząco zajrzał mi w oczy i chciał może zacząć rozpamiętywanie o tym przepastnym zdarzeniu, lecz nagle urwał, nie dokończył zdania, bo musiał dojrzeć płomienny rumieniec, który mi wybiegł na twarz.

Moje dwanaście lat stanęły dęba. Zrozumiałem, że tamten mazgaj, którego przypomniał, ma dzisiaj tego mazgaja zawstydzić, który tu stoi z chustką i „ma katar". Zwinąłem ręce w pięści przeciw czemuś, czego nie mogłem zmóc przed nim, przed Stachem, który od roku siedzi w Cytadeli i j e s z c z e ze mną rozmawia, i niespodzianie dla samego siebie nagle się rozgadałem.

— Nie byle sprawa taka wyrwa w ziemi — broniłem z lekka tamtego mazgaja, jakbym już z niego dostatecznie wyrósł i nic z nim nie miał wspólnego.

— Z byle sprawami nie sztuka — odrzucił i łysnął zębami w szerokim uśmiechu, rad widać, że wziąłem się w garść.

— Czy wiesz — podjął znowu wracając do wspomnień — że chociaż sporo lat dzieli nas od tamtych czasów w Tyflisie, przecie to podwórko, nasz dom przy Saperskiej pamiętam tak żywo, jakbym go wczoraj opuścił.

— Stał na wprost góry św. Dawida — wtrąciłem.

— Ze stoków rzeka spadała w dolinę. — Podniósł głowę i zapatrzony jakby w tamtą przeszłość snuł dalej: — „Szumi jak morze" — myślałem o tej rzece w półśnie. Z pokoju matki wybiegało światło małej, nocnej lampki. Było łagodnie zielone... Widuję je czasem w ciemnościach i teraz.

Coś osobliwego było w głosie Stacha. Brzmiał taką rzewną tęsknotą za naszym domem rodzinnym, że zapragnąłem ze wszystkich sił serca przenieść go choćby myślą tam, na Kaukaz, do kraju słońca, soczystych granatów, olbrzymów górskich rozpinających twardy łuk nad miastem, a ponad wszystko w głąb cichej doliny, gdzie było światło małej, nocnej lampki i rzeka szumiąca jak morze.

Mówiłem prędko. Skrótami, na przełaj wracałem w przeszłość i nasze jasne dzieciństwo. Oprowadzałem go po tamtym domu, na ścieżaj otworzyłem drzwi pokoju matki pełnego czerwieni i złota makat kaukaskich rozpiętych na ścianach, wydobywałem spod pokładów czasu obraz jej taki, jaka była wtedy, młoda i piękna urodą Gruzinki o jasnych oczach i czarnych warkoczach, falistych jak woda w strumieniu.

Potem wspomniałem słoneczny przedpokój z mnóstwem doniczek na oknie, który prowadził do pokoju ojca. Oblegany od rana po wieczór przez tłumy pacjentów rzadko mógł z nami przebywać. Obok nas miał olbrzymią i drugą rodzinę poszukujących u niego ratunku i z nią musieliśmy radzi nie radzi dzielić się jego miłością.

Słuchał. Zdawało mi się, że moje „trzy po trzy" unoszą go na dobroczynnej fali w dawne szczęśliwe dni. Gdy opowiadałem o naszych wycieczkach do sadów naszej ciotki „Mariwanny" (Marii Iwanowny, siostry naszej matki) i gdy opisywałem mu męki Tantala, które przeżywałem w winogradowych alejach, póki mi nie zechciał służyć za drabinę, bym mógł dosięgnąć owocu — śmiał się, śmiał się szeroko i pełnie, jak wtedy pod gęstym, winnym zasiekiem.

W obliczu jasnej prawdy tego śmiechu gdzieś zapodziewał się koszmar wyroku i skądś się brała nadzieja. Była

nieokreślona, mglista i bez podstaw, ale rewolucyjna jak burza. Tej burzy dałem się porwać bez reszty. Kiedy z kolei Stach wciąż roześmiany mówił o bosonogim tańcu tłoczenia winogron i o tym, że sam brał w nim udział po wylegitymowaniu się przed „Mariwanną" wyszorowanymi nogami — nabrałem szczenięcej, niezbitej pewności, że wydostanie się jakoś na wolność ponad i mimo wyroki.

— Pamiętasz — mówił znowu, ciągle tkwiąc we wspomnieniach — nasz powrót z takiej wycieczki do ciotki? Jechaliśmy nocą wehikułem ojca wzdłuż księżycowej doliny i śpiewaliśmy polskie i gruzińskie pieśni. Echo daleko niosło to śpiewanie...

— Potężne było to echo tam, w górach — wtrąciłem.

Jakby zagrało w nim nagle inaczej i przypomniało nie pogłos piosenki, ale zgiełk walki gruzińskiego ludu, który rok rocznie spychał ze stoków carskie komisje wojskowe, wyłapujące w Tyflisie rekruta — dodał po chwili milczenia:

— Szczególnie gdy niosło głos salwy...

Bywało, grały od rana do nocy. W tych dniach cały nasz dom żył i oddychał walką ściganych Gruzinów. Nocą Stach znikał z tułukczą, skądś znosili rannych. Leżeli pokotem na naszym podwórzu, nie wydając jęku, by nie obudzić czujności żołnierzy, kwaterujących w sąsiednich koszarach. W gabinecie ojca opatrującego przy asyście matki, światło nie gasło do świtu.

Po takich nocach Stach z głową wzniesioną ku górom stał nieruchomo i słuchał. Płonął. Przejmował w siebie pełny rozmiar krzywdy, która godziła w ten lud. Była potrójna jak jego zaborcy, podobna krzywdzie narodu polskiego, z którego wywodził się ojciec. Obie wtaczały mu w żyły gorączkę, obejmującą cały jego ustrój. Stawał się twardy i prężny jak ziemia pod naporami wewnętrznego ognia, którym się palił bunt serca.

Wsłuchani jeszcze w tamto górskie echo niosące w świat głosy walki nie dosłyszeliśmy cichej i jakby nieśmiałej uwagi żołnierza, że nasze widzenie się kończy. Kiedy dotarła do mnie powtórzona głośniej, zdziwiłem się nierozumnie, że oto na Stacha już czas.

Nie mogłem go jeszcze pożegnać. Tak wiele przecież miałem mu powiedzieć, a przede wszystkim coś od niego przejąć, co zasiliłoby moją nadzieję, że kto wie — może już jutro? Chciałem go objąć, przylgnąć do niego i o to jedno zapytać, ale zasypał mnie sam pytaniami o matkę i o jej zdrowie. Zofia mówiła mu, że przeziębiona, był niespokojny, chciał wiedzieć.

— Nic poważnego — zełgałem przytomnie, nie odwracając spojrzenia. Przez chwilę patrzył na mnie przenikliwie, potem odetchnął głębiej i powiedział:

— Wyhaftowałem dla niej bukiet kwiatów — zwierzył mi się. — Sam dobierałem kolory, są ładne, zobaczysz — upewniał. — Dla ojca skonstruowałem zegar na pamiątkę. Przekonasz się, jak wam dobrze czas będzie wskazywał — dodał i sam się pochwalił, że odkrył w sobie talent zegarmistrza.

Coś przeraziło mnie w jego zwierzeniach. To „wam" wyłączające go jak gdyby z czasu, który wskazywać będzie jego zegar, kwiaty dla matki, pamiątka dla ojca — wszystkie te słowa powiązane razem brzmiały jak pożegnanie.

Nie mogłem dłużej zwlekać, musiałem zaryzykować. Bacznie rozejrzałem się po rozmównicy. Konwojent wrócił w odległy kąt sali i tępo patrzył przez okno. Objąłem Stacha i z twarzą przy twarzy bezgłośnie zacząłem go pytać:— Powiedz — prosiłem — kiedy ty stąd wreszcie... — nie dokończyłem, bo na-

gle wstał z miejsca i wzrokiem nakazał milczenie.

Stwardniał. Wymykał się mojemu sercu, które go chciało zrozumieć. Stawał się przez tę twardość pozaludzki. Zostawiał mnie samego w ciemności domysłów i nie chciał wyprowadzić mnie na zbawcze światło bodaj najlżejszej nadziei. Widocznie spostrzegł, co się we mnie dzieje, bo znowu usiadł, objął mnie ramieniem i niespodziewanie, swobodnie jak przedtem, zaczął mi opowiadać o białych myszkach, które chowa w celi.

— Tańczą, gdy im zagwiżdżę — mówił jak do dziecka i sam uśmiechał się nieco przekornie i tak serdecznie jak dziecko.

Ten uśmiech trochę dziecinnie przekorny zachował na twarzy i wtedy, kiedy kazano mu wrócić do celi. Przesyłał mi go jeszcze, gdy szedł za żołnierzem, i odwróciwszy się do mnie zawołał: — Czekam cię w przyszłą niedzielę!

Dopiero kiedy straciłem go z oczu, przyszło mi na myśl, że mi ten uśmiech dał jak ojcu zegar, a matce bukiet kwiatów — na pamiątkę.

Ktoś przy mnie stał i coś mówił. Ktoś napominał, bym wyszedł z tej rozmównicy. To Zofia, którą tutaj przyprowadził strażnik, wskazała mi drogę ku wyjściu.

*

Nie skorzystał z możliwości ucieczki. „Sprawa wymaga ofiar przywódców ruchu i jego inspiratorów, by zrównoważyć masowe ofiary robotników“ — pisał do towarzyszy.

— W słowach, które posyłam Wam, pragnę przesłać i udzielić Wam całą moją miłość dla sprawy, dla której ginę. Od Was zależy, byśmy nie padli próżną ofiarą. Bywajcie szczęśliwi i wspominajcie „rudego Grzegorza“ — żegnał w ostatnim liście najbliższych jego sercu braci — robotników.

Jadwiga Gorzycka

SAMUEL SANDLER

Z praktyki pierwszego marksistowskiego krytyka literackiego w Polsce*)

I

Gdybyśmy chcieli parafrazować Mickiewicza i powiedzieć, że jaka literatura, taka krytyka, to w stosunku do literatury polskiej dziewiątego dziesięciolecia ubiegłego wieku popełnilibyśmy poważny błąd. Wielcy pisarze: Orzeszkowa, Prus, Sienkiewicz, Konopnicka tworzyli wówczas swoje szczytowe dzieła, stanowili „klasyczny" okres realizmu krytycznego naszej literatury. Krytyka natomiast wyraźnie przejawiała niezdolność do towarzyszenia pisarzom na owej drodze ku ich najwyższym osiągnięciom. Nie mieliśmy wówczas właściwie ani jednego krytyka literackiego, który by ogarniał perspektywy rozwojowe realizmu krytycznego, walczył skutecznie o jego rozwój, torował mu drogę. Nie mogło go dostarczyć „pokolenie pozytywistyczne", któremu przodował Piotr Chmielowski. Krytyka ta odegrała poważną rolę w kształtowaniu się burżuazyjnej literatury tendencyjnej po powstaniu styczniowym i reformie uwłaszczeniowej. Stoczyła nieprzejednane boje z estetyzmem, kultem „sztuki dla sztuki", z epigoństwem schyłku literatury romantycznej. Walczyła o zacieśnienie więzi literatury z życiem współczesnym. Żądała od pisarza afirmacji rzeczywistości kapitalistycznej, mniej lub więcej konsekwentnie atakowała przeżytki kultury i obyczajowości feudalnej występujące w literaturze. Walczyła o wykarczowanie kultu szlachetczyzny, atakowała przejawy obskurantyzmu. Krytyka ta postulowała nowego, burżuazyjnego bohatera pozytywnego, ukazanie zwycięskiej walki „nowego" — burżuazyjnych form życia, ze „starym" — zacofaniem cywilizacyjnym, niezdolnością ziemiaństwa do przystosowania się do nowych form życia. Postulaty tej krytyki spełniała autorka powieści W klatce czy Pan Graba, autor Humoresek z teki Worszyłły, Bałucki, częściowo Jeż i inni.

Normy estetyczne wypracowane przez tę krytykę ograniczały jednak niewątpliwie tendencje realistyczne literatury. Postulat tendencyjności był względnie postępowy, gdy zwracał się przeciwko epigońskiej ucieczce pisarzy od rzeczywistości współczesnej, stawał się zaporą, gdy utożsamiał się z afirmacją rzeczywistości burżuazyjnej, ujawniającej w miarę rozwoju coraz ostrzej nowe antagonizmy społeczne, przeciwieństwa klasowe. Wielcy pisarze okresu mniej lub więcej świadomie odrzucali tak pojmowany postulat tendencyjności, mniej lub więcej świadomie podstawową wytyczną twórczości literackiej stawał się postulat wiernego odzwierciedlenia rzeczywistości, który oczywiście nie mógł być osiągnięty w pełni przez pisarzy ograniczonych przynależnością światopoglądową i ideową do klasy eksploatatorskiej. W każdym bądź razie jednak wędzidła, które dążeniom do realizmu nakładała estetyka tendencyjnej literatury burżuazyjnej, zostały poważnie nadwerężone lub zerwane. Konopnicka, debiutująca najpóźniej z wybitnych pisarzy okresu, ograniczeń narzucanych przez tę estetykę już nie podzielała. Oczywiście nie znaczy to, aby nie było innych.

*) Rozdział z książki: U początków marksistowskiej krytyki literackiej w Polsce. Patrz Twórczość, nr 6.

Gdy pisarze w swej praktyce twórczej kroczyli ku dziełom realizmu krytycznego, krytyka pozostawała w tyle, a nawet — jak w przypadku Chmielowskiego, który coraz bardziej wyraźnie stawał na pozycjach sojuszu burżuazyjno-obszarniczego — zdecydowanie się uwsteczniała, stawała się coraz bardziej apologetyczna wobec rzeczywistości kapitalistycznej. Krytykowała „przejaskrawienia", postulowała „umiar".

Rozdźwięk między krytyką a praktyką twórczą realistów krytycznych sygnalizowali w swoich wypowiedziach Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa.

Dominujący nurt krytyki literackiej okresu pozostał daleko w tyle za literaturą rozwijającą się ku realizmowi krytycznemu. Do tego dopiero co omawianego nurtu nie można zaliczyć w całej pełni działalności krytycznej grupy Wędrowca, a zwłaszcza Sygietyńskiego, reprezentującego tu — przede wszystkim jednak we wcześniejszej niż powstanie grupy krytyce literackiej — najdojrzalszą, stosunkowo najbliższą praktyce twórczej realizmu krytycznego działalność. Zarówno stopień wypracowania norm estetycznej oceny dzieła literackiego, jak i postulaty, jakie reprezentuje, czynią go względnie najbardziej przygotowanym do zadań krytycznych nowego etapu rozwoju literatury.[1] Ale formułę tę trzeba dwojako ograniczyć; po pierwsze wyznacza mu to rangę w obrębie oddziaływania ideologii burżuazyjnej, po drugie — jego normy i postulaty, formowane przede wszystkim na gruncie doświadczeń literatury francuskiej, nie bazowały na twórczości realistyczno-krytycznej w jej szczytowej dla tej literatury postaci, lecz w postaci słabnącej i zanikającej. „Szkołą klasyków" nie byli tu Stendhal i Balzak, lecz Flaubert[2]. Żądał Sygietyński prawdziwego „obrazu życia powszedniego", wskazywał jednak na jego obecność nie w twórczości Balzaka i Stendhala, ale autora Pani Bovary[3]. To niewątpliwie ograniczało jego na pozór bardzo słuszne postulaty twórczości realistycznej: sumiennej obserwacji, kształtowania wiernie zaobserwowanych charakterów, pełni artystycznej plastyki postaci itd. Z dwóch poczynionych tu zastrzeżeń ograniczających pozycję Sygietyńskiego wcześniejsze sformułowano przede wszystkim ze względu na działalność pierwszego polskiego krytyka marksistowskiego — Bronisława Białobłockiego Był on wówczas tym spośród parających się krytyką literacką, który miał najwięcej danych do odegrania roli awangardowego krytyka literatury polskiej w okresie formowania się czołowych dzieł realizmu krytycznego. Dane te zawdzięczał temu chyba, że w zakresie postulatów ideowo-artystycznych przynajmniej w pewnych punktach wykraczał poza realizm krytyczny, dlatego, że stopień dojrzałości estetycznej pozwalał mu ogarnąć pełniej praktykę pisarską swego okresu, że umiał — krótko mówiąc — spojrzeć na literaturę dziewiątego dziesięciolecia XIX-ego wieku w Polsce z pozycji, do których ona sama nie dorastała, z pozycji literatury świadomie towarzyszącej masom ludowym nie tylko w ich cierpieniach, spowodowanych uciskiem społecznym i narodowym, lecz także w ich walce wyzwoleńczej.

Białobłocki w pełni dostrzegał i rozumiał podstawowe konflikty epoki — tego nie można powiedzieć o pisarzach realizmu krytycznego. Widział i rozumiał perspektywy rozwoju dziejowego i jego sił sprawczych — oczywiście i tego nie można powiedzieć o pisarzach realizmu krytycznego. Jasno widział i rozumiał, kto jest rzeczywistym bohaterem historii, jakie są jego dążenia i aspiracje. W okresie gdy jeszcze — jak skarżył się wtedy Prus — triumfowała „partia zastoju"[4], Białobłocki dostrze-

gał już perspektywy jej nieuchronnej klęski, upadku. W dniu dzisiejszym widział zarodki przyszłości, to dawało mu możliwości oceny współczesności i jej literatury w takim stopniu, jaki nie był i nie mógł być dostępny pisarzowi realizmu krytycznego. Krótka droga działalności naszego pierwszego marksistowskiego krytyka literackiego dostarcza tu nie budzących wątpliwości dowodów. Dorobek ten ogranicza się do kilkunastu zaledwie artykułów, szkiców, recenzji i przyczynków poświęconych literaturze polskiej, rosyjskiej i ukraińskiej [5]. Ale w tym skromnym dorobku zawarte są bogate doświadczenia ideowe i estetyczne, których twórcze i inspirujące wydobycie może oddać cenne usługi bezpośrednim dziedzicom rezultatów działalności Białobłockiego. Prac jego poświęconych literaturze polskiej jest zaledwie kilka, lecz niemal każda jest cennym dokumentem walki o zwycięstwo ideologii marksistowskiej, przykładem rozmaitych form walki, sięgania do przebogatego arsenału środków walki, jakimi dysponuje prawdziwie świadoma swych zadań i celów, prawdziwie walcząca krytyka literacka. To dziedzictwo po Białobłockim nie powinno być zaniedbane.

II

Debiut krytyczny pierwszego polskiego krytyka socjalistycznego na polu literatury ojczystej (Białobłocki debiutował — jak wiemy — szkicami literackimi o Glebie Uspieńskim i Złotowratskim) wygląda na pozór dość zaskakująco ze względu na — zdawać by się mogło — marginesowość tematyki, jaką podejmował. Pełny tytuł pierwszej jego publikacji z tej dziedziny brzmi: Życie fikcyjne i obrzędowe. Przyczynek do studium nad Deotymą i kierunkiem naszej literatury. Przyczynek? I to o Deotymie? O pisarce, nigdy się wówczas „nie liczącej" w literaturze, lecz tylko w warszawskich salonach arystokratycznych, które „uświetniała" swoimi „natchnionymi improwizacjami". Nawet tak umiarkowany krytyk i badacz literatury jak Piotr Chmielowski parozdaniową wzmiankę o Deotymie napisał nie bez widocznej ironii. „O powieściach Jadwigi Łuszczewskiej (Deotymy) — notował w pierwszym sumariuszu literatury polskiej po 1863 roku — która również wiersze na prozę zamieniła, niewiele da się powiedzieć pochlebnych wyrazów. Styl poprawny, a niekiedy i piękny, dbałość o kompozycję artystyczną — oto zalety powieści: Na rozdrożu (1876), Krzyż nad otchłanią (1878), Zwierciadlana zagadka (1879); postaciom atoli brak prawdy życiowej, rozprawom — silnej podstawy myślowej, scenowaniu — rozmaitości, rozmowom — naturalności; charakterów, w prawdziwym znaczeniu wyrazu tego, nie ma tam prawie; a jeżeli coś jest w tym rodzaju, to wygląda jak bardzo starannie i umiejętnie wykonana kopia z cudzego obrazu" [6] itd.

Białobłocki na samym wstępie mówi wyraźnie, że nie zainteresowanie twórczością salonowej pisarki kieruje na nią jego uwagę. „...sądzimy — pisze — że... na publiczność nie wywiera żadnego wpływu, a talent jej jest rzeczą, którą trzeba warunkowo rozumieć, bo nowych dróg nie utorowała w literaturze, a na starych lekko, swobodnie i z elegancją stąpając nie zostawiła śladów widocznych". „Nic nie stworzyła — powie o niej gdzie indziej — żadnego rzeczywistego dzieła sztuki" [7].

Pytanie, które zadajemy sobie śledząc pierwszy krok Białobłockiego na polu literatury polskiej, on sam także sobie zadał i odpowiedział na nie ja-

sno: „Według nas Deotyma przedstawia interesujące zjawisko nie pod względem literackim, lecz społecznym, i tu jest punkt, z którego patrząc, można, zdaje się, coś ciekawego powiedzieć“ [8].

W sformułowaniu tym zawarty jest pogląd na swoistą metodę, którą krytyk zamierza się posługiwać. Przyjmuje wobec określonego zjawiska literackiego specjalny — jego zdaniem — w danym przypadku najodpowiedniejszy punkt widzenia. Najlepsze wzory takiej metody krytycznej stworzyli przed nim Bieliński, Dobrolubow, Pisariew. Wybór specjalnego „punktu widzenia“ [9] — jak określał to nieraz autor Królestwa mroku — pozwalał na szeroką społeczną analizę wybranego dzieła, na ukazanie w nim tylko tego, co krytyk naprawdę — nie z punktu widzenia zawartości utworu, lecz z punktu widzenia „własnych zainteresowań i potrzeb społecznych“ — uważał za szczególnie ważne, wymagające naświetlenia. Mistrzowskim wzorem tego rodzaju metod jest właściwie olbrzymia większość prac krytycznych Dobrolubowa.

Zarzucano mu nieraz, że rozważa w dziełach pisarzy nie to, co jest rzeczą najistotniejszą z punktu widzenia ich światopoglądu, ideologii. Odpowiadał na to, np. w przypadku Ostrowskiego, że właśnie podstawowym błędem krytyki jest to, że „nie umiała spojrzeć na Ostrowskiego wprost, jak na pisarza, który przedstawia życie pewnego odłamu społeczeństwa rosyjskiego, ale patrzyła na niego jako na propagatora moralności w myśl pojęć tej czy innej partii“ [10]. Ponad sporami krytyków-słowianofilów, krytyków-„zapadników“, zacofańców i liberałów, rewolucyjno-demokratyczny krytyk rozważał twórczość pisarza pod „kątem widzenia“ jego istotnego znaczenia dla mas ludowych, ich samowiedzy dążeń wyzwoleńczych. Konsekwentna obrona tego typu krytyki, obrona własnego „punktu widzenia“ jest cenną i trwałą zdobyczą krytyki rewolucyjno-demokratycznej; ostro przeciwstawia się ona pokusom smakoszostwa i estetyzmu, formalistycznej „krytyce immanentnej“. Białobłocki w swojej praktyce krytycznej konsekwentnie przejmował tę cenną zdobycz metody analizy ideowo-artystycznej, wypracowanej przez rewolucyjną demokrację w nieprzejednanych walkach o oblicze i rozwój literatury, o jej służbę sprawie ludu.

Właśnie udanym przykładem tej praktyki krytycznej jest szkic naszego pierwszego marksistowskiego krytyka o Deotymie. Co ze swego „punktu... patrząc“ [11] dostrzegł on w twórczości Łuszczewskiej? Żyje ona w środowisku warstw wyższych, które nie potrzebują pracować, zbytnio zabiegać wokół swoich interesów, wśród warstw pasożytniczych. Rzeczywisty obraz życia tej sfery był różnorako ukazany w literaturze. Charakteryzowali je pisarze realiści, charakteryzuje je także Deotyma. Ale różnice są ogromne. Pierwsi naświetlali je krytycznie, druga — mimo woli. Białobłocki wyraźnie określa cel swej krytyki nie tyle Deotymy — gra nie byłaby warta świeczki — co moralności, poziomu umysłowego, ideałów warstw żyjących z wyzysku. „Czymże to życie w takim razie zapełnia się, jakie piętno wytłacza na umyśle i uczuciach prowadzących takowe jednostek? Okropne to życie, z okropniejszymi jeszcze skutkami przedstawiają w całokształcie pisarze realiści, a jak u nas wspaniałą pod tym względem jest p. Orzeszkowa. W utworach Deotymy nie spotykamy wprawdzie świadomej charakterystyki warstw wyższych, ale za to sama i bezwiednie w swych produkcjach przedstawia typ przeciętnej dobrze wychowanej kobiety sfer arystokratycznych i bogatych...

Otóż więc na zasadzie rozbioru dzieł Deotymy chce uwydatnić momenta profilu kobiety jej sfery, żyjącej i poruszającej się według form ustanowionych tradycją i modą, ożywiającej je fikcjami religii i sztuki oraz wiedzy, aprobowanymi przez kościół"[12].

Nie jest to jakiś psychologizm czy biografizm. Analiza utworów przynosi obraz typowego życia salonu, „sfer artystokratycznych i bogatych", świadomości i uczuć ich ludzi zamkniętych w klatce konwenansów, „dobrego tonu, tej podstawy życia, według Deotymy". Umysł autorki jest „odbiciem cech tradycyjnych i ortodoksyjnych pod względem wiary, moralności, nauki, sztuki"[13]. W sferze salonu — drwi Białobłocki z scientyzmu Deotymy — nauka jest środkiem konwersacji, sztuka — zabawką, „środkiem podnoszącym elegancję form towarzyskich". Wszystko jest tam fikcją — nawet samo życie. Rzeczywista jest tylko fikcja: wiedzy (nie mająca oparcia w „obserwacji życia")[14], sztuki, nauki, patriotyzmu. Tymi fikcjami żywi się umysł pisarki. Wyobraźnię atakuje nie rzeczywistość „dotykalna", lecz wyczytana, wymarzona... „Że cała sfera dobrego tonu i dobrego wychowania — stwierdza krytyk — jest głęboko religijna, o tym ani na chwilę wątpić nie można, można tylko uważniej rozpatrzeć się, co stanowi treść tej religii".[15] Treścią tą — przekonanie, że porządkiem przyrodzonym jest „świat podzielony pomiędzy rodziny pańskie, mające dostateczne środki na utrzymanie. W tych rodzinach dzieci czczą rodziców, a rodzice kochają dzieci... Komu w ramkach tego ustroju źle, kto nie zdołał za pomocą uświęconych środków podreperować się, to ten niech się nie puszcza w dziwaczną krytykę ustroju, lecz niech podziwia świętą wolę i niedoścignioną mądrość wyroków wyższych"[16]. Opatrzność jest tu stróżem porządku zabezpieczającego pasożytnictwo tysięcy oparte na wyzysku milionów. Bóg jest mistrzem ceremonii, „Istotą ustanawiającą, dopełniającą i korygującą niedokładności szczegółów «dobrego tonu»"[17]. Rezultatem analizy Białobłockiego jest wniosek, że twórczość Deotymy stanowi mimowolne, bezwiedne odzwierciedlenie „życia fikcyjnego i obrzędowego w pewnej ciasnej sferze", utwory jej są ciekawym dokumentem czasu, „ale jak nie wywarły, bo wywrzeć nie mogły, na współczesnych swego wpływu, tak i nie będą miały żadnego życiowego znaczenia dla potomności". Lecz ukazanie istotnych treści jej twórczości ma swoje znaczenie. Białobłocki wielokroć to podkreślał, z uznaniem pisał o tych, którzy te treści demaskowali. Chodzi mu o sprawę trwałości w Polsce przeżytków feudalnych, o nacisk kultury, moralności obyczajów minionej epoki. Wskazywał, że odpowiednie elementy tego „dziedzictwa" kultywuje ziemiaństwo, arystokracja, podtrzymuje burżuazja[18]. W krytyce Deotymy pewien znamienny ton odróżnia Białobłockiego od współczesnych mu i nieco wcześniejszych krytyków typu życia, jakie reprezentuje i usiłuje uświęcać omawiana pisarka. Pozytywistyczne trzebienie jaskrawych przeżytków feudalnej nadbudowy nastrojone było zwykle w swych atakach na najwyższy ton oskarżycielstwa, krytyki. Tym nieraz osłaniano własną ograniczoność, nadawano krytyce często drastyczny charakter „wychowawczy". Białobłocki wobec tych martwiejących resztek zachowuje postawę drwiny, ironii. Pasję oskarżycielską, namiętną krytykę lokuje gdzie indziej: tam, gdzie był rzeczywisty żywy przeciwnik, inaczej uderza w nieuchronnie rozkłada-

jące się resztki moralności feudalnej, inaczej tam, gdzie te resztki sprzymierzają się systemem społecznym i z odpowiadającą mu nadbudową burżuazyjną [19]. Umarłym pozostawia grzebanie umarłych, uderza w to, co żywe i groźne, co dopiero w długotrwałych bojach można przywieść do zagłady. Jest różnica, w co się uderza maczugą, a co się kłuje piórem. Wybór broni ma tu też swoją wymowę. Gdy rozważamy narzędzia krytyki, jakimi Białobłocki posłużył się w charakterystyce twórczości reprezentantki „życia fikcyjnego i obrzędowego", uderza nas ich trafność i celowość. Wystarczy przypomnieć — żeby nie wybiegać do przykładów dopiero dalej przytaczanych — z jaką powagą krytyk nasz rozważał argumenty przeciwników w dyskusji o nadprodukcji inteligencji, jak żarliwie propagandzie obskuranckich poglądów przeciwstawiał poglądy własne — postulaty ideowej więzi inteligencji z walczącym proletariatem. Wobec typu umysłowości reprezentowanego przez Deotymę można było poprzestać na lekkiej drwinie. Raz tylko zdobędzie się na gniewne słowa — gdy wskaże, że religia jest narzędziem tłumienia buntu, protestu społecznego.

Charakterowi krytyki zaprezentowanemu wobec Deotymy odpowiadało właściwie często tylko proste przytoczenie cytatów znamionujących sposób myślenia i odczuwania w sferze „życia fikcyjnego i obrzędowego". Obficie raczy nimi krytyk, raz po raz prezentując — jak pisał „na chybił trafił wzięte akordy z symfonii dobrego tonu skomponowanej przez Deotymę" [20]. Kiedy przedstawia ona nonsensowne zdarzenia dziejowe pokropione przez nią „wonnym olejkiem patriotycznym", Białobłocki krótko komentuje: „Trochę to nie zgadza się z historią — no, ale uczoność!" [21] Gdy Deotyma, niemal wzorem ks. Czartoryskiej, unosi się nad arystokratycznymi wyścigami konnymi, krytyk stwierdza: „Jeżeli barwność opisu wyścigów mogłaby być wyrazistsza, to głębokość rozumowań i obszerność wiadomości zadziwia i rozrzewnia..." Gdy wreszcie Deotyma konstruuje dziwaczne zdarzenia, epizody powieściowe, uwaga Białobłockiego brzmi: „Tu widoczny jest wpływ na autorkę romantycznej szkoły, tajemniczej, uroczej i wcale nie skrępowanej wymogami logiki i zdrowego rozsądku" [22].

Odpowiednikiem typu krytyki Deotymy jest szkic Białobłockiego M i ł o ś ć w s f e r z e d o s t a t k ó w i e s t e t y c z n y c h z a c h w y t ó w, poświęcony trzem powieściom Walerii Marrené-Morzkowskiej. Była to pisarka, która swoją twórczość rozpoczęła jeszcze przed powstaniem styczniowym. Stosunkowo szerszy rozgłos zdobyła w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wtedy zeszła, jak pisał o niej drwiąco Chmielowski, „ze sfery, o której mówią poeci, że w niej jest odwieczna harmonia uczuć i myśli, zgodność dusz nastrojonych na jedną nutę, miłość bez granic i poświęcenie bezinteresowne, czarujące ogrody napełnione wonią róż i śpiewem słowików i westchnieniami marzycieli" [23]. Słowem — odeszła od typu twórczości, który, pomijając skalę talentu, obracał się w sferze epigońskiej literatury w sąsiedztwie Deotymy. Właśnie we wspomnianym dwudziestoleciu Marrené-Morzkowska tworzy szereg powieści w duchu estetyki tendencyjnej powieści pozytywistycznej (M ą ż L e o n o r y, 1869, C e l ż y c i a, O p r o s z o n y m c h l e b i e, M ę ż o w i e i ż o n y, Z a s a d y i c z y n y itd.). Obóz pozytywistyczny traktował pisarkę jako swojego sprzymierzeńca, któremu zresztą nie szczędził zastrzeżeń dwojakiej natury. Po pierwsze, widocz-

ne było u niej spłycanie burżuazyjnych tendencji ideologicznych, oportunistyczna kompromisowość wobec religianctwa i feudalnej moralności. Po drugie była to pisarka, której twórczość w sposób szczególnie widoczny stawała się łatwym obiektem kompromitowania metod twórczych pozytywistycznej literatury tendencyjnej ze względu na płaski dydaktyzm, sentymentalne moralizowanie, ckliwość. Świadectwem oportunistycznej kompromisowości i indeferentyzmu pisarki było m. in. powtórne ogłoszenie w roku 1882 i 1883 utworów, które były napisane przez nią w okresie jaskrawego hołdowania estetyzmowi (powieść Jerzy 1864, Życie za życia, 1867). One też stały się głównym przedmiotem krytyki Białobłockiego, która pojawiła się w najbliższym sąsiedztwie rozpraw, artykułów i utworów drukowanych na łamach tego samego pisma — Przeglądu Tygodniowego — przez Marrené Morzkowską. Swoistą cechę krytycznego szkicu Białobłockiego stanowi właśnie to, że staje on ponad ciasnymi moralno-obyczajowymi problemami omawianych powieści. Problemy te analizuje z punktu widzenia ich sensu rzeczywistego, z punktu widzenia charakteru, jaki przybierają w życiu.

Autorka moralizuje, że kobiety powinny się kształcić, jeśli chcą znaleźć szczęście w miłości. To jest w istocie jej podstawowy problem. Bardzo to ciasny problem — dowodzi Białobłocki, „...według nas — oświadcza — w tych przypadkach, gdy w powieściach pani Marrené występuje kobieta kochająca, oświata jej na nic by się nie zdała, gdyż nieszczęście spadło zupełnie z innych przyczyn, a nie z braku stosownie podniesionego poziomu duchowego, a mianowicie z ciemnoty powszechnej i duszącej atmosfery moralnej, w której się wychowują mężczyźni“[24]. Ciasna moralistyka ogranicza problem miłości, jej klęsk, niepowodzeń i zgryzot w „sferze, jaką dostatek i zbytek otaczają“, do konfliktów drugorzędnych i wtórnych krytyk socjalistyczny, podejmujący rozważania tego samego problemu w tej sferze, dąży do ukazania samego źródła zła: pasożytnictwa, rozkładu moralnego, degeneracji klas posiadających, spaczonego życia i uczuć ich przedstawicieli, zgnilizny moralnej, którą pisarka traktuje jako wysokie wartości etyczne. Na kanwie tej samej tematyki otrzymujemy interesujący dwugłos, świadectwo ścierania się pojęć etycznych pisarki i socjalistycznego krytyka. Białobłocki śledzi obrazy artystyczne, które ukazuje pisarka. Analizuje ich rzeczywisty sens. Śledzi kompozycję utworu i analizuje jej wartości ideowo-artystyczne. Analizuje konflikty, jakie stwarza i rozwiązuje pisarka, przykładając do nich miarę, jaka im przysługuje w rzeczywistości. Te same problemy zostają rozważone z pozycji dwóch zupełnie przeciwstawnych światopoglądów, z zupełnie przeciwstawnych postaw ideologicznych. Probierzem odmienności postaw pisarza i krytyka są nie tylko takie czy inne założenia i postulaty artystyczne, probierzem zasadniczym staje się pogląd na życie społeczne, pozycję i rolę w nim różnych klas społecznych, różnych dążeń ideowych. „Chociaż — powiada żartobliwie Białobłocki — nasza wiedza i doświadczenie życiowe w kwestii miłości z pewnością stokroć jest mniejsza, niż przeciętnej dobrze wychowanej pani, jednakże odważymy się wypowiedzieć w tej mierze kilka myśli, którymi się kierujemy, tusząc sobie, że mogą być ciekawe, jeżeli nie jako wpływ doświadczenia, to przynajmniej jako wynik zupełnie odrębnych zapatrywań na świat“[25].

Pisarka traktuje miłość jako zjawisko w swej istocie tożsame we wszystkich sferach społecznych. Białobłocki przeciwstawia miłość „w sferze dostatków i zbytku“ miłości w tej postaci, jaką przybiera ona w warstwach pracujących, wśród ludzi pracy. Pierwsza sfera jest wyzuta z głębszych uczuć, w niej „życie jest ciągłym bawieniem się“, ludzie tu „myślą i «pracują» jedynie nad tym, aby przyjemnie w towarzystwie czas spędzić“ [26]. Miłość w tej klasie poddana jest z żelazną konsekwencją moralności, jaka tu panuje; „oryginalna cieplarniana kultura tej klasy, która stała się jej drugą naturą, wyryła także i na miłości swe piętno“ [27]. Mowa tu ciągle o klasie ziemiańskiej; przeciwko moralności i ideologii mieszczańskiej wystąpi Białobłocki w sposób najwyraźniejszy i bezkompromisowy w szkicu Zniżenie ideału.

Krytyk nasz jest w pełni świadomy tego, że ideały i moralność ziemiańska promieniują poza jej faktyczny zasięg. Chociaż pierwszym, najsilniejszym wrogiem, którego trzeba zwalczać, jest według niego burżuazja, przeżytki feudalne stanowią ważną i istotną zaporę rozwoju społecznego. „U nas — pisze — już szlachta dawno zbankrutowała, lecz resztki jej mienia rozległe są i nie wiadomo, kiedy przeżyje się zupełnie i nowe formy życia zapanują. Życie obyczajowe wyższych naszych sfer, chociaż w mniej świetnych barwach niż dawniej, ale posiada wszystkie cechy feudalizmu“ [28]. O wadze, jaką przypisywał Białobłocki temu zagadnieniu, świadczy jego stosunek do takich pisarzy jak Orzeszkowa, Bałucki, Jeż, których wielką zasługę upatrywał w walce ze szlachecką obyczajowością. Żywo także reagował na wczesne przejawy apologii „połaniecczyzny“. Gdy reakcjonista i rzecznik szlacheckiej „konserwy“, osławiony przeciwnik postępowych, burżuazyjno-liberalnych tendencji pozytywizmu polskiego, Teodor Jeske-Choiński ogłosił powieść Za winy ojców, w której wielbi ekspiację szlachty, wyrażającą się powtórnym zdobywaniem za wszelką cenę utraconych majętności, Białobłocki dostrzega w tym na wskroś reakcyjne tendencje w literaturze polskiej [29]. Hrabiowie Rozwadowscy i Korczakowie, których przedstawia Jeske-Choiński, mogą być z powodzeniem uznani za protoplastów p. Stasia Połanieckiego. „Nikt nigdzie — oburza się Białobłocki — ich nie idealizuje, przeciwnie, wszędzie ich piętnują, a u nas... modlą się do nich, za wzór dla wszystkich stawiają“ [30]. W roku 1883 opinia taka posiada znamiona polemicznego przejaskrawienia, prewencyjności. Że jest jednak przewidująca — to niewątpliwe.

Wróćmy do Marrené-Morzkowskiej, która szlachetczyznę, salon ziemiański ukazywała apologetycznie jeszcze nie w jego postaci rzeczywistej, lecz wyidealizowanej. Białobłocki nieprzejednanie zwalczał i tę złudę estetyczną, ukazywał, co za nią się kryje. Raz po raz konfrontuje ją z rzeczywistością. Przedstawia, jaki sens mają zagadnienia poruszone przez pisarkę w realnym życiu, jaką ocenę przynosi jej bohaterom rzeczywistość społeczna, oglądana oczami rewolucjonisty. Pisarka serio traktuje konflikty moralne opisywanej sfery — krytyk ukazuje ich nicość; pisarka idealizuje etykę opisywanego środowiska — Białobłocki dowodzi jego degeneracji, rozkładu moralnego i przeciwstawia je jedynie rzeczywiście humanistycznej moralności, którą odnajduje wśród mas pracujących. Powiada nawet wyraźniej — w klasie robotniczej [31].

Pięknym przykładem charakteryzowanej tu metody krytyki Białobłockiego jest zwłaszcza analiza powieści Jerzy. Autorka przedstawia zubożałego szlachcica (tytułowego bohatera), któremu pomaga jego przyjaciel — pa-

niczyk Lucjan. Dzięki tej pomocy Jerzy kształci się na uniwersytecie, jego matce odjęta jest troska o utrzymanie. Między przyjaciółmi staje kobieta — Stasia. I choć ona kocha Jerzego, ten w poczuciu obowiązku wdzięczności wobec Lucjana postanawia się oddalić. Stasia naturalnie nie wychodzi za mąż za Lucjana; zostaje żoną jakiegoś — jak określa krytyk — piernikowego kawalera. Jerzy gniewa się, boleje i żałuje... nie Stasi, która na to w pełni zasługuje, bo jest ofiarą lokajskiej moralności, lecz przyjaciela. Pisarka takie rozwiązanie właściwie całkowicie akceptuje. Szlachetność Jerzego wynoszona jest przez nią na wyżyny. Białobłocki interpretuje perypetie powieściowe jako fakty wyjęte z życia, przypisuje im skalę wartościowania przynależną im w realnej rzeczywistości. „Moralność p. Jerzego — stwierdza — jest na wskroś zastosowana do tej klasy, z której był wypadł, ale do której na powrót go wciągnął panicz bogaty. Ta to niby moralność kazała później zachować się Jerzemu tak, że i niewolnik zapewne by poczuł pogardę dla niego, bo zrobiłby to samo przynajmniej nie pod naciskiem »moralnych« przekonań, lecz bata“ [32]. „Pisarka decyzję wyjazdu bohatera powieści idealizuje, wskazuje na rzeczywiste i mistyczne ostrzeżenia, które wskazywały mu drogę postępowania. „Sama podłość lokajska — demaskuje Białobłocki te fałsze ideowe i artystyczne — zupełnie wyjaśnia postępowanie Jerzego“. Autorka idealizuje przyjaźń Jerzego z paniczem. Więź tę krytyk komentuje iście po szczedrinowsku: „Widzieliśmy podobne protekcje w życiu. Jeden, na przykład, zdolny chłopiec miał nieszczęście zawiązać przyjaźń z rozpieszczonym koleżką. Drugi znów dwie klasy szedł nieźle, ale w trzeciej zaprzyjaźnił się z paniczem i zaczął żyć z nim jednym sercem i jedną duszą. Zostawał w klasach z nim razem, z czwartej ich razem wygnano, ale czuły przyjaciel protegował go nadal, wystarał mu się o miejsce rządcy i później długo ich łączyła przyjaźń, nie wiem tylko, czy będzie dozgonna. Razem zbytkowali, razem objadali się łakociami. Jeden w obronie drugiego z kolegami się czubili, ale oto pieszczoszek, bywało, zacznie prosić swego protegowanego: Stasiu, Stasieczku, łap cukierki jak »Żuczek« i rzuca mu łakocie. Śmiech powszechny dla uczniów i uciecha rozkoszna dla paniczyka. Tak ja rozumiem te słowa ogniste (Jerzego — przyp. S. S.) »winienem mu wszystko, czymkolwiek jestem, w dziedzinie moralnej zawdzięczam mu może więcej jeszcze«“ [34].

Z tego dwugłosu pisarki i krytyka wyłania się dwoje różnych bohaterów. Dla niej jest nim Jerzy, którym Białobłocki głęboko pogardza, dla niego jest nią mimo wszystko Stasia, której decyzji Morzkowska nie podziela. Dla Białobłockiego tylko Stasia jest trochę jaśniejszym promieniem w królestwie ciemności, które pisarka idealizuje. Tylko trochę — bo Stasia nie znajduje najodpowiedniejszego wyjścia z sytuacji, krytyk zaś widzi je. Posiada swój własny ideał bohatera pozytywnego: winien on pójść według niego do szeregów mas walczących przeciwko swojej dotychczasowej klasie. Takiego bohatera pozytywnego nie miała literatura polska ostatnich dziesięcioleci dziewiętnastego wieku. Ale istniał on już — i o tym wiedział nasz pierwszy socjalistyczny krytyk — w życiu. „Ze wszystkich postaci p. Marrené — pisał — bezwarunkowo dodatnią i przy tym zupełnie realną wydaje się mi jedynie Stasia, nieszczęśliwa ofiara martwoty atmosfery, której nie mogła ożywić nawet potężną swą piersią. Jedyna droga dla niej — zerwanie wszelkich stosunków z Lucjanami i

Jerzymi i przejście do innych sfer, lecz cóż zrobić mogła nie wiedząc nic, a nie widząc świata dalej jak poza okolice wsi swojej [35]." I chociaż Białobłocki nie stawia, nie może stawiać ze względów cenzuralnych (liczył się z nimi bardziej niż jego współtowarzysze publicyści, bo niewątpliwie był bardziej przewidujący i dalej mierzył), wyraźnej kropki nad „i", jest ona jednak stale obecna w jego publicystyce i krytyce literackiej. Czego tu nie dopowiedział — taka była jego taktyka literacka licząca się z okolicznościami — dopowie w następnym artykule — o poezji Konopnickiej.

Obok szkicu Zniżenie ideału jest to najbardziej ważka pozycja w dorobku krytyczno-literackim Białobłockiego z zakresu literatury polskiej. W odróżnieniu od poprzednio omówionych szkiców, rozpatrujących twórczość pisarza z punktu widzenia określonego problemu, analizujących utwory literackie pod specjalnym, wycinkowym (nie oznacza to — pod peryferyjnym, raczej przeciwnie) aspektem, szkic o Konopnickiej ma charakter „normalnej" recenzji, stanowiącej próbę oceniania całokształtu analizowanego utworu czy ich zespołu utworów. Podobny charakter ma jeszcze recenzja Białobłockiego o Firduzim Łętowskiego, o Laszce Włodzimierza Wysockiego oraz wszystkie szkice z literatury rosyjskiej. Jednakże recenzja Laszki jest od początku do końca krytyczna, ocena twórczości Wysockiego zbytnio nawet krzywdząca. Recenzowany poemat nosi istotnie cechy epigoństwa i zawiera akcenty apologii szlachetczyzny. Przeciwko nim zwrócone było ostrze recenzji Białobłockiego. Tylko akcenty patriotyczne utworu znalazły uznanie krytyka, który jednakże bystro dostrzega, że są one mocno zabarwione elementami nacjonalizmu. Tradycjonalizm ciążący na ideologii pisarza sprawia, że upiększa on — słusznym zdaniem krytyka — przeszłość Polski szlacheckiej. Białobłocki przeciwstawia temu własny ludowy patriotyzm. „Oznaką prawdziwej, zdolnej na czyn miłości jest nie bajanie o tym, jakimiśmy byli cnotliwymi i rozumnymi i jak kraj nasz jest piękny i bogaty, lecz przeciwnie, bezlitosna analiza przeszłości i teraźniejszości, z której wykwita lepsze zbadanie dróg prowadzących do lepszej przeszłości" [36].

Białobłocki odmawia poematowi Laszka zarówno wartości artystycznych, jak i ideowych, „jakkolwiek — stwierdza przy tym — domyślamy się pięknych tendencji autora, które pod historycznym obrazem alegorycznie wystawił" [37].

Od początku do końca negatywna jest także krytyka Firduziego, utworu szlacheckiego konserwatysty Juliana Łętowskiego. To różni te dwie recenzje od recenzji Białobłockiego o Poezjach — serii drugiej Marii Konopnickiej. W tej recenzji obok punktów zasadniczo różniących go ideowo od pisarki znajduje on wiele punktów stycznych. Zarówno pierwsze jak i drugie stanowią plastyczny wyraz poglądów ideowych, jakie reprezentuje nasz pierwszy socjalistyczny krytyk literacki. Tu też najlepiej śledzić możemy pozytywne postulaty ideowo-artystyczne, jakie wysuwał Białobłocki wobec pisarki. Nie jest to bynajmniej przypadkowe. Bo pod jednym względem artykuł Białobłockiego nie jest „normalną" recenzją. W istocie jest to polemika ideowa, dyskusja. Krytyk tu nie tylko „ocenia", lecz w większym jeszcze stopniu postuluje; zbija błędy ideowo-artystyczne, ma ambicje torowania drogi, prostowania błędnych ścieżek, po których nieraz krąży Konopnicka. To jest swoiste *novum*. Krytycy rewolucyjno - demokratyczni nieraz dekla-

ratywnie odżegnywali się od roli „sędziów“ literackich, praktyka literatury realizmu krytycznego narzucała im obowiązek obrony realistycznego dzieła przed swoistą „operacją recenzencką“, sprowadzającą dzieło pisarza do takich czy innych dyskursywnych konkluzji ideologicznych, poza które konkretne dzieło wykraczało. Przykładem — cytowany już gdzie indziej protest Dobrolubowa wobec sprowadzenia dramatów Ostrowskiego do wyrazu takich czy innych poglądów ideologicznych, podczas gdy istotna ich wielkość tkwiła w wielkim realizmie, w prawdzie życia, jaka była w nich zawarta niezależnie lub mimo sympatii np. „słowianofilskich“ albo „zapadnickich“. Oczywiście wyrzeczenie się, a raczej odrzucenie „sędziowskiej“ postawy wobec pisarzy nie ma nic wspólnego z rezygnacją z postulatów ideowo-artystycznych głoszonych przez rewolucyjnych demokratów. Jednakże pozycję „sędziowską“, ściśle mówiąc — wychowawczą, zajmowali oni wobec pisarza dużej miary na ogół wtedy tylko, gdy na danego pisarza „stawiali“, gdy oczekiwali od niego, i mogli oczekiwać — spełnienia ich postulatów. Taką pozycję zajmował np. Czernyszewski wobec Niekrasowa i *mutatis mutandis*, Dembowski wobec Ryszarda Berwińskiego.

Białobłocki jest niewątpliwym orędownikiem wielkiego talentu pisarskiego Konopnickiej. W całym szkicu raz po raz pojawiają się słowa uznania i sympatii dla poetki. „Znakomita poetka współczesna“ — powie o niej na samym wstępie. W sąsiadującym zdaniu daje pierwszą próbę uzasadnienia tego sądu. „Druga seria poezji p. Konopnickiej na wskroś b o w i e m przeniknięta jest bólem, współczuciem dla nieszczęśliwych“ [38]. Z uznaniem pisze o jej poczuciu solidarności, więzi emocjonalnej z masami ludowymi. „...poetka wykazuje mnogość cierpiących, swoje ku nim współczucie“ — stwierdza dokonując przeglądu „obrazów niedoli, jakie podchwyciła poetka“. Samo wyliczenie utworów, na które nasz krytyk zwraca uwagę, „świadczy, co w poezji Konopnickiej uznał on za najcenniejsze. Warto je przytoczyć. C z y z g i n i e? — wiersz o dziewczynie, którą nędza i głód wygnały z rodzinnej chaty na bruk ulicy. Dalej wspomina wiersze o D w ó c h w i o s n a c h, Z s z o p k ą, C o j a s i e j ę? S c l a v u s s a l t a n s, z którego wydobywa akcenty buntu i protestu wobec niewoli, wstrząsający wiersz C h ł o p s k i e s e r c e, nabrzmiały protestem przeciwko odrywaniu przez zaborcę chłopskich synów od rodzin na wieloletnią poniewierkę żołnierską. W słynnych cyklach N a f u j a r c e i Z p ó l i ł ą k, omijając nie obce wierszom w nich zawartym przejawy powierzchownej stylizacji na modłę pieśni ludowej, zwraca krytyk uwagę na takie wiersze głęboko realistyczne, obrazujące rzeczywiste położenie mas biedoty chłopskiej, jak: W s i a ł e m c i j a w c z a r n ą r o l ę..., I d z i e c i c h y w i a t r p r z e z p o l e, T r z y ś c i e ż k i i d ą z c h a t y, N a d o l ę i n i e d o l ę. Białobłocki określa przytaczane tu wiersze jako „porywające“, „przerażającą prawdą tchnące“ itp.

Właśnie o znanym cyklu O b r a z k ó w (S c l a v u s s a l t a n s, C z y z g i n i e? J a ś n i e d o c z e k a ł, D w i e w i o s n y, Z s z o p k ą, N a d n i e p r z e p a ś c i, C h ł o p s k i e s e r c e) usłyszymy generalizującą ocenę, że tchną one „najrzewniejszym i najszczerszym uczuciem, dochodzącym często do porywającej siły“ [39]. Ale analiza drugiej serii poezji Konopnickiej, otwierającej w jej liryce najcenniejszy etap twórczości, nie mieści się i nie mogła

się wyrazić pod piórem krytyka — proletariackiego rewolucjonisty tylko w pochwałach.

Uznaniu dla realistycznych wartości utworów Konopnickiej towarzyszy surowa krytyka jej błąkaniny ideowej i światopoglądowej.

(Dokończenie w następnym numerze)

Samuel Sandler

PRZYPISY

[1] Por. praca Romana Zimanda o działalności krytycznej Sygietyńskiego (rękopis).
[2] Por. Antoni Sygietyński: Gustaw Flaubert „Ateneum", 1881, t. II, zeszyt 1. Przedruk w tomie „Pisma krytyczne", Warszawa, 1951.
[3] Ib.
[4] Bolesław Prus: Modrzewska. Odczyty Brandisa, Warszawa, 22 lutego (1885). Kraj, 1885, nr 8. Przedruk w tomie „Studia literackie, artystyczne i polemiki". Pisma, t. 29, s. 74.
[5] Por. dodatek bibliograficzny. Ważniejsze artykuły i szkice o literaturze polskiej i rosyjskiej omawiam dalej. Artykuł o literaturze ukraińskiej jest drobiazgiem mało istotnym napisanym przez Białobłockiego na podstawie materiałów z „drugiej ręki", tj. na podstawie danych zamieszczonych — jak sam wspomina — w piśmie Niedziela.
[6] Piotr Chmielowski: Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu. Wilno 1881, s. 137.
[7] Br. Białobłocki: Życie fikcyjne i obrzędowe. Przyczynek do studium nad Deotymą i kierunkiem naszej literatury.
[8] Ib.
[9] M. Dobrolubow szerzej uzasadnia rację takiej metody krytycznej Studium Promień światła w królestwie mroku, op. cit. 225—226.
[10] M. Dobrolubow, op. cit., s. 69.
[11] Br. Białobłocki, op. cit.
[12] Ib.
[13] Ib.
[14] Ib.
[15] Ib.
[16] Ib.
[17] Ib.
[18] Pisał o tym poza tym np. w art. Zniżenie ideału, Nadprodukcja inteligencji, Z życia i literatury Cesarstwa III, w art. Miłość w sferze dostatków i estetycznych zachwytów.
[19] Por. artykuł Zniżenie ideału, Z życia i literatury Cesarstwa III.
[20] Br. Białobłocki, op. cit.
[21] Ib.
[22] Ib.
[23] P. Chmielowski, op. cit., s. 135.
[24] Br. Białobłocki: Miłość w sferze dostatków i estetycznych zachwytów.
[25] Ib.
[26] Ib.
[27] Ib.
[28] Ib.
[29] Br. Białobłocki: Z życia i literatury Cesarstwa III.
[30] Ib.
[31] Br. Białobłocki: Miłość... op. cit.
[32] Ib.
[33] Ib.
[34] Ib.
[35] Ib. podkreślenia moje S. S.
[36] Br. Białobłocki: Laszka... (por. dodatek bibliograficzny).
[37] Ib.
[38] Br. Białobłocki: Maria Konopnicka. Poezje. Seria druga.
[39] Ib.

MICHAŁ ISAKOWSKI *Przełożył* WŁODZIMIERZ BORUŃSKI

CZTERY ŻYCZENIA

(Pieśń o życiu parobka Stiepana Timofieicza)

...Człowiek ten pragnął czterech rzeczy: po pierwsze — ożenić się z piękną Nataszą, dziewczyną, którą bardzo kochał; po drugie — kupić buty z podkówkami; po trzecie — nauczyć się czytać, żeby móc poznać „Księgę Sprawiedliwości" i po czwarte — przejechać się pociągiem.

Żadne z tych życzeń nie zostało spełnione.

(Wyjątki z notatnika)

Przedśpiew

Rozszumiały się wiosną
leśne zielone gałązki,
Bujne, soczyste trawy
radowały bogactwem oczy.
Wiosną wędrowni handlarze
przynosili fiołkowe wstążki,
Wstążki z bajkowej krainy
do dziewczęcych długich warkoczy.

Wiosną o świcie
płakały harmonie smętnie.
Jabłonie,
czeremchy,
śliwy
odurzały zapachami.
A gdy noc upajała ciepłem,
dziewczęta przystrojone odświętnie,
Na schadzki, w poświacie księżyca,
przekradały się opłotkami.

Polnymi ścieżynami biegły cichutko,
w szerokiej wstędze księżyca
podobne do srebrnej rzeczki.
Śpiewały i śmiały się w szczęściu,
milczały, płakały w smutku
I zostawiały na pamiątkę
łzami zmoczone chusteczki.
W domu kładły się bez kolacji,
aby matka nie beształa za miłość,
I w tygodniu powielkanocnym
włóczęgi marzyły się we śnie...

I raz jeszcze w swych snach dziewczęcych
do wybranych się chłopców tuliły,
By uśmiechem, wspomnieniem o nich
dzień powitać, gdy zbudzą się wcześnie.

Pieśń pierwsza

Wychodzi Stiepan Timofieicz
na błonia rozległe, by wzrokiem
Ogarnąć nie swoje pola, —
w wieczorną wsłuchuje się ciszę...
Cmentarze wiejskie i łąki
pokryły białe obłoki,
I kłębi się mgła w dolinach, —
nad rzeką się lekko kołysze...

Żyto jest jeszcze zielone,
kłaniają się sobie kłosy,
Wiatr czerwcowy, upalny
z wysoka na ziemię spada.
Stiepan zaczyna śpiewać,
nuci piosenkę półgłosem
O tym, jak na jarmarku
kupiec towary rozkładał.

Przywołuje lubą, —
wzywa ją pełnym imieniem:
— Natalio Iwanowna,
czym szpetny dla takiej żony? —
Natalia nie słyszy,
Iwanowna widać się leni,
Nie pragnie wieczornej schadzki
z chłopcem w życie zielonym.

Nic do kochania nie skłoni,
cóż miłość parobka jest warta?
Pomiędzy cudzymi bruzdami
któż każe do chłopca spieszyć?
I cóż jej po Stiepanie,
gdy jego czapka jest tak podarta,
A i tę —
nie na własnym,
na gospodarskim gwoździu zawiesza.

Pałaców mu nikt nie buduje,
znikąd chleba nie może dostać,
Nie pędzi mu nikt samogonki,
a na ślubie zabraknie krewniaka,

Znikły ścieżki, wiodące do ślubu,
nad rzeczkami przegniły mosty,
Rozszarpały mu dzikie bestie
karego, śmigłego rumaka.

Zapomnij więc, Stiepanie,
o brwiach Nataszy, — to nie dla ciebie;
Nie siadaj na próżno nocą
na białym przydrożnym kamieniu...
Bo nie ma jasnego miesiąca,
bo zgasły gwiazdy na niebie,
Bo wszystko przed tobą
w ciemne chmury się zmienia.

Pieśń druga

Chodzą chłopaki w święta,
szczęściarze z sercem gorącym,
Wynoszą chłopcy ze sobą
radością dzban napełniony.
Od wiatru wzdymają się barwne
koszule, jedwabiem lśniące,
U Jermołajewa-kupca,
po ćwierć rubla za łokieć kupione.
Podkute ich buty, — szuwaksem
i tłuszczem są wypucowane,
A włosy spod nowych czapek
na czoła się wysuwają.
Czterema klamrami spięte,
skręcone i mocno związane,
Poczwórnie dokoła splecione
pasy z frędzlami ściskają.

Na boku stał Timofieicz,
zazdrośnie spoglądał, z uporem:
Po iluż to drogach na świecie
nieraz się chodziło samemu?
Oglądał własnymi oczyma
mnóstwo przeróżnych ubiorów,
Tylko własnymi rękami
ni razu dotknąć ich nie mógł.

Na boku stał Timofieicz,
do głębi skrzywdziły go nieba,
Patrząc na bose nogi,
stał Timofieicz struty.

Nie trzeba ci, Timofieiczu,
oj, wielkich ci bogactw nie trzeba,
Lecz jakże by ci się zdała
choć jedna para butów.

I przed gospodarską furtką
nie jak sierota by stanął,
Ale dostojnie, pięknie,
w ubraniu czystym i nowym.
Ech, poszedłby tak Timofieicz
i w słońcu podkówką miedzianą
Błyskając, za sobą by powiódł
wesoły młodzieńczy korowód.

Gościńcem by sobie wędrował,
po łąkach by szybko przeleciał,
Miłości by wybiegł naprzeciw,
nad rzeczką by jakąś przystawał...
Lecz dziewka służebna, parobek
od urodzenia po świecie
Bez butów zmuszeni są chodzić,
bo w butach nie mają prawa.

No cóż, parobczańska to dola,
raz poproś o strój, nie powtarzaj,
Niech kawał czarnego chleba
i praca ci ulgę przyniosą...
Masz buty podarte i łapcie,
więc noś je, lecz dobrze uważaj:
Bo zedrzesz je, Timofieiczu,
to pójdziesz, mój złoty, boso.

Pieśń trzecia

Okrągły rok zimno i głodno;
haruję, aż kiedyś padnę.
Cudzego bydła doglądam,
od świtu kosić zaczynam,
A gdzie moje szczęście — nie wiem,
i radość gdzie — nie odgadnę,
Jakaż je skryła
leśna gęstwina?

Do jakich je lochów wrzucono
i jakim je skuto łańcuchem,
Czy słyszą me głośne wołanie,
czy zechcą mnie mile powitać?

Jest taka mądra księga,
która przynosi otuchę,
Być może sam los tak zechce,
bym znalazł ją i przeczytał.

Więc wskażcie mi, dobrzy ludzie,
dokąd mi iść wypada,
Żebym mógł widzieć drogę
każdego biednego chłopa;
Bym mógł tak jak kancelista
każde podanie układać,
Bym drukowane litery
rozumiał nie gorzej od popa!

Znalazłbym księgę prastarą,
oj, znalazłbym tę sprawiedliwą,
I oczu bym nie żałował,
przez noc całą do niej bym przywarł.
I poznałbym w niej nieomylnie
tę drogę jedyną, szczęśliwą,
Którą wróg zły, okrutny
od wieków przed nami ukrywa.

Zwołałbym druhów, przyjaciół,
zwołałbym tłum niezliczony,
Ze wszystkich wiosek i osad
deskami ucisku zabitych,
Powiedziałbym: „Słuchaj, narodzie,
tak długo milczący, gnębiony,
Słuchaj, co dzisiaj opowie,
co Stiepan ci dzisiaj przeczyta.

Dowiesz się, za co nas biją
i męczą aż ból włazi w kości,
Za co nas żywcem grzebią
i posyłają do piekła...“
Na próżno Stiepanie! —
Nie dogonisz tej księgi mądrości,
Bo ona za siódmą górę,
za siódmą rzekę uciekła.

A wiorst do niej nie przeliczysz,
i droga tam nie ułożona,
Stiepanie Timofieiczu!
Na próżno! Księga odcięta
jest od parobków rzeką
i górą jest odgrodzona
I na siedem spustów
tam jest zamknięta.

Pieśń czwarta

Za ciemną wstęgą boru,
gdzie seledynem migoce
Samotna gwiazda wieczorna, —
ciągnie się tor kolejowy.
I prędzej, niż ptak szybkoskrzydły,
pędzą pociągi nocą, —
(Widywał to Timofieicz)
słychać ich huk miarowy.

Przelatują szeregiem wagony,
rozświetlone jak radość daleka,
Przelatują szeregiem wagony,
rozpływają się, mgła w sen je zmienia.
Wzdycha Stiepan Timofieicz,
smutno mu, nikt nań nie czeka,
I dokąd ma, biedak, pojechać,
gdy w dodatku pusto w kieszeni.

Tak, parobcy od urodzenia
piechurami są mimo woli.
Na spotkanie zimy i wiosny,
przez całe swe życie, — niemi
Idą ci ludzie zmęczeni,
wloką swój ciężar niedoli
Poprzez mroczne rosyjskie imperium,
po smutnej rosyjskiej ziemi.

Głowy mają zwieszone na dół,
poranione są bose ich stopy,
Odzież gęsto łatami upstrzona,
worki puste; tak idą w swej biedzie...
Lecz nie smuć się, Timofieiczu,
nie zawsze będziemy piechotą
Chodzić — bo dzień nadejdzie,
w którym ty też, mój miły, pojedziesz.

Powiezie skrzypiąca furka
na odpoczynek cię wieczny,
Być może jakaś babinka
westchnie żałośnie do nieba,
Jakiś staruszek-woźnica
lejcami wstrząśnie statecznie, —
I czegóż więcej twej duszy
Timofieiczu potrzeba?

Pieśń piąta

Ruszajno, Timofieiczu,
spędzaj krowy i policz, —
Popatrz, już słońce się zniża,
czas wracać do zagrody.
Stiepan Timofieicz przystaje,
grzebie w torbie powoli,
(Na wzgórku stoi, pod wierzbą)
wyciąga fujarkę spod spodu.

Więc śpiewa klonowa fujarka
i dumnej pięknotce urąga,
Bowiem wzgardziła swym lubym,
innemu swe serce powierza.
Ech, gospodarskie krowy
smętna muzyka przyciąga,
Więc schodzą się, schodzą wsłuchane
w wołanie swojego pasterza.

Śpiewa fujarka rozlewnie:
że życie przemknęło, przebrzmiało,
Że wszystkie zdeptało się ścieżki,
niejedną chodziło się drogą.
A na tych szlakach ni razu
radości się nie spotkało,
Bo na nich ludzie jedynie
na karczmy natrafić mogą...

Mkną białoskrzydłe obłoki,
w przestrzeni nieznanej ginące,
Kołyszą się brzozy w purpurze
słońca, co w rzekę zapada.
Dokoła pastucha półkolem
stanęły krowy milczące,
Fujarka zaś skarży się, płacze,
i szlocha, i opowiada.

I mówi, mówi, i gwarzy,
że bieda i ciężar codzienny
Nie znika, — że czas Stiepanowi
spocząć pod krzyżem sosnowym...
I umarł Stiepan Timofieicz
w ten smutny wieczór jesienny,
Chyba tam właśnie, pod wierzbą,
pożółkłą od stóp do głowy.

W spuściźnie po nim została
tylko fujarka drewniana,
I jego łapcie ostatnie,
kij jego wierny, pastuszy...
Od dawna zrównała się z ziemią
mogiła ta zapomniana,
Od dawna już trawą porosła, —
nie widać tam żywej duszy.

W wiosenny, pogodny ranek...

W wiosenny, pogodny ranek
rozśpiewała się harmonią ulica,
Rozperliły się wszystkie tony,
dźwięk pieśni się wokół roznosił
O tym, jak stepem rozległym
parła czerwona konnica,
Jak to Siemion nasz Michajłowicz
kozaczkę o wodę prosił.

O tym, jak wróg-ciemiężyciel
ostatni swój zdjął posterunek,
Jak nagle wioska zadrżała
stalowej maszyny rytmem,
To radość nad grobem, Stiepanie,
składa ci swój pocałunek,
To szczęście, na które czekałeś,
nad twą mogiłą zakwitło...

Więc wstawaj, Timofieiczu!
Rozwal swe ciasne ściany,
I wjedź z chłopakami, pannami
na pole traktorem królewskim!
Już w Iwanowskiej fabryce
koszulę ci piękną utkano,
Czekają na ciebie buty,
uszyte przez majstrów moskiewskich.

Więc wstawaj Timofieiczu!
Świt oblał horyzont wokół,
Rozkwiliły się w życie przepiórki,
księżyc się chowa za rzeką.
I luba twoja Natasza,
wybranka twa czarnooka,
Wyszła na twe spotkanie
i ręką znak daje, że czeka.

Więc wstawaj, Timofieiczu!
Dróg mocnych długo nie szukaj!
Znajdziesz je, dotrzesz po nich
do wszystkich na świecie krajów.
Nie bure, złe wilki leśne,
nie czarne, drapieżne kruki,
Lecz przyjaciele cię witać
będą na każdym rozstaju.

Więc wstawaj, Timofieiczu!
Wstawajcie obdarci i bosi!
Wy, których nędzne istnienia
od dawna są zapomniane,
Wy z brudnych, ciasnych lepianek,
które musieliście wznosić,
Wy, których kości bieleją
po całej ziemi rozsiane.

Wy, którym matka śpiewała:
„Polewkę osolę ci łzami",
Którzyście sieli ziarno,
co nigdy wzejść nie miało,
Wy, których batem sieczono,
wy, których szczuto psami,
Których kolbami bito,
którym stryczek się nakładało.

Wstawajcie oracze w siermięgach!
Pali was głodu ogień!
Orły — rozłóżcie skrzydła
do lotu, który was wzywa!
Wiosna przed wami otwiera
swe urodzajne rozłogi,
Bogata jesień kołchozów
dla was swe stoły nakrywa.

Więc wstawaj, Timofieiczu!
Skończono z niedolą ciemną,
Słońce z wysoka rozlewa
promienie swe równomierne.
I odszukano już księgę,
tę wielką księgę tajemną,
Złożono tę księgę odwieczną
w ręce uczciwe i wierne.

Między jej złote karty
potężną włożono wymowę,

I nie zna granic na świecie
jej słowo pełne rozmachu.
Ono rozwala góry,
łamie lasy sosnowe,
Wszechwładni królowie przed nim
na twarz padają w przestrachu.

Brzmi mocno słowo stalowe...
Przyzywa do siebie tkliwie
Skrzywdzonych, uciemiężonych
dłoń wyciągnięta, karząca.
Więc wstawaj, Timofieiczu!
Wstawajcie umarli i żywi!
Ostatni to marsz! I bitwa
ostatnia, decydująca!

(1928 — 1935)

przełożył **Włodzimierz Boruński**

MACIEJ ŻUROWSKI

Rabelais

Na początku tego roku, w którym przypada czterechsetlecie śmierci Franciszka Rabelais, do parlamentu francuskiego wpłynął wniosek o powzięcie uchwały zobowiązującej rząd, żeby w związku z tym zorganizował we Francji jak najbardziej okazałe uroczystości. „Franciszek Rabelais był największym pisarzem w czasach francuskiego Odrodzenia, a może i na przestrzeni całej naszej literatury. Był jednym z najwybitniejszych humanistów całej Europy" — mówili wnioskodawcy. „Proponujemy, żeby uczcić Rabelais'go-apostoła postępowej pedagogiki, która opiera wychowanie na mocnych podstawach naukowych, wymaga rozległych horyzontów, odrzuca z nauczania wszelki formalizm i antyintelektualizm. Proponujemy, żeby w osobie Rabelais'go, który swoją niezrównaną ironią napiętnował awantury wojenne i podboje, aspiracje do panowania nad światem, uczcić czynnego obrońcę pokoju.

Proponujemy, żeby uczcić Rabelais'go-myśliciela, optymistę i racjonalistę, który wierzył w naturę ludzką i w postęp społeczny; który w swoich Telemitach naszkicował ideał przyszłej ludzkości, jej harmonijnego rozwoju, jej wszechstronnej kultury intelektualnej połączonej z najgłębszą kulturą moralną, jej życia w swobodnie wybieranych kierunkach działalności i w atmosferze szlachetnego braterstwa".

Wniosek podpisali Georges Cogniot, Laurent Casanova i inni deputowani komunistyczni pragnący, aby uchwała, którą Światowa Rada Pokoju wzywa całą postępową ludzkość do uczczenia rocznicy Rabelais'go, znalazła w jego ojczyźnie nie mniej żywe przyjęcie niż w innych krajach. Mimo miejsca, jakie Gargantua i Pantagruel zajmuje w dziejach literatury, rezultat tej inicjatywy był do przewidzenia. Dzisiejszy rząd francuski nie ma powodu do popierania uroczystości rabelesowskich. W najlepszym razie będzie je tolerował w zakresie jak najbardziej akademickim. Powtarza się historia zeszłorocznego jubileuszu Wiktora Hugo. Tak samo jak autor Nędzników, Rabelais wyraża i mobilizuje poprzez stulecia siły postępu, których burżuazyjna reakcja lęka się zabobonnie. Zresztą nie dziś dopiero zaczyna się ona odwracać od epoki, którą Rabelais tak świetnie reprezentuje. Burżuazyjna historia literatury od lat już pracuje nad przekreśleniem Odrodzenia i usiłuje dowieść, że było ono albo kontynuacją, albo degeneracją średniowiecza — wszystko jedno czym, byle nie rewolucyjnym wydarzeniem w dziejach kultury europejskiej.

„Był to — pisze Engels o Odrodzeniu — największy przewrót postępowy, jaki ludzkość kiedykolwiek do owych czasów przeżyła, epoka, która wymagała olbrzymów i olbrzymów zrodziła — olbrzymów myśli, uczucia i charakteru, wszechstronności i wiedzy". Rabelais znajduje się w pierwszym szeregu tych gigantycznych postaci. Aby osiągnąć ten wzrost, który nas dzisiaj zdumiewa, musiał przede wszystkim dać dowód niezłomnego charakteru. Urodzony prawdopodobnie w roku 1494 — wiele danych o jego życiu czeka jeszcze na ustalenie [1]) — skazany był na mozolne wyzwalanie się nie tylko ze świata pojęć średniowiecznych, ale i z rygorów stanu duchownego, który narzucił mu

[1]) Nie znamy też dotąd całkowicie dokładnej daty jego śmierci — przyjmowana tradycyjnie data 9 kwietnia jest wątpliwa; Rabelais umarł raczej w drugiej połowie 1553 r.

ojciec, adwokat z okolic Tours, oddając go do franciszkanów. Już jako zakonnik odkrywa żywe tętno współczesnej myśli renesansowej i pokonując piętrzące się przed nim trudności, wychodzi za próg klasztoru. „Dzięki sile swojego umysłu i długotrwałym studiom — pisał o nim jeden z jego współczesnych —zdobył encyklopedyczną wiedzę, jaką posiadało niewielu ludzi; jest rzeczą pewną, że był niezmiernie uczonym humanistą i głębokim filozofem, teologiem, matematykiem, lekarzem, prawnikiem, arytmetykiem, geometrą, astronomem...“ Ideał zachłannego w głodzie wiedzy człowieka renesansowego osiągnął Rabelais w stopniu istotnie niezwykłym nawet na swoje czasy i dzisiejsze badania nad jego twórczością potwierdzają tę naiwnie brzmiącą ocenę.

Sukcesy w tak różnych dziedzinach jak filologia i medycyna, pomoc możnych protektorów nie chronią Rabelais'go przed prześladowaniami, odkąd zaczął on wydawać swoją wielką powieść. Ustawicznie tropiony przez cenzurę kościelną zmienia miejsca pobytu jak komiwojażer i od roku 1532, kiedy ukazał się P a n t a g r u e l, całe jego życie jest jedną wielką rozgrywką z wydziałem teologicznym Sorbony. Teologowie — nie tylko katoliccy, bo z czasem i Kalwin miał się do nich przyłączyć — byli zresztą w XVI wieku niemal jedynymi czytelnikami Rabelais'go, którzy brali go poważnie. Przerastał on tak dalece swoją epokę, że był dla niej niezrozumiały. Rabelesowską radość życia uznano za pochwałę wulgarnego epikureizmu. Ronsard uczcił śmierć Rabelais'go wierszowanym nagrobkiem, w którym go przedstawia jako rozchełstanego pijaka improwizującego wśród resztek biesiady w oparach wina. Niebezpieczny heretyk podkopujący autorytet religii albo rubaszny wesołek — tak wyglądał Rabelais w oczach współczesnych. Rzeczywiście dzieliła go przepaść od arystokratycznego nurtu Odrodzenia, który reprezentował Ronsard, i doktorzy Sorbony wykazali o wiele większą przenikliwość.

Trzeba było przeszło dwustu lat, żeby dostrzec, że właśnie Rabelais stał się najdoskonalszym zwierciadłem epoki Odrodzenia we Francji i że nawet na tle europejskiej literatury renesansowej zajmuje on miejsce wyjątkowe. W roku 1516, kiedy Rabelais nurza się jeszcze w scholastyce u franciszkanów, ukazuje się najbardziej dalekosiężne dzieło społecznej myśli tej epoki, U t o p i a Tomasza More'a, i w tym samym czasie wkracza do literatury najbardziej żywotny i długowieczny z renesansowych bohaterów plebejskich, Dyl Sowizdrzał. Rabelais nie rozwija wprawdzie swoich poglądów aż do utopijnego socjalizmu More'a (którego oczywiście zna — list o idealnym wychowaniu humanistycznym, napisany przez Gargantuę, jest datowany z Utopii), daleko mu nawet do kwestionowania podstaw istniejącego ustroju, ale wyraża nie mniej żarliwą wiarę humanisty w postęp społeczny. Jednocześnie zaś — i na tym polega jego wyjątkowość — zespala swój humanistyczny światopogląd z ludowym punktem widzenia tak ściśle, jak nikt z jego współczesnych. Rozszerza horyzont Dyla Sowizdrzała o całą swoją ogromną wiedzę, wychodząc w ten sposób poza granice klasy, z którą wiązało go wykształcenie i cała kariera życiowa.

To właśnie zespolenie myśli renesansowej z ludowością było tak niezwykłe, że na długo przesłoniło prawdziwe oblicze pisarza. Dziś jeszcze niefrasobliwa, ludowa werwa Rabelais'go jest na pierwszy rzut oka o wiele bardziej uderzająca niż jego wszechstronne i głębokie powiązania z ideologią Odrodzenia w jej najbardziej rewolucyjnych osiągnięciach. Bezpretensjonalny wyda-

je się sam pomysł powieści o olbrzymie Tęgospuście, jego synu i wnuku, pomysł podsunięty przez pospolitą literaturę jarmarczną. Typowo ludowa fantastyka, od niepamiętnych czasów służąca do zabawiania rzesz prostych słuchaczy, stopiła się w tak jednolitą całość z motywami, które należą do klasycznej tradycji literackiej, że linia graniczna między tymi dwoma źródłami natchnień Rabelais'go staje się niedostrzegalna. Beztroska, z jaką wplata on rzeczywistość w sytuacje fantastyczne, brak konsekwencji w przestrzeganiu proporcji ustalonych na początku, przez co dystans między światem olbrzymów a zwykłymi śmiertelnikami zmienia się na zawołanie i w końcu zupełnie znika — to cechy prymitywnego bajarza, któremu umiar i logika przeszkadzałyby w działaniu na wyobraźnię słuchacza. Ludowy jest nade wszystko niewyparzony język Rabelais'go, dosadny i z wirtuozerią nieprzyzwoity, gdy miota obelgi lub mówi o sprawach skażonych dla średniowiecza grzechem pierworodnym, a dla renesansowej elity ukrytych za konwenansami dobrego tonu.

W użyciu tych wszystkich środków wyrazu widać dojrzałą myśl artystyczną, mimo że plan całości kształtował się z biegiem lat, od księgi do księgi. Gargantua, początek kroniki rodu olbrzymów, powstał w dwa lata po Pantagruelu, który dopiero wtedy stał się jej dalszym ciągiem. Trzecia część zmieniła kanwę kompozycyjną, opierając się dla odmiany na modnym w ówczesnej literaturze temacie rozważań o zaletach i wadach kobiet. Dwie ostatnie księgi wreszcie wykorzystują jeszcze bardziej popularny w epoce wielkich odkryć geograficznych motyw podróży do nieznanych krajów. Ta zupełna swoboda kompozycji, panująca także w obrębie poszczególnych ksiąg, ułatwiała przekazanie czytelnikowi w frapującej i obrazowej formie całej różnorodności problemów ideologicznych Odrodzenia — pod piórem Rabelais'go rodziła się już powiastka filozoficzna XVIII wieku. Nieskrępowana fantazja pozwalała plastycznie zwielokrotnić obraz epoki; walka ścierających się w niej sił nabierała przez to rozmiarów gigantycznych, wybiegając wraz z dalekowzrocznym autorem poza kronikę współczesnych wydarzeń. Dzięki tej genialnej koncepcji Gargantua i Pantagruel mógł ukazać znaczenie renesansowego humanizmu w skali wyobraźni ludowej, w której dopiero widoczna była jego historyczna wielkość, nie ograniczona do burżuazyjnego horyzontu humanistów XVI wieku. Naiwny na pozór i niedbały kształt, jaki Rabelais nadał swojemu pięcioksięgowi, był jedyną formą odpowiednią dla jego nieokiełznanej i wszystko dokoła rozsadzającej myśli.

Niesamowita żywiołowość temperamentu tego pisarza służy od początku do końca realizmowi. Rabelais przedstawia całkowity, wszechstronny obraz epoki, typy ludzkie i środowiska odmalowuje tak wyraziście, z takim bogactwem barw i rysów obyczajowych, że w odtwarzaniu życia swoich czasów znalazł równego sobie artystę tylko w Piotrze Breughelu — pokrewieństwo, które wcześnie zauważono, bo już w roku 1565 ukazała się książeczka Ucieszne sny Pantagruela, gdzie można znaleźć figury wymyślone przez mistrza Franciszka Rabelais, zawierająca między innymi reprodukcje z Breughela. Codzienna rzeczywistość i doświadczenia własnego życia tak dalece nie opuszczają pisarza przy kreśleniu epizodów fantastycznych, że nawet wojna króla Żółcika z Tęgospustem i zaborcze rojenia karykaturalnego władcy Lerny wyrosły

jednocześnie z fantazji, z historii i z kroniki zaściankowej. Żółcik to niewątpliwie typ władcy opanowanego jak Karol V żądzą podbojów, ale zarazem postać z rodzinnych stron pisarza, mały prowincjonalny satrapa, właściciel sąsiadującego z posiadłością ojca Rabelais'go majątku Lerné. Zatarg, jaki wywołał on przez zainstalowanie na Loarze utrudniającego żeglugę urządzenia do połowu ryb przeniósł Rabelais razem z topografią rodzinnego zakątka Turenii do kraju olbrzymów, nadając przez to satyrze na zaborczych monarchów konkretność ludowej anegdoty.

Jak świadomym i doskonałym artystą był Rabelais, o tym świadczy może najdobitniej jego język. Jest on nie tylko nieprzyzwoity jako wyraz żywiołowego triumfu nad światopoglądem umierającego średniowiecza, ostentacyjny odwet za wielowiekowe upośledzenie materii przez teologię. Jest to przede wszystkim język realisty czerpiącego pełnymi rękami z mowy potocznej i tworzącego, gdy trzeba, neologizmy, które zdobywają dzięki niemu prawo obywatelstwa w słowniku. „Na setki liczy się słowa, którymi wzbogacił on język, i słowa te obejmują wszystkie dziedziny doświadczenia ludzkiego: nauki ścisłe, sztukę, rzemiosła, życie społeczne, historię — stwierdza znakomity badacz języka Rabelais'go, Sainéan. — Zwroty obce, języki klasyczne, języki żywe znane epoce Odrodzenia, francuski wszystkich epok i wszystkich prowincji, wszystko to figuruje na swoim miejscu i w odpowiednich ramach, bez zgrzytów i dysonansów". Charakterystyczne jest, jak przy tej renesansowej chłonności językowej Rabelais-erudyta trzyma się żelaznej normy, którą jest dla niego żywy język współczesny, jego potrzeby i prawa. Dlatego student limuzyński za swoją nawigację „o dilukulu i krepuskulu" i całą uczoną „werbocynację latyńską" dostaje cięgi od Pantagruela: „ubzdurał sobie, że jest wielkim mówcą francuskim, dlatego, że nie raczy gadać tak jak wszyscy". Język Rabelais'go jest także językiem poety. Słowa mają dla niego walor poetycki, piękno namacalne niemal i dające się oglądać, jak w epizodzie na Morzu Lodowatym, gdzie pilot rzuca na pokład statku Pantagruela „garść wyrazów zmarzniętych, które wyglądały jak cukierki, w formie perełek rozmaitego koloru", a wśród nich „słowa kłujące, słowa krwawe, które, jak nam pilot powiedział, wracają niekiedy w gardło, z którego wyszły, ale w gardło już poderżnięte: słowa straszne i inne, dość niemiłe do patrzenia". Ta wrażliwość pisarza na poetycką stronę języka sprawia, że G a r g a n t u a i P a n t a g r u e l wielokrotnie staje się po prostu poematem prozą.

Bogactwo i nowatorstwo artyzmu Rabelais'go na tle współczesnej literatury francuskiej usprawiedliwia w wysokim stopniu niezrozumienie jego dzieła jako natchnionego manifestu Odrodzenia. Najgłębsze podstawy ideologiczne dobrze zresztą zrozumieli członkowie wydziału teologicznego Sorbony. Prześladując pisarza za herezję, trafnie dostrzegali materialistyczne elementy jego światopoglądu. Mimo bowiem, że Rabelais jawnie nie zrywa z religią, filozofia jego jest z gruntu materialistyczna. Natura, „Physis", kieruje ludzkość do wyzwolenia się z przesądów, ucisku i fanatyzmu, który się zrodził z „Antyphysis". Rozwój społeczny ludzkości wywodzi się z jej potrzeb materialnych, które jaskrawo symbolizuje Messer Gaster, żołądek, „mistrz sztuk". On to „z samego początku wynalazł sztukę kowalską i rolniczą dla uprawiania ziemi, iżby mu dawała ziarno. Wynalazł sztukę wojskową i oręż, aby bronić tego ziarna; sztukę lekarską i astrologię z potrzebną wiedzą ma-

tematyczną, aby ziarno bezpiecznie przez wiele wieków przechowywać i zabezpieczyć od klęsk powietrznych, złośliwości dzikich zwierząt, łupiestwa rabusiów. Wynalazł młyny wodne, wietrzne, ręczne i tysiące innych machin, aby ziarno mleć i zmieniać w mąkę; drożdże, aby zaczyniać ciasto; sól, aby mu nadać smak... Gdy się zdarzyło, iż w jednym kraju brakło ziarna, wynalazł sposób i środki, aby je przenieść z jednej okolicy do drugiej".

Brutalną alegorię Gastera dyktuje Rabelais'mu bynajmniej nie jakaś wulgarnie materialistyczna koncepcja człowieka, lecz — jak wszystkie jego przejaskrawienia w tym kierunku — potrzeba ostrego przeciwstawienia się światopoglądowi teologicznemu. Z taką samą jaskrawością wyszydza on scholastykę, ale nikt w okresie Odrodzenia bardziej niż on nie przywiązywał wagi do duchowej sfery życia ludzkiego, nikt tak się nie entuzjazmował twórczą siłą intelektu i jego nieograniczonymi możliwościami. Uwidoczniło się to zwłaszcza w rabelesowskim programie wychowania.

W licznych rozdziałach poświęconych temu zagadnieniu Rabelais szczegółowo charakteryzuje swój ideał nowoczesnego człowieka, który zrywa ze scholastyką „sorbonosłów" i ich ogłupiającymi metodami wychowawczymi, aby się radośnie rzucić w otchłań humanistycznej nauki. Tu jego proza wznosi się do wyżyn patosu. „Za łaską boską jeszcze za mego życia nauki i wiedza odzyskały światło i godność" — pisze do studiującego w Paryżu syna Gargantua, który pierwsze kroki stawiał pod kierunkiem scholastyków, ale zdążył zostać humanistą. „Świat pełen jest ludzi uczonych, najświatlejszych nauczycieli, najwspanialszych księgarni; i sądzę, iż za czasów Platona, ani Cycerona, ani Papiniana nie było takich ułatwień w nauce jak obecnie. Nie łacno od dziś będzie znaleźć miejsce w świecie albo w towarzystwie komuś, kto nie będzie dobrze ogładzony w warsztacie Minerwy". Zadziwiające jest to renesansowe wychowanie, które po kolei odbierają obaj olbrzymi. Nie tylko przez zachłanną wszechstronność, obejmującą wszystkie dziedziny nauk humanistycznych i przyrodniczych, ale jeszcze bardziej może przez jego powiązanie z życiem. W trosce o osiągnięcie pełni człowieczeństwa Rabelais kładzie nacisk na wychowanie fizyczne i wielokrotnie zajmuje się praktyczną stosowalnością zdobytej wiedzy.

„Próżną jest nauka i rozum daremny, jeśli w sposobnym czasie nie okażą się w czynach i w działaniu" — pisze już stary Tęgospust do Gargantui. Ta odraza do oderwanej od życia, gabinetowej kultury umysłowej jest niezmiernie charakterystyczna dla postawy Rabelais'go. Dlatego też Gargantua i jego towarzysze studiów po godzinach spędzonych nad książkami i po ćwiczeniach fizycznych „chodzili patrzeć, jak się obrabia metale albo leje działa; albo szli się przyglądać robocie kamieniarzy, złotników i szlifierzy drogich kamieni, albo alchemików i bijących monetę, albo sukienników, tkaczy, szmuklerzy, zegarmistrzów, szklarzy, drukarzy, organistów, farbiarzy i innych rękodzielników"; dlatego Pantagruel dostaje od ojca polecenie, aby „zawczasu wypróbowywał też swoich postępów". Ten podbój świata przez naukę odbywa się w atmosferze typowego dla Odrodzenia entuzjazmu. „Owo widząc go — czytamy o Pantagruelu — jak się doskonali i zdobywa wiedzę, rzeklibyście, iż duch jego między książkami płonie jakoby płomień z suchego paliwa, tak był żywy i nieugaszony".

Rabelesowskiemu ideałowi kultury wystarcza, że przeciwstawia się on radykalnie scholastyce, którą bezlitośnie wyszydza na każdym kroku i w każdej

dziedzinie przez nią opanowanej — zarówno w filozofii, jak w pedagogice czy w kazuistyce sądowej, po mistrzowsku ośmieszonej w procesie panów Pocałuj i Powąchaj. Gdzie Rabelais widzi możliwość urzeczywistnienia tego ideału? W utopijnym kraju olbrzymów albo — w okresie, gdy Franciszek I występował jako opiekun humanistów i sprzyjał reformacji — w jakimś uprzywilejowanym zakątku monarchii absolutnej. Tak pomyślany jest klasztor Telemitów, przybytek wyzwolonych z przesądów humanistów, który nawet zewnętrznie ma wzór w architekturze francuskich zamków renesansowych. Życie Telemitów odpowiada współczesnemu ideałowi kultury dworskiej, ale nie to jest jego naczelną cechą, lecz programowa świeckość tego zgromadzenia uprawiającego humanizm oderwany do wpływów Kościoła. Ma tam wprawdzie zapewniony dostęp religia reformowana, i od niej jednak odwróci się Rabelais niebawem. I zaufanie do feudalnego absolutyzmu trwa w nim tylko tak długo, jak długo Franciszek I walczy z przeżytkami średniowiecza, ale gdy dla wzmocnienia swej władzy przechyli się na stronę bezwzględnej reakcji, Rabelais przestaje wierzyć we własny mit sprawiedliwego monarchy-filozofa, który „zgodnie z wolą ludu i życzeniami ludu będzie ustanawiał prawa, wydawał edykty, umacniał religię, świadczył każdemu słuszność". Religia zasługująca jeszcze w pierwszych księgach na umacnianie, to kalwińska reformacja, która w Czwartej księdze zostanie zaliczona do płodów Antyphysis. W miarę rosnących rozczarowań humanisty utopia rozwiewa się i najmłodszy z olbrzymów, Pantagruel, traci swój gigantyczny wzrost, stając się zwyczajnym człowiekiem.

Pod koniec życia pisarza ostrość jego satyry społecznej tak się wzmaga, że w Piątej księdze, ostatniej części powieści, wydanej już pośmiertnie, odzywa się wyraźny pomruk plebejskiego buntu. Ma to miejsce w rozdziale o Spaśnych Kotach, dygnitarzach królewskich trybunałów. „Przypatrzcie się dobrze minom tych dzielnych filarów łupieżczej sprawiedliwości — pisze Rabelais. — W nich żywie jakoby jakaś szósta esencja, mocą której zagarniają, pożerają i plugawią wszystko. Palą, ćwiertują, ścinają głowy, dręczą, więżą, rujnują i podkopują wszystko, bez różnicy między złem a dobrem". Tej „niedoścignionej niegodziwości" grozi pisarz już nie autorytetem sprawiedliwego władcy, ale gniewem mas ludowych: „jeśli kiedy dobędzie ją kto na wierzch i objawi oczom ludu, nie ma i nie było tak wymownego mówcy, który by sztuką swoją powstrzymał jego pomstę, ani tak srogiego i drakońskiego prawa, które by powściągnęło ją obawą kary, ani tak potężnego urzędnika, który by siłą przeszkodził, aby tych wszystkich Kotów nie spalono okrutnie żywcem w ich norze". Na ciemniejącym dokoła niego horyzoncie dziejów nie widzi już Rabelais zamku swoich olbrzymów ani świeckiego klasztoru Telemitów. Piątą księgę kończy jednak maksymą: „Pij!" Sam wykłada znaczenie tej maksymy, którą Pantagruel wraz z towarzyszami słyszą od Boskiej Flaszy, jako wyraz najgłębszego zaufania do źródeł myśli renesansowej, bezgranicznie optymistycznej wiary w przyszłość ludzkości.

Nie znaczy to bynajmniej, że Rabelais widzi przed sobą jakąś nieokreśloną mgławicę. Konkretność jego spojrzenia na świat nie opuszcza go i wtedy, gdy stara się przeniknąć tajniki przyszłości. Olśniewające są pod tym względem ostatnie rozdziały Księgi trzeciej, poświęcone pochwale konopi, która przekształca się w poemat o geniuszu ludzkiej wynalazczości i w hymn na cześć techniki. „Za pomocą

tego ziela — które Rabelais nazywa „pantagruelionem", przypisując jego odkrycie swojemu bohaterowi — da się widzialniej ująć niewidzialne istoty, pochwycić je, przytrzymać i jak gdyby zamknąć w więzieniu. Ujęte i przytrzymane w ten sposób, obracają ogromne i ciężkie kamienie młyńskie ku niezmiernemu pożytkowi ludzkiemu... Za pomocą tego ziela, przez pochwycenie fal powietrznych, wielkie galery, olbrzymie talamegi, potężne galiony, okręty mieszczące tysiąc i dziesięć tysięcy ludzi, wypływają z portów i żeglują wedle rozkazu sternika... Do tego doszło, iż moce niebieskie, bogowie tak morza jak i ziemi, przerazili się w duchu, widząc, jak za pomocą tego błogosławionego pantagruelionu, ludy arktyczne, w oczach anarktycznych, przebyły morze Atlantyckie, minęły dwa zwrotniki, przemknęły przez strefę gorącą, przemierzyły cały zodiak, poigrały sobie na równiku, jeden i drugi biegun miały przed oczami na horyzoncie. Wówczas bogowie olimpijscy rzekli w przerażeniu: Pantagruel przez użytek i przymioty swego ziela sprowadził nam nowe frasunki i kłopoty... Dzieci jego, być może, wynajdą jakie ziele równej mocy, za pomocą którego śmiertelni będą odwiedzać źródła gradów, zbiorniki dżdżu i warsztaty piorunów. Mogą ogarnąć sferę księżyca, wedrzeć się na terytorium znaków niebieskich i tam obrać sobie mieszkania..." Ta rabelesowska poezja techniki, jak słusznie zauważył Jourda, niewiele się już różni od liryzmu, jakim nowoczesna technika natchnęła poemat Wiktora Hugo D w u d z i e s t y w i e k.

Rabelais dosłownie przeskoczył stulecia. W XVII wieku znaleźli do niego drogę La Fontaine i Molier, dla których nie wysechł nurt renesansowy materializmu. Dla całej epoki Ludwika XIV G a r g a n t u a i P a n t a g r u e l stało się jednak dziełem zamkniętym na siedem pieczęci, nie mieszczącym się w klasycznych kanonach umiaru i dobrego tonu. „Rabelais jest niezrozumiały — pisał w C h a r a k t e r a c h La Bruyère — mimo wszystko, co się o tym mówi, jego książki nie można wytłumaczyć. To chimera, twarz pięknej kobiety i ogon węża albo innego zwierzęcia bardziej niekształtnego, potworne połączenie myśli subtelnej i oryginalnej z ohydnym zepsuciem". Przez te klasyczne okulary patrzał jeszcze w XVIII wieku nawet Wolter. Umiał na pamięć rozdziały o królu Żółciku i bracie Janie, podziwiał ostrość rabelesowskiego antyklerykalizmu, ale nie przyszło mu do głowy, że się rozczytywał w największym arcydziele francuskiego Odrodzenia. Dużo głębiej przeżył Rabelais'go Diderot, sięgnęła do niego po broń do walki z klerykalną reakcją rewolucja 1789 roku, ale na dobre odkryło go dopiero następne stulecie. Jakim przełomem było podważenie przez romantyzm kanonów klasycyzmu, o tym najlepiej świadczy fakt, że Chateaubriand, tak daleki od tradycji Odrodzenia, zapatrzony w średniowiecze gloryfikator monarchii burbońskiej, napisał w roku 1815 zdanie: „Rabelais stworzył literaturę francuską; Montaigne, La Fontaine, Molier są jego potomstwem".

W roku 1832, w trzechsetną rocznicę P a n t a g r u e l a, ukazała się książka, która nawet swoim językiem przenosiła czytelników w świat Rabelais'go. „To jest księga niezmiernie wytrawna, pełna wybornych krotochwil przyprawionych dla tych wielce znamienitych opojów i szacownych pedogryków, do których się zwracał nasz zacny krajan, klejnot Turenii po wieczne czasy, Franciszek Rabelais" — tak zaczynała się pierwsza seria U c i e s z n y c h p o w i a s t e k Balzaka. Twórca K o m e d i i l u d z k i e j, chlubiący się przez całe życie, że pochodził z tych

samych stron, co jego uwielbiany pisarz, złożył mu w tym pastiszu wzruszający hołd. „Niewielu jeno podróżnikom starcza tchu, żeby nadążyć za twoją łodzią w jej świetnej żegludze po oceanie idei, systemów, mamideł, wierzeń, mądrości i oszustw ludzkich, ale ich pochwały są przynajmniej dobrej próby, czyste i bez domieszki — czytamy w zakończeniu powiastki Kazanie wesołego proboszcza z Meudon. — Dlatego postanowił cię uczcić biedny syn wesołej Turenii, wysławiając ciebie i twoje nieśmiertelne księgi, tak drogie wszystkim, co kochają dzieła koncentryczne, w których zamknięty jest cały świat myśli". Balzac nie był odosobniony w tym kulcie. Wiktor Hugo umieścił w rzędzie „bojowników wielkich nadziei" Rabelais'go, „którego nikt nie zrozumiał" i którego śmiech jest „otchłanią myśli". Odtąd Gargantua i Pantagruel stał się dla pisarzy francuskich żywą tradycją — z niej wywodzi się Hieronim Coignard France'a i Colas Breugnon Rollanda.

Na początku naszego stulecia ogromne postępy poczyniły badania naukowe nad twórczością Rabelais'go. Grupa uczonych pod kierunkiem Abla Lefranc dokonała dzieła, które jest pomnikiem skrzętności filologicznej. Ukazało ono ogrom erudycji wielkiego pisarza i zarazem ogrom jego własnej, twórczej inwencji. Gdy jednak przyszło do syntezy, filologia rabelesowska zaczęła się jąkać. Pochwały jej nie były bez domieszek, jak pochwały Balzaka. „Krytyka współczesna przestała uważać Rabelais'go za „otchłań myśli" i za olśniewającego myśliciela" — twierdził spokojnie wybitny jego badacz, Jean Plattard, w roku 1928. Istotnie, wyniki prac ekipy Lefranca dojrzały do syntezy w okresie, kiedy nauka burżuazyjna zaczęła konsekwentnie wypaczać obraz Odrodzenia. Ofiarą tych tendencji padł także Rabelais. Zjawiły się rozprawy dowodzące, że nieporozumieniem jest mówić o jego materializmie i że tkwił on głęboko w światopoglądzie średniowiecza. Kres tym reakcyjnym zakusom kładzie marksistowska historia literatury, pokazująca — jak pisze w znanej monografii E. M. Jewnina — że Rabelais „służył ludzkości, depcąc, gniotąc i rwąc na kawałki czarną zasłonę średniowiecza, która przesłaniała prawdziwy świat".

W tym roku, który w Polsce Ludowej jest rokiem poświęconym uczczeniu wielkich tradycji naszego własnego Odrodzenia, łatwo jest nam należycie ocenić i uczcić postać genialnego Francuza i jego „dzieło koncentryczne", zwierciadło myśli renesansowej. I tak jak cały świat widzimy w nim „czynnego obrońcę pokoju", wedle wyrażenia deputowanych francuskich. Kogóż bowiem nie zdumiewa aktualność historii o królu Żółciku, groteskowym „bohaterze, zdobywcy, pretendencie i aspirancie do zawojowania całego świata", rojącym ze swoimi dowódcami podboje, które już widzą oczami duszy: „Ciągną sobie wesoło razem na Lubekę, Norwegię, Szwecję, Dację, Gocję, Grenlandię i Estlandię... podbili wyspy Orkady i ujarzmili Szkocję, Anglię i Irlandię... pobili i zagarnęli Prusy, Polskę, Litwę, Rosję, Wołoszę, Transylwanię, Węgry, Bułgarię, Turcję i są w Konstantynopolu". I kogóż nie uderzy rozsądek doświadczonego Echefrona, który ostrzega Żółcika przed tymi planami: „Bardzo się lękam, iż te całe przedsięwzięcie podobne jest do gadki o garnku z mlekiem, z którego niejaki szewc czerpał wszelakie bogactwa w swych rojeniach; owo garnek się stłukł i nie stało mu na obiad... A jeśli przypadkiem mielibyście nigdy nie wrócić?..."

Maciej Żurowski

PIOTR GRZEGORCZYK

Jakiego Gogola znamy?*)

„Rewizor" na warsztacie tłumaczów

W dziejach recepcji literatury rosyjskiej w Polsce zaważył decydująco w pewnym momencie czynnik zgoła niespodziewany: ogromny, niepowstrzymany gogolowski śmiech. Ten śmiech, który Gogol uważał za jedynego pozytywnego bohatera swego utworu i o którym mówił, że stanowi coś znacznie głębszego, niż się zazwyczaj sądzi; nie śmiech służący błahej rozrywce i zabawie, ale śmiech tryskający z głębi natury ludzkiej, śmiech sprawiający, że rzeczy, które prześliznęłyby się wobec nas niedostrzeżone, występują na plan pierwszy i wstrząśniętemu człowiekowi wyrywają przerażony okrzyk: Czyż tacy ludzie naprawdę istnieją? Ten karzący śmiech stał się początkiem przełamania zrozumiałej z politycznych przyczyn niechęci, lekceważenia, odrazy i nieufności do tej literatury. Sprawił to Rewizor, pierwszy utwór rosyjski, który zdobył sceny polskie i głównie dzięki teatrowi oraz ośmiu książkowym edycjom osiągnął największą popularność. Przypatrzmy się bliżej interesującym dziejom tych tłumaczeń.

Pierwszy polski przekład Rewizora wyszedł spod pióra aktora wileńskiego, Jana Chełmikowskiego, którego losów życia dokładnie nie znamy, gubią się bowiem na tułaczce w trupach aktorów prowincjonalnych. Przekład pojawił się w Wilnie z datą 1846, dokonać go jednak musiał tłumacz kilka lat wcześniej, jak świadczy o tym data 17 września 1843: pozwolenia na druk cenzora wileńskiego, Jana Waszkiewicza. Analiza porównawcza tłumaczenia z trzema pierwszymi kolejnymi edycjami oryginału z lat: 1836, 1841 i 1842, pozwala z łatwością ustalić, że Chełmikowski dokonał przekładu z drugiego wydania oryginału (1841), różniącego się znacznie od ostatecznej edycji trzeciej. Stwierdzenie to ważne, gdyż przekład ten z górą pół wieku służył scenom polskim i w czterech wydaniach był jedynym tekstem, z którego nie znający oryginału czytelnik polski mógł poznać utwór Gogola, czyli — ani ze sceny, ani z książki nie przemawiała do polskiego słuchacza komedia pełna i autentyczna. Wydanie drugie oryginału dalekie jeszcze było od ostatecznego mistrzowskiego wykończenia danego dziełu w rok później: nie miało jeszcze wszędzie zaostrzenia satyrycznej pointy, ani kondensacji perypetyj komicznych, zwłaszcza w scenach końcowych aktu IV (sc. 12—15), gdzie dodana została cała scena 14, a kilka uległo przeróbce (oświadczyny Chlestakowa najpierw córce, a potem bezpośrednio matce). Brak mu było przede wszystkim tej genialnej parabazy w przedostatniej scenie aktu V, w której do szału doprowadzony Horodniczy, nie tyle bezprzykładną kompromitacją, ile właśnie tym, że dał się oszukać on, który dotychczas wszystkich oszukiwał — w najwyższej pasji krzyczy zwrócony do publiczności:

„Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie! Uch wy!!! (wali z wściekłości nogami w podłogę). Ja bym tych wszystkich papieromazów! Uch, pisarczyki, liberały przeklęte, czarcie nasienie! W jeden węzełek bym was związał, na proszek starł i diabłu pod kapotę! (grozi pięścią i wali obca-

*) Patrz Twórczość Nr 3.

sami)"... (tł. J. Tuwima). Dopiero w tym momencie Horodniczy staje się tragicznie śmieszny. W tym szczytowym punkcie swej ostatecznej katastrofy i życiowego zmiażdżenia — budzi nawet uczucie litości — podobnie jak bohater Martwych dusz Czyczykow, w chwili zdemaskowania na balu u gubernatora. Zauważmy tutaj mimochodem, że wśród stosunkowo nielicznych motywów, którymi posługuje się Gogol, literacki motyw „oszusta oszukanego" powtarza się dość często w różnych wariantach. Brak wreszcie w wydaniu 2, i w polskim pierwszym przekładzie, końcowej sceny niemej czyniącej tak potężne wrażenie, oraz brak oczywiście odautorskiego objaśnienia tyczącego tej sceny. W ostatecznej redakcji utworu zmienił się też ton łgarstw Chlestakowa: z trywialnego, stał się jakby natchniony i bardziej fantastyczny. Wyostrzyła się też subtelność satyrycznych aluzji godzących zwłaszcza w Sękowskiego. Przekład polski oparty więc na wydaniu drugim uboższy był o całą gamę tych efektów i nie dawał ani widzowi ze sceny, ani czytelnikowi książki wrażeń, jakie przyniosła dopiero redakcja ostateczna, przeciwnie — stwarzał fałszywe pojęcie o arcydziele, na co, niestety, nikt nie zwrócił uwagi, chociaż spotyka się kilka bardzo bystrych i trafnych omówień wystawionej sztuki. Wszyscy natomiast recenzenci utyskują na język przekładu Chełmikowskiego, który raził szczególnie uszy słuchaczów w Małopolsce, gdzie komedia była od 1850 roku najczęściej grana. Poświęcimy przeto nieco uwagi tej stronie tłumaczenia.

Najpierw sprawa tytułu komedii. Chełmikowski powtórzył dosłownie tytuł rosyjski, dając od razu dowód złego poczucia poprawności językowej. Od jego czasu tytuł ten pozostał bez zmiany, chociaż, co ciekawe, wyraz ten nie wszedł do ogólnopolskiego języka mówionego w znaczeniu funkcji, jaką ta postać miała spełniać, pozostał jedynie na oznaczenie właśnie komedii Gogola. W pierwszej polskiej wzmiance dziennikarskiej, wkrótce po premierze w Petersburgu, komedia nosi poprawną nazwę Rewident. W języku polskim XVII i XVIII, a również w początkach XIX w. „rewizor" oznacza pisarza prowentowego majątku ziemskiego lub nadzorcę majątku. Był więc niewłaściwy. Chełmikowski ma też na sumieniu dodany podtytuł: „czyli podróż bez pieniędzy", dający widzowi i czytelnikowi zdecydowaną zapowiedź farsy, której właśnie jak ognia bał się Gogol, i przed którą przestrzegał aktorów. Ten fałszywy podtytuł powtarzano stale w następnych edycjach przekładu Chełmikowskiego, umieszczano go też na afiszach teatralnych, dodając jeszcze Rewizor z Petersburga, ażeby już nie było wątpliwości, kogo należy obciążyć inwektywami płynącymi ze sceny.

Wyraźną predylekcję do farsy ujawnił tłumacz nie tylko wymyślonym podtytułem, ale jeszcze innymi dodatkami. Chodzi o scenę 12 aktu IV, w której Maria prosi Chlestakowa o wpisanie jej do albumu jakich wierszy. Komizm tej sceny u Gogola polega na kontraście między niepoważnym nastrojem i trzpiotowatością Chlestakowa, a powagą ponurej, klasycznej ody Łomonosowa, którą pragnie wpisać w pamiętniku młodej panny, więc utworu najmniej do tego celu stosownego, zwłaszcza że Maria prosi o wiersze piękne i nowe. Chełmikowski, dobry aktor, musiał zauważyć, że efekt komiczny tej sceny w czasie gry dla widza przepada. Tłumacz pragnął go uratować przez zacytowanie bardziej „stosownych", jak mu się zdawało, wierszy do sytuacji, w której się Chlestakow znalazł, nie dbając bynajmniej o to, że nie tylko zbanalizo-

wał scenę, ale poszedł wyraźnie w kierunku farsy:

„Maria:... Czy nie lepiej będzie, ażebyś mi pan na pamiątkę napisał w sztambuchu jakiekolwiek wierszyki. Pan bez wątpienia musisz ich wiele umieć?

Chlestakow: Dla ciebie pani, gotów jestem wszystko uczynić. Rozkaż tylko, jakich wierszy potrzebujesz?

Maria: Jakiekolwiek, tylko żeby były nowe i ładne.

Chlestakow: To dla mnie fraszka! Ja ich wiele znam na pamięć.

Maria: No, zadeklamujże mi pan na przykład te, które masz w sztambuchu napisać.

Chlestakow: Na cóż jeszcze deklamować? Ja i tak napiszę.

Maria: Ah, ja lubię słuchać wiersze.

Chlestakow: W moim archiwum jest ich dużo i różnych. Wreszcie, kiedy pani chcesz koniecznie, to jej wyrecytuję, na przykład ten triolecik:

Dziewczę! chcę cię pocałować,
Bo masz buzię bardzo ładną,
Ale proszę się nie chować.
Dziewczę! chcę cię pocałować,
Nie mogę tego darować,
Tylko proszę, nie bądź zwadną:
Dziewczę! chcę cię pocałować,
Bo masz buzię bardzo ładną.

(Przysuwa się do niej z krzesłem, ona się odsuwa).

No i wiele innych, których na prędce nie mogę przypomnieć. Ale najlepsze ze wszystkiego są te:

Wszystko to, o co człowiek się ubiega,
Znienacka z czasem upływa —
Każdy z nas jaśnie to prawo postrzega,
Że chwila chwilę porywa:
Lecz miłość moja, która z serca płynie,
Nigdy dla ciebie nie zginie.

(Znowu się przysuwa, lecz ona się odsuwa z krzesłem).

Maria: Miłość! ja nie rozumiem, co to jest miłość... Nigdym o niej nie słyszała“...

Przytoczyliśmy nieco obszerniej ten fragment, aby zarazem pokazać, jak tłumacz swobodnie gospodaruje na własną rękę, niezbyt troszcząc się o zgodność z oryginałem.

Jeszcze jeden grzech ma Chełmikowski na swym sumieniu tłumacza: ze sceny 11 aktu IV wyrzucił postać pobitej żony podoficera, która przyszła ze skargą na Horodniczego. To w konsekwencji zmusiło go do pewnych zmian w 15 scenie, w której Horodniczy nie mógł już powiedzieć, że żona podoficera sama się zbiła, skoro nie dopuszczono jej na scenę. Tłumacz zastąpił to wersją taką:

„Horodniczy: Ślusarka zaś nagadała: jakobym ja jej mężowi głowę ogolił. To jest fałsz! nie goliłem, na honor! nie goliłem: ona sama ogoliła...“ (wyd. z 1846, s. 153). Wszystkie wydania następne powtórzyły tę wersję pozbywając się komicznego efektu, a przede wszystkim ubożąc tekst o scenę, w której do głosu dochodziła ludzka krzywda.

Przekład Chełmikowskiego jest też dowodem, jak gruby nalot rusycyzmów zaczynał osiadać na potocznej mowie polskiej na Kresach w latach 40-tych. Przyczyniały się do tego głównie rusyfikatorskie organa carskiej administracji, wprowadzającej rosyjski język urzędowy. Te rusycyzmy, od których roi się przekład, raziły najbardziej słyszane ze sceny w Galicji. Pomimo to trzy kolejne edycje (1832, 1883, 1910) przekładu Chełmikowskiego, nie podające jego nazwiska jako tłumacza, wprowadzają tylko minimalne poprawki, chociaż drukowane były we Lwowie.

Stałą metodą tłumacza było posługiwanie się paralelizmami etymologicznymi: pozostawianie terminu rosyjskiego tam, gdzie nie znał polskiego odpo-

wiednika, stąd więc wyrosły takie dziwolągi, jak np. „w jego podorożnej stoi wyraźnie w Saratow“ (wyd. 1846, s. 27), zamiast: „w karcie podróży“... Stąd: „prohonne“ (s. 39), tj. taksa pocztowa od koni. Stąd. „tołkuczy rynek“ (41), tj. targ tandeciarski, i mnóstwo innych w przykry sposób zaśmiecających prawie cały przekład, w którym tylko z rzadka błyska jakieś szczęśliwe powiedzenie, np. matka o córce: „jak tylko usłyszała głos poczmejstra, dalejże do zwierciadła, migi, dygi, krygi“ (37)... Częściej jednak spotyka się nieporozumienia i błędy, np. Chłopow „próbuje zapalić (cygaro, którym go poczęstował Chlestakow) i znowu się droży (120) zamiast: i cały drży“ (ze strachu), itp. Nic przeto dziwnego, że krytyk z prawdziwego zdarzenia, który był na Rewizorze w tym przekładzie granym w Krakowie 5 października 1872, pisał w postępowym dzienniku krakowskim, Kraj (nr 232): „Przede wszystkim należało się postarać o przekład polski, bo ten język, którym przez trzy godziny nielitościwie dręczono uszy publiczności, był jakimś okropnym żargonem, nic z polszczyzną nie mającym wspólnego, oprócz brzmień pojedynczych — i przepełniony wyrazami niezrozumiałymi. Jeżeli nie ma innego tłumaczenia, oprócz barbarzyńskiej trawestacji pana Chełmikowskiego, a dyrekcja nie może oddać komu do przerobienia, jest na to prosta rada — schować Rewizora *ad acta*. Bo co znaczą np. wyrazy: drążki, tołkuczy rynek, zwoszczyk? Czy publiczność obowiązana wiedzieć, że to oznacza dorożkę, tandetę, dorożkarza? Albo solone ogórce, zamiast ogórki — czy to dla zachowania *couleur locale*? Czy wyrażenia takie, jak: „on lubi, żeby wszystko było na swoim porządku“, „konie byli“, „żołnierze wyskoczyli z hauptwachty“ — są polskie? Niech kto mądry dopatrzy się sensu w wyrazach: „samowarniki, arszynniki, protokanalie, archibestie! A to ciągłe używanie jego, zamiast go? Alboż zamiast „urezoń jego“, nie można było powiedzieć „przekonaj go?“... Tenże sam recenzent, którym był zapewne Mieczysław Pawlikowski, kierownik literacki Kraju, człowiek dużej kultury literackiej, ojciec późniejszego znakomitego dyrektora teatru, Tadeusza Pawlikowskiego, pozostawił nam niezmiernie ciekawe i w swoim rodzaju jedyne świadectwo, jak wówczas Rewizor wyglądał na scenie.

Cóżeśmy ujrzeli na naszej scenie? — zapytuje krytyk, i natychmiast odpowiada: „Nędzną farsę, nic więcej“... Wynikło to z przyczyn dwojakiego rodzaju: zależnych i niezależnych od dyrekcji. O jednych, tj. wadach językowych już mówiliśmy. Inne polegały na poobcinaniu sztuki w różnych miejscach, przeciw czemu krytyk protestuje. Więc „w akcie I. zostały opuszczone uwagi Horodniczego, czynione prefektowi szkół (Chłopow), tryskające niezrównanym humorem i odpowiedzi Bogu ducha winnego, lękliwego prefekta, który stał się przez to niemym komparsem, a w akcie czwartym, podczas pojedynczej prezentacji każdego urzędnika, nie ukazuje się wcale. Nie rozumiemy, dlaczego została wyrzucona scena między nim a Rewizorem, który go częstuje cygarem i rozpytuje się, jakie kobiety bardziej mu się podobają, brunetki czy blondynki, a biedny prefekt odchodzi od rozumu ze strachu. Ta scena może właśnie najlepiej uwydatnić tępotę Chlestakowa i nie godziło się jej pominąć. Dalej, nigdy w pierwszym akcie nie słyszeliśmy opowiadania snu Horodniczego, wytłumaczonego jako przepowiednia rewizji, ani zabawnego wyjątku z listu, który niegdyś poczmistrz, swoim zwyczajem, rozpieczętował. W akcie drugim dostrzegliśmy kilka opuszczeń w monologu Józefa. W ak-

cie trzecim, w opowiadaniu Chlestakowa pominięto również niektóre ustępy charakterystyczne. W akcie czwartym najdotkliwiej pokrzywdzonym, oprócz sceny prezentacji prefekta, wyrzucono umizgi rewizora do horodniczyny, po których tenże natychmiast się przerzuca do romansu z horodniczanką; oraz wyrzucono scenę, w której żona podoficera, ochłostana przez horodniczego, zanosi skargę do rewizora. W akcie piątym po odczytaniu listu, opuszczono przepyszny ustęp, w którym horodniczy przewiduje szyderstwa i żarty, jakie go niewątpliwie spotkają i mówi o komediopisarzach. Wreszcie w całej sztuce mnóstwo replik opuszczonych, lub bez ceremonii poprzekręcanych. Przytoczymy jedną tylko: w oryginale stoi: „Chociażbyś trzy lata stąd jechał, nie dojechałbyś do żadnego państwa obcego", a na scenie zamiast „trzy lata", usłyszeliśmy „pięć mil". Jest w tym ogromna różnica. Gdy pierwsze daje pojęcie o odległości powiatowego miasta, w którym odbywa się akcja, drugie nie ma sensu. W Rosji można nie pięć, ale sto mil jechać i nie dotrzeć jeszcze do granicy"...

Krytyk analizuje równie dokładnie grę aktorów. I znowu otrzymujemy dokument rzadki w dziejach naszej krytyki teatralnej.

„Nie dziw — czytamy — że na tak fatalnie pokaleczoną sztukę, artyści nasi zapatrywali się, jako na cudacką krotochwilę i stosownie do tego ją odegrali, trzymając się tej reguły, że im więcej przesady, tym lepiej"...

Posiadamy jeszcze jedno nieoczekiwane świadectwo, jak w owych czasach wyglądał R e w i z o r na polskiej scenie: popularny dziennik rosyjski Russkije Wiedomosti (1870, nr 75) zamieścił korespondencję opisującą właśnie spektakl krakowski. Jakiś przejeżdżający przez Kraków Rosjanin poszedł do teatru na R e w i z o r a. Było to zapewne przedstawienie dawane 20 marca 1870, w dobrej obsadzie, z Bendą jako Horodniczym i Ładnowskim jako Chlestakowem. Podróżny spodziewał się zobaczyć karykaturę R e w i z o r a, i był mile zawiedziony. „R e w i z o r idzie w Krakowie — pisał — lepiej niż na rosyjskich scenach prowincjonalnych. Horodniczy był bardzo dobry: gra mądra, bez żadnej szarży. Bobczyński i Dobczyński dobrze dobrani, grają wspaniale. W ogóle można było być zadowolonym z gry tutejszych aktorów, z wyjątkiem Chlestakowa, który puszczał się na niedozwoloną farsę. Np. zjawił się z orzechami w kieszeni, które tłukł i gryzł w czasie całej sceny z Osipem". Podróżny zauważył niewierność kostiumów. Przekład uznał jednak jako wierny (?) „chociaż — powiada — tłumacz nie mógł się powstrzymać od dosypania Gogolowi w pewnych miejscach polskiego pieprzu. Więc Horodniczy mówiąc, dlaczego chciałby zostać generałem, — dodaje: „dlatego, że generał rosyjski ma prawo bić po mordzie". Na ogół jednak przydatków takich bardzo niewiele"... Oto przykład jak mało wybrednymi środkami stawiano w tej sztuce antyrosyjskie akcenty, zadowalając płaski gust publiczności, co jednak nie obarcza w tym wypadku tłumacza.

Nie mniej interesują nas uwagi podróżnego o reakcji polskiej publiczności. „W równym stopniu — ciągnie dalej korespondent — jak i sztuka, zajmowała mię publiczność. Nie dostrzegłem wśród widzów żadnych oznak nieżyczliwości: taki sam wesoły, serdeczny śmiech jak w Moskwie, a nawet jeszcze większy, dlatego że repertuar polski lichy, złożony w części z przekładów sztuk francuskich, przeto komedia taka jak R e w i z o r stanowi dla Polaków coś osobliwego. Jakże się z niej zaśmiewali! Sąsiadka moja, młoda Polka, omal nie dostała spazmów ze śmiechu. W czasie antraktu przysłuchiwałem się sądom

publiczności i nie słyszałem nic oprócz pochwał sztuki, jakie słyszy się w Moskwie"... Oto wymowny dokument, jak działał „czynnik" śmiechu.

Dopiero w 70 lat po wyjściu przekładu Chełmikowskiego scena polska dostaje nowy przekład Rewizora znowu dzięki aktorowi. Był nim Marian Tatarkiewicz (1875—1929), pochodzący z rodziny aktorskiej. Aktor średniego talentu, ale człowiek inteligentny, o aspiracjach literackich, był autorem kilkunastu drobnych utworów scenicznych, krotochwil, fantazji, obrazków granych na scenach warszawskich. W lutym 1916, w jego właśnie przekładzie, wystawił Kazimierz Kamiński Rewizora w Rozmaitościach. Przekład ten nie był drukowany i, niestety, wszelki ślad po nim zaginął, tak że brak nam podstawy do jego oceny. Możemy jednak przypuszczać, że był znacznie lepszy od swego poprzednika przynajmniej pod względem literackim, a zwłaszcza czystości języka.

W 10 lat później wchodzi na sceny polskie Rewizor znów w nowym tłumaczeniu, tym razem nareszcie poważnego literata — Wiktora Popławskiego (1889—1935), poety i publicysty i subtelnego tłumacza liryków. Przekład ten, również nie drukowany, ocalał szczęśliwie w egzemplarzu teatralnym przechowywanym w bibliotece teatru im. Wyspiańskiego w Katowicach, dzięki temu możemy się mu bliżej przyjrzeć. Jest to pierwszy (dochowany) przekład zupełny, dokonany wg ostatecznej redakcji, filologicznie wierny, nie pozbawiony zalet, swady i dobrej, jędrnej polszczyzny. Pełen trafnych potocznych kolokwializmów, np. Horodniczy do Swistunowa (I, 3): „Syp mi zaraz po komisarza", Tuwim: „Pójdziesz zaraz po komisarza". Horodniczy do rewirowego (I, 4): „Ruszaj na ulicę", Tuwim: „Skocz na ulicę" (28). Popławski zbyt jednak niewolniczo trzyma się czasem oryginału, ale też nigdzie nie pozwala sobie przekroczyć granicy dopuszczalnego odchylenia, nie wprowadza własnych pomysłów ani amplifikacji, jest dokładniejszy niż Tuwim, ale mniej dosadny i mniej dowcipny. Wyjątkowo zdarza mu się opuścić zdanie, lub pominąć remarki. Wypada żałować, że nie ukazał się w druku, stanowił bowiem w dziejach polskich przekładów Gogola zdecydowany krok naprzód i zyskał pochwały na scenie.

W niespełna cztery lata później sceny polskie zyskują znów nowe tłumaczenie Rewizora, które miało się na nich ostatecznie utrwalić. W końcu 1929 odegrano w Teatrze Polskim w Warszawie komedię tę w nowym przekładzie Juliana Tuwima. Przekład ten spotkał się jednak niespodziewanie z niemal ogólną wyraźną dezaprobatą stołecznej opinii krytycznej. Pierwszy zareagował od razu arystarcha tej krytyki Boy-Żeleński. „Nie mogę się pogodzić — pisał — w sztuce Gogola z ciągłym używaniem takich wyrażeń jak bubek, granda, forsa, bujda, bujać, zaiwanić etc. Przecież to jest gwara złodziejska, mająca kurs, dla żartu, w świecie stołecznej cyganerii i to współcześnie: cóż ona ma do roboty w ustach prowincjonalnych dygnitarzy sto lat temu?" (Kurier Poranny 1929, nr 332). Również samo przedstawienie nie podobało się Boyowi: było „poprawne, bogate i martwe".. . Ogólny wyrok brzmiał: „Wznowienie Teatru Polskiego było ciężkie, nie interesujące i niepotrzebne"... (tamże). Inni krytycy (np. Leon Radziejowski) utyskiwali też zgryźliwie na język przekładu Tuwima, chociaż oddawali ogromne pochwały grze aktorów, zwłaszcza Maszyńskiemu w roli Chlestakowa (np. St. Miłaszewski). Zarzutów takich nie mógł Tuwim zbyć milczeniem. Odpowiedział też otwartym listem do Boya, w którym bronił wcale zręcznie i obszernie swego przekładu, o-

raz interesująco wyjaśniał zajęte w stosunku do utworu stanowisko. Genialność Rewizora polega według Tuwima na tym, „że właśnie po stu latach dzieje się sztuka poza historią". Poeta-tłumacz twierdzi dość ryzykownie, że przed wiekiem to nie była „tzw. sztuka realistyczna". „Widzę — pisze — Rewizora jako zwierzyniec fantastycznych postaci, prawie widziadlany, wprawiony w ruch przez nagły przyjazd wiotkiego i leciutkiego Chlestakowa"... (Tuwim powtarza sąd Bielińskiego z 1839, który mówił o „świecie widm" w Rewizorze). Chlestakow jest na pewno czymś nieprzemijającym, jest figurą działającą wszędzie i zawsze, wczoraj, dziś i jutro, tam, tu i ówdzie, i tak samo zawsze dzisiejsze jest środowisko, do którego się dostał. Akcja sztuki odbywa się nie tylko w Rosji sto lat temu, ale w potwornym państwie, któremu na imię Głupota, w państwie tedy odwiecznym. Takie rozumienie miejsca i czasu sztuki pozwala tłumaczowi traktować jej środki ekspresyjne (w danym wypadku język) tak, „aby stały się dla epoki swego tłumacza aktualne". Tłumacz zapewnia Boya, „że słów: bujda, granda, forsa itd. używa dziś nie tylko cyganeria, ale ulica, sklepikarze, bankowcy, urzędnicy..." Tłumacząc Rewizora z tzw. „nastawieniem" na jego powszechność w czasie i przestrzeni... używałem wyrazów, które według mnie najlepiej trafią do uszu widowni i najtrafniej oddadzą gwarę, jaką sztuka jest pisana... Język sztuki, to nie klasyczny język rosyjski, lecz właśnie gwara i to specyficznie rubaszna w ustach burmistrza, ...gwara tak często *intraduisible* w tzw. „powiedzonkach", że tylko odpowiednikami słownika rozmaitych knajaków wyrazić ją można po polsku"...

Jednakże, kiedy przyszło do książkowej edycji przekładu prawie w 20 lat później (w 1948) Tuwim w części bodaj posłuchał słusznej przestrogi Boya i znacznie przyciął trywializmy uliczne. Nie włożył jednak zbyt wiele wysiłku w rewizję przekładu, toteż w trzech edycjach powojennych (1948, 1950, 1952) pozostało jeszcze sporo drobnych uchybień, małych opuszczeń (z których jedno wynosiło jednakże 18 wierszy tekstu, II, 6), oraz pominięć zwłaszcza niektórych remarków autorskich. Ale ten brak pietyzmu filologicznego kompensowała niespotykana dotychczas brawura w wydobywaniu w przekładzie maximum humoru, dosadności i plastyki. Można by napisać całą rozprawkę „O tuwimowskim dowcipie w Rewizorze". Nie mogąc się zbyt nad tym przedmiotem rozwodzić zaznaczymy tylko, że inwencja tłumacza szła w kierunku: 1. zaostrzenia dowcipnej pointy gogolowskiej i 2. wydobycia swoistego dowcipu niekiedy nawet tam, gdzie go ścisły przekład tekstu nie nastręczał. Jako zdanie z monologu Chlestakowa (II, 5), w którym głośno marzy, jaką by zrobił sensację, gdyby przed ganek sąsiada zajechał karetą z Osipem w liberii: ...„Kto to? Co to? A lokaj wchodzi (staje sztywno, udaje lokaja): Iwan Aleksandrowicz Chlestakow z Petersburga. Czy pan rozkaże przyjąć? Ale te fujary nie wiedzą nawet, co to znaczy „rozkaże przyjąć". Kiedy przyjedzie do nich jakiś niedźwiedź-obywatel, to prosto do salonu w kaloszach wali"... Chociaż tych „kaloszy" nie ma w tekscie, (w owych czasach na pewno były już w użyciu) poszerza tutaj tłumacz i świetnie zaostrza element komizmu.

Dopiero do czwartego wydania, ukazującego się właśnie (w maju 1953) w Bibliotece Narodowej Ossolineum, z obszernym interesującym wstępem Andrzeja Walickiego, zrewidował Tuwim nareszcie dokładniej swój przekład Rewizora i starannie go poprawił, dopełnił opuszczone miejsca tekstu i uwag

autorskich i w wielu razach trafnie zamienił zbyt współczesnością pachnące nazwy i epitety na oznaczenia starsze i właściwsze. Znikły więc: „bujania", „grandy" etc., chociaż pozostał jeszcze: „fason", „pierwsza klasa", „psia krew"; co jednak nie tak już razi. W sumie przekład po tych zabiegach ogromnie zyskał, przybliżył się do oryginału i uznać go trzeba za najlepszy z dotychczasowych. Toteż żywimy pewną obawę, czy dodanie jeszcze kilku uwag i dopełnień nie będzie poczytane, za przesadny pedantyzm filologiczny. Upomnieć byśmy się jednak chcieli bodaj o dwie pominięte remarki autorskie, w ostatniej scenie IV aktu: Osip przyrządza swemu panu wygodne siedzenie. Horodniczy posłał Awdotię do składziku po najlepszy perski kobierzec: Osip: „Z tej strony... O tak... Jeszcze! Dobrze! W porządku! (Przyklepuje ręką kobierczyk). Niech jaśnie wielmożny pan teraz siada"...

Chlestakow wyjeżdża trójką. Akt zamyka uwaga: („Dzwoneczek dzwoni. Kurtyna opada"). Drobne te uwagi, na pozór bez znaczenia, świadczą jednak o niebywale wyczulonym zmyśle realizmu u Gogola, który nie zapomina o takich szczegółach nawet w partii dziejącej się w tym wypadku poza sceną. Brak nam też dwóch słów, tym razem z tekstu 15-tej sceny aktu czwartego. Chlestakow po błogosławieństwie Horodniczego całuje Marię. Horodniczy przeciera sobie oczy: „Całują się, narodzie patrz! Całują się! Prawdziwy narzeczony!" *(Tocznyj żenich!)*. Tego radosnego okrzyku nie można pozbawiać Horodniczego, który stwierdza nim, że dopiero w tym momencie uświadomił sobie, co zaszło i uwierzył w swoje rzekome szczęście. Dodajmy, że to „narodzie patrz" *(Ach, batiuszki)*, podobnie, jak w następnym zdaniu okrzyk: „Aj, horodniczeńku!" — znakomite, poszerzają wspomniane wyżej przykłady autonomii komizmu i inwencji tłumacza.

Poprawilibyśmy natomiast również parę drobiazgów: np. (III, 6): Chlestakow chwali się, że pisze pod pseudonimem barona Brambeusa: „Naturalnie. Ja im wszystkim poprawiam wiersze. Smirdin płaci mi za to 40 tysięcy". Powinno być jednakże: „Ja im wszystkim poprawiam artykuły", co zgodne będzie nie tylko z tekstem oryginału *(ja im wsiem poprawlaju stati)*, ale też z prawdą historyczną: A. W. Nikitienko zapisał w swoim dzienniku pod datą 10 stycznia 1834: „Na Sękowskiego (piszącego pod pseudonimem Brambeus) podniósł się straszny wrzask. Wszyscy współpracownicy Biblioteki (redagowanej przez niego) są okropnie wzburzeni. Rozeszła się pogłoska jakoby on przerabiał na swoją modłę artykuły nadsyłane mu do redakcji. Dzisiaj był u mnie Gogol-Janowski z wielkim na niego oburzeniem"... Temu oburzeniu i pogardzie dla Sękowskiego dał Gogol ostry wyraz również w liście do M. Pogodina z tego czasu.

W dalszym ciągu tej samej sceny Chlestakow się zapala: „Jak wbiegnę do siebie na czwarte piętro"... powinno być: „na trzecie piętro"... A dalej: „Nawet na pakietach piszą do mnie: „Jego ekscelencja"... Raczej: „na listach", lub: „adresują do mnie", gdyż „pakiet" posiada już inne znaczenie, wówczas zaś oznaczał złożony list bez koperty. Nieco dalej (sc. 10) Osip powiada: „...chociaż człowiek jestem służebny"... Zachowalibyśmy jednak jako atestat: „Chociaż jestem pańszczyźniany", jak tłumaczy Popławski *(kriepostnoj czełowiek)*... „A pieniądze w pięści, a cała pięść w ogniu", mówi na stronie sędzia stojąc przed Rewizorem (IV, 3). Nie będzie chyba o to sporu, że powinno być: „A pieniądze w garści, a cała garść w ogniu" *(A dien'gi w kułakie, da kułak — to wies' w ognie)*.

Posługuje się też czasem Tuwim paralelizmami etymologicznymi, przy czym zaniepokoić może użycie wyrazu „nosza“ w znaczeniu ciężaru *(Na pustoje briucho wsiakaja nosza każetsja tjażeła):* „Na pusty żołądek każda n o s z a ciężka“ (III, 4), mówi Osip. Mogłoby to wywoływać efekt komiczny, gdyby w świadomości dzisiejszego odbiorcy wyraz ten kojarzył się z taką treścią, jaką posiadał w dawnej polszczyźnie, w której oznaczał „ciążę“. W obecnej sytuacji jest tylko nieporozumieniem i kaprysem tłumacza. Pominąć już musimy przykłady kalki (np. „Może coś z garderoby puścić w obrót“, *Razwie iz płatja czto-nibud“ pustit‘ w oborot?* (II, 5), lub zbytniej dosłowności (np.: „Tak i obaj trafiliście palcem w niebo“, I, 2), *(Da, oba palcem w niebo popali!).*

Powyższe zbyt może drobiazgowe uwagi, dalekie zresztą od wyczerpania, nie mają bynajmniej na celu podważenia sławy Tuwima jako tłumacza, któremu zawdzięczamy przecież tak wiele kongenialnych transpozycji właśnie z literatury rosyjskiej. Są raczej wyrazem coraz powszechniej przejawiającego się wzrostu wymagań stawianych tłumaczom z obcych języków. Dzięki tej stałej trosce ogólny poziom powojennych przekładów, zwłaszcza klasyków rosyjskich, ogromnie się u nas poprawił. Długie dzieje polskich przekładów R e w i z o r a są pod tym względem znamienne i pouczające.*)

Piotr Grzegorczyk

---

*) W powyższym zwięzłym przeglądzie polskich R e w i z o r ó w pomijamy całkowicie jeszcze jeden przekład dokonany przez aktora. W lutym 1948 na scenach Bielska i Cieszyna wystawiono tę komedię według zapowiedzi afiszów w tłumaczeniu Stanisława Kwaskowskiego. Nie udało się nam jednak, pomimo starań, zdobyć tekstu tego przekładu, a tłumacz zawiadomił nas, że jedyny egzemplarz zaginął mu.

W Ś R Ó D K S I Ą Ż E K

BENEDYKT HERTZ: *Satyry 1919-1951.* Warszawa 1952, Czytelnik; str. 188.

Kawał historii — więcej niż ćwierć wieku — zawarł w swych S a t y r a c h Benedykt Hertz, zmarły niedawno nestor współczesnej satyry i bajki polskiej. Można śmiało powiedzieć, że jego żywy i twórczy do końca umysł sprostał każdej epoce i że ani razu — w najbardziej zawikłanych sytuacjach politycznych — nie zszedł na manowce, prowadziła go bowiem niezawodna miłość do człowieka i postępu oraz nienawiść do tyranów i niewoli.

Od najwcześniejszej młodości Hertz, wywodzący się z rodziny powstańców i sybiraków, którzy przechowywali pamięć o rozmowach ze Ściegiennym, szedł z nurtem polskiego ruchu narodowo-rewolucyjnego. Zdumiewa nas dziś i porywa stanowcza jedność myśli postępowej, tożsamość idei, która przyświecała twórczości Hertza w pierwszych, datowanych z roku 1919 utworach zawartych w omawianym tomie i kierowała jego walką z wrogami Polski Ludowej w utworach z lat 1945—1951. Dość będzie zestawić dwa wiersze z dwu końcowych lat, nad którymi rozpina się książka, aby ujrzeć żywą realizację tego zjawiska:

Rok 1919:

Obiegają wieści
  straszne ziemię całą:
Lenin sprawia lanie
  carskim generałom.

. . . . . .

Znikł dzielny von Liewen,
  Judenicz się cofa,
a i z Denikinem
  także katastrofa.
Bo gdzie tylko stanie,
  tam się naród burzy:
carosławnych rządów
  nie chce słuchać dłużej.

. . . . . .

Więc chodzą strapione
  N. D. dyplomaty;
z kim tu wejść w przymierze,
  gdy ślad ginie „taty"?

— Przyjaciele moi,
  pozbądźcie się troski!
Zawsze wam zostanie
  d u c h denikinowski.

Rok 1951:

Skoro się tylko dowiedziano w piekle,
jak podżegacze pracują zaciekle,
aby ludzkości nową sprawić łaźnię,
zawyły duchy...

. . . . . .

Natychmiast — Keitel łeb wysunął
  z kadzi
i rzekł: — Koledzy! przezorność mi
  radzi
życzyć faszystom wojny nazbyt
  bliskiej.
Choćby fabrykom armat dała zyski,
te Trumanowskie niby generały
dobre na giełdę, by tam wojowały.
Mała Korea nie szczędzi im lania.
Bez pruskich junkrów nie ma
  wojowania.
Trzeba zaczekać aż odżyje czerstwo
pruskie junkierstwo...

. . . . . .

...Dziś to dygnitarze,
przez cały Wall-Street szanowani
  wielce...

I bystrość widzenia, i bogactwo tematyki służy u Hertza potrzebom tego, co by można nazwać satyrycznym realizmem. Mało znalazłoby się wydarzeń czy zjawisk politycznych i społecznych,

których by nie uderzył rózgą swej krytyki, a już nigdy nie bywa tak, by jego dowcip nie trafił w sedno, był komicznym wymysłem dla wymysłu czyli kawałem. Dowcip Hertza przepojony jest zawsze troską o rzeczy ważne dla człowieka, zawsze lekko i mądrze służy sprawom doniosłym, a wyśmiewając to, co powinno być wyśmiane, kieruje się świadomym i nieustępliwym poczuciem moralnym.

Sam autor zresztą kompromituje owe rzekomo niewinne „kawalarstwo", kawały za wszelką cenę, służące zbyt często wstecznictwu i ciemnocie. Pisze:

D o w c i p y d u r n i ó w
nieraz, istotnie, dowcipne bywały.
Warszawa zawsze lubiła „kawały".
Lecz zręczny koncept, co wasz śmiech wywoła,
być też może wymysłem zręcznego matoła.
Dureń, co dziś ośmiesza murarza w spódnicy,
ongi Skłodowskiej bronił wstępu do wszechnicy.

Lista palących tematów epoki, którymi zajął się Hertz-satyryk, musiałaby objąć bodajże parę stron druku. Czytamy — żeby wymienić dane zjawiska w takiej kolejności, w jakiej występują w książce — tyrady satyryczne o rasizmie, bezrobociu i „okupacji endeckiej" w Polsce międzywojennej, fałszerstwie tradycji, chuligaństwie, sojuszu arystokracji niemieckiej z faszyzmem, wrześniu 1939, przewrotności urzędowych usług religii, Churchillu jako rzeczniku kapitalizmu, „wolności" w pojęciu emigrantów, niektórych słabościach naszego języka dziennikarskiego, Anglii stającej „w obronie hitlerii", dolarze, gestapowcach w USA, planie Marshalla, malkontencie z Ziem Odzyskanych, „szlaku emigracyjnym królów", sukcesji po Hitlerze przechodzącej na Eisenhowera, Watykanie stającym w obronie członków SS, „podżegaczu wojennym w tiarze" itd.

Satyra Hertza odznacza się tą świetną pełnością, że można z niej odczytać i historię, i to, o co walczyli i walczą ludzie dobrej woli. Satyra Hertza ściśle, poglądowo, pedagogicznie rozkłada blaski i cienie w świecie rzeczywistym, o którego poprawę walczy każdym swym słowem. Dobrze się stało, że książka ułożona jest chronologicznie, bo stanowi jak gdyby zbiór przejrzystych komentarzy do historii trzech z okładem dziesiątków lat.

Zaraz po wojnie widzimy Polskę magnatów przemysłowych i panów na włościach, paskarzy i sejmowładztwa, dalej przebłyska zamach majowy Piłsudskiego w wierszu o „królu", który nie uznaje wolnych wyborów i otacza się świtą milionerów, wreszcie Polskę coraz gwałtowniej staczającą się w przepaść faszyzmu, Polskę dętych haseł mocarstwowości, ucisku robotnika i chłopa, bezrobocia, przykręconej na głucho śruby podatkowej dla ludzi pracy, a specjalnych przywilejów dla obcego kapitału, w którego zyskach uczestniczą sanacyjni reżimowcy.

W roku 1939, zanim jeszcze pod ciosami najeźdźcy rozpadło się to państwo, Hertz pisał demaskując pseudopatriotyczną frazeologię roboczą burżuazji:

Gdy Lenin naród swój z letargu zbudził
więzienia ludów podważając gmach,
ławą ruszyli w świat caratu słudzy,
przed rewolucją wszędy budząc strach.

Gdziekolwiek naród prosty za broń chwytał,
by jarzmo zrzucić, wyprostować grzbiet,
świat feudałów i władczy kapitał
po bratnią pomoc na obczyznę szedł.

A choć graf gardzi językiem
krajowym,
ojczyzny nie ma żaden kartel, trust,
lecz gdy stosunków zmiany żąda
plebs,
broni tradycji — świętej —
„narodowej".

W nowy, powojenny okres historii wszedł Hertz z ostrym ładunkiem ideologicznym. W polu jego obstrzału znaleźli się wszyscy reprezentanci sił światowej reakcji, imperializmu i przemocy gospodarczej. Odnośnej krytyce poświęcona jest nieomal połowa książek, a w szczególności drobna fraszka odznacza się mądrą prostotą i celnością. Autor tak mówi na przykład o planie Marshalla w czterowierszu T a j e m n i c a datowanym z roku 1947:

Uradował się planem Marshalla świat
cały,
gdy USA Europie pomoc obiecały
Lecz obiecanka drobną kryje
tajemnicę:
ma pomóc Europie, czy też Ameryce?

Czasem osiąga we fraszce przejmujący efekt dramatyczny:

Wciąż stanowi dla świata
jeszcze tajemnicę,
co w Grecji bardziej skrzypi:
tron czy szubienice?

Bynajmniej nie będzie przesadą, gdy powiemy, że jasność wykładu satyrycznego święci u Hertza prawdziwe tryumfy. Wynika to niewątpliwie z faktu, że mamy do czynienia z człowiekiem zdecydowanym ideologicznie, pozbawionym jakiejkolwiek wewnętrznej chwiejności. Zmieniały się tylko wydarzenia, na które Hertz kierował swój reflektor demaskatora, zmieniali się tylko nosiciele ucisku i wstecznictwa, którzy szli pod jego skalpel. Jeżeli mimo podeszłego wieku rozkwitł na nowo w latach ostatnich, zawdzięcza to sile swego humanizmu, w imię którego zawsze walczyło jego wybitne pióro.

„Benedykt Hertz — mówi trafnie Jan Szeląg w swym dobrym wstępie biograficzno-krytycznym — miał lat 73, gdy kończyła się wojna, gdy utrwalała się w Polsce władza ludowa. Niektórzy młodsi o wiele od niego z trudem szukali drogi do nowej, wielkiej rzeczywistości Polski. Hertzowi drogę tę odnaleźć nie było trudno. Głęboki i szczery patriotyzm, nienawiść do burżuazji, nienawiść do zdrajców wyznaczała mu prostą drogę porozumienia z Polską Ludową..."

Tak, ten satyryk ma serce poety miłującego wolność, pokój i pracę. Dlatego jest nam bliski i pozostanie zawsze aktualny.

Adolf Sowiński

AJSCHYLOS: *Tragedie.* Przekład Stefana Srebrnego. Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 506.

Zagadnienie tłumaczeń z literatur starożytnych zasługuje na oddzielne studium. Nie wydaje się bowiem, jakoby można zachować tu zasady, obowiązujące w przekładach z klasyków nowożytnych, gdzie — dość często — stosuje się archaizację. Boy przełożył Rabelais stylem — mniej więcej — XVI-wiecznym; ale — dla pisarzy grecko-rzymskich — nie posiadamy odpowiedniej formacji językowej. Toteż tłumacze dzieł starożytnych nie mają jednolitej metody; na ogół dzieła prozaiczne oddają językiem współczesnym, poetyckie — mową możliwie najstarszą, a więc XVI-wieczną.

Co więcej, archaizacja w wersjach klasyków nowożytnych ma swe realne uzasadnienie: dzisiejszy Francuz odczuwa Rabelais jako pisarza archaicznego wprawdzie, ale swojego, i tłumacząc go na XVI-wieczny język polski tworzy-

my dopuszczalną fikcję, jakobyśmy i my posiadali własnego Rabelais. Dla dzisiejszego Greka natomiast Ajschylos jest autorem obcym, gdyż pisze w niezrozumiałym dlań języku. Za tym więc, aby klasyków starożytnych tłumaczyć mową umiarkowanie współczesną, z lekka tylko zaznaczającą dystans czasowy oryginału, a więc w praktyce — XIX-wieczną, przemawiają dwa względy: 1) brak odpowiedniej formacji językowej polskiej; 2) brak współczesnego czytelnika danej narodowości, który by odczuwał oryginał jako dzieło archaiczne. Do tych dwu przyczyn dołącza się jeszcze trzecia, bodaj czy nie najważniejsza: sprawa zrozumiałości. W istocie, jeśli przekład usiać rozmaitymi „skrzyżalami" — jak to czyni niekiedy prof. Srebrny w swym Ajschylosie — to powstaje pytanie, czy — miast kazać czytelnikowi sięgać raz po raz do Lindego — nie lepiej by go od razu nauczyć greki.

W praktyce wreszcie — konsekwentna stylizacja języka na wiek XVI jest nieprzeprowadzalna; jako rezultat otrzymujemy najczęściej stylistyczną mieszaninę, gdzie „nieskończone dale" i „rozchwiane topiele" (B ł a g a l n i c e, w. 1003, P e r s o w i e, w. 287) sąsiadują bok o bok z „wżdy" i „zawżdy".

Konsekwencją archaizacji języka jest u tłumacza antykwizacja formy wierszowej. Oto jak formułuje on swoje w tym względzie założenia:

„Będąc głęboko przekonany, że forma dźwiękowa, przede wszystkim rytmika, utworu poetyckiego jest jednym z podstawowych rysów, określających jego oblicze artystyczne, starałem się zbliżyć pod tym względem do form oryginału greckiego. Dlatego odrzuciłem rym, który zdaniem moim nie ułatwia czytelnikowi, jak sądzą przeważnie, percepcji dzieła starożytnego, ale przeciwnie wznosi między nim a obliczem artystycznym dodatkową przegrodę. Dlatego też uznałem za konieczne dążyć — o ile to jest oczywiście możliwe na gruncie innego języka i metryki o całkiem innych podstawach — do naśladowania rysunku rytmicznego oryginału, w sposób jednak daleki od rygoryzmu i rezygnując ze zbliżenia w wypadkach, gdy pociągnęłoby ono za sobą zbytnią sztuczność w toku i doborze wyrazów przekładu. Toteż główny wiersz dialogowy, trymetr jambiczny, oddaję zwykłym polskim trzynastozgłoskowcem... natomiast w partiach chóralnych, gdzie rytmika jest tak bogata i zmienna i tak wielkie posiada znaczenie w ekspresji oryginału... trzymałem się jej (tj. metryki starożytnej)..."

Założenia te (nie poparte zresztą argumentami, lecz podane do wiary jako „najgłębsze przekonanie") nie wydają mi się słuszne. Zachowywać wersyfikację oryginału, to ignorować prosty fakt, że wrażliwość artystyczna współczesnego czytelnika jest całkowicie odmienna od starożytnej. Zapewne, zadomowiły się u nas pewne metra greckie, jak np. heksametr; nie mniej dla partii chóralnych, pisanych wierszem wolnym i ściśle związanych z zupełnie dla nas niezrozumiałą muzyką starożytną, należałoby szukać odpowiedników w rodzimych miarach lirycznych; kto wie, czy — dla spotęgowania wrażenia — nie należałoby się właśnie uciec do pomocy rymu. I na nic się tu nie przyda twierdzenie, że — zachowując wersyfikację oryginału — postępujemy bardziej „historycznie". Jakiż bowiem w końcu cel przyświeca naszym historycznym i filologicznym studiom? Czyż nie ten, aby — przedarłszy się poprzez skorupę słówek czy metrów — odtworzyć w sobie odczuwanie starożytnego Greka, nauczyć się patrzeć na Ajschylosa jego spojrzeniem? Zachować niepolską wersyfikację, to mieszać metodę stu-

diów filologicznych z ich celem ostatecznym, to delektować się trudnościami nie dając czytelnikowi w zamian żadnej rekompensaty. Metoda historyczna polega na tym, że tłumacz ułatwia czytelnikowi zrozumienie odległych epok, nie zaś na tym, że podkreśla ich obcość; racja artystyczna idzie tu więc w parze z naukową. Trudność pracy tłumacza poetyckiego polega na tym, że przekłada on nie tylko z języka na język, ale i z wrażliwości na wrażliwość, z poetyki na poetykę.

Przyjrzyjmy się wynikom praktycznym, jakie dają wyłożone przez tłumacza we wstępie zasady teoretyczne. Oto np. dość duże partie chóralne zbudowane są z anapestów; aby zachować ich rytmiczny schemat (ssSssSssSssS) tłumacz musi każdy wiersz kończyć aż dwoma jednozgłoskowcami. Trudności, w jakie popadali tłumacze Oniegina, starający się zachować za wszelką cenę rymy męskie, niczym są wobec tych, z jakimi musi się borykać tłumacz Ajschylosa; jako rezultat tak olbrzymiego wysiłku otrzymujemy niezrozumiałą mieszaninę staropolszczyzny z młodopolszczyzną. Oto przykład:

Tak Atreja dwu synów — Spełniciel on, praw
pogwałconych gościny obrońca, na gród
Parysowy śle Zeus, wiele trudów i walk
— o niewiastę wszeteczną — i znojów, i nędz
— gdy w zapasach kolano ugina się w pył,
gdy oszczepów łamanych rozlega się trzask —
i Danajom śród klęsk,
i Trojanom gotując jednako...
(Orestei, w. 58—65)

albo

Dalej! Dalej! Na łódź!
Żywo! Co sił, co tchu!
Słyszysz? Hej! Targać, rwać
suknie, włos! Szarpać, kłuć!
Krew się poleje, krew! Głowę odrąbie miecz!
Żywo! Hej! Nędzny wasz los!
Nędzo ty! Precz! Na statek!
Krwawą zapędzę cię, krwawą na statek! Precz!
Ruszaj mi, ruszaj stąd!
(Błagalnice, w. 830—837 i 841 — 842)

Ajschylos znany jest wprawdzie w starożytności jako poeta trudny, pełen śmiałych obrazów i metaforycznych skrótów; niemniej niesposób sobie wyobrazić, aby jego chóry, przeznaczone— bądź co bądź — do śpiewania i słuchane na miejscu, bez uprzedniego filologicznego przygotowania, były dla ówczesnego odbiorcy aż tak niezrozumiałe, jakimi są w przekładzie prof. Srebrnego — dla dzisiejszego czytelnika. Zadanie tłumaczy utworów starożytnych polega także na tym, aby przekład połączyć z komentarzem, polszczyć nie tylko słowa i miary, lecz także — niekiedy i bez nadmiernej przesady — obrazy. Wysiłek prof. Srebrnego zdaje się jednak iść w kierunku wręcz odwrotnym. Jeśli np. przewodnik chóru na widok zbliżającej się królowej woła (Persowie w. 160—162):

Ale oto — patrzajcie — światłości tu zdrój
równej bogom przybywa...

to czyż — zamiast „zdroju równej bogom światłości" — nie należało by tu użyć całkowicie zrozumiałego tytułu królewskiego „Jej Boska Światłość"? Czyż — zamiast niezrozumiałego stwierdzenia, że „ludzka mieni się niedola mnóstwem barw" (Błagalnice w. 329), nie należałoby powiedzieć po prostu, że „rozmaite bywają nieszczęścia ludzkie"? A jakiż czytelnik zrozumie tak niewiarygodny volapück:

A których głąb ziemi kryje, bogom
rodzinnych stron, takoż niechaj wieczna
przypada cześć, ogni dym ofiarnych:

albowiem: „Czcij rodzice twe!“ —
na Prawdy to skrzyżalach — nic
nie skruszy ich! — ryte słowo trzecie.
(Błagalnice, w. 701—707)

co znaczy po prostu: „Niech się palą ognie ofiarne na cześć zmarłych praojców, którzy po śmierci stali się podziemnymi bogami, albowiem ustawy — oprócz czci dla bogów i dla praw — zawierają jeszcze przykazanie trzecie: „Czcij rodziców!“

Że winę ponoszą tu jedynie założenia teoretyczne, przyjęte przez tłumacza, świetnego przecież znawcę starożytności, świadczy fakt, że partie dialogowe, w których prof. Srebrny zrezygnował z zachowania starożytnych miar, zostały przełożone poprawnie, niekiedy zaś z dużym kunsztem.

Artur Sandauer

JADWIGA CHAMIEC: *Opowieść o Ludwiku Waryńskim*. Posłowie: dr Janusz Durko. Warszawa, 1952. Czytelnik; str. 297.

Opowieść o Ludwiku Waryńskim jest niewątpliwie pozycją bardzo cenną i poniekąd pionierską w naszym dorobku literackim dla młodzieży. Szczególnie korzystnie uwydatnia się w Opowieści o Ludwiku Waryńskim to, że wszędzie mamy przed sobą osobę żywą, że w opowieści tej nie ma ani cienia deklaratywności, odautorskich wtrętów, że przemawia tu całą swą wymową prawda historyczna i artystyczna, że bohater został mocno obsadzony w epoce, że wyrasta z niej i wyprzedza ją.

Autorka bardzo umiejętnie pokazuje, jak poprzez własne obserwacje, poprzez obcowanie ze służbą, a także podsłuchane rozmowy ojca z babcią Salomeą narasta w umyśle i uczuciach tego wybitnego młodzieńca bunt wobec zachowawczych feudalno - patriarchalnych stosunków na wsi, jak po przybyciu do Petersburga, gdzie poznaje już Marksa, rodzi się chęć i decyzja walki, świadomej walki z istniejącym ustrojem w imię prawdziwego wyzwolenia społecznego i politycznego. Walka ta prowadzi go do „wagonówki“, do „kas Oporu“, kółek, a wraz z narastaniem walki proletariackiej — do założenia pierwszej Partii Socjalno-Rewolucyjnej „Proletariat“. Oto jak kształtowała się świadomość ziemiańskiego syna, Ludwika Waryńskiego.

I ponieważ cała droga Waryńskiego — od majątku w Martynówce, gdzie dzieci przebywają pod opieką pani „Frufru“, do życia zwykłego robotnika, człowieka dzielącego trud, niedolę i walkę klasy robotniczej — wypływa w sposób naturalny z całego toku opowieści, jest psychologicznie umotywowana, ponieważ poszczególne etapy obrazujące wyrastanie bohatera zostały zbudowane na dokładnym znawstwie epoki, na trafnej selekcji faktów biograficzno-historycznych i podane zostały z ujmującą prostotą i plastyką — uważam, że książka ta jest znacznym dorobkiem naszej literatury młodzieżowej. Opowieść o Ludwiku Waryńskim Chamcowej czyta się ze wzruszeniem. Odpowiada ona tęsknotom naszej młodzieży za bohaterem pozytywnym, za bohaterem-wzorem, który by uczył ofiarności, patriotyzmu, służby wielkiej idei wyzwoleńczej, który by pokazał, jak trzeba żyć, a gdy zachodzi potrzeba — umierać dla wielkiej sprawy wyzwolenia ludu.

Najważniejsze etapy historyczne, jak powstanie styczniowe, „uwłaszczenie chłopów“, kapitalizacja Polski, a wraz z tym narastanie świadomości proletariatu — oto słupy graniczne w rozwoju teoretyka, organizatora i wodza pierwszej socjalistycznej, marksistowskiej partii Polski, oto kierunkowe, które wskazały cel i metody walki z ustrojem

carskim, z własną burżuazją, w imię rewolucji proletariackiej.

W powieści biograficznej dominuje często szkicowość, pobieżność w rysowaniu postaci, z którymi bohater powieści się styka. W ogólnych zarysach dotyczy to również Opowieści o Ludwiku Waryńskim; byłoby jednak rzeczą bardzo krzywdzącą dla autorki, jeślibyśmy nie zauważyli, jak plastycznie i wiernie, z jakim ciepłem serdecznym i wnikliwością pokazana została robotnicza rodzina Przęczaków (szczególnie Bronka), jak nakreślona została postać matki Waryńskiego czy przepiękna postać pierwszej polskiej rewolucjonistki, Płaskowickiej, czy wreszcie postaci robotnika Dulęby, Flisia, „Menia" i wielu innych współtowarzyszy walki. Świadczy to o tym, że Jadwiga Chamiec nie tylko ukazała czytelnikowi postaci i fakty historyczne, lecz żywe, przemawiające do naszych uczuć i wyobraźni środowisko, w którym się obracał, żył i dojrzewał organizator i wódz pierwszej w dziejach polskiego ruchu robotniczego partii socjalno-rewolucyjnej „Proletariat". Gdy się zważy, że obok obrazu Martynówki i Krzywca na Ukrainie mamy kapitalne obrazy Warszawy lat 70—80-tych, szczególnie obraz robotniczego Mariensztadtu i Powiśla, należy stwierdzić, że autorka ma szczególny dar plastycznego widzenia poprzez dokumenty, wnikania w epokę i ludzi.

W naszej literaturze, jak dotychczas, rodziny proletariackie są albo wyidealizowane, albo tak odrażające jak rodzina Ornochów w Lewantach. I dlatego z uczuciem szczerej wdzięczności dla autorki, witamy piękną galerię kobiet robotniczych, zadziorne Mańki, Bronki, sterane trudnym życiem i pracą kobiety, które godnie reprezentują to, co najpiękniejsze w narodzie, prostotę i czystość domu proletariackiego.

Jest rzeczą zrozumiałą, że autor zabierający się do pisania opowieści o postaci historycznej — w dodatku o postaci tej miary co Ludwik Waryński, któremu poświęcono dość obszerne prace historyczne — jest i w lepszym, i w trudniejszym położeniu, niż piszący na temat zupełnie nie przeorany. W danym wypadku obszerna praca historyczna Daniszewskiego służyła autorowi za kompas, wskazała najistotniejsze cechy epoki, charakterystykę akcji i walk podjętych przez powstający ruch robotniczy, na czele którego stał Waryński. A więc Jadwiga Chamiec miała pod tym względem start ułatwiony, ale znawstwo i bogactwo faktów historycznych, aczkolwiek nieodzowne dla wiernego zobrazowania epoki i ustawienia bohatera, są tylko cennym surowcem. By epokę ożywić, zobrazować, potrzebna jest bardzo rozległa wiedza pozahistoryczna, wiedza anegdotyczna, szczegóły najbardziej „prywatne". Inaczej nie można pokazać, jak wyrasta bohater, jak kształtowały się jego stosunki z ludźmi różnych środowisk. Tu dochodzimy do sprawy, według mnie węzłowej przy ocenie wartości artystycznej książki Jadwigi Chamiec. Sprawą tą jest ustalenie, jak dalece udało się autorce przetrawić artystycznie materiał historyczny i jak sobie radziła z materiałem (czy brakiem materiału) o charakterze anegdotycznym? Trzeba na tym miejscu podkreślić z naciskiem, że najmocniejsze, najbardziej wzruszające są te partie opowieści, gdzie autorka, znając epokę, operuje fikcją. I tak rozmowy z babką Salomeą, która wywarła tak wielki wpływ na kształtowanie się w umyśle młodego bohatera pierwszego odruchu buntu i potrzeby walki z niesprawiedliwością społeczną, ze stosunkami feudalnymi na wsi, rozmowa dwu wybitnych przedstawicieli narodu: pierwszej polskiej rewolucjonistki Płaskowickiej i przyszłego wodza proletariatu, Waryńskiego, scena, w której

Ludwik wyznaje ojcu, że nie ma zamiaru prowadzić życia posiadacza ziemskiego i decyduje się wyjechać do Warszawy, by tam pracować jako zwykły robotnik, poświęcić się walce o wyzwolenie ludu, rozmowa na Tamce z młodymi robotnicami, słowem te miejsca, gdzie autorka nie jest obarczona ścisłymi faktami historycznymi i gdzie wystarcza tylko znawstwo epoki — celują plastycznością, wzruszają wymową ukazanych faktów i sytuacji. Nie dziw więc, że do najbardziej celnych artystycznie należy część pierwsza, gdzie autorka kreśli lata młodzieńcze Waryńskiego do chwili uformowania się pod wpływem obcowania w Petersburgu z rosyjskimi studentami-rewolucjonistami i lektury Marksa, światopoglądu naukowego. O wiele słabiej wypada część druga, szczególnie te miejsca, gdzie autorkę zalewa obfitość materiału historycznego. Następuje tu osłabienie akcji, suchość relacji, operowanie dokumentem, komentowanie go i próba jego zbeletryzowania. Szkicowość można zauważyć zwłaszcza w tych partiach, gdzie autorka słabo zna miejsce, w którym akcja się odbywa. A więc jak najbardziej powierzchownie maluje nam Petersburg i środowisko studenckie, Puławy i Genewę, natomiast swobodnie czuje się na wsi, wśród chłopów ukraińskich, w Warszawie i na jej przedmieściach, w domach robotniczych i inteligenckich. Jednym słowem, gdy może puścić wodze fantazji, gdy zna dokładnie miejsce i otoczenie, wtedy obrazy są niezwykle piękne, barwne, tchną prawdą nie tylko autentycznych, z historii zaczerpniętych faktów, lecz prawdą przeżyć. Są niezmiernie sugestywne w opisie.

Opowieść o Ludwiku Waryńskim będzie czytana z wielkim zainteresowaniem przez naszą młodzież, która znajdzie w niej nie tylko wiele materiału poznawczego o ludziach, zmaganiach minionej epoki, ale znajdzie bohatera, od którego będzie się uczyła, jak kochać swój kraj, jak żyć, walczyć, z poświęceniem pracować dla Ojczyzny, dla dobra ludzkości.

Salomon Łastik

JERZY STAWIŃSKI: *Herkulesy*, Warszawa, 1953, Iskry; str. 331.

Dwie książki Jerzego Stawińskiego Światło we mgle (1952) i Herkulesy (1953) pozwalają na wyciągnięcie pewnych wniosków co do charakteru prób pisarskich młodego autora. Jeśli przyjąć nawet, że istotniejszym kryterium oceny debiutu jest to, co pisarz ma do powiedzenia, niż to, jak się w formach literackich wypowiedzieć potrafi, debiutu Stawińskiego wysoko ocenić się nie da. Wiedza o Polsce przedwojennej i o klęsce wrześniowej, którą autor chciał się w Świetle we mgle podzielić z czytelnikami, dałaby się zmieścić w okolicznościowym artykule publicystycznym, nie mającym zresztą aspiracji do odsłaniania nowych aspektów widzenia przypominanych w nim spraw.

Z książki wyraziście jak na dłoni wynika, że burżuazja polska paktowała z faszyzmem (przemysłowiec Rostkowski), że apolityczna inteligencja mieszczańska grzęzła w bagienku filisterstwa (urzędnik Najwyższej Izby Kontroli Łagoda), że w sanacyjnym wojsku byli uprzywilejowani (młody Rostkowski) i nieuprzywilejowani (podchorąży z chłopów, Wojek), że robotnicy nie zawsze mieli pracę, a zawsze cierpieli nędzę (robotnik Orłowski) i wreszcie, że komuniści siedzieli w więzieniu albo walczyli (nauczyciel Orłowskiego, Nowak). Bohaterowie służą autorowi jedynie do zilustrowania niewątpliwych zresztą diagnoz socjologicznych, podpartych poprawnymi z punktu widzenia autentyz-

mu, a bardzo banalnymi w efekcie literackim, opisami codzienności życia.

Powierzchowne ilustratorstwo i naturalistyczne, bo nieskondensowane w sugestywnych obrazach artystycznych opisywactwo realiów życia, szczególnie natarczywe w partiach powieści, poświęconych przedstawieniu klęski wrześniowej — to najbardziej zasadnicze grzechy Stawińskiego wobec realistycznego pisarstwa.

Lepiej od prób stworzenia scen bohaterskich wypadły Stawińskiemu niektóre ujęcia satyryczne, wśród nich na uwagę zasługuje dość dobra, ostra w swoim demaskatorstwie ograniczeń buntu wobec sanacyjnej rzeczywistości inteligenckiego liberała scena, gdy stary Łagoda, w którego sercu toczyła się „odwieczna walka miłości i obowiązku", bo synowi wypadało iść do szeregów, z niejaką satysfakcją (ma to posmak groteski) przyjmuje wybuch wojny, bo „może ta wojna wszystkim wstrząśnie i pomiesza tak, że on będzie mógł się wyzwolić z tego jarzma, które na starość coraz mu ciężej znieść..."

Druga książka Stawińskiego Herkulesy, mimo jej wszystkie słabe strony, dowodzi, że pisarz rozwija się. W porównaniu ze Światem we mgle Herkulesy są książką interesującą. Autor „puścił się" na mało wyzyskaną w literaturze problematykę awansu młodzieży robotniczo-chłopskiej w Polsce Ludowej. W Świetle we mgle trudno jest przy lekturze poszczególnych partii powieści uwolnić się od mimowolnych refleksji nad wtórnością spojrzenia Stawińskiego na określoną problematykę. Herkulesy wolne są od tej wtórności i jest to chyba najmocniejsza strona powieści.

Czołowy bohater Herkulesów Józek Gandera, chłopski syn, który już w Polsce Ludowej ukończył szkołę średnią i dostał się na studia medyczne w nowootwartej Akademii w Białymstoku jest jak najbardziej świeżym typem bohatera powieściowego. Obowiązkiem literatury naszej byłoby skwitować płomienne oskarżenia rzeczywistości kapitalistycznej, zawarte w losach takich bohaterów, jak chociażby Andrzej Radek z powieści Żeromskiego. Życie wiele problemów przeszłości rozwiązało, literatura rozwiązań tych nie ukazała. Nie widział ich w całej doniosłości Stawiński i dlatego powieść jego, mimo wszystko, jakże daleka jest od uchwycenia spraw najważniejszych. Szkoda bowiem wielka, ale jego bohater jest za głupi, ażeby udźwignąć ciężar stojącej przed pisarzem problematyki. Chodzi mi o to, że bohater prawdziwej realistycznej literatury jest zawsze człowiekiem większego kalibru. Wokulski to nie zwykły kupczyk warszawski, Cezary Baryka to nie zwykły inteligent swoich czasów, Szczęsny Bida to wcale nie przeciętny robotnik okresu dwudziestolecia. Józek Gandera przynajmniej w pierwszej części powieści nie tylko nie przerasta niczym przeciętnego studenta, ale wręcz przeciwnie, robi wrażenie bardzo przez naturę upośledzonego młodzieńca, którego gapiowatości w żadnym wypadku nie powinno tłumaczyć chłopskie pochodzenie. W Herkulesach prymitywizowanie, czasem demonizowanie (jak w wypadku dyktatorskiego działacza zetempowskiego Sapińskiego) postaci bohaterów wypływa z nieznajomości życia.

W białostockiej Akademii Medycznej, po wszystkich nie wiadomo czemu służących tarapatach z mylnie przesłaną opinią zetempowską, przed Józkiem Ganderą stanął problem być albo nie być, bo uwziął się na niego zdeklarowany czarny charakter — członek Zarządu Uczelnianego, Sapiński, co do którego czytelnik ma prawo przypuszczać, że jest, jeśli nie zamaskowanym sabotażystą, to przynajmniej łotrzykiem, ja-

kich mało. Do konfliktu, wynikającego ze skomplikowania końcówek w łacińskich nazwach kości ludzkich dołącza się więc konflikt niemal polityczny. Organizację zetempowską opanował bowiem człowiek, którego wszyscy nie znoszą, ale którego usunąć nie podobna. Biedny Gandera klnie w duszy, ale pisze na rozkaz Sapińskiego referaty jeden po drugim, nie zdając sobie sprawy z ich zastosowania, co nie jest wcale najgroźniejsze, bo czytelnik do końca powieści nie zdoła się domyślić, skąd Sapińskiemu przyszło na myśl gromadzić w szafach organizacyjnych Ganderowe elaboraty. Głupota Gandery i trochę małpia złośliwość Sapińskiego i wynikające stąd konflikty wypełniają obraz trudności, z jakimi się musiała borykać nowozałożona uczelnia.

Na szczęście świadomy zetempowiec i członek partii, Wiśniewski, zdemaskował Sapińskiego na zebraniu w obecności przedstawiciela Zarządu Wojewódzkiego. Autor postawił bohatera najpierw w kolizji ze środowiskiem rodzinnym w czasie ferii świątecznych, a później kazał mu się nieszczęśliwie zakochać w drobnomieszczańskiej gąsce. W postawieniu konfliktu miłosnego autor nie odstąpił od konsekwentnie choć nieświadomie — jak sądzę — realizowanej koncepcji głównego bohatera, jako dość wyjątkowego matołka. Specjalnego posmaku nabiera przecież żałosna, bo w zamierzeniu ironiczna i dowcipna apostrofa autora do swego bohatera, zaczynająca się od słów „Tak, matole, nie tylko ty idziesz naprzód" (str. 177). Ta protekcjonalność wynikająca z różnic wiedzy o życiu pisarza i jego bohatera, byłaby usprawiedliwiona, gdyby Józek Gandera miał być postacią humorystyczną, już w założeniu pisarskim nie traktowaną serio. Tak jednak nie jest. Stawiński podkreśla śmieszności Gandery w początkowych partiach powieści po to tylko, by wykazać, że oto młody człowiek, który z krowami więcej niż z ludźmi obcował, może studiować medycynę, a więc ma to pełnić wyraźną funkcję ideową. Autor popełnia przy tym śmieszności innego rodzaju, każe na przykład swemu bohaterowi, który ma bądź co bądź maturę, myśleć w taki oto sposób: „Musi nie dostanę się do tej Warszawy — powiedział sobie rozsądnie i począł informować się o inne akademie, gdzie mniejszy ponoć tłok" (str. 17). Gdy Józek Gandera zakochał się w córce białostockiego urzędnika i byłej sklepikarki, jedynym, niekompromitującym zetempowca rozwiązaniem sprawy byłoby albo starać się ją wychować, albo się odkochać. Stawiński nie skorzystał jednak z okazji upełnowartościowienia Gandery. Ładna blondynka najpierw uwiodła Ganderę, dając mu poznać smak rozkoszy miłosnych, a potem haniebnie „puściła kantem", zabierając się ni mniej ni więcej tylko do Sapińskiego, który po klęsce w organizacji najpierw uciekł z Akademii, a później okazał się niezupełnie zepsutym człowiekiem, wrócił i zachowywał się jak wzorowy zetempowiec. Gandera zaś pogrążył się w boleści, opisywanej z pełnym współczuciem dla młodego człowieka za pomocą zdań urywanych, mających odtwarzać wewnętrzne rozdarcie bohatera. Zrozpaczony Gandera znalazł się nawet w kościele i próbował się modlić. „Dziwne słowa, tak oderwane od rzeczywistości... Nie potrafi już ich powtarzać jak kiedyś, bez myśli. Słowa nie wystarczają. Zresztą, kogo błagać?... Nie ma takiej siły, która sprawi, żeby się odstało to, co się stało... Zegar znowu bije. Dziewiąta! Jak ten czas pomału leci! Łoskot. Zamykają bramę kościoła. Trzeba wyjść. Może to i lepiej. Był tu z Danusią... Odejść stąd, szybko!" (str. 233).

Przemiana moralna Sapińskiego, który w pierwszej części powieści upijał

się i sprowadzał kobiety do akademika, uniemożliwiła uwodzicielskie zapędy Danusi. To stało się też główną przesłanką późniejszej przyjaźni Gandery z Sapińskim. W ustawieniu postaci Sapińskiego chciał Stawiński zastosować tę metodę pisarską, która daje świetne rezultaty pod piórem Kazimierza Brandysa. Jego bohaterowie niekiedy jakby opalizują, tak jak polonista Działyniec z Obywateli, o którym przez długi czas nie wiadomo co sądzić. Prawdę o nim dawkuje bowiem Brandys w ten sposób, że czytelnik snuje rozmaite przypuszczenia, co do jego charakteru i za każdym przypuszczeniem przemawiają takie czy inne argumenty, w zależności od tego, z czyjego punktu widzenia czytelnik na Działyńca patrzy, ze strony młodzieży w szkole, ze strony przyjaciela Morawieckiego, czy ze strony jego własnych deklaracji. W Herkulesach wypadło to karykaturalnie. Sapiński oglądany oczyma Gandery i innych zetempowców w pierwszej części powieści robi wrażenie niemal kryminalisty, by później pokazany od wnętrza okazać się wartościowym człowiekiem. Motywacji realistycznej tej dwoistości brak.

Zarówno prymitywizacja Gandery jak demonizacja na niby Sapińskiego markują brak znajomości życia ze strony autora, co wykazywało wielu recenzentów książki przy analizie konkretnych sytuacji powieściowych. Przykłady można mnożyć. Dla orientacji podam jeden, nie wyzyskany w znanych mi omówieniach książki. Oto Józek Gandera po trzech miesiącach nauki przyjeżdża do rodzinnej wsi na święta i tu wszyscy uważają go za lekarza. Autor chyba dla pokazania, jak bardzo na wsi lekarze są potrzebni, każe zgłaszać się doń ludziom ze wsi z rozmaitymi dolegliwościami, na które Józek — rzecz zrozumiała — nie może nic pomóc, co według Stawińskiego wywołuje u poczciwych chłopów oznaki niezadowolenia. Gdyby autor miał odrobinę wyczucia, do jakiego stopnia nawet najbardziej zacofany chłop potrafi trzeźwo oceniać sytuację, kazałby swoim bohaterom zdrowo zakpić z „pana doktora", a nie proponować mu zajęcie się położniem. Wyobrażam sobie, że podrwiwano by z młodego człowieka wcale niewybrednie. Nie tylko obraz środowiska studenckiego jest więc w Herkulesach uproszczony, a właściwie unaiwniony. Przyczyna tkwi w fałszywej koncepcji autorskiej świata książkowego w ogóle, jako świata mniej skomplikowanego niż w rzeczywistości. Młodzież robotniczo-chłopska, której Polska Ludowa zapewniła dostęp do wszelkich skarbów ludzkiej kultury, nie pozna siebie w Józku Ganderze i to decyduje o tym, że książka Stawińskiego nie jest jeszcze książką udaną.

Wprawdzie nie Achillesową piętą, bo nie jedyną, ale za to największą słabością Herkulesów jest język: sztywny, urzędowy, czasami zbanalizowany, a zawsze bezbarwny. Studenci rozmawiają pomiędzy sobą jak podczas zeznań sądowych, nawet członkowie tej samej grupy po wielu miesiącach wspólnego życia mówią do siebie po nazwisku. Nawiasem mówiąc, Stawiński nie stroni od nazwisk nieprzyjemnych, wulgarnych (Wałach), jest to zresztą sprawa w naszej literaturze ogólniejsza. Pisarze nie przywiązują wagi do wyboru nazwisk dla swoich bohaterów, a 'est to stanowisko jak najbardziej obce wielkiej tradycji literackiej. W książce Stawińskiego nazwiska odmienione we wszystkich przypadkach w każdym niemal dialogu szczególnie rzucają się w oczy. Z bogactwa mowy potocznej studentów przyswoił Stawiński swojej książce jedynie pewne akcenty trywialności. „A ta głupia krowa Wolańska, myśli, że to na serio, i o mało nie umrze ze szczęścia" (str. 127).

„— Bo on używa jednego sposobu, jak byk — powiedział Dietrich". (mowa o sposobach uwodzenia dziewcząt). Stylizacja gwarowa wygląda w Herkulesach jak w cytowanym już zdaniu: („Musi nie dostanę się do tej Warszawy"). W opisach podkreśla autor drażniącą pobudliwość swoich bohaterów. Dotyczy to nie tylko Gandery, którego kiwnięcie palcem wprawia w stan szczęścia lub głębokiej rozterki. Nawet Wiśniewski przy zwykłej obserwacji Sapińskiego roi sobie zupełnie fizyczne niebezpieczeństwo. „Źrenice Sapińskiego zwęziły się: słuchał z rozchylonymi wargami. Wiśniewski zauważył dopiero teraz, że ma ładne, zdrowe zęby. Chciałby pewno pogryźć Wiśniewskiego" (str. 90). Ambicją autora powinno być solidniejsze opracowywanie tekstu. Drobne przeoczenia nie przesłaniałyby wtedy nawet udanych fragmentów książki, do których z całą pewnością zaliczyć by trzeba końcową część Herkulesów, gdy Józek Gandera po smutnych doświadczeniach miłosnych wydoroślał i spoważniał. Znalazły wtedy odbicie realne konflikty życia studenckiego, realne zagadnienia walki o socjalistyczną świadomość młodzieży. Następne, już prawdziwe Herkulesy powinny tę walkę ukazać w całej pełni i w całej doniosłości.

Henryk Bereza

FRANCISZEK FENIKOWSKI: *Pierścień z łabędziem;* Warszawa, 1952; Czytelnik; str. 160.

30 marca br., w ósmą rocznicę wyzwolenia Gdańska, na uroczystej sesji Miejskiej Rady Narodowej, odbyło się wręczenie nagród artystycznych i naukowych, przyznanych pisarzom i naukowcom poświęcającym się tematyce morskiej i historii polskiego wybrzeża. Nagrodę literacką otrzymał Franciszek Fenikowski, autor trzech tomików poezji, licznych reportaży o tematyce morskiej, powieści pt. Zakręt pięciu gwiazdków (omówionej w nr 12 Twórczości z roku 1952) oraz wydanej ostatnio opowieści o Janie z Kolna pt. Pierścień z łabędziem. Nagroda ta — jak podkreślono — była wyrazem uznania dla pisarza, który całą dotychczasową twórczość poświęcił Gdańskowi i polskiemu morzu. Dodać warto, że niedługo ukazać się mają nowe książki Fenikowskiego: tom reportaży pt. Przymorze i powieść historyczna z czasów Mieszka I przedstawiająca walkę młodego państwa o przyłączenie całego obszaru Pomorza do Polski.

Opowieść Fenikowskiego o Janie z Kolna, zatytułowana Pierścień z łabędziem przeznaczona jest dla starszej młodzieży. Jan z Kolna, z łacińska zwany Scolnusem, to postać na poły historyczna, na poły legendarna. Hiszpan Gomara opisując w roku 1553 zamorską krainę Labrador notował, iż byli tam niegdyś „mężowie z Norwegii z pilotem Janem Scolno". Czterdzieści sześć lat potem uczony Korneliusz Wytfliet, z miasta Lowanium, pisał w dziele naukowym pt. Desexiptionis Ptolomaice Augmentum, że „Jan Scolnus, Polak, w roku 1476 żeglując wzdłuż Norwegii, Grenlandii i Trislandii wpłynął na północne morza i dotarł do ziemi Labratoris i Estotilandii", lądów dotąd nieznanych. O „Polaku w służbie króla duńskiego", Janie Scolnusie, wspominają poza tym Niderlandczyk Jerzy Horn (1671) oraz Francuz Bellefors (1750). Tylko w Polsce przez długi czas głucho było o Janie, żeglarzu króla Chrystiana. Dopiero Joachim Lelewel, wydobywszy ze starych pergaminów Duńczyka Pontanusa (XVI w.), z ksiąg Gomary, Wytflieta i Horna wieść o Polaku, który na 20 lat przed Kolumbem dotknął stopą ziemi amerykańskiej, przypomniał rodakom

imię śmiałego odkrywcy. Ale późniejsi historycy nie zawsze zgadzali się ze zdaniem wielkiego dziejopisa. Kiedy wreszcie historia, stwierdziwszy, że niedostateczne dane źródłowe nie pozwalają wyjaśnić tej sprawy, przestała się nią interesować — imię Jana z Kolna przejęła ze starych kronik legenda. Opowieść Franciszka Fenikowskiego jest próbą ukazania legendarnego żeglarza dzisiejszemu czytelnikowi. Szczupłość danych historycznych pozwoliła autorowi na dużą swobodę w przedstawieniu postaci i losów Jana z Kolna, ale nałożyła na niego jednocześnie obowiązek zaludnienia pustki otaczającej polskiego żeglarza. Fenikowski poprzez solidne studia historyczne starał się zebrać materiał do realistycznego podbudowania akcji i starał się pokazać swego bohatera na możliwie najwierniejszym tle historycznym i w jak najściślejszym związku z epoką. Udało mu się to w dużym stopniu: ze wszystkich szczegółów, jak też i z ogólnej wymowy książki, przebija solidna wiedza historyczna pisarza.

Tak więc skąpe dane historyczne plus rzetelnie wypracowane tło złożyły się na podstawę, na której Fenikowski skonstruował interpretację losów Jana z Kolna. Założył słusznie, że „i legenda może stać się prawdą, jeśli wyraża najgłębsze tęsknoty i dążenia ludu, który ją stworzył". Autor przede wszystkim postawił sobie pytanie: co pchnęło Scolnusa w lodowatą pustkę oceanu, poza Islandię, zwaną od starożytności *Ultima Thule* (kres świata), gdzie jak mniemano mieszały się żywioły: woda, ogień, ziemia, powietrze, tworząc groźne *mare concretum* — morze lodowate. Scolnusa wysyła król duński Chrystian I, „król Danii, monarcha Norwegii i Szwecji, władca Szlezwiku i Holsztyna, pan Gotów, Estów i Wandalów", wysyła w nadziei, że śmiały żeglarz przywiezie mu z wyprawy złoto, podobnie jak żeglarze portugalscy płynąc na południe zwozili bogactwa swemu władcy. Ale sam Scolnus udaje się na wyprawę kierowany innymi impulsami: ten — w interpretacji Fenikowskiego — syn kaszubskiego chłopa pańszczyźnianego, człowiek wyrosły w ciężkiej szkole morskiej, znany kaper wreszcie, wygnany z Gdańska przez radę za to, że głosił, iż Ziemia jest okrągła i kształtem przypomina jabłko, jedzie na swym statku w mroczny, nieznany świat, za świetlistą bramę polarnej zorzy, bowiem „marzyło mu się, że tam na północy, pod polarną gwiazdą, musi istnieć ziemia wolna, nie znająca ucisku dziedzica nad chłopem, a pana i mnichów nad miejskim rzemieślnikiem..." Ta podstawowa teza przeprowadzona jest konsekwentnie przez całą akcję książki, kończącej się piękną i wymowną sceną, w której Jan z Kolna dotarłszy do brzegów Ameryki zrywa z palca królewski pierścień z łabędziem i rzuca go w pieniste bełty morskie, mówiąc: „Ja nie dla króla tum płynął, jeno dla prawdy, prawdy, która prędzej czy później zwycięży, która jako śmierć pewna jest i nieunikniona..."

Nowa książka Fenikowskiego stanowi duży krok naprzód na drodze rozwoju tego pisarza jako prozaika. Postać polskiego żeglarza, okrytego mrokiem dziejów, który pierwszy od czasów Wikingów (Wikingowie w X wieku docierali do tajemniczego Winlandu), dotarł do Ameryki; któremu ptak wyrzezany na otrzymanym z rąk króla pierścieniu z łabędziem, z rozpiętymi do lotu skrzydłami, „przypomniał łabędzie z puckiego wiku, dzikie łabędzie, dążące z każdą wiosną niepowstrzymanie na północ i utwierdzał w mniemaniu, że na północy były nie tylko lody; tam musiało być także życie i wolność" — postać jego jest zarysowana ciekawie, ciepło i przekonująco. Pięknie również wypadły sceny z Gdańska i ziemi pomorskiej:

rzetelnie uchwycony koloryt przepojony jest tutaj niezafałszowanym poetyckim polotem. Fenikowski czuje piękno polskiego wybrzeża i ziemi pomorskiej i umie dla swych odczuć znaleźć rzetelne środki wyrazu.

W sumie stwierdzić należy, że ciekawa interpretacja postaci Jana z Kolna, poparta solidną wiedzą historyczną autora — złożyły się na dobrą książkę przeznaczoną dla młodego czytelnika.

Ludwik Grzeniewski

WŁADYSŁAW MACHEJEK: *Szkice z bojów*, Warszawa, 1952, Ministerstwo Obrony Narodowej, str. 179.

Książka Władysława Machejka mieści w sobie trzy utwory słusznie przez autora nazwane szkicami. Utwory te pokazują walkę partii, walkę komunistów na przestrzeni lat 1939 — 1945. Jak pisze w przedmowie autor, fakty te nie są fikcją literacką. Są wspomnieniami uczestnika autentycznych wypadków, rodzajem beletryzowanego pamiętnika.

Bohaterem opowiadań jest z reguły typ partyjniaka-bojowca, partyjniaka-aktywisty, wysuniętego zawsze na trudne i najtrudniejsze stanowiska frontu klasowego.

Opowiadanie K o ń mówi o jednej z wielu dróg walki młodzieży z KZMP przed i po wrześniu 1939. Naczelnikiem opisywanego w utworze więzienia jest członek PPS. Nic bardziej dobitnie nie ukazywało istotnej roli kierownictwa tej partii. Życiowe drogi więzionych towarzyszy zostają tutaj ciekawie zestawione z drogami ich więziennych oprawców. Janek Kurpiel, bohater opowiadania, spotykać będzie zawsze na swej drodze walki charakterystyczną postać jednego ze strażników nazwanego „Koniem". Kiedy starał się będzie dostać do wojska walczącego z armią hitlerowską, „Koń" uniemożliwi mu to, oskarżając go wobec oficera o komunizm. A później? Droga Janka biegnie poprzez różne niejasne ideologicznie grupy partyzanckie do Gwardii Ludowej i AL. I tu bohater spotyka ponownie „Konia". Dawny strażnik więzienia dla komunistów będzie teraz agentem dywersji usiłującej sparaliżować aktywność bojową grup partyzanckich, będzie zakonspirowanym pomocnikiem Gestapo.

Przeciwstawiając sobie kilkakrotnie te same postaci Machejek pokazuje, że walka lewicy polskiej przed wojną i partyzantka w czasie okupacji były tą samą walką klasową z rodzimym i międzynarodowym kapitałem. „Koń" działa przecież w czasie okupacji w interesie pana Rapackiego, właściciela fabryki. Tylko formy walki zmieniały się, stosownie do warunków historycznych. Wróg był ten sam — ci sami ludzie stawali po przeciwnej stronie barykady. Tylko okres wrześniowej tułaczki ustawi przeciwników w podobnej sytuacji, ale i wtedy różnice politycznego światopoglądu szybko doprowadzą do spięcia.

Fragmenty pamiętnika S z k i c e z b o j ó w pokazują partię w warunkach walki partyzanckiej, pokazują „chłopców z lasu". Jest to tytuł poprzedniej książki Władysława Machejka, z której autor zaczerpnął zresztą wiele sytuacji fabularnych. W obrazie tej walki autor specjalnie dużo wagi poświęca pokazaniu jej wyjątkowych trudności i niebezpieczeństw.

Dramatyczność walki klasowej w warunkach partyzanckich jest szczególnie gwałtowna. Uporczywa i trudna walka z okupantem nie jest bowiem jedyną, toczoną przez ludową partyzantkę. Równie niebezpieczne jak działalność wojska i policji są przeróżnego rodzaju akcje reakcyjnego podziemia, powiązanego skomplikowanymi nićmi z okupantami. Od prowokatora, który nasła-

ny do kryjówki partyzantów podstępnie wrzuca do niej granat — do otwartej walki z tzw. „góralską dywizją", utworzoną z degeneratów z góralszczyzny dla walk z lewicowym podziemiem — metody reakcji były przebiegłe i perfidne i szczególnej wymagały czujności. Siłami swoimi partyzanci nie mogli mierzyć się z przeciwnikiem. Tylko metodami unikania bezpośredniego starcia, metodami zapadania w las, lub w swojskie wsie, mogli partyzanci uchronić swój oddziałek, mogli uratować go dla następnej akcji.

Trudna, wymagająca ciągłej baczności sytuacja sprzyjała szybkiemu dojrzewaniu ludzi, stawała się twardą szkołą rewolucjonizmu. Oddział, którego dzieje autor opisuje, składał się w zasadzie z chłopów, kontakt z robotnikami był utrudniony, dlatego nieraz udaje się rodzimej reakcji zaskoczyć niewyrobioną politycznie grupę. Nie zawsze ludzie jej umieją odróżnić szczerego sojusznika od zamaskowanego prowokatora, dopiero niepowodzenia zmuszają komendanta do wzmożenia ideologicznej czujności. Także kontakt partyzantów z dowództwem wiele, zwłaszcza w początkowym okresie istnienia grupy, pozostawia do życzenia. Dopiero rozwój ruchu podziemnego, skupienie oddanych ludzi, poczucie oparcia na wsi, wzmacnia partyzantkę. Przestaje być ona szeregiem luźnych oddziałów, staje się celowo organizowaną Armią Ludową.

Ostatnie opowiadanie N a k r a ń c u najbogatsze jest w wartości poznawcze. Jest to pamiętnik sekretarza Komitetu Powiatowego PPR w Nowym Targu, w okresie od lutego do sierpnia 1945. O ile w poprzednich szkicach autor nie wykraczał poza rysunek środowiska: grupy partyjnej walczącej w konspiracji, a więc w ukryciu, w pewnej — dyktowanej względami bezpieczeństwa — izolacji społecznej, o tyle szkic N a k r a ń c u z racji tego, że opowiadająca postać stoi w centrum walki klasowej, pokazuje wszystkie podstawowe konflikty polityczne tych lat w warunkach prowincjonalnych.

Walka o utrwalenie i umocnienie władzy przez partię klasy robotniczej miała w Nowym Targu przebieg szczególnie dramatyczny wskutek skupienia się w tych okolicach silnych band dywersyjnych. Teren pozbawiony skupisk przemysłowych, zamieszkały przez etnograficznie mieszaną i na ogół zacofaną ludność góralską był podatny na ideologiczne wpływy dywersji, trudności komunikacyjne osłabiały operatywność tworzących się organów władzy ludowej. Zasadnicza trudność, która stoi przed młodym, niedoświadczonym sekretarzem — to sprawa wynalezienia i skupienia wokół partii grupy oddanych ludzi, stanowiącej trzon kierowniczy organizującego się powiatu. W miarę wciągania do pracy ludzi, w miarę uruchamiania normalnych stosunków w powiecie front walki klasowej ustawicznie się przesuwa. Sekretarz ciągle mieć się musi na baczności, ciągle grozi mu zaskoczenie z niespodziewanej strony. Niewątpliwą zaletą obrazu sytuacji politycznej w pamiętniku jest ukazanie całego skomplikowanego modelu grup i postaw politycznych. Pojawi się tu szef bandy dywersyjnej, jawny wróg władzy ludowej. Machejek pokazuje, jak rozsadzana od wewnątrz i od zewnątrz banda chwyta się otwarcie bandyckich metod działania, jak wroga postawa wobec władzy ludowej prowadzi ludzi „Ognia" do całkowitej demoralizacji.

Ale podziemie — to nie jedyny wróg partii. Widmo parcelacji powoduje, że obszarnicy i ludzie z nimi związani zaczynają walczyć innymi metodami. Oto w pewnej chwili okazuje się, że parcelacja utknęła na martwym punkcie wskutek polityki zjednanego sobie przez obszarników urzędnika. Na wsi, wśród

chłopów, dopiero drogą uporczywej akcji organizacyjno-agitacyjnej partia zyskuje sobie trwałe oparcie. A w mieście? Kapitalna jest postać Drewniaka, szefa miejscowego komitetu PPS, prowadzącego wykrętną politykę i ustępującego dopiero pod presją mas robotniczych. Wreszcie cenne są obrazy ludzi uczciwych, ale niezdecydowanych, zagubionych politycznie, którzy dopiero w toku trwającej walki orientują się, kto w rzeczywistości broni interesów pracującej ludności. Pamiętnik jest opowieścią o utrwaleniu władzy ludowej, wycinkiem historii dojrzewania mas tego odciętego przez góry, zastraszonego przez „Ognia" powiatu.

Pamiętnik ten — to materiał na wielką powieść polityczną o latach przełomowych, o trudnym okresie wyzwolenia. Na razie uszeregowano tu tylko fakty, stworzono pewne ramy akcji, zarysowano postaci. Autor podobno nosi się z zamiarem artystycznego opracowania pamiętnika, stworzenia z niego powieści. Zamiar jak najbardziej słuszny — materiały pamiętnika same taki projekt sugerują.

Wszędzie tu mamy do czynienia z obfitością akcji, obfitością wydarzeń, czy to w więzieniu czy w partyzantce dzieje się masa rzeczy, ale ludzie, indywidualności ludzkie giną w tej obfitości. Zarzut ten odnieść należy zwłaszcza do pamiętnika S z k i c e z b o j ó w, w którym postaci przewijają się jak w kalejdoskopie nie pozostawiając po sobie żadnego wspomnienia. I stąd wynika brak kompozycyjnej zwartości utworów, które rozpadają się w lekturze na szereg oddzielnych scen.

Machejek często zdaje się ulegać sile wspomnień, nie bacząc, że nowowprowadzone wątki i wydarzenia rozbijają często i zamazują główny nurt wydarzeń. Jeśli zatem na czoło S z k i c ó w wysuwamy pamiętnik N a k r a ń c u, to dlatego właśnie, że tu większa niż w innych opowiadaniach zawartość poznawcza wiąże się jednocześnie z większą, chociaż jeszcze nie wystarczającą, starannością pokazania czytelnikowi poprzez wydarzenia — człowieka.

Włodzimierz Maciąg

T E A T R

W SPRAWIE ZEMSTY

Fredro jest podstawową pozycją naszego klasycznego repertuaru komediowego. Komedie Fredrowskie zyskały w ostatnich latach nowe perspektywy społecznego oddziaływania. O popularności Fredry w Polsce Ludowej słusznie pisze Bohdan Korzeniewski: „można powiedzieć bez cienia przesady, że nigdy dotychczas (...) nie cieszył się tak wielkim zainteresowaniem, nie miał tak licznych i tak życzliwych widzów".

Ważne, ilu widzów ogląda Fredrę, nie mniej ważne, j a k i e g o Fredrę pokazujemy. Przez lat mniej więcej 70 komediopisarska puścizna po wielkim artyście „cieszyła się" oficjalnym protektoratem polskiej klasy posiadającej. Jej ideologowie przykrawali Fredrę na swój użytek w szkole i teatrze, zacierali krytyczne, realistyczne elementy dzieła Fredrowskiego, sztucznie rozdmuchiwali cechy tradycjonalistyczne, konserwatywne. Zmyślono takie „staroszlacheckie cnoty" Fredry, jakich on jako żywo nigdy nie miał.

Ze złą tradycją trzeba walczyć — tak samo, jak z dobrej należy się uczyć. Przy Fredrze to sprawa dosyć skomplikowana: mieliśmy wiele wspaniałych kreacji ról fredrowskich, pokolenia najlepszych polskich artystów tworzyły do dzisiaj żywe w tradycji teatralnej postacie Milczków, Rejentów, Gustawów, Twardoszów... Bardzo dobrze, że tradycje mistrzów sceny w rolach Fredry żyją w naszym aktorstwie — gorzej, gdy tradycja, a często już tylko legenda wielkich ról, wiąże się najniesłuszniej z „tradycją" złych przedstawień, wywodzącą się przede wszystkim z 20-lecia międzywojennego. Zdarza się, że fredrowski gest mistrza-realisty z zeszłego wieku przetrwał do naszych czasów w formie bezdusznej, konwencjonalnej „gierki". Kto miał obecnie coś wspólnego z realizacją sceniczną jakiejkolwiek komedii Fredry, ten wie, ile oporu, często nieuświadomionego nawet, potrafi stawiać zła, bezduszna tradycja, fałszywe stylizatorstwo teatru burżuazyjnego.

Oceniając udział komedii Fredry w kształtowaniu nowego repertuaru naszego teatru po 1944, nie wolno optymistycznie poprzestać na wysokich wskaźnikach cyfrowych. Miliony widzów widziały setki inscenizacji — w większości nie były to widowiska pełnowartościowe. Pochopnie użyłem tu czasu przeszłego. I teraz zdarza się często, że po obejrzeniu przedstawienia chciałoby się reżysera zapytać: „komu ty jedziesz?" jakie twórcze zadania postawiłeś zespołowi? co właściwie sztuka dała widzowi? Pytania są w takim wypadku retorycznym luksusem, wiemy, by użyć znowu słów poety, że w wielu wypadkach żadna „portowa wieża" nie „świeciła" realizatorom. Jakże często popularność Fredry bywa nadużywana właśnie dla „zapychania" planu.

Za każdym razem, gdy braknie poważnych ambicji twórczych, gdy nie ma prób nowego odczytania tekstu — widzimy mechaniczną kliszę Fredry z teatru burżuazyjnego, komediową umowność wypierającą społeczną trafność jego krytyki, abstrakcyjny, konwencjonalny „styl" zastępujący soczysty i bogaty w materialną konkretność realizm pisarza.

Mimo ogromnej i wciąż rosnącej popularności Fredry mało mamy dobrych, realistycznych przedstawień jego komedii. „Jesteśmy ledwie w początku tej drogi — pisze Korzeniewski — która wprowadzi naszego największego pisarza dramatycznego do teatru, walczącego o pełną i dojrzałą świadomość ludzi budujących socjalizm."

W pracy nad nową interpretacją sceniczną Fredry mamy za sobą doświadczenia nielicznych jeszcze, ale wybitnych realizacji, jak warszawska inscenizacja Męża i żony, wrocławskie Śluby panieńskie, stalinogrodzkie Dożywocie i garść innych. Zemsta w Teatrze Narodowym jest ważnym etapem rozwojowym w narastaniu tego doświadczenia. Widowisko starannie przygotowywano, oparto je na czytelnych założeniach koncepcyjnych. Naczelną zaletą inscenizacji warszawskiej jest świadome i ostre przeciwstawienie się „złej tradycji" Zemsty. Bohdan Korzeniewski i kierowany przez niego zespół twórców warszawskiego przedstawienia podjął próbę przezwyciężenia narosłych dookoła sztuki konwencji i fałszów interpretacyjnych, podjął próbę nowego, realistycznego odczytania tekstu, próbę nowego rozwiązania scenicznego. W trudnej pracy nad nowatorską realizacją sceniczną arcydzieła naszej komediowej klasyki nie obyło się bez błędów — obok koncepcji dojrzałych są rozwiązania budzące zastrzeżenia, rozwiązania dyskusyjne. Nad niektórymi z nich chciałbym się zastanowić.

*

Realizację Zemsty w Teatrze Narodowym poprzedziła poważna praca teoretyczna. Sygnałem zagadnień, jakie w tej pracy nurtowały reżysera, jest jego interesujący artykuł Walka o Fredrę, pomieszczony w programie teatralnym sztuki. Nie mam tu zamiaru dłużej polemizować z pewną sumą fałszywych sądów historycznych, jakie się znalazły w tym artykule. Oczywiste jest bowiem, że w czasach pisania Zemsty „feudalni ziemianie" nie byli „zagrożeni przez radykalizmy mas szlacheckich", nie był to też okres „pogłębiających się przeciwieństw między feudalnym ziemiaństwem, rosnącą w siłę burżuazją i radykalizującą się drobną szlachtą". Był to okres, w którym obszarnictwo polskie wchodziło na drogę reformistycznej, odgórnej kapitalizacji (tak zwana „pruska droga do kapitalizmu"), nie wpadało w „przeciwieństwa" z „rosnącą w siłę burżuazją", ale kapitalizując się wchodziło już wówczas z nią w sojusz klasowy. Zjawisko to w latach Zemsty dlatego nie występowało tak jaskrawo jak po 1870-ym, ponieważ udział burżuazji handlowej i przemysłowej w owym sojuszu, tak jak i w ogólnym obrocie towarowym na ziemiach polskich, był nikły. Czas też skończyć z mitem „radykalnej drobnej szlachty", z legendą o jej szczególnej roli w naszych dziejach: jako klasa samodzielna drobna szlachta już wówczas właściwie nie istniała, deklasowała się, spadała do ekonomicznego poziomu wolnych chłopów, pochłaniał ją folwark obszarniczy. Z faktu, iż wielu rewolucyjnych działaczy burżuazyjno-demokratycznych wywodziło się z drobnej szlachty (należąc już z reguły do inteligencji miejskiej nie należy wyciągać socjologistycznych i fantastycznych sądów o „radykalizmach mas szlacheckich". Trzeba natomiast starannie odróżniać tendencje burżuazyjno-demokratyczne, rewolucyjne i narodowo-wyzwoleńcze, wyrastające na fali żywiołowych ruchów chłopskich, plebsu miejskiego — od tendencji liberalno-burżuazyjnych, ugodowych, reformistycznych, którym hołdował i Czartoryski na emigracji, i „rosnąca w siłę burżuazja", i większość kapitalizującego się na drodze pruskiej obszarnictwa. Ale skończmy z dygresją historyczną.

W artykule Bohdana Korzeniewskiego jest cenna polemika z fredrologią starą i dzisiejszą. Przypomina Korzeniewski, jak atakowano Fredrę za drwiny z przeszłości szlacheckiej i jak to się stało, iż jego dzieło objęło patronat nad rodzącym się burżuazyjnym nacjonalizmem (a z kolei burżuazyjny nacjonalizm wziął w pacht Fredrę). Wskazuje, do jakich zwyrodnień interpretacyjnych dochodziła krytyka i praktyka teatralna 20-lecia międzywojennego, o ile idzie o wypaczanie realizmu fredrowskiego. Trzeba było odwagi i śmiałości polemicznej Boya, by obalić kunsztownie budowany gmach pseudonaukowej fredrologii. Oddając pełną sprawiedliwość odkryciom Boya, którego analiza Zemsty jest do dziś trwałą podstawą naszych interpretacji, Korzeniewski dodaje, iż Boy „znakomicie władający bronią krytyczną, nie był równie mocny w stronie pozytywnej zagadnienia". Uwaga trafna, gdyż wielki i szczery zachwyt Boya nad pięknem poezji Fredry nie mówił jeszcze nic o istocie realizmu pisarza, wprowadzał element wartościowania formalistycznego. Następny etap rozumowania Korzeniewskiego, to krytyka popularnego ostatnio w marksistowskim literaturoznawstwie sądu o zasadniczej różnicy między ideologią Fredry i realizmem jego utworów. Fredro-ideolog jest wedle tej interpretacji wsteczny, jego realistyczna krytyka przerasta jego świato-

pogląd, jest z nim sprzeczna. Moim zdaniem, Korzeniewski ma w pełni rację, gdy wskazuje, że tak daleko idącego rozdziału świadomości artysty nie było i być nie mogło.

Fredro nie solidaryzował się z tępotą zaścianka staroszlacheckiego, nie mamy powodu, by oddzielać krytycyzm i realistyczne spojrzenie artysty od jego poglądów ideowych. Nurt liberalny, dziedziczący wiele tradycji myśli oświeceniowej, w pierwszych dziesiątkach wieku XIX-go zachował względną postępowość, niósł określone antyfeudalne treści ideowe. W ramach ideologicznych liberalizmu młody Fredro mógł doskonale pisać Męża i żonę, komedię bliższą przecież ideowo satyrze Szubrawców czy Stanisławowi Kostce Potockiemu, niż rewolucyjnemu przełomowi romantycznemu. Ideologia liberalizmu polskiego traciła postępowość w miarę narastania ruchu rewolucyjnego i narodowo-wyzwoleńczego przed i po roku 1830. Liberalizm stawał się ideologią formującego się sojuszu obszarniczo-burżuazyjnego, ściślej, ideologią kapitalizującego się na drodze pruskiej obszarnictwa. Oczywiście, miejsce krytyki feudalnych przeżytków, uprawianej przez liberałów jeszcze około 1820, zajmować zaczęła apoteoza feudalnych tradycji. Były one w nowej sytuacji potrzebne dla przeciwstawienia się ideologii burżuazyjno-demokratycznej. Dalszy rozwój realizmu fredrowskiego stanął pod znakiem zapytania — krytyka antyfeudalna traciła rację bytu, droga do pełnego realizmu krytycznego musiała prowadzić przez pozycje burżuazyjno-demokratyczne. To była droga rozwojowa, na której nasi wielcy poeci przezwyciężali ograniczenia poetyki romantycznej, kładli w Horsztyńskim, Panu Tadeuszu i Fantazym podstawy wielkiej literatury realistycznej, postulowanej przez Edwarda Dembowskiego. Niepowodzenie ruchu rewolucyjnego w 1846-48, a następnie w 1863-64 załamało linię rozwojową realizmu wyrastającego z rewolucyjnej ideologii burżuazyjno-demokratycznej. Fredro nie przeszedł na pozycje rewolucyjne, nie rozszerzył swych horyzontów krytycznych. Krótkotrwale ulegał tendencjom wstecznego romantyzmu (przykładowy może tu być Kamień nad Liskiem) —najdłużej w naszej literaturze przechowywał dobre, krytyczne tradycje liberalizmu. Powstawała sprzeczność między krytycyzmem Zemsty czy Dożywocia a apologetyczną postawą wobec przeszłości i ogranicznikowskim „zaklepywaniem" konfliktów współczesności, które w pełni zaczęła uprawiać po powstaniu listopadowym literatura liberalnych ugodowców. Sprzeczności tej Fredro przezwyciężyć nie potrafił, mógł się poczuć osamotniony, obiektywnie był to wynik wewnętrznych sprzeczności między postępowymi, krytycznymi tradycjami liberalizmu polskiego, a między obiektywnie coraz bardziej wsteczną, apologetyczną wobec rzeczywistości postawą liberałów, z którymi Fredro bynajmniej nie zrywał.

Ma rację Bohdan Korzeniewski, gdy nie zgadza się na spychanie Fredry na pozycję ideową profeudalnych obskurantów. Ma rację, gdy dostrzega w Zemście „rozumną myśl Oświecenia". Antyfeudalne, antysarmackie tradycje ideowe i literackie wieku XVIII stanowią istotną część składową ideologii i artyzmu Fredry. Tradycja nie wyjaśni jednak wszystkich problemów realizmu fredrowskiego. Szkoda, że reżyser Zemsty w swej odkrywczej pracy badawczej nie poszedł dalej; poprzestał na stwierdzeniu różnicy między Fredrą a romantyzmem rewolucyjnym (uwaga w pełni uzasadniona). Dalej mamy już tylko enigmatyczne zdanie, iż „swoje rozległe perspektywy w

spojrzeniu na przeszłość szlachecką Fredro uzyska (...) depcąc różne ziemie w pochodzie od Moskwy do Paryża, uczestnicząc w wielkich wstrząsach świata".

Gdyby jakiś reżyser usiłował w Zemście realizować konsekwentnie twierdzenie o „dwóch duszach" Fredry, Fredry - ideologa i Fredry - realisty, to z góry można by mu prorokować niepowodzenie. Trzeba by pokazać albo widowisko pełne sprzeczności, ukazać na scenie walkę „dwóch dusz" autora— co by rozbiło doszczętnie obraz artystyczny i realizm utworu — albo ukazać tylko takie elementy, jakie wprowadził „Fredro - realista", eliminować lub tuszować resztę, należącą rzekomo tylko do Fredry - ideologa — co by widowisko zubożyło, i w tym wypadku realistyczna wymowa utworu byłaby poważnie zagrożona. Widzimy więc, że ta koncepcja historyczno-literacka nie ma praktycznego znaczenia dla wystawienia Zemsty. Czy znaczy to, że badania historyczno-literackie nie są dla reżysera przydatne? Oczywiście są. Dla praktyki teatralnej jest sprawą ważną, z jakiego typu realizmem mamy w Zemście do czynienia, jakie są źródła tego realizmu, na czym polega jego świetność i ograniczenia. Jeżeli nawet takie ustalenie „generaliów" nie zawsze wiąże się bezpośrednio z pracą nad rolą, to na pewno wiąże się z twórczą pracą reżysera.

W artykule wprowadzającym w problemy swego warsztatu twórczego Bohdan Korzeniewski przeprowadził trafną i udokumentowaną krytykę złych tradycji fredrologii — wskazał na zasadnicze nieporozumienia panujące do dziś. Po krytyce nie przeprowadził pozytywnej strony zagadnienia, celowo odłożył to „do dyskusji o Zemście". Bogate doświadczenie badacza Fredry i reżysera można było z powodzeniem wyzyskać dla zarysowania chociażby szkicowej koncepcji realizmu Zemsty, kierunkowości i zasięgu krytycyzmu w tym utworze. O ile idzie o to ostatnie, to Korzeniewski znowu poprzestaje na wybitnie interesującym, ale ogólnikowym stwierdzeniu, że Zemsta „nie toczy już walki z sarmatyzmem jak komedia Zabłockiego. Jest „podzwonnym" dla świata, który w oczach Fredry zapadał się w nicość, jak świat Soplicowa w oczach Mickiewicza". Tu należałoby koniecznie rozwinąć zestawienie z postępową komedią Oświecenia, wskazać na osłabienie zasięgu krytyki, jej mniej zasadniczy charakter, wynikający właśnie z innej społecznej żywotności i ważności zjawiska poddanego krytyce. Zestawienie z Panem Tadeuszem jest tylko częściowo słuszne. W Panu Tadeuszu jest ukazany proces niknięcia starego świata, jest jednocześnie ukazany proces rodzenia się nowego; nie sentyment połączony z krytyką kształtował utwór, ale burżuazyjno-demokratyczna idea walki wyzwoleńczej. Tego w Zemście nie ma.

Oceniając najogólniej Zemstę w Teatrze Narodowym trzeba powiedzieć coś mimo woli podobnego do tego, co napisałem przed chwilą o artykule Korzeniewskiego: bardzo świadoma i konsekwentna krytyka złych, wstecznych rozwiązań Zemsty. Reżyser dowiódł, że Zemstę należy traktować inaczej, zgodnie z tekstem, a nie wedle fałszywych tradycji burżuazyjnej fredrologii i burżuazyjnego teatru. Praca twórcza całego zespołu przekonała, że takie postawienie sprawy jest nie tylko możliwe, ale że w praktyce scenicznej wydobywa się wtedy z tekstu fredrowskiego wartości dotychczas nieznane lub tuszowane. Otrzymaliśmy wiele cennych sugestii, jak można by Zemstę rozwiązać, możliwości nowej interpretacji zostały natomiast wyzyskane tylko w części. Krytyka i w realizacji scenicz-

nej stanowczo przeważa nad „stroną pozytywną".

Cześnik w znakomitej kreacji Jana Kurnakowicza nie jest rzeczywiście ani „senatorskim synem", ani „husarzem spod Chocima". Znikła fałszywa „heroizacja" prowincjonalnego warchoła i realizmowi Z e m s t y wyszło to na dobre. Raptusiewicz nie jest uosobieniem cnót narodowych i nie jest reprezentantem najcenniejszych tradycji naszej przeszłości — nie jest, zgodnie z Fredrą i z prawdą historyczną.

Milczek, jakiego nam precyzyjnie i z wielkim talentem pokazał Kazimierz Opaliński nie jest z kolei „bajecznym głowaczem", reprezentantem mądrości narodowej. Nie jest też demonicznym uosobieniem chytrości i podstępu — to drobny krętacz, człowiek z wszystkimi swoimi chytrościami bardzo zwyczajny — okaz podobnie „normalny" w swoim środowisku, jak Cześnik.

Postaci Papkina odmówiła krytyka tradycyjna pełni cech ludzkich, w teatrze rolę tę traktowano zwykle bardzo konwencjonalnie. Jacek Woszczerowicz włożył bardzo wiele pracy i talentu, by Papkin przestał być kukłą gadającą wiersze, by rola zyskała człowiecze wymiary i właściwą motywację postępowania. Można mieć różne zastrzeżenia, o ile idzie o ustawienie postaci Papkina w całości widowiska, nie ma jednak żadnych wątpliwości, że jest to twórcze, nowatorskie potraktowanie tej bardzo trudnej roli.

W osobie Podstoliny (Ewa Bonacka) zobaczyliśmy pełną temperamentu kobietę, nie zaś podstarzałą „amantkę", figurę śmieszną i prawdopodobną tylko w świecie konwencji komediowej. Mniej może efektu dała próba nowego potraktowania ról młodej pary (Jolanta Skowrońska, Zygmunt Kęstowicz), ale i tu widoczne było staranie o zmianę zastarzałej i niesłusznej opinii o dramaturgicznej martwocie obu ról.

Jeżeli zastanowimy się nad rozwiązaniem scenicznym zakończenia, szczególnie obciążonego fałszywą legendą o zawartych tam rzekomo ideach solidaryzmu narodowego itp. — to w inscenizacji warszawskiej nic nie zostało z tej wymyślonej koncepcji, na scenie widzimy, że dwaj zajadle kłócący się sąsiedzi w określonej biegiem wypadków sytuacji pogodzili się — nic więcej.

W całej inscenizacji widać staranie o wydobycie elementów podkreślających realizm obyczajowy i społeczny. Staranie to stało się wytyczną w pracy doświadczonego znawcy problemów teatru Fredry, Władysława Daszewskiego, autora projektów kostiumów i dekoracji. Kostiumy Daszewskiego, dobrze podkreślają różnice społeczne między postaciami (por. np. kostium Cześnika i Dyndalskiego), charakteryzują rolę (doskonały kostium Podstoliny, różnice między sposobem ubierania się Rejenta i Cześnika). Koncepcje rozwiązań kostiumowych można by kwestionować tylko w wypadku młodej pary. Bez względu na rzeczywisty stan majątkowy Klary (jest ona zresztą pod kuratelą), z racji sposobu życia i miejsca zamieszkania mogłaby być bardziej „zaściankowa" — lepiej by wypadł kontrast ze światową Podstoliną. Wacław pod okiem ojca też chyba powinien wystąpić bardziej skromnie — w Wilnie, gdy uwodził jako książę Rodosław Podstolinę, ubierał się rzecz jasna inaczej.

Ponurość starego zamku, gdzie ludzie mieszkają „jakby sowy", wydobył Daszewski i kolorystycznie, i poprzez walor architektoniczny dekoracji. Stary zamek jest jeden, stąd zewnętrznie, cechami stylowymi mieszkanie Rejenta przypomina część zajmowaną przez Cześnika. Tym subtelniej występują różnice detalu, związane już bezpośrednio z charakterami osób zamieszkujących obie części zamku. Pod tym względem wnętrze mieszkania Rejenta więcej

mówi i jest bardziej przekonywające niż mieszkanie Cześnika.

Wymieniłem tu przykładowo niewątpliwe osiągnięcia nowej warszawskiej inscenizacji Zemsty. Poważna, przemyślana praca reżysera i całego zespołu dała widoczne rezultaty: twórcy widowiska odcięli się od złej tradycji, podjęli próbę nowego odczytania Zemsty; nowatorstwo i rewizja krytyczna złej tradycji pozwoliła na lepsze, bliższe tekstowi Fredry ustawienie poszczególnych postaci, umożliwiła wydobycie zamazywanych dotychczas wartości realistycznych i krytycznych znakomitej komedii.

Trzeba teraz słów kilka poświęcić dyskusji z reżyserem. Tym razem już na czysto teatralnym podwórku.

Za słusznym odcięciem się od złych, reakcyjnych koncepcji nie poszło równie zdecydowane i przekonywające ustawienie od nowa każdej postaci i całego problemu. Role Milczka i Cześnika nie są w Teatrze Narodowym w pełni wyzyskane, tekst daje możliwości większe niż to, co zostało zrobione. Papkin nie jest potraktowany we właściwych proporcjach, nie jest też chyba tak jak należy włączony w całość widowiska. Role Wacława i Klary nie zajęły należnego im w sztuce miejsca. Z zakończenia można wydobyć więcej elementów satyrycznych i krytycznych. Zarzuty można by jeszcze mnożyć, zapytać chociażby, dlaczego w scenie Rejenta z mularzami zostały jakieś relikty niesmacznej drwiny z niepiśmiennych (przestylizowana scena podpisywania się krzyżami). Zatrzymam się przy kilku wymienionych tu kwestiach.

Kurnakowicz dopracował rolę Cześnika z ogromną precyzją, wielki artysta pokazał nam kreację po swojemu skończoną. Tylko czy to cały Cześnik? Chyba nie. Ujawniła się, pozwolę sobie na przenośnię, połowa starego szlachciury. Człowiek ograniczony, swarliwy, samowolny, podstarzały konkurent, chciwy na grosz — zgubiła się „żywość“ Raptusiewicza, jego furiackie napady gniewu. To człowiek nie tylko stary i głupi, ale i niebezpieczny dla ludzi, nad którymi ma władzę. Z furii Raptusiewicza krytyka burżuazyjna budowała legendę o rycerskiej duszy, o ogromie cnót skupionych w postaci tego zabijaki z partykularza. Legendę odrzucamy. Nie znaczy to, by nasz Cześnik miał być figurą przypominającą trochę „głupiego wujaszka“. Głupi jest, ale nie tak bardzo, by nagle zmuszać Wacława do ożenku ze swoją podopieczną, z której pieniędzy żyje — nawet wyrachowana chęć zemsty na Podstolinie nie mogłaby go skłonić do tak idiotycznego posunięcia. Ba, dowcip polega na tym, że działanie Cześnika od czasu otrzymania listu o zdradzie Podstoliny nie ma w sobie już nic racjonalnego — urażona ambicja i nie licząca się z nikim samowola pcha go do nieprzemyślanych, przypadkowych kroków. Bez ukazania końcowej furii Raptusiewicza jego działanie nie jest w końcu sztuki umotywowane. Nie przypadkiem scena czytania listu (słowne ośmiokrotne „co, co, co...“) wypada stosunkowo blado — nie ma od tego momentu rzucającej się w oczy przemiany w zachowaniu Cześnika. Koncepcja tej roli w inscenizacji warszawskiej nie docenia Cześnika-zabijaki, który mógł udawać, że jest „statystą“, a z którego przy lada okazji wyłaził sejmikowy burda. Jedynym hamulcem dla takiego człowieka są silniejsze nawet od jego gniewu nawyki środowiskowe (tu źródło apostrofy do gościnności).

Niepełne potraktowanie „szlacheckości“ Raptusiewicza, usunięcie na drugi plan charakteryzujących go cech psychicznych, zmniejszyło siłę krytyki Fredrowskiej. Osłabiło w widoczny sposób narastające jak lawina pod koniec sztuki tempo.

W scenach końcowych nie zostało wyzyskane należycie kolejne zaskoczenie obu przeciwników. Rejent jest oczywiście bardziej od Raptusiewicza opanowany, ale przecież należy w widoczniejszy sposób zamanifestować jego klęskę, gdy dowiaduje się o przymusowym ożenku syna (to porażka prestiżowa i strata widoków na posag Podstoliny). Opaliński bardzo dobrze i z wielkim talentem pokazał w postaci Milczka nie „bajecznego głowacza", ale chciwca z palestry, obdarzonego innym od Cześnika temperamentem, ale nie mniejszą ilością przywar szlacheckich. W rozwiązaniu akcji „mądry" Milczek nie ma nic do powiedzenia. Najpierw spotyka go niespodziewany, nieobrachowany przez niego cios, potem, również przypadkowo, okazuje się, że „jego jest na wierzchu". Fredro drwi sobie w zakończeniu właściwie z obu. „Sąsiedzka zgoda" — to przymusowa kapitulacja „wojowniczego" Cześnika i przypadkowy, bynajmniej nie ukartowany triumf „przebiegłego" Rejenta. Zakończenie Zemsty dostarcza bardzo bogatego materiału dla twórców widowiska — w Teatrze Narodowym wyzyskano ten materiał w niewielkim stopniu. Wilczek jest do końca konsekwentnie opanowany, nagłe przemiany sytuacji nie wytrącają go z równowagi — Cześnik kończy sztukę właściwie z miną triumfatora.

Dobrze, że nie mamy w zakończeniu nonsensownej symboliki solidaryzmu narodowego — słusznie, że to tylko zgoda sąsiedzka. Można jednak i trzeba lepiej, w bardziej umotywowany sposób pokazać, jak do tej zgody przyszło i czy obaj przeciwnicy jej chcieli? Żaden nie chciał, jeden wreszcie musiał, drugiemu zaś się ona opłacała.

Ostatnie słowa sztuki mówi Wacław — w jego ustach słowa o zgodzie są szczere. Przypadek, który pokrzyżował szyki i zamiary obu „potężnych szermierzy" okazał się wyjątkowo łaskawy dla młodej pary.

Zakończenie powinno być przede wszystkim triumfem młodej pary, triumfem prawdziwszym, niż klejona z konieczności zgoda między starymi. W całej sztuce trzeba bardziej zdecydowanie przeciwstawić Wacława i Klarę, jedyne osoby jako tako szczerze i po ludzku czujące i myślące, reszcie postaci działających. Inscenizacja w Teatrze Narodowym robi tu krok naprzód, lecz zbyt nieśmiało i połowicznie.

Nie da się natomiast przeciwstawić środowisku Rejentów i Cześników postaci Papkina. Ta śmieszna i żałosna jednocześnie figura tkwi w całości w świecie przeżytków ukazanych w Zemście, jest produktem tego świata. Krytyka burżuazyjna odmawiała Papkinowi pełni człowieczeństwa — jednocześnie idealizowała Cześnika. Papkin miał być śmiesznym przybłędą na zamku Cześnika. Tak nie jest. Papkin jest reprezentatywnym przykładem „człowieka do wszystkiego", bez jakiego nie mógł się obejść żaden dwór szlachecki.

Jacek Woszczerowicz z wielkim mistrzostwem wydobył indywidualne cechy Papkina. Rozbudował rolę w porównaniu z dotychczasową tradycją sceniczną. Z tego w żadnym wypadku nie można mu robić zarzutu — przeciwnie, trzeba docenić wielki wkład twórczej pracy i inwencji wybitnego artysty.

Postać nie jest jednak całkowicie wtopiona w świat Zemsty, robi często wrażenie niesamowitego nieco przybysza. A przecież mieszkania takich Cześników — to dla Papkina naturalne zupełnie środowisko. Na tle takiego mieszkania Papkin jest koniecznym drugim planem, nie powinien w żadnym wypadku wysuwać się na czoło, ciążyć nad sztuką. Najbardziej nawet wirtuozowskie zagrania, jeżeli nie są wmontowane w konsekwentnie budowaną całość

sztuki, jeżeli rozgrywane są tylko dla pogłębienia roli Papkina — wyrywają postać z wartkiego nurtu akcji Zemsty, hamują właściwe sztuce tempo. Słusznego i przekonującego zabiegu indywidualizacji postaci nie można przecież robić kosztem abstrahowania tej postaci z całości widowiska.

Poruszyłem, i to pobieżnie, kilka kwestii dyskusyjnych. Zemsta w Teatrze Narodowym jest przedstawieniem na tyle interesującym, zaskakującym rozmachem i inwencją w całym szeregu rozwiązań interpretacyjnych, że nie sposób omówić wszystkich nasuwających się problemów. Oby inscenizacja warszawska stała się punktem wyjścia szerszej „gorącej dyskusji o Fredrze i o Zemście, do czego Bohdan Korzeniewski nawołuje w cytowanym wyżej artykule.

Stefan Treugutt

NA SCENACH ŁÓDZKICH

Państwowy Teatr Nowy wystawił Opowieść o Turcji Nazima Hikmeta. Łódzka prapremiera jest jednocześnie pierwszym przedstawieniem Hikmeta na scenach polskich.

Nowa sztuka wielkiego poety mówi o walce ludu tureckiego z własnymi i amerykańskimi ciemiężycielami. Wypadki przedstawione w Opowieści o Turcji — to historia sprzed trzech blisko lat. Rząd turecki powziął w r. 1950 decyzję wysłania oddziałów wojskowych na Koreę — jawnie zamanifestował służalczość wobec imperializmu amerykańskiego, jawnie wkroczył na drogę zdrady własnego narodu. W Ankarze, stolicy Turcji, „trwa targ"; burżuazja i jej rząd sprzedaje godność narodu, sprzedaje jego krew, płaszczy się przed soldateską zza oceanu, w amerykańskim agencie policyjnym i w amerykańskiej broni szuka oparcia przeciw własnym robotnikom, przeciw wielomilionowej masie bezrolnych i głodujących chłopów.

W kilku migawkowych, wyrazistych scenach rysuje Hikmet Ankarę w r. 1950, wprowadza w polityczny klimat swej sztuki: turecki premier ubiega się o względy amerykańskiego generała, damy z towarzystwa urządzają bal na tureckie dzieci, żołnierz amerykański strzela do dziecka na ulicy Ankary, tłumy wypędzonych ze wsi chłopów żebrzą na ulicach stolicy, daremnie szukając pracy. Zaznaczona ostrym konturem sytuacja jest tłem, na którym działają bohaterowie Opowieści o Turcji. Bohaterami Hikmeta są tureccy patrioci, uczciwi, dzielni ludzie z różnych środowisk: robotnicy, postępowi inteligenci, studenci, gazeciarze, obok wybitnego pisarza stara chłopka i nieuczony, ludowy śpiewak, obok dokerów z Iskanderunu chłopi w mundurach żołnierskich. W odpowiedzi na antynarodowe posunięcia rządu powstaje Tureckie Towarzystwo Obrońców Pokoju. Ruch obrońców pokoju organizuje lud turecki do walki o wolność i swobody demokratyczne — do walki z amerykańskim dyktatem. Otwarty i śmiały protest obrońców pokoju przeciw wysyłce wojsk tureckich na Koreę budzi wściekłość rządu. Na komitet Towarzystwa Obrońców Pokoju spadają represje, Towarzystwo zostaje zdelegalizowane, aktywni działacze aresztowani. Ruch w obronie pokoju, ruch w obronie Turcji nie załamuje się. Trwa dalej, rozrasta się, w podziemiu powstają nielegalne komitety obrońców pokoju, lud turecki wkracza na drogę wojny przeciw wojnie.

Akcja sztuki koncentruje się wokół losów grupy działaczy ankarskiego komitetu obrońców pokoju. Nazim Hikmet pokazuje nam tych ludzi bliżej, poznajemy ich codzienne życie, ich kłopoty, ich miłość, ich nieugięte bohaterstwo.

Autor mówi jednakowo pięknie i jednakowo prosto o osobistych, bardzo ludzkich przeżyciach i o sprawach wielkich, ważnych dla całego narodu, o sprawach poruszających dzisiaj cały świat. Stara Fatma martwi się o wnuka, którego wysyłają na front koreański. Z taką samą macierzyńską troską kłopocze się potem o ludzi z komitetu, których poznała i pokochała. Jest z nimi razem na ławie oskarżonych, jej wielka, prosta miłość ogarnia już wszystkie dzieci wysyłane na bezmyślną, grabieżczą wojnę i wszystkie płaczące po nich matki. Scena rozmowy młodych zakochanych, scena, w której jest prawda uczuć ludzkich bez wielkich słów, sąsiaduje z dramatyczną sceną zabicia dziecka przez amerykańskiego żołdaka — obie robią głębokie wrażenie. Hikmet-dramaturg posiada w ogromnym stopniu umiejętność pokazywania nierozdzielnej jedności spraw „dużych i małych". Żartobliwa, lekka rozmowa poprzedza nastrojowy wiersz liryczny, patos wielkich i bohaterskich decyzji, w których waży się los życia i śmierci, stoi obok pełnej pobłażliwego uśmiechu sceny przekomarzania się narzeczonych. W scenie śledztwa u naczelnika ankarskiej policji poeta demaskuje z oburzeniem i gniewem zwierzęce metody tureckiej kliki rządzącej. Nie znaczy to, by Hikmet i w tej pełnej napięcia scenie nie dostrzegał spraw drobnych, a nawet ograniczeń swego pozytywnego bohatera, ludowego śpiewaka Satylmysza.

Badanie śledcze starego Satylmysza jest najpiękniejszą, kulminacyjną sceną całej sztuki. Prosty, naiwny starzec, aresztowany za śpiewanie ułożonej przez siebie pieśni o Stalinie, rośnie tu do wymiarów symbolu ludu tureckiego. Nic w tym uogólnieniu abstrakcyjnego, fałszywego. Satylmysz, stary chłop z prowincji, nie zna się na polityce — wie tylko, że on i jego bracia cierpią krzywdę, wie, że „bej naczelnik policji" nie jest jego przyjacielem, lecz wrogiem — wie, że biedni cierpią na całym świecie i że ich obrońcą jest Stalin. Kiedy i od kogo usłyszał imię Stalina? Na to pytanie Satylmysz odpowiada policjantowi z widocznym zakłopotaniem: „bej, czy możesz powiedzieć, kiedy słyszałeś po raz pierwszy imię swego ojca?" Myślę, że stary Satylmysz jest postacią typową w takim właśnie rozumieniu typowości, o jakie walczymy w naszej literaturze. Poprzez bardzo zindywidualizowanego bohatera — starego, skrzywdzonego chłopa — przemawia cały lud turecki — lud trzymany przez klasy posiadające w ciemnocie, jęczący w jarzmie półfeudalnej niewoli obszarniczej. Chłop turecki mimo pozorów bierności i bezsiły nienawidzi głęboko swych ciemiężców, wierzy w wielką przyszłość narodu. Nie potrafi nazwać tej przyszłości, nie wie, że przyjdzie ona z socjalizmem, jakże jednak trafnie i wzruszająco wiąże swą wiarę z imieniem wielkiego Stalina. Skomplikowane problemy psychiki ludowej, sprawę stosunku nieuświadomionych mas chłopskich do ruchu wyzwoleńczego, legendarną wielkość imienia Stalina wśród mas ludowych — to wszystko pokazał Hikmet poprzez skromną postać starego Satylmysza. Postać występującą w jednej, krótkiej scenie. Mistrzowstwo dramatopisarskie poety jest tu równie świetnie, jak porywająca jest jego miłość do prostego człowieka, równie świetne, jak jego mądra znajomość człowieka i głęboka świadomość ideowa.

Opowieść o Turcji jest sztuką o bardzo skomplikowanej budowie. Autor operował różnorodnymi elementami dramaturgicznymi: obok mocno zbudowanych, pełnych scen realistycznych mamy do czynienia z daleko idącym skrótem, migawką sceniczną. Poetycki nastrój sztuki mają potęgować

chóry, kilkakrotnie stosuje Hikmet symultanizm w prowadzeniu akcji. Obok postaci wracających w kolejnych scenach, których los śledzimy do końca sztuki, jest w Opowieści wiele epizodów podkreślających ogólne tło. Najlepsza scena w dramacie, badanie Satylmysza, jest też właściwie epizodem, pośrednio tylko łączącym się z akcją główną. Epizod mistrzowski, dobrze jednak charakteryzuje technikę Hikmeta fakt, że scena o najmocniejszej wymowie ideowej została potraktowana na uboczu zasadniczej osi konstrukcyjnej. Autor nie chciał „kameralizować" sztuki, chciał epicko rozszerzyć ramy akcji — stąd realistyczne skróty, migawki sceniczne, obfitość epizodów, stąd uogólniający komentarz ideowy wnoszony poprzez chór. Ogromny rozmach zamiaru autorskiego, widoczny w Opowieści o Turcji, nie zawsze mieści się jednak w formie dramaturgicznej, którą Hikmet tworzy dla swego dzieła. Widoczne jest w budowie dramatu zmaganie się z trudnościami konstrukcyjnymi, szereg elementów techniki dramatopisarskiej graniczy tu o krok z symboliką, z ekspresjonistycznym nadużyciem efektu scenicznego. I tak bez wątpienia reliktem ekspresjonistycznego teatru jest rozlegający się za sceną jęk Ismaiła, o którego bohaterskiej śmierci właśnie dowiadujemy się z dialogu. Przerzucanie akcji z pokoju adwokata Murata, gdzie mówi się o strajku robotników w Iskanderunie, na teren bezpośredniej akcji strajkowej, i z powrotem do pokoju Murata, to też zabieg nie przyczyniający się do dramatycznej koncentracji konfliktu, lecz przeciwnie, rozbijający ją. Mocną scenę w sądzie, zamykającą sztukę, niepotrzebnie „rozładowuje" końcowy chór, wprowadzający po konkretnych słowach oskarżenia, rzuconego z ławy podsądnych w twarz zdrajców ludu, element ogólnikowości — piękny tekst poetycki nie nagradza w tym wypadku straty jednoznacznego, wyrazistego ideowo zamknięcia.

Opowieść o Turcji jest świadectwem poszukiwań, jakie poeta prowadzi na polu dramaturgii — Hikmet szuka w Opowieści nowych rozwiązań scenicznych dla wielkiego dramatu mówiącego o życiu i walce narodu. Płomienny trybun wolności i pokoju chce uczynić swe pióro bronią jeszcze bardziej skuteczną, bardziej precyzyjną. Tam gdzie przez konkret, przez fakt codzienny i prosty mówi o sprawach wielkich, obchodzących wszystkich uczciwych ludzi na świecie, tam gdzie łączy obserwację indywidualnego z pełnym szlachetnego patosu uogólnieniem ideowym, tam wszędzie Nazim Hikmet jest mistrzem. Są w Opowieści postacie o wielkiej typowości, są sceny, jakimi chlubić się może literatura naszych dni, rewolucyjna literatura realizmu socjalistycznego. Obok tego znajdziemy w tekście Hikmeta zagadnienia nie rozwiązane do końca, elementy formalne odziedziczone po teatrze burżuazyjnym (przede wszystkim francuskim), i w całości nie przezwyciężone. Dotyczy to w pierwszym rzędzie konstrukcji dramatu. Budowa nie zawsze konsekwentnie podporządkowana jest założeniom ideowo-treściowym, fragmentaryzm i realistyczny skrót nie wszędzie pełni funkcję celowego rozszerzenia ram akcji, zamienia się niejednokrotnie w efekt niemal samodzielny, rozbijający jedność obrazu.

Zespół Teatru Nowego stanął przed zadaniem poważnym i trudnym. Kazimierz Dejmek, inscenizator i reżyser, Marian Bogusz, scenograf, oraz cały zespół twórczy włożył w pracę nad Opowieścią o Turcji dużo rzetelnego wysiłku. Trudności zaczęły się już od sprawy ustalenia tekstu scenicznego. Opowieść grana jest w Łodzi

ze skrótami. Zapewne, inscenizacja pełnego tekstu w kilkudziesięciu odsłonach przekraczałaby techniczne możliwości teatru — czy jednak cięcia nie zubożyły sztuki? Niestety, tak. Usuwając sceny w koszarach i w górach, gdzie grupa żołnierzy-chłopów czynnie protestuje przeciw wysłaniu na Koreę, uzyskał Dejmek koncentrację inscenizacji na tle Ankary. Niesłusznie jednak zwęził się krąg bojowników o pokój — widz nie znający tekstu pełnego może odnieść niesłuszne wrażenie, że to ruch przede wszystkim inteligencki. Wrażenie może powstać tym bardziej, że potężną scenę strajku portowego w Iskanderunie (bardzo trudną do rozwiązania scenicznego) inscenizacja łódzka tylko symbolicznie sygnalizuje.

Jeszcze większe trudności nastręczało ogólne rozwiązanie inscenizacyjne sztuki — scenograf w takim wypadku jest rzeczywistym współtwórcą ogólnej koncepcji widowiska. Teatr Nowy nie ma stałej sceny obrotowej. Twórcy widowiska zrezygnowali i z obrotówki prowizorycznej. Postąpili słusznie. Budowanie dużej ilości scen, z reguły bardzo krótkich, na scenie obrotowej, za każdym razem od nowa, dodatkowo rozbiłoby widowisko. „Siekanki" takiej Bogusz uniknął, Opowieść budowana jest na jednolitej podstawie — składa się na nią widok Ankary na ostatnim planie i lekka architektura łukowa w środku przestrzeni scenicznej, której różne kombinacje są z kolei podstawą rozwiązań poszczególnych scen. Syntetyczne dekoracje zapewniają łatwość i płynność zmian dokonywanych przy pomocy światła i kotar.

Scenograficznej oprawie Opowieści o Turcji godziłoby się na łamach publikacji teatralnych poświęcić miejsce — warto zastanowić się i przedyskutować zagadnienie realistycznego skrótu, syntezy w dekoracji teatralnej i różnego typu symboliki Szereg rozwiązań Bogusza w inscenizacji łódzkiej wydaje się wskazywać na to, że daleko nawet posunięty skrót, synteza, może spełniać realistyczną funkcję w widowisku. Rozwiązania scen w redakcji, w pokoju Murata, w sądzie — to niewątpliwe osiągnięcia artysty. Nad scenografią Opowieści, tak jak nad inscenizacją, zaciążyły jednak niepotrzebne wtręty symbolizmu. Symbolizm, to słowo wieloznaczne. Jeżeli w scenie sądu Bogusz daje np. duży sztandar turecki, który mu kolorystycznie komponuje całą scenę, jest to też symbol, ale w pełni usprawiedliwiony, potrzebny. To i konkretny sztandar, i wskazanie na urzędowy charakter miejsca, i symbol tureckiej rządowej sprawiedliwości — znaczenia użytego elementu nakładają się na siebie, od znaczenia konkretnego przechodzimy do słusznego uogólnienia. Jeżeli jednak np. w scenie więziennej wisi piękna czarna kotara z drapieżnymi smokami, to jest to tylko uogólnienie, symbol, bez uzasadnienia konkretnego, symbol pośrednio tylko związany z obrazem artystycznym. Trzeba bardzo starannie odróżniać słuszne uogólnienie realnej treści, od abstrakcyjnego symbolizowania, oderwanego od realnego konkretu.

Rozróżnień takich zabrakło niekiedy w inscenizacji łódzkiej. Narada Ismaiła z robotnikami portowymi potraktowana została abstrakcyjnie, „gdzieś w przestrzeni". Równie niekonkretne jest miejsce rozmowy Murata z Ibrahimem, reżyser mimo różnych prób rozwiązania nie poradził sobie z końcowym chórem itp. Nie na niedociągnięciach jednak inscenizacyjnych i scenograficznych polega podstawowa słabość przedstawienia łódzkiego. Przeciwnie, zważywszy jak trudne zadanie stanęło przed inscenizatorem, scenografem (a i zespołem technicznym), można im pogratulować i tempa widowiska, i traf-

ności rozwiązania podstawowych w dramacie scen. Zarzuty najpoważniejsze muszą się kierować przeciw wykonaniu aktorskiemu. Kilka ról zaledwie jest starannie i dobrze opracowanych, zespół aktorski jako całość zawiódł.

Na czoło wysuwa się pięknie kreowana przez Józefa Pilarskiego rola Satylmysza, starego śpiewaka ludowego. Wzruszające piękno tej postaci, jej prostotę i surowe dostojeństwo wydobył doświadczony artysta bez jednego zbędnego gestu, typowość i doniosłość ideowa sceny z Satylmyszem w niczym się nie zatraciła właśnie dzięki Pilarskiemu. Spokojnie i sugestywnie przedstawił Seweryn Butrym postać postępowego adwokata Murata. Zarzutów nie można też wysuwać przeciw grającemu redaktora Kemila — Adamowi Cyprianowi. Reszta zespołu była już słabsza, piętą achillesową przedstawienia były wszystkie sceny zbiorowe, potraktowane zbyt schematycznie, bez należytej indywidualizacji postaci i ich reakcji.

O p o w i e ś ć o T u r c j i jest aktorsko trudna. Podstawą do budowania ról jest tekst bardzo krótki, skąpy, o dużym ładunku emocjonalnym. Postacie działające przeżywają w trakcie akcji znaczne przemiany, bogactwo tych przemian trzeba pokazać dyskretnie, a wyraziście i... szybko — krótkie sceny, z tego wiele epizodów, nie pozwalają na rozbudowanie „studiów psychologicznych". Zadaniom aktorskim, jakie stawiał tekst trudnej sztuki Hikmeta, zespół Teatru Nowego sprostał tylko w części. Zbyt mało widzi się w inscenizacji pracy reżysera nad aktorem; dokładniejsza analiza błędów popełnianych przez poszczególne postacie działające na scenie Teatru Nowego w sztuce Hikmeta musiałaby doprowadzić do przeświadczenia, że wiele osób z zespołu źle pracuje nad podnoszeniem swych kwalifikacji zawodowych, ma duże braki i luki w opanowaniu technicznej i interpretacyjno-ideowej strony roli.

Utarła się smutna tradycja, że krytycy chwalą Teatr Nowy za śmiałość i ambicje repertuarowe, a ganią kierownictwo za niedostateczną pracę nad aktorem, wskazują na swoisty kryzys zespołu. O p o w i e ś ć o T u r c j i każe ten konwencjonalny już sąd powtórzyć raz jeszcze.

*

D o ż y w o c i e jest stosunkowo mniej często grywane niż inne, najbardziej popularne komedie Aleksandra Fredry. Czy nie spowodowała tego, między innymi, niejasność samej sprawy „dożywocia" dla współczesnego widza? Zasadniczy wątek komediowy koncentruje się dookoła dożywocia Birbanckiego, nabytego przez Łatkę — wszystkie perypetie wynikają z tego. Większość naszych widzów nie zna czcigodnej instytucji dożywocia ani ze słyszenia, ani tym bardziej z praktyki społecznej. Niejasne wspomnienia z lektur Kraszewskiego czy Korzeniowskiego, gdzie coś i kiedyś każdy o dożywociu czytał, należy w realizacji teatralnej tej wspaniałej komedii przypomnieć.

Jedno z możliwych rozwiązań zagadnienia „dożywocia" pokazał nam Teatr Powszechny w Łodzi. Po podniesieniu kurtyny widzimy ciemną scenę (okiennice w sali w oberży są po nocnej pijatyce zamknięte), na pierwszym planie tiulowa, przezroczysta zasłona, oddzielnie podświetlona. Na tiulu efektownie konturowana perspektywa miasta. Widzimy więc perspektywę miasta jakby przymgloną, za nią rysują się niewyraźne kontury miejsca przyszłej akcji. Dopełnia całości godło oberży z prawej strony górnej rampy. Przez proscenium przechodzi aktor grający Łatkę, wycią-

ga urzędowy papier zza pazuchy, czyta go głośno — to zapis owego „dożywocia“ wyłudzonego przez Łatkę od Birbanckiego. Tekst jest oczywiście skomponowany przez teatr, nie fredrowski.

Przy czytaniu D o ż y w o c i a uderza, bardziej jeszcze chyba wyraźnie niż w innych utworach Fredry, naczelna zaleta realizmu naszego wielkiego komediopisarza: czynności ludzi, ich postępowanie, motywowane jest ich konkretną pozycją społeczną, ich stosunkami rodzinnymi (o ile idzie o młode bohaterki i bohaterów), ich sytuacją ekonomiczną, o ile idzie o „samodzielnych“, dorosłych. Bohater Fredry nigdy nie jest „twórcą własnego świata“, nie jest idealistą subiektywnym. To człowiek setkami nici powiązany z otoczeniem, mocno w nim osadzony. W tym tkwi jedna z tajemnic „sceniczności“ Fredry — daleki jest on o sto mil od romantycznej fantastyki w budowie psychiki ludzkiej, jest zawsze konkretny, „materialny“.

Motorem całego skomplikowanego działania niesłychanie ruchliwego Łatki jest interes pieniężny. „Bogobojny“ Orgon czegóż nie zrobi, by ratować nadszarpniętą pozycję majątkową! Czy pan Leon Birbancki tak szybko przypomniałby sobie „wychowanicę swojej matki“, Rózię, gdyby miał jeszcze w kieszeni milion, który przehulał? Chyba nie. O doskonałej interesowności Twardosza nie trzeba nikogo przekonywać. Tak samo, jak o pełnej zależności biednej Rózi od woli ojca, a braciszków Lagenów od woli ich energicznych małżonek.

Naczelną zaletą udanego przedstawienia w Teatrze Powszechnym jest to, że owa „materialność“ tekstu D o ż y w o c i a nie została zatarta, nie została zamazana konwencjonalną farsowością. Praca zespołu pod kierunkiem Jadwigi Chojnackiej dała w efekcie widowisko zwarte, obfitujące w nowe, ciekawe rozwiązania tekstowe i sytuacyjne.

Olgierd Jacewicz sumiennie wywiązał się z trudnej, nie leżącej na linii dotychczasowej praktyki scenicznej tego artysty, roli Łatki. Jest trochę skrępowany w scenach początkowych, nabiera następnie właściwego tempa, im bardziej gra żywiołowo, szybko, tym jest lepszy. Pierwsze sceny należałoby inaczej potraktować — Łatka rusza się w nich rzeczywiście mniej dynamicznie, nie jest tak bezpośrednio zainteresowany w przebiegu wydarzeń, jak np. w scenie samobójczych mistyfikacji Birbanckiego — ale jest nie mniej ruchliwy. Tempo działania powinno być zasadniczo to samo (ruchliwość szperacza, gorączkowość spekulanta, to trwałe cechy charakteru Łatki), a tylko inny stopień zaangażowania postaci w wykonywane czynności.

Bardzo udane są sceny Łatki z Rózią (gra ją Jadwiga Gibczyńska). Łatka przystępuje do „zalotów“ poważnie, z jakąś ponurą i obrzydliwą „życzliwością“ — w trafnym rozwiązaniu tych partii roli pomogła Łatce świetnie grająca Rózia. Rola Gibczyńskiej w łódzkim D o ż y w o c i u jest bardzo uderzającym przykładem, że w narzekaniach na role amantów fredrowskich, jakoby z reguły konwencjonalnych, kryje się lekceważenie teatru dla tych ról. Rózia jest jedną z najbardziej żywych postaci D o ż y w o c i a, wali się na nią więcej przyżyć niż na kogokolwiek innego w sztuce — materiał do zbudowania prawdziwej, przekonywającej postaci ogromny.

Birbanckiego bardzo dobrze gra Kazimierz Wichniarz. Ten przyjemny letkiewicz może wygłaszać wzniosłe maksymy o życiu, gdy już pusto w kieszeni, a w głowie szumi po przepiciu — ale ani Fredro, ani my mu nie wierzymy. Jak wynika niezbicie z tekstu sztuki Birbancki przez cały czas jest bardziej

lub mniej nietrzeźwy. Tak go gra Wichniarz, a specjalnego wdzięku nabiera monolog Birbanckiego w scenie 5, aktu drugiego („O rozkoszy! choć na chwilę Krążyć śmiało pod obłokiem. I na głupstwa, nędzy tyle, Cichym mędrca rzucić okiem...“ itd.), gdy wyraźnie widzimy, że wzniosłe inwektywy na marności ziemi wygłasza człowiek „podpity“.

Twardosz (Eugeniusz Stawowski) chyba słusznie potraktowany jest nie jako pokątny lichwiarzyna, ale jako człowiek interesu na większą miarę, zapowiedź spekulanta właściwego już dla kapitalizmu. Orgon jest trafnie ukazany jako zabłąkany w mieście okaz z partykularza szlacheckiego (w znacznym stopniu pomaga tu aktorowi wyrazisty kostium i charakteryzacja, odcinające go ostro od otoczenia). Grający Orgona Marian Wojtczak nie wydobył wszystkich możliwości z tekstu. Na uwagę zasługuje interesujące potraktowanie długiej wypowiedzi Orgona o jego zatargu z krawcem (akt drugi, scena 2) — wypowiedź ta traktowana jest często jako niepotrzebny epizod, rozbijający scenę. W Teatrze Powszechnym znaleziono trafną motywację tej wypowiedzi: Orgon chce przed wyjściem ośmielić Łatkę, dać czas opamiętać się Rózi. Zostawiając ich razem jest niespokojny („Coś się Rózia patrzy srodze“ — mówi przedtem Łatka) i chciałby, żeby zaręczyny poszły gładko, i żal mu dziecka. Wypowiedź typowo zatem pretekstowa.

W zakończeniu ładnie wydobyto sprawę ekonomicznej motywacji pomyślnego rozwiązania: Orgon oddaje Rózię Leonowi, gdy dostaje od niego dokument z zapisem dożywocia (znany już nam z epizodu dodanego przed tekstem) — gdy Leon wypowiada ostatnią kwestię, Łatka „pracuje“ już z Orgonem nad sfinalizowaniem umowy o spłacie w ciągu roku połowy dożywocia — spekulant nie wierzy przecież Leonowi na słowo i woli mieć gwarancję z podpisem Orgona zabezpieczającą jego interesy.

Scenografia Mariana Bogusza dobrze wydobywała klimat środowiskowy, kostiumy pomagały aktorom w koncepcyjnym ustawianiu roli. Łatce przydałby się „świąteczny“ element kostiumowy w scenie zaręczyn. Oczywiście łach z jego własnego magazynu zafantowanych rzeczy — ale „świąteczny“.

O ile idzie o całość opracowania reżyserskiego, to najbardziej szwankuje akt pierwszy — nadto nie w pełni wyzyskane zostały możliwości tekstowe i sytuacyjne sceny Łatka — Twardosz.

Stefan Treugutt

NA WIDNOKRĘGU

MILIARDY I MILIONY

„Niedzielne wybory we Włoszech wykażą, czy i o ile zmniejszyła się liczba wyborców komunistycznych po 7 latach i po około 3 miliardach amerykańskich dolarów. Będzie to bitwa na śmierć i życie dla premiera Alcide de Gasperi i jego proatlantyckich przyjaciół. Ma ona udowodnić zarazem amerykańskim płatnikom podatków, jakie są skutki 3 miliardów wpompowanych do Włoch w ramach naszego programu zwalczania komunizmu za granicą".

Tymi słowy rozpoczynał się komentarz amerykańskiej agencji United Press w przeddzień wyborów do parlamentu włoskiego, które odbyły się 7 i 8 czerwca br.

Jaka była stawka w tych wyborach i w jakiej sytuacji przyszły do nich Włochy?

Prasa amerykańska nie od dziś nazywa Włochy rządzone przez partię De Gasperiego „najwierniejszym członkiem koalicji atlantyckiej". W tym określeniu mieści się odpowiedź na oba powyższe pytania. Sytuacja narodu włoskiego w okresie rządów chadecji pogorszyła się pod każdym względem. W dziedzinie ekonomiczno-bytowej Włochy „dorobiły się" dzięki rządom chadeckim przeszło 2 milionów zarejestrowanych w pełni bezrobotnych, 4 milionów bezrobotnych częściowo, ponad 600 tys. młodzieży bezrobotnej, ale nigdzie nie zarejestrowanej i nie otrzymującej zasiłków, bo nigdzie jeszcze nie pracującej, 127 tys. absolwentów szkół wyższych — bez pracy. Przemysł włoski pod względem poziomu produkcji drepce od dwóch lat w miejscu, przy czym przemysł konsumcyjny i przemysł podstawowy cofa się. Upada rolnictwo w kraju, w którym większość rządowa uchwaliła w ciągu 7 lat 5 ustaw o reformie rolnej i gdzie żadnej reformy rolnej w życie nie wprowadzono. Poziom konsumcji we Włoszech mogą zilustrować następujące dane przytoczone przez przywódcę Komunistycznej Partii Włoch, Palmira Togliatti: 4,5 miln. rodzin w ogóle nie jadających mięsa, ponad 3 mln. rodzin jadających mięso raz w tygodniu; 1,750 tys. rodzin w ogóle nie jadających cukru, 625 tys. rodzin spożywających dziennie pół deka cukru na osobę...

De Gasperi zdążył natomiast przeprowadzić na rozkaz amerykański daleko idącą remilitaryzację Włoch. Jest to jedyny kraj atlantycki, który zrealizował w pełni wyznaczone mu przed dwoma laty przez radę paktu atlantyckiego zadania zbrojeniowe. Jest to zarazem jedyny kraj paktu atlantyckiego (nie wyłączając Luksemburga i Islandii), którego premier ani razu, w najdrobniejszej nawet sprawie, nie przeciwstawił się poleceniom amerykańskiego głównodowodzącego. Ze wszystkich partnerów „jedności europejskiej" i kandydatów na członków „europejskiej armii" De Gasperi był tym, który najskwapliwiej propagował owo „europejskie zjednoczenie", paneuropejski Wehrmacht itd.

Spadek wpływów chadecji w kraju zaznaczał się nie od dziś. Przeprowadzone w latach 1951/52 wybory samorządowe wykazały, że chadecja i jej sojusznicy z bloku rządowego — socjal-demokracja, republikanie i liberałowie — nie mogą przy zastosowaniu uczciwych metod wyborczych liczyć na utrzymanie swego monopolu parlamentarnego. Stąd też zrodził się pomysł oszukańczej ordynacji wyborczej. Istotna myśl w tym oszustwie polegała na tym, że blok list, który uzyska 50% plus jeden głos w wyborach do Izby Deputowanych,

zdobędzie nieodpowiednią proporcjonalnie ilość mandatów, ale tzw. premię większościową: jeszcze 85 mandatów dodatkowo, tzn. w sumie 380 miejsc w parlamencie, by rozdzielić je pomiędzy partie zblokowane. Rzecz jasna, że w założeniu takiej ordynacji tkwiła nadzieja chadecji, iż w bloku ze swymi sojusznikami uzyska wprawdzie nie taką większość, jak w wyborach 1948 (ponad 60%), ale większość minimalną — ów jeden głos ponad 50%. Ordynacja wyborcza została przeprowadzona w parlamencie pod presją automatycznej większości chadeckiej, mimo protestów całego kraju. Przedłużeniem tego oszustwa na płaszczyźnie programu wyborczego była próba zreaktywizowania raz jeszcze „straszaka komunistycznego". Nie będziecie głosować na mnie — mówił De Gasperi burżuazji i drobnomieszczaństwu włoskiemu — wpadniecie „w szpony komunistów". Chadecja rozpętała wyuzdaną kampanię oszczerstw i na temat zamiarów Włoskiej Partii Komunistycznej i na temat krajów obozu socjalizmu, krajów, gdzie partie komunistyczne i robotnicze są u władzy. Osławiona wystawa „Po tamtej stronie" i jej nie mniej osławione fiasko są jednym z wielu przykładów kampanii wyborczej chadecji.

Partia komunistyczna złączona paktem o jedności akcji z partią socjalistyczną poszła do wyborów pod hasłem obrony konstytucji włoskiej, swobód demokratycznych i suwerenności kraju, pod hasłem: przeciw paktowi atlantyckiemu — za pokojem, przeciw bezrobociu — za reformami społecznymi, przeciw obszarnikom — za reformą rolną. Trzeba stwierdzić, że De Gasperiemu nie powiódł się plan „dostatecznego" zastraszenia drobnomieszczaństwa włoskiego „widmem komunizmu", jakkolwiek otrzymał pełne poparcie całej machiny klerykalnej. Z jednej strony znaczna część dawnej klienteli „demokratycznego centrum"—socjal-demokratów, republikanów, liberałów i tzw. lewicy chadeckiej — potrafiła dostrzec w koncepcji De Gasperiego groźbę faszyzmu i atlantyckiej niewoli. Wyrazem tego było jeszcze przed wyborami powstanie, w proteście przeciw oszukańczej ordynacji wyborczej—rozłamowych ugrupowań mieszczańskich: republikańsko-socjaldemokratycznego Zjednoczenia Ludowego i liberalnego Sojuszu Demokratyczno-Narodowego. Z drugiej strony pewna część burżuazji włoskiej reprezentowana przez monarchistów i neofaszystowską partię MSI wystąpiła przeciw De Gasperiemu, kierując się bądź to niechęcią do zbyt wielkiego, jej zdaniem, podporządkowania interesów kapitału włoskiego Amerykanom, bądź też względami odrębności interesów poszczególnych grup włoskiej burżuazji i obszarnictwa.

Chadecja i jej sojusznicy starali się w trakcie kampanii przy pomocy niezliczonych prowokacji wyprowadzić z równowagi partie lewicy i uzyskać w ten sposób pretekst do szeroko zakrojonych represji oraz „argument" na rzecz „straszaka komunistycznego". To się nie udało i amerykańska UP stwierdza: „Komuniści występujący w obronie pokoju dopomogli do utrzymania kampanii na poziomie najspokojniejszej ze wszystkich kampanii wyborczych w okresie 7 lat istnienia republiki włoskiej".

Bezpośrednio przed wyborami i w trakcie wyborów na szalę De Gasperiego padło pełne poparcie Watykanu i ambasady amerykańskiej. Nowomianowany ambasador USA pani Clare Luce objeżdżała Włochy wygłaszając wielkie mowy za De Gasperim. Na dwa dni przed wyborami rząd amerykański dorzucił do „wpompowanych" do Włoch 3,4 mld. dolarów jeszcze 30 milionów, obiecując zarazem, iż zaraz po wyborach przyjdzie następna porcja. Biskupi

i księża w listach pasterskich i kazaniach wzywali do głosowania przeciw komunistom i za De Gasperim, tylko za De Gasperim. „Trzeba, by każdy był na swoim miejscu i ściśle wykonywał rozkazy i dyrektywy hierarchii kościelnej“ — głosił w tonie rozkazu dziennego Osservatore Romano, oficjalny organ Watykanu, na dzień przed wyborami.

Jakoż w dniu wyborów „wszyscy byli na miejscach“. Mniszki i księża, mnisi i ciemne typy z Akcji Katolickiej, posiadacze całych paczek sfałszowanych w drukarni ministerstwa spraw wewnętrznych kartek wyborczych, wariaci, którym w imię Boga przyznano prawo głosu, żebracy, od których głos kupowano za kromkę chleba — wszyscy byli na miejscach i „wypełniali rozkazy“. Skład komisji wyborczych dobrano tak, by maksymalnie ułatwić cudy nad urną. A jednak De Gasperi przegrał.

Klęska chadecji — to przede wszystkim wspaniałe zwycięstwo partii komunistycznej. „Po przeszło 5 latach, w czasie których Włochy kierowane były przez partię reakcji i przez rządy otwarcie proklamujące jako swój główny cel zniszczenie partii komunistycznej, bądź co najmniej izolowanie jej i odcięcie od mas ludowych, po przeszło 5 latach, w czasie których antykomunizm był oficjalną doktryną wszystkich władz i usprawiedliwiał wszelkiego rodzaju podejmowane przeciw nam prześladowania i nadużycia — stajemy jeszcze raz na arenie politycznej jako największa i najsilniejsza, najbardziej zwarta i najbardziej bojowa z demokratycznych partii Włoch. Postępowa, zdrowa i uczciwa część narodu zgromadziła się w większości wokół nas i nam oddała swój głos. Niechże reakcyjne klasy, niechże ludzie, którzy kierują partią klerykalną i jej satelitami, wyciągną z tego zasadniczego faktu zawartą w nim naukę. Prześladowania i niesprawiedliwość, oszczerstwa i wyuzdane oszustwa nie potrafią zatrzymać naszego marszu naprzód, nie potrafią obrócić wstecz koła historii“ (Togliatti).

Wyniki wyborów włoskich—to również potężne zwycięstwo wiernego sojusznika partii komunistycznej — lewicowych socjalistów włoskich. Ich sukces staje się jeszcze wymowniejszy na tle sromotnej porażki nędznej grupy socjalzdrajców Saragata, którzy zaprzedali się chadecji, licząc na oszukańcze mandaty z „premii większościowej“ i wyszli na tym jak przysłowiowy Zabłocki na mydle. Rządowy Giornale d'Italia podkreśla całkiem otwarcie: „Słynna ordynacja wyborcza tak upragniona przez tzw. małe partie (sojusznicy chadecji — KW) doprowadziła tylko do ich rozbicia“.

Reakcja, przede wszystkim amerykańska, usiłuje się pocieszać faktem, iż pewne zyski zanotowała również skrajna prawica — monarchiści i neofaszyści. Należy jednak zaznaczyć, że zyski te pochodzą wyłącznie z przesunięcia głosów wewnątrz obozu reakcyjnego i że neofaszystowska MSI w porównaniu z wyborami samorządowymi straciła nawet parę procent głosów. Po drugie — obie te partie operowały, co jest dość znamienne, antyatlantyckimi hasłami wyborczymi. Wreszcie w każdym bądź razie głównym eksponentem najbardziej sprzedajnej i antynarodowej polityki we Włoszech był i pozostaje De Gasperi ze swoją partią. Z tego też względu jego klęska jest klęską całego obozu reakcji, jest również klęską jej zaoceanicznych i watykańskich mocodawców.

Jak przedstawiają się liczbowo wyniki wyborów? Przede wszystkim należy wskazać na fakt decydujący o porażce De Gasperiego, a mianowicie na nieuzyskanie przez blok rządowy potrzebnej dla zdobycia premii większościowej

minimalnej choćby większości głosów. W wyborach do Izby Deputowanych blok rządowy zdobył 49,8% głosów. Porównując z wyborami z 1948 otrzymujemy następującą tabelkę (w tysiącach głosów):

	1953	1948	Przyrost lub spadek liczby głosów
Partia komunistyczna	6.120	8.150 *)	+ 1.411
Partia socjalistyczna	3.441		
Zjednoczenie Ludowe	171	0	+ 171
Sojusz Demokratyczno-Narodowy	121	0	+ 121
Partie demokratyczne razem	9.853	8.150	+ 1.703
Chadecja	10.834	12.737	— 1.903
Socjal-demokraci	1.224	1.856	— 633
Republikanie, liberałowie i inni sojusznicy chadecji	1.404	1.659	— 228
Razem blok rządowy	13.488	16.252	— 2 764
Partia monarchistyczna	1.855	ca 1.200 **)	ca + 650
MSI	1.580	527	+ 1.053

*) w 1948 — wspólna lista
**) w 1948 monarchiści byli częściowo w bloku z liberałami.

Na 590 miejsc w nowym parlamencie (wobec 574 w starym) chadecja uzyskała 262 wobec poprzednich 305, socjal-demokraci — 19 w miejsce 33, liberałowie — 14 zamiast 19, republikanie z 9 mandatów stracili 4, a inne ugrupowania bloku rządowego z 5 utraciły 2. Łącznie blok rządowy stracił 68 mandatów. Komuniści zdobyli 143 mandaty, a socjaliści 75, zyskując łącznie 35 mandatów. Monarchiści i neofaszyści mają razem 69 mandatów, tzn. zyskali 40.

Dotychczasowy blok rządowy ma więc minimalną większość 16 mandatów w parlamencie, nie zdobył premii większościowej, stracił 2,7 miliona głosów. Stracił — jak pisze rzymski korespondent Times — jeszcze coś: „Chadecji bardziej niż strata głosów zaszkodzi strata prestiżu (pamiętajmy o angielskim szacunku dla słowa „prestiż" — KW). Nowa ordynacja wyborcza była bowiem kombinacją, którą usprawiedliwić dałoby się tylko w razie sukcesu". Korespondentowi Times nie brak, jak widać, dużej dozy cynizmu i... zdrowego rozsądku.

De Gasperi w swej kampanii wyborczej szermował groźbą „utraty stabilności rządu". Togliatii odpowiedział na to dobitnie: jeśli w milczącym założeniu myśli się o stabilności rządów prowadzących taką politykę jak dotychczas, to De Gasperi ma rację. Nie będzie więcej „stabilnych" atlantyckich rządów we Włoszech. Wybory potwierdziły to w całej pełni.

Brytyjska News Chronicle pisze:

„Przyszłość polityczna Włoch wydaje się być tak samo wątpliwa i chwiejna jak Francji. Jeśli zaś te dwa wielkie kraje są politycznie chore, Europa zachodnia jako całość nie może cieszyć się rzeczywistym zdrowiem". A Manchester Guardian nie wyklucza nie tylko odpadnięcia od chadecji jej zawiedzionych sojuszników, lecz również rozpadu samej partii chadeckiej. Wszyscy komentatorzy zachodni oczekują w związku z chaosem w obozie reakcji włoskiej i w związku z sukcesem sił lewicowych poważnych trudności w kontynuowaniu przez Włochy ich atlantyckiej polityki.

Reperkusje polityczne klęski De Gasperiego mają więc, jak widzimy, dużo szerszy zasięg niż tylko włoski. Nic dziwnego, że — jak pisze Manchester Guardian — „najbardziej rozczarowanymi ludźmi w Rzymie wydają się obecnie być Amerykanie". Nie tylko w Rzymie. Półoficjalny News York Times wytacza wręcz w swym rozgoryczeniu proces narodowi włoskiemu: „Największym winowajcą jest obywatel włoski tak jednocześnie oporny, tak politycznie kapryśny, tak niewdzięczny nawet wobec dobrego rządu (!), tak instynktownie skłonny do anarchicznej opozycji, że wiele milionów woli skrajności wówczas, gdy oferowane im jest umiarkowanie w wolności i demokracji". A oto tłumaczenie tej filipiki na język komentatora DPA: „W amerykańskich kołach dyplomatycznych wyłoniła się od razu kwestia; co za pożytek z 3,4 miliarda dolarów, które USA postawiły do dyspozycji Włochom po drugiej wojnie światowej w gotówce i towarach?"

Najwyraźniej — pożytek żaden. Miliony Włochów okazały się mocniejsze od miliardów dolarów. Skończyła się „stabilność atlantycka" we Włoszech.

Krzysztof Wolicki

AKTUALNE ZAGADNIENIA RADZIECKIEJ KRYTYKI LITERACKIEJ

Wśród zagadnień literackich omawianych w Związku Radzieckim ze szczególnym ożywieniem — bardzo wiele uwagi skupia na sobie problem krytyki literackiej. Radziecka krytyka literacka powołana jest do tego, by spełniać ważne zadania wykonawcze i wobec twórców, i wobec odbiorców literatury, by współuczestniczyć w dziele rozkwitu literatury pięknej w Kraju Rad.

Tę organizującą rolę krytyki literackiej uwypuklił W. Ozierow w artykule Z dala od zagadnień naczelnych (zamieszczonym w Prawdzie z dnia 8.V.br. *), wysuwając postulat uaktywnienia starych i wzmożonego kształcenia młodych kadr krytyków literackich. Zarzut małej aktywności i nieśmiałości w stawianiu i rozstrzyganiu skomplikowanych zagadnień literackich jest — zdaniem Ozierowa — tym przykrzejszy, iż doświadczonych i wybitnych krytyków jest wielu, o czym świadczy stale wzrastająca ilość publikowanych w Związku Radzieckim monografii literackich i prac zbiorowych. W myśl Ozierowa głównym niedociągnięciem radzieckiej krytyki literackiej jest, przede wszystkim, słabe, nie wystarczające syntetyzowanie zjawisk literackich, niedostateczne opracowywanie zagadnień realizmu socjalistycznego.

„Krytycy — pisze Ozierow — nie opracowują takich ważnych zagadnień jak na przykład — sprawa obiektywnych praw rozwojowych sztuki jako swoistej, obrazowej formy poznania rzeczywistości. A właśnie w pojmowaniu tej sprawy ujawniły się dwie błędne

*) Krytyk ten opublikował w majowym numerze miesięcznika Oktiabr artykuł poświęcony również temu zagadnieniu — Problemy krytyki literackiej.

tendencje. W jednym wypadku neguje się specyficzne właściwości sztuki w ogóle, w czym nie wolno nie dostrzegać nawrotów poglądów proletkultowsko-rappowskich. Zaprzeczanie obiektywnych praw rozwojowych w sztuce stanowi teoretyczną podstawę dla nihilistycznego ustosunkowania się do dziedzictwa kulturalnego, dla niedbałego stosunku do spraw kunsztu.

W drugim wypadku — specyficzne właściwości sztuki fetyszyzuje się. W abstrakcyjnych rozważaniach o sztuce „w ogóle" niektórzy towarzysze dochodzą do ujmowania sztuki jako jakiegoś pojęcia pozaczasowego i pozaklasowego".

W dalszym ciągu artykułu Ozierow stawia krytykom zarzut, iż ich wywody teoretyczne mają niekiedy charakter scholastyczny. Zagadnieniami teorii literatury zajmuje się stosunkowo niewielu krytyków literackich i badaczy literatury. W prasie literackiej przeważają recenzyjne omówienia poszczególnych pozycyj wydawniczych, znacznie rzadziej natomiast ukazują się artykuły na temat zagadnień estetyki marksistowsko-leninowskiej i ogólnych spraw rozwoju literatury, wnikliwe przeglądy twórczości literackiej, artykuły dyskusyjne i problemowe.

W realizacji naczelnych zadań krytyki literackiej — w aktywnym oddziaływaniu krytyki literackiej na kształtowanie się literatury pięknej — dużą pomoc mogą okazać krytykom tradycje rosyjskiej krytyki rewolucyjno-demokratycznej (Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa), która dawała roczne przeglądy literackie, syntetyczne omówienia wszelkich przejawów twórczości literackiej. W związku z tym warto przytoczyć znaną wypowiedź Gorkiego: „Towarzyszom krytykom poradziłbym po przyjacielsku, ażeby więcej uwagi zwracali na literaturę wziętą w całości, nie zaś na odosobnione jej przejawy" (O literaturze, 1931).

W pracy krytycznej wiele zależy również od umiejętności kojarzenia konkretnej analizy z teoretyczną syntezą, uogólnieniem. Zdarza się niekiedy, iż krytyk mówi wiele i w formie deklaratywnej o sprawach ogólnych, teoretycznych, ale w konkretnym rozbiorze omawianej książki, w określeniu jej walorów artystycznych — wykazuje niezaradność. Krytyk powinien władać sztuką kojarzenia surowych wymagań wobec autora z troskliwością o jego rozwój twórczy. Brak tej umiejętności powoduje, że krytycy wpadają w krańcowość: albo wychwalają jakiś utwór nie dostrzegając w nim żadnych niedociągnięć, albo pochopnie dyskwalifikują utwór, nie zauważając jego dobrych, pożytecznych stron.

W rozbiorze krytycznym bardzo istotna jest sprawa umiejętnego zespolenia analizy treści ideowej z wnikliwym i głębokim rozbiorem walorów artystycznych. Krytycy literaccy — wywodzi Ozierow — ...„na razie bardzo słabo opracowują zagadnienia kunsztu artystycznego. Nie spotyka się zwartych prac o języku, wątku, kompozycji, środkach artystycznych w utworach literackich. Recenzje nowych książek często gęsto podają tylko streszczenia utworu, nie odsłaniają indywidualności pisarza, zaś rozbiór właściwości artystycznych ogranicza się do dwóch — trzech zdań".

Ozierow twierdzi, że pewna ilość najlepiej przygotowanych, wykwalifikowanych i rutynowanych krytyków — zdolnych do opracowywania skomplikowanych zagadnień literatury, z powodu przeciążenia pracą organizacyjno-administracyjną — albo drukuje niewiele prac krytycznych, albo ogranicza się do pisania recenzyj. Rzeczą Związku Pisarzy Radzieckich, rzeczą redakcji periodyków literackich wydawanych pod

egidą Związku Pisarzy — jest przyciągnięcie, uaktywnienie kadr krytyków literackich, odnowienie ich drogą dopływu młodych sił.

Zagadnienie kadr, sprawy opieki nad młodymi, początkującymi krytykami — było przedmiotem rozważań N. Gromowa na łamach Komsomolskiej Prawdy z 29.III. br. w artykule Trzeba zwracać więcej uwagi na młodych krytyków. Gromow zastanawia się nad warunkami zapewnienia stałego dopływu kadr krytyków literackich, których kształcenie odbywa się głównie w Instytucie Literackim przy Związku Pisarzy. Zdaniem Gromowa, są trzy takie warunki: 1) dobór kandydatów na odpowiednie fakultety powinien być skrupulatny i surowy, 2) tak zwane seminaria recenzenckie trzeba postawić na wysokim poziomie, 3) absolwentów Instytutu należy otoczyć właściwą i troskliwą opieką — dać im możność samodzielnej pracy krytycznej.

Do zaszczytnego i samodzielnego zawodu krytyka literackiego nie należy dopuszczać ludzi przypadkowych; trzeba dbać o to, ażeby początkujących krytyków uchronić od zgubnych wpływów, by odgrodzić ich od nawrotów „rappowszczyzny", klikowości, estetyzmu i formalizmu. Duże znaczenie posiada wszczepienie młodym krytykom poczucia społecznej ważności i odpowiedzialności krytyki literackiej.

„Krytyk — pisze Gromow — to przede wszystkim przyjaciel literatury, gorąco zainteresowany w jej sukcesach. Musi on być nieprzejednany i zasadniczy, musi walczyć z bezbarwnością, miernotą, ale wszystko to należy czynić w imię troski o rozkwit literatury i sztuki".

Na przykładzie błędów i omyłek, jakie popełnili niektórzy młodzi krytycy w ostatnich czasach, Gromow wykazał, że ...„przyczyna wszystkich tych błędów tkwi w tym, iż niektórzy młodzi krytycy kiepsko znają życie, smażą się we własnym sosie, zabierają się do wydawania sądów o tym, czego nie znają doskonale".

Za znaczną przeszkodę w rozwijaniu kadr krytyków literackich uważa Gromow (podobny pogląd wypowiedział w Prawdzie Ozierow) fakt, że utwory krytyczno-literackie rzadko omawia się krytycznie, recenzuje w prasie. Zdaniem Gromowa — o pracach i książkach początkujących krytyków należy pisać recenzje, tak samo jak o twórczości początkujących prozaików i poetów.

Zagadnienie kształcenia kadr krytyków, sprawa uaktywnienia starych kadr — dotyczy nie tylko krytyków literackich, ale i teatralnych. Zresztą w dyskusji o krytyce te dwie sprawy wiążą się i łączą. W opublikowanym na łamach Litieraturnej Gaziety (nr 49 z 23.IV. br.) artykule redakcyjnym O bojową krytykę teatralną czytamy, iż fakt, że krytyka teatralna nie nadąża za życiem wywołany jest między innymi tym, że autorzy artykułów teatralno-krytycznych i redakcje, które je publikują, zapominają o istocie krytyki: „Krytyka jest rodzajem literatury — wywodzi redaktor Litieraturnej Gaziety — jest twórczością, a krytyk — to literat, chwytający za pióro tylko wtedy, kiedy ma coś do powiedzenia czytelnikowi, i który — jak każdy literat — musi władać kunsztem pisarskim".

Po omówieniu trudności piętrzących się na drodze uaktywnienia starych, doświadczonych literatów - teatrologów, którzy w wielu wypadkach zaczynają zajmować się wyłącznie „teatrologią ścisłą" ze szkodą dla bieżącej krytyki teatralnej — autor podkreślił, że również i na tym polu wiele mogą zdziałać redakcje czasopism literackich, teatralnych, a nawet codziennych, wiele może pomóc aktywne współdziałanie Związ-

ku Pisarzy Radzieckich i jego komisji dla spraw dramaturgii względnie sekcji dramaturgów, skupiającej także i krytyków teatralnych.

W kilka tygodni po wydrukowaniu omówionego artykułu o krytyce teatralnej ukazał się w Literaturnej Gaziecie (nr 59 z 19.V.br.) artykuł redakcyjny o krytyce literackiej — Bądźmy mistrzami w swoim zawodzie! Autor artykułu wychodzi z następującego założenia: „Metoda realizmu socjalistycznego — to metoda nie tylko literatury pięknej — prozy, poezji i dramaturgii — ale także i metoda krytyki literackiej. Zaznaczono to w statucie Związku Pisarzy Radzieckich, ale o tym często zapominają nawet sami krytycy".

Krytykę obowiązują więc te same zasady realizmu socjalistycznego, co i całą literaturę radziecką. Z zasad realizmu socjalistycznego wypływa też obowiązek stałego podnoszenia kunsztu pisarskiego. Jak cała literatura, tak i krytyka literacka jest spadkobierczynią najlepszych tradycji klasycznych, czerpie z bogatej skarbnicy dorobku literatury klasycznej, z rewolucyjno-demokratycznej krytyki wieku XIX, z prac i wypowiedzi klasyków marksizmu-leninizmu *), z twórczości i działalności marksistowskich krytyków-publicystów: Plechanowa, Worowskiego, Szaumiana, Łunaczarskiego, Olmińskiego. Od lat kilkudziesięciu skuteczną pomoc okazuje krytyce literackiej partia, uzbrajając ją w niezawodny oręż marksizmu-leninizmu, udzielając rad i wskazówek we wszystkich przełomowych okresach rozwojowych.

Jakie konsekwencje wypływają dla krytyki literackiej z zasad realizmu socjalistycznego? Przede wszystkim — rodzą one konieczność zestawiania, porównywania literatury z życiem, z konkretnym procesem historycznym. W epoce radzieckiej, zwłaszcza na etapie budownictwa komunistycznego weszły do literatury nowe zjawiska życiowe, nowi bohaterowie; sprzeczności życiowe, konflikty stały się więc bardziej złożone, zawiłe, wzrosła ich różnorodność. Wszystko to wymaga od krytyka literackiego wszechstronnej znajomości nie tylko życia narodu, swojego kraju, ale i stosunków międzynarodowych. Twórcza, płodna krytyka literacka wymaga od krytyków gruntownego opanowania zasadniczych podstaw współczesnej wiedzy — ekonomii, nauki i techniki.

„Krytyka gabinetowa, oderwana od życia, abstrakcyjna — czytamy w omawianym artykule — nie może cieszyć się autorytetem ani u pisarzy, ani u czytelników. I czytelnik, aktywny budowniczy społeczeństwa radzieckiego, i pisarz, który obserwował i studiował to, o czym pisze — uśmiechają się pobłażliwie, czytając mgliste pochwały z powodu „dużej znajomości materiału twórczego", a słusznie się denerwują, gdy natrafiają na zarzut, iż „tak się w życiu nie zdarza" — a więc pochwały i zarzuty wypowiedziane na podstawie informacji przypadkowych, powierzchownych".

To właśnie oderwanie niektórych krytyków literackich od życia staje się w znacznym stopniu źródłem wielu błędów i pomyłek krytyki; w szczególności najbardziej jaskrawy przejaw odstępstwa od życia stanowi twierdzenie o rzekomej nietypowości zjawisk ujemnych i „teoria" bezkonfliktowości.

Z zasad realizmu socjalistycznego wypływa dla krytyki literackiej konieczność traktowania utworu literackiego nie tylko w ścisłym powiązaniu z życiem, z rzeczywistością, ale i w nierozerwalnej więzi z rozwojem literatury

*) Na przykład, prace Lenina o Lwie Tołstoju nie tylko zawierały wnikliwy rozbiór twórczości wielkiego pisarza, lecz także wskazały prawdziwie marksistowską metodologię badań nad twórczością literacką.

w ogóle. Jednocześnie jednak — wywodzi Litieraturnaja Gazieta — „przy określaniu zalet i wad utworu należy zawsze uwzględniać całą poprzednią działalność twórczą pisarza. Niekiedy — wiążąc niedociągnięcia tego lub owego utworu z poprzednimi błędami pisarza— krytycy nie darzą swoją uwagą poprzednich osiągnięć. Koniecznie trzeba jednak o tych osiągnięciach pamiętać. I to nie po to, by „darować" błędy, ale dlatego, ażeby dopomóc pisarzowi w ich przezwyciężeniu — w oparciu o wszystko to, co jest najlepsze w jego twórczości".

W ten sposób nawet najsurowsza krytyka spełnia swoje podstawowe zadania, osiąga swoje cele: pomaga pisarzowi w doskonaleniu jego utworów, w podnoszeniu ich na coraz wyższy poziom ideowo-artystyczny, w rozwijaniu talentu pisarza po linii jego indywidualnych odrębności twórczych.

Stojące przed krytyką literacką zadanie opracowania i rozwiązania wielu problemów teoretycznych, wiąże się ściśle z krytyką konkretnych książek, z recenzjami, których — zdaniem autora artykułu — ukazuje się jednak zbyt mało; często też publikuje się je z dużym opóźnieniem.

Przechodząc do spraw techniki i kunsztu pisania artykułów krytyczno-literackich, autor artykułu wywodzi: „Niekiedy zapominamy, że krytyka — to jedna z pełnoprawnych dziedzin twórczości literackiej, że ma i swoje specyficzne właściwości, i swoje gatunki twórcze". Z tego wypływa zagadnienie kompozycji, stylu, języka w pracach krytyczno-literackich, w których podobnie jak w utworach literatury pięknej — nie może wyrazić treści ideowej bez opanowania formy.

„Jasna i głęboka myśl — czytamy w omawianym artykule — szuka ścisłego wyrazu: przemyślany rozbiór wymaga precyzyjnej i przejrzystej kompozycji; właściwe pojmowanie istoty sztuki każe szukać ideowego sensu analizowanych utworów w samej ich tkaninie artystycznej, to znaczy — każe mówić o właściwościach artystycznych utworów nie na końcu artykułu recenzyjnego w postaci luźnego załącznika do analizy treści, ale w toku właściwego rozbioru".

Gatunki krytyki wielkiego formatu, które odsłaniają istotę i dają syntezę skomplikowanych przejawów twórczości literackiej, stwarzają literacki portret pisarza — artykuły problemowe, przeglądy i monografie — są nie mniej trudne i skomplikowane niż powieść lub poemat. Nawet napisanie krótkiej recenzji jest sprawą nie mniej odpowiedzialną niż napisanie noweli czy wiersza.

Ostatnio postulaty wysunięte w toku dyskusji o krytyce literackiej znajdują wyraz w artykułach recenzujących prace krytyczno-literackie i recenzje. Coraz częściej ukazują się przeglądy krytyczne działów krytyczno-literackich w periodykach centralnych i regionalnych. W numerze 55 Litieraturnej Gaziety (z 9.V. br.) S. Szeszukow opublikował U w a g i o k r y t y c e poświęcone rozbiorowi artykułów krytyczno-literackich zamieszczonych w tak zwanych „grubych" miesięcznikach literackich, w okresie od stycznia do kwietnia br.

Przeglądem krytycznym literacko-krytycznego działu miesięcznika Zwiezda w przekroju ostatniego roku zajął się G. Łomidze w artykule O d w a ż n i e j s t a w i a ć z a g a d n i e n i a k u n s z t u (Litieraturnaja Gazieta nr 60 z 21.V.br.), podkreślając zalety konsekwentnie realizowanej tendencji redakcji Zwiezdy do naświetlania naczelnych problemów krytyczno-literackich: zagadnienia realizmu socjalistycznego, sprawy literackiego odbicia życia klasy robotniczej.

Z notatki sprawozdawczej zamieszczonej w tym samym numerze Litieraturnej Gaziety dowiadujemy się, że na posiedzeniu dla spraw teorii i krytyki w Związku Pisarzy Radzieckich omawiano twórczość wybitnej krytyczki radzieckiej, Skorino, w ostatnim pięcioleciu. Taka analiza twórczości jednego krytyka jest czymś nowym. „Takie omawianie — czytamy w notatce — jest niewątpliwie owocne, dopomoże do skrystalizowania sądu o naszej krytyce nie „w ogóle", ale na podstawie konkretnych wyników pracy krytyczno-literackiej".

Wśród problemów krytyki omawianych w radzieckiej prasie literackiej nie pomija się zagadnienia, jak przyjmują krytykę pisarze, co ona im daje, jak odbija się w ich twórczości. 7 maja br. ukazał się w Litieraturnej Gaziecie poświęcony tej sprawie artykuł wstępny — Pisarz i krytyka. Podkreśliwszy na wstępie znaczenie krytyki i samokrytyki w rzeczywistości radzieckiej, autor pisze: „...Jeżeli znaczenie krytyki i samokrytyki jest tak wielkie w tych dziedzinach, gdzie pracą kieruje z góry nakreślony plan, a realizuje ją kolektyw, gdzie wyniki określa się ścisłymi wskaźnikami ilościowymi i jakościowymi, to jakże ważna jest krytyka i samokrytyka w pracy twórczej pisarza, który pisze dzieło według własnego, z gruntu indywidualnego pomysłu i pracuje sam, niekiedy nawet w ciągu lat nie poddając swych prac ocenie społecznej".

Autor artykułu przytacza szereg przykładów na to, jak przyjmowali krytykę wielcy pisarze, przede wszystkim, Gorki.

Niektórzy pisarze pomijają jednak obojętnie wszelkie uwagi i krytyki nie pracują nadal nad raz wydanym utworem. Autor artykułu przypomina, że Gorki stale wracał do tekstu Matki, poprawiał nowe wydania swoich utworów. A. Tołstoj wkładał wiele pracy w każde następne wydanie trylogii Droga przez mękę i powieści Piotr I. Szołochow wprowadził wiele poprawek do drugiego wydania Zoranego ugoru.

Szerzej omówił tę sprawę krytyk G. Lenobl w artykule Nowe wydanie..., w stałej rubryce Litieraturnej Gaziety Omawiamy zagadnienia kunsztu (Nr 58 z 16.V. br.). Lenobl zajął się porównaniem pierwszej redakcji poczytnych utworów powieściowych publikowanych w periodykach literackich (co dla pisarza radzieckiego stanowi próbę zetknięcia utworu z czytelnikiem i krytyką), a wydaniami książkowymi, zwłaszcza masowymi. Przy dokonywaniu uzupełnień i przeróbek w następnych wydaniach utworu — wywodzi Lenobl — „...o powodzeniu decyduje twórcze rozwiązanie tych zadań, jakim autor w pierwszym wydaniu nie podołał; nie zapewnia jednak sukcesów rozwiązanie formalne, omijające istotę popełnionych usterek i niedociągnięć, pozornie tylko zaspokajające potrzeby czytelników."

W niedawno opublikowanym, nowym, przerobionym i uzupełnionym wydaniu Daleko od Moskwy Ażajew uwzględnił zarzuty krytyki i czytelników; obecnie postać Ziny, żony inżyniera Kowszowa, zarysowuje się znacznie wyraziściej, jest bardziej pełnokrwista, co uwypukliło charakterystykę Aleksego, zobrazowało jego stosunek do Żeni. Również postaci Maszy (zmarłej żony Beridze) Ażajew poświęcił więcej uwagi, wskutek czego na sile wyrazu zyskał obraz miłości inżyniera Beridze i Tani Wasilczenko. W wydaniu książkowym Kierowców Rybakowa Timoszin aktywniej wkracza w napięte, nienormalne stosunki między Polakowem a Kannunikowem; bardziej stanowczy w walce z tym ujemnym typem jest i sam Polakow. Wniosła również

zmiany w książkowym wydaniu Żniw H. Nikołajewa. Chcąc nieco złagodzić ostry problem oderwania Walentyny od jej męża Strielcowa (która po raz nie wiadomo który rzucała ofiarnie dom, by pracować na nowych placówkach jako agronom), autorka powieści „zbudowała" znacznie krótszą, nową drogę łączącą ośrodek maszynowy z miasteczkiem rejonowym, by Walentynie umożliwić częsty, niemal codzienny powrót do domu. Między redakcją pierwszej publikacji w miesięczniku Zwiezda, a wydaniem książkowym powieści W. Koczetowa Żurbinowie też są różnice; idąc za głosem krytyki autor zmienił nieco, rozwinął, uwypuklił rysunek postaci Katii i Lidii, żon Wiktora i Aloszy Żurbinów.

Często pisarze uwzględniają życzenia i rady krytyków w dziedzinie języka i stylu utworu. Zdaniem M. Zamoszkina w Uwagach o redagowaniu (Oktiabr Nr 4/53) — właśnie redaktor ma pomóc pisarzowi w realizacji wskazań i rad krytyki zawartych w recenzjach z pierwszej redakcji książki.

Józef Spinc

Z KRAJÓW DEMOKRACJI LUDOWEJ

Bułgaria

O TWÓRCZOŚCI CHRISTO SMIRNEŃSKIEGO

Twórczość znakomitego poety bułgarskiego Christo Smirneńskiego ma doniosłe znaczenie historyczne. Znalazł w niej swój pełny wyraz rewolucyjny zryw bułgarskiej klasy robotniczej po Wielkiej Rewolucji Październikowej. Jest ona wreszcie odbiciem nowej epoki — epoki rewolucji proletariackiej.

Dwudziestopięcioletni poeta zostawił poważną spuściznę literacką, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, jak krótkie było jego życie. Wydane dotychczas trzy tomy dzieł Smirneńskiego nie obejmują wszystkich utworów poety. Zarówno pod względem ideologicznym jak i artystycznym twórczość Smirneńskiego stanowi nowy etap rozwoju bułgarskiej poezji proletariackiej, która rozszerza swój zasięg tematyczny i formalny.

Już wczesne utwory Smirneńskiego świadczą o jego talencie, żywej inteligencji, bogatej wyobraźni i wielkiej wrażliwości. Co ważniejsze jednak już pierwsze jego utwory z okresu przedrewolucyjnego dowodzą, że autor ma zainteresowania społeczne, że obchodzi go żywo współczesność i sprawy aktualne. To właśnie żywe zainteresowanie rzeczywistością będzie charakteryzowało poetę do końca życia. Bliski związek ze współczesnością, ze wszystkim, co obchodzi masy ludowe, oto zasadnicza cecha twórczości Smirneńskiego. Większość jego utworów satyrycznych odzwierciedla nastroje „bohemy", niemniej jednak już we wczesnej jego poezji tego typu odbijają się bezpośrednio lub pośrednio ciemne strony ówczesnego życia społecznego. Współpraca z pismami zbliża go jeszcze bardziej do rzeczywistości ówczesnej, którą charakteryzuje potworny wyzysk i ubożenie ludu, rozszerza to horyzont umysłowy młodego poety, pozwala mu poznać stosunki między ludźmi oraz sprzeczności społeczne. Młody pisarz krytycznie reaguje na rzeczywistość. Jeszcze przed wstąpieniem do Partii Komunistycznej Smirneński występuje w swoich utworach satyrycznych opisujących rzeczywistość jako realista, jeden z przedstawicieli realizmu krytycznego w Bułgarii.

*

Imię Christo Smirneńskiego związane jest z początkiem drugiego etapu rozwoju bułgarskiej rewolucyjnej po-

ezji proletariackiej. Etap ten jest odbiciem nowego okresu w historii Bułgarii, okresu społecznych ruchów klasowych i zrywu klasy robotniczej. Smirneński, który niejako ukształtował się i wyrósł na poetę w tym właśnie okresie, w okresie walki o socjalizm, staje się jej wyrazicielem. Rewolucje w Niemczech, na Węgrzech i w szeregu innych krajów otworzyły przed ludzkością nowe perspektywy, wzbudziły nadzieje, skonkretyzowały marzenia ludzi o nowym ustroju społecznym. Ze zwycięstwem Wielkiej Rewolucji Październikowej w Rosji masy ludowe ujrzały urzeczywistnienie nowego ustroju, nową erę w historii świata. Poezja proletariacka przestaje być poezją marzeń o szczęśliwej przyszłości, odzwierciedla ona konkretną walkę i odpowiadającą jej rzeczywistość rewolucyjną, walkę mas zdecydowanych na objęcie władzy i spełnienie swojej misji dziejowej. W tej chwili historycznej Bułgarska Partia Komunistyczna, bojowa awangarda rewolucyjnej klasy robotniczej, „pojęła rewolucję proletariacką nie jako nieokreślony cel przyszłości, ale jako bliskie zadanie do spełnienia." (Georgi Dymitrow).

Smirneński wniósł do poezji bułgarskiej nową tematykę, nowe uczucia, nowe obrazy. Jako poeta proletariacki występuje on przeciw ustrojowi kapitalistycznemu. W wierszach jego brzmi zjadliwy sarkazm i gniew na obrońców kapitalizmu, tchną one głęboką sympatią do bojowników o nowy ustrój i niezachwianą wiarą w zwycięstwo. Poezja Smirneńskiego posiada szeroki zakres tematyczny. Syn ludu, Smirneński, z własnego, gorzkiego doświadczenia poznał jego nędzę i wcześnie odczuł niesprawiedliwość oraz sprzeczności społeczeństwa kapitalistycznego. Toteż każdy wiersz jego wzywa masy pracujące do walki z ustrojem kapitalistycznym. Na tym właśnie polega siła poety i znaczenie społeczne jego twórczości. Dla nas Smirneński jest przede wszystkim piewcą wydziedziczonych przez społeczeństwo kapitalistyczne ludzi pracy, poetą rewolucyjnego proletariatu, poetą walki, natchnionym lirykiem rewolucji. W kilku wierszach, które można byłoby połączyć wspólnym tytułem Dzieci miasta, poeta przedstawia życie wielkiego miasta kapitalistycznego. W wierszach tych przedstawicielom warstw panujących w społeczeństwie kapitalistycznym autor przeciwstawia ofiary kapitalizmu. Spekulant spędzający noce na orgiach wypoczywa wtedy, gdy tysiące ludzi idą o świcie do pracy. A oto ślepiec, który stracił wzrok podczas pożaru w kopalni, kobieta uliczna — ofiara nędzy, młodziutka kwiaciarka, którą obrażają spojrzenia bogatych nierobów, oto wielu, wielu innych ubogich mieszkańców wiekiego miasta. Nędzne, wymęczone i wątłe dzieci miasta są żywym świadectwem okrucieństw niesprawiedliwego ustroju społecznego. Smirneński mówi o nich z miłością. Z biografii poety wiemy, jak mocno i głęboko kochał on dzieci ludu. Z płomiennym oburzeniem poeta mówił, że niemoralne jest społeczeństwo, które pozwala na to, żeby dzieci były głodne i bose. Cykl Wieczory zimowe składa się z siedmiu wierszy, w czterech z nich poeta przedstawia cierpiące dzieci. W szkicu prozą Bose dzieci Smirneński opowiada o dzieciach wiejskich zaprzężonych do wózka z drzewem i ciągnących wózek do miasta. Widząc jadące samochodem dzieci bogaczy autor stwierdza: „To są dwa światy, jeden z nich jest zbyteczny!" Te dwa światy widzimy również w Braciach Gavroche'a. Autor przedstawia tu cierpienia dzieci wielkiego miasta, którego bogactwa należą do znikomej mniejszości uprzywilejowanych. Daremnie palą się latarnie w tym mieście, gnieździe rozpusty i zła, w ich

blasku nie zniknie przepaść ziejąca między bogatymi a biednymi, nie zatrą się głębokie sprzeczności społeczne wielkiego miasta. Autor wydaje wyrok na świat kapitalistyczny, przeklina wielkie miasto tak, jak przeklęła je już historia wraz ze społeczeństwem, które je stworzyło.

Ale wśród „dzieci miasta“ żyje także robotnik. Z rana idzie wśród „bladych tłumów“ do pracy. Nie jest już tym uległym losowi niewolnikiem, jakim był niedawno. Ten nowoczesny Prometeusz dumnie kroczy ulicą, a na odgłos jego „ciężkich kroków“ drżą cyniczni wyzyskiwacze miasta. Walczący z ustrojem kapitalistycznym robotnik, to wcielenie „niosącej burzę groźby“, która zawisła nad światem niesprawiedliwości społecznej. Jest odważny i nie lęka się przeszkód, cała jego postać tchnie mocną wiarą w przyszłe nowe życie, które wkrótce wywalczy (Robotnik). W przeciwieństwie do symbolistów, których centrum zainteresowania stanowił inteligent ze swymi dekadenckimi nastrojami, Smirneński interesuje się człowiekiem z ludu, robotnikiem i jego dniem powszednim, jego pragnieniem wolności i gotowością do walki.

W poezji swej Smirneński wraca ciągle do miasta kapitalistycznego, mówi o nędzy i wyzysku klasy robotniczej. Zarówno w wierszach jak w prozie przedstawia ciężką sytuację materialną ludzi pracy, ubogich mieszkańców przedmieść. Maluje obrazy szczególnie plastyczne i wzruszające. Jest ich wiele w cyklu Wieczory zimowe — jednym z ostatnich utworów poety. Cykl ten składa się z wierszy połączonych tą samą intencją: autor pragnie przedstawić nędzę ludu. Wspólna myśl łączy różne obrazy: ciężkie, pełne trwogi, głodu i rozpaczy jest życie ubogich ludzi — ofiar niesprawiedliwości społecznej. Obrazy życia biedaków następują jeden po drugim, ale wszędzie ta sama „ciągła nędza i troski“. Oto obraz rodziny, której ojciec straciwszy nadzieję znalezienia pracy upił się z rozpaczy, wrócił do domu bez chleba i złorzeczy na wszystko i wszystkich. Oto stary ślepiec, prawdopodobnie żebrak, którego prowadzi do domu mały chłopczyna. Oto dom, do którego zajrzała śmierć. A oto dwoje dygocących na mrozie dzieci. Ale ponad tymi obrazami demaskującymi miasto kapitalistyczne i niesprawiedliwość społeczeństwa burżuazyjnego dziarsko dzwoni młot kuźni, „gdzie kują czarni kowale“.

Dzięki subtelnej spostrzegawczości, głębokiej wrażliwości poetyckiej i realizmowi autora obrazy rzeczywistości w utworach Smirneńskiego są wymowne, budzą protest przeciwko rzeczywistości i mobilizują czytelnika. Szczegóły opisów świadczą o głębokiej wnikliwości psychologicznej i takcie poety. Przy pomocy kilku rysów umie on wyrazić wewnętrzne przeżycia swoich bohaterów, a jednocześnie przedstawić nabrzmiały treścią społeczną obraz rzeczywistości. Najbardziej typowy pod tym względem jest obraz powrotu pijanego ojca do domu. Tutaj nowe, konkretne i świeże środki artystyczne podpowiedziała autorowi sama rzeczywistość.

Utwory Smirneńskiego tchną głęboką sympatią autora do ofiar ustroju burżuazyjnego. Uczucie to dochodzi niekiedy do wielkiego napięcia:

Bracia moi, biedni bracia,
Niewolnicy okrutnego losu —
Dusi was lodowata mgła,
Okrutna, szara mgła życia.

Żaden z poetów bułgarskich nie odtworzył tak realistycznie i niemal namacalnie atmosfery miasta kapitalistycznego. Wszystkie utwory Smirneń-

skiego tchną jednocześnie miłością wielkiego, kochającego ludzi serca. Ale nie jest to miłość bierna, łączy się ona z nienawiścią do wszelkiego ucisku i wolą walki. Humanizm Smirneńskiego — to humanizm rewolucyjny.

Tak więc jeden z głównych nurtów poezji Smirneńskiego odbija sprzeczności społeczeństwa kapitalistycznego. Poeta wyraża je za pomocą konkretnych obrazów umieszczając je w określonych stosunkach historycznych. Wszyscy ludzie są dziećmi „matki ziemi", ale nie wszystkim dostępne są jej dobra. Więcej nawet: ci właśnie, którzy wytwarzają dobra materialne, cierpią ciągłą nędzę. Ale z cierpień rodzi się bunt. Masy robotnicze stają do walki, śmiało głoszą swoje prawo do życia, radości i szczęścia i hartują wolę zwycięstwa, gotowe do tworzenia nowego, sprawiedliwego świata. Nawołują do walki, a nawoływania ich rozchodzą się wszędzie i docierają do najdalszych zakątków kuli ziemskiej.

*

W poezji Smirneńskiego występują masy. Słyszymy ich ciężkie, przygłuszone kroki. Poeta przedstawia masy rewolucyjne jako lawinę, która niszczy wszystko na swej drodze, jako majestatyczne, pełne niepokonanej potęgi rewolucyjnej legiony, które świadomie i niezłomnie dążą do jednego celu, jest nim stworzenie nowego świata.

Masy rewolucyjne kierują postępem świata. Wielotysięczne, ale zjednoczone tymi samymi uczuciami i ideałami, przeobrażają oblicze ziemi, zacierają granice między narodami i wzbudzają powszechny entuzjazm swoim bojowym hasłem: „Zwyciężymy!"

Zwycięstwo Rosyjskiej Rewolucji Socjalistycznej staje się natchnieniem dla wszystkich, którzy idą w przyszłość. Jest to drugi nurt poezji Smirneńskiego. W większości swoich wierszy poeta wyraża swój stosunek do wielkiego dzieła Związku Radzieckiego (Zorza polarna, Trzy lata, Moskwa, Spartakus północy, Czerwone szwadrony i in.). Poeta opiewa Wielką Socjalistyczną Rewolucję Październikową, wyraża swój podziw dla ludu rosyjskiego, głosi chwałę dokonanego przezeń dzieła. Jednocześnie demaskuje wysiłki imperialistów angielskich, francuskich, japońskich i amerykańskich, którzy dążą do obalenia władzy radzieckiej, popierają kontrrewolucjonistów rosyjskich i napadają sami na młodą republikę socjalistyczną:

Ze wszystkich kryjówek wylazł
drapieżny wróg,
Nie ma na świecie przestępcy,
Który by z zakrwawionym nożem w
ręku
Nie szedł siać przerażenia i mroku.

Daremne okazały się wysiłki kontrrewolucjonistów. Jak szaleńcy próbowali oni „garścią piasku zaćmić słońce i zatrzymać żywioł oceanu". Kontrrewolucja i interwenci cudzoziemscy zostali pokonani. Smirneński wyraża uczucia ludzi całego świata, którzy podobnie jak on podziwiają obrońców rewolucji. Poeta głosi chwałę tych obrońców, głosi chwałę zwycięstwa:

Niech mocna będzie, bracia,
Wasza prawica święta!
Wśród mroku ciemności
Rozniecilliście światło gwiazdy.

Podkreślając rolę historyczną tych, którzy pierwsi w dziejach ludzkości zaczęli tworzyć nowe, socjalistyczne życie, poeta ukazuje wielki wpływ ich dzieła na walkę mas pracujących świata:

Od pól Rosji do dalekiej Arktyki,
Nad tajemniczymi dżunglami bezgra-
nicznych Indii,

Wszędzie na świecie, gdzie płynie
pot i łzy,
Lśni rubinowy promień wielkiej
zorzy."
(Zorza polarna)

To zorza Rewolucji Socjalistycznej, która odniosła zwycięstwo w Rosji. Moskwa, stolica Związku Radzieckiego, staje się sercem całej ludzkości. Stąd rozlega się „płomienne nawoływanie" skierowane przeciw każdej niewoli. Tu wyzwolony człowiek odrzucił wszystkie przesądy i obalił wszystkie bóstwa. Moskwa wskazuje drogę ku przyszłości. Z okazji Trzeciego Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej, który odbył się w stolicy Związku Radzieckiego w 1921 roku, Smirneński pisze natchniony wiersz Moskwa. Ze szczerym i porywającym patosem poeta opiewa Moskwę, miejsce spotkania przedstawicieli światowego proletariatu. Smirneński podkreśla społeczny patos, bohaterstwo i przodującą rolę Moskwy. Wpływ Związku Radzieckiego i Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej ogarnia cały świat, nadzieja napełnia serca ciemiężonych.

Moskwa płonie. Berlin drży,
Dziwny blask zalewa Paryż,
Głuchy, podziemny hałas
Ciężkim echem rozbrzmiewa pod
Londynem.
Nad całą ziemią
Lśni tęcza;
Rozpostarta od Atlantyku po Pacyfik
Rubinową falą płonie
I promienieje wodospadem iskier
Na Indie, na Egipt...
Ziemia płonie, płonie —
Wszędzie roznieciłem płomień
wolności."
(Prometeusz rosyjski)

Ze szczególnym entuzjazmem mówi Smirneński o bojownikach wolności — o Armii Czerwonej. Podczas wojny domowej i obcej interwencji szczególnie wsławiła się w Rosji kawaleria. Na jej cześć Smirneński pisze jeden z najbardziej entuzjastycznych swoich utworów: Czerwone szwadrony. Cały świat śledzi z zapartym oddechem szaleńcze szarże czerwonych szwadronów, które zwyciężają śmierć i pędzą na spotkanie przyszłości. Śpiewność i bogactwo wewnętrznych rymów, rytm oraz melodyjność wiersza potęgują wymowę tego utworu. Tak więc trzydzieści lat temu Smirneński zrozumiał, że Armia Czerwona niesie wyzwolenie. Potwierdziło się to — w jakże świetny sposób — podczas walk z hitleryzmem, kiedy w 1944 roku Bułgaria została po raz drugi wyzwolona przez bratni naród rosyjski, przez armię narodów Związku Radzieckiego. Ziemia, gdzie bije serce ludzkości, droga jest poecie. Interesuje go wszystko, co się tam dzieje: zwycięstwa, osiągnięcia i trudności Kraju Rad (wiersze Głód, Powołże).

*

Wyobraźnia poetycka przenosi Smirneńskiego z Rosji do innych krajów, do krajów, których ludy walczą o wyzwolenie. Poeta walki rewolucyjnej. Smirneński, szuka wszędzie jej przejawów. Ulubieni bohaterowie jego — to bojownicy o wolność, przywódcy mas, którzy gardzą niebezpieczeństwem i śmiercią, a życie swe oddają za ideały ludzkości, za jasną przyszłość ziemi. Poeta szuka ich zarówno w historii jak w życiu współczesnym, sięga do powstania gladiatorów rzymskich, do Komuny Paryskiej, do Rewolucji Październikowej. Są to bohaterowie znani wszystkim i bohaterowie bezimienni: Spartakus i Delacluze, Christo Botew i Karol Libknecht, Róża Luksemburg i nieznany nikomu syn ludu Johannes. Urzeczywistniając swój zamiar Smirneński nie przywią-

zuje większej wagi do miejsca i okoliczności, w których występują jego bohaterzy. Jest internacjonalistą i porusza tematy międzynarodowe. Będąc internacjonalistą, jest prawdziwym, szczerym i konsekwentnym patriotą. Głęboko kocha swój naród i właśnie dlatego, że go kocha, walczy o jego wyzwolenie społeczne. Wyzwolenie to związane jest z walką o wyzwolenie wszystkich narodów z niewoli ekonomicznej. Stąd wspólne zadania, wspólne ideały, wspólny sens i charakter samej walki. Takie jest podłoże międzynarodowego nurtu poezji Smirneńskiego. Wyraża ona rewolucyjne ideały, uczucia i nadzieje ludu bułgarskiego.

Bohaterskie czyny i walka — oto źródła natchnienia Smirneńskiego. W walce wyraża się jego zdaniem wszechstronnie wartość człowieka, siła jego ducha stworzonego nie po to, by nosić pęta, lecz po to, by je łamać. Oddając swe życie w walce o wolność, o przyszłości swych braci, człowiek wznosi się na najwyższy szczebel doskonałości (Śmierć Delacluze'a). Poświęcenie przezwycięża nawet śmierć. W rewolucyjnej poezji Smirneńskiego problem śmierci znajduje nowe rozwiązanie. Bojownik wie, że sprawa, której służy, nie jest jego osobistą sprawą — to sprawa całego ludu, sprawa, która będzie żyła i zwyciężała po jego śmierci. Inni podniosą jej sztandar, doprowadzą ją do zwycięskiego końca, a bohaterski czyn poległego bojownika stanie się źródłem ich siły. Stąd odwaga, poświęcenie bohaterów. Wśród okrucieństw wojny imperialistycznej Karol Libknecht podnosi sztandar rewolucji i pada w bohaterskiej walce. Ale Berlin nie zapomni o nim nigdy, inni bojownicy pójdą w jego ślady. Poeta przedstawia znaczenie i wielkość przykładu, jaki Libknecht dał innym, we wspaniałych, niezapomnianych strofach:

A jeśli słońce zgaśnie w walkach —
Jak słońce świecić im będzie moje serce...
(Karol Libknecht)

Wielcy bojownicy stają się symbolem, sztandarem, za którym idą narody. Nie straszna jest dla nich śmierć. Za mała jest ziemia, ażeby mogła być dla nich mogiłą. Żyją wiecznie w swoich czynach. Żyją w sercach pokoleń, niczym ukryte głęboko ziarna, z których wykiełkuje to, co najwznioślejsze, to, co najbardziej ludzkie. Taka jest Róża Luksemburg, przywódca niemieckich spartakowców, o której poeta powiedział:

Kłęby dymu otaczają wulkan,
Z którego wytrysnął słup bohaterskich czynów i dążeń,
I widzimy: za mało jest całej ziemi,
Ażeby pochować jedno tylko serce."
(Róża Luksemburg)

Takim jest Johannes z poematu pod tym samym tytułem, Johannes, nieznany bohater, który został sam na barykadzie i walczył, gdyż wiedział dobrze, że z każdej kropli jego krwi „powstaną tysiące bojowników" i że naród w końcu zwycięży.

W poemacie Johannes poeta nie tylko przedstawia nieznanego, bohaterskiego syna ludu, nie tylko ujmuje w nowy sposób problem śmierci, lecz także daje wnikliwy obraz psychologiczny. Pożegnanie Johannesa z żoną, wyjście z domu, podobnie jak scena końcowa, kiedy żona płacze „na głuchy dźwięk każdego strzału", świadczą o wielkości poety, który potrafi wejrzeć w głąb serca ludzkiego i znaleźć słowa odpowiadające wewnętrznym przeżyciom swoich bohaterów.

Już na początku poematu odczuwa się nastrój rewolucyjny — w Berlinie wybuchło powstanie. Johannes, jeden z bojowników o wolność, idzie walczyć.

Ostrożnie uchyla drzwi domu, żeby sprawdzić, czy nie czyha nań wróg. Ale ulica jest pusta. Johannes szybko wychodzi za próg swego biednego domostwa. Żona płacząc wyciąga doń ramiona, w których trzyma maleńkie dziecko. Chce przypomnieć Johannesowi, że powinien myśleć także o nim. Nie zatrzymuje jednak męża, choć drży o jego życie. Jedynie blade wargi kobiety, zamyślone spojrzenie i szept zdradzają jej niepokój. W następnym epizodzie poematu widzimy Johannesa na barykadzie — pozostał sam. Towarzysze jego — podobnie jak on nieznani bojownicy o wolność — padli. Ale walczyli do końca, w omdlałych rękach dymią jeszcze karabiny. Umierający starzec przeklina wrogów rozjuszonych uporem i dumą rewolucjonistów. Johannes został sam, ale nie czuje się samotny i nie wpada w rozpacz: Johannes wierzy w przyszłe zwycięstwo ludu, wierzy, że ostatnia godzina ustroju kapitalistycznego wybiła. Nie lęka się śmierci. Jest dumny i „majestatyczny jak tytan". W ostatnim obrazie autor wraca znów do przeżyć kobiety, która przysłuchuje się odgłosom bitwy i łka na dźwięk każdego strzału, lękając się, że mąż jej poległ.

Bohaterstwo Johannesa, jego uświadomienie rewolucyjne, wiara w zwycięstwo i duma proletariusza — oto typowe rysy bojownika-komunisty.

W poezji Smirneńskiego interesy jednostki i zbiorowości nie tylko ściśle się łączą, ale elementy osobiste stają się charakterystyczne i typowe dla swego czasu. Walka społeczna przedstawiana przez poetę jest typowym zjawiskiem okresu, który nastąpił po pierwszej wojnie światowej. Gotowość do ofiary, stosunek bohaterów do śmierci (Johannes, Karol Libknecht) są również charakterystyczne i typowe dla rewolucjonistów. Wreszcie stosunek samego poety do walki i śmierci są typowe dla każdego rewolucjonisty. Na tym polega przede wszystkim realizm Smirneńskiego, który w poezji swej przedstawił nie tylko własne uczucia, lecz także obiektywny stan rzeczy i obiektywne przeżycia ludzkie.

*

Poeta mas, poeta czynu rewolucyjnego współczuje wydziedziczonym i nienawidzi twórców niesprawiedliwego ustroju społecznego. Ze szczególną tkliwością przedstawia chwile, w których masy ludowe stają do walki o wolność — powstania i rewolucje społeczne. „Majestatyczna walka niewolnika" pod różnymi postaciami i w różnych okolicznościach — w starożytnym Rzymie, we współczesnym Berlinie, Paryżu itp. stanowi najczęstszy i ulubiony temat poezji Smirneńskiego. Niekiedy autor ucieka się do obrazów symbolicznych jak na przykład w wierszu Bunt Wezuwiusza. Nawet przedstawiając życie codzienne Smirneński wznosi się do wielkich uogólnień alegorycznych i opiewa rewolucję społeczną. Przejawia się to bardzo wyraźnie w wierszu Górnik. Praca w kopalni węgla, skojarzenia z płomieniem, który powstaje z węgla, prowadzą poetę do zestawienia węgla z duszą ludzką i jej płomieniem, w którym spala się wszystko, co stare, by narodziło się nowe:

Kiedy czerwone fale
Uderzą szalonym przypływem
I wszystko wokół zatopią,
Kiedy wśród nowych błyskawic
Ziemia zacznie wrzeć i płonąć
Ogniem, ogniem, ogniem
I deszczem iskier!

W wierszu tym brzmi właściwie nawoływanie do pójścia w masy. Górnik to agitator socjalista, którego powołaniem jest iść w lud i drążyć dusze ludzkie tak, jak drąży się warstwy czarnego węgla. Napięcie uczuciowe i ryt-

miczność czynią z Górnika jeden z najbardziej oryginalnych i najlepszych wierszy Smirneńskiego.

Smirneński ma dynamiczny stosunek do rzeczywistości. Widzi w niej ciągły rozwój, przemiany, zanikanie pierwiastków starego i tworzenie się nowego w walce. Obcy mu jest spokój i kontemplacja. Ruch — oto zasadnicza właściwość jego twórczości. Poeta podziwia lub płonie oburzeniem, nawołuje do czynu, porywa, mobilizuje. Namiętnie bijące z każdego wiersza Smirneńskiego uczucie wynagradza te miejsca, w których spotykamy stare, zużyte już obrazy. Bezpośredniość i szczerość płomiennej, entuzjastycznej poezji Smirneńskiego wzrusza i porywa.

*

Smirneński pisał zarówno wierszem jak i prozą. Jest jednak przede wszystkim poetą lirycznym. Smirneński-prozaik dał się poznać głównie jako doskonały felietonista. Jego próby nowelistyczne (Oczy, Słońce; Filantrop, Przyjaciel i inne) są zapowiedzią wielkiego pisarstwa. Niestety, przedwczesna śmierć uniemożliwiła rozwój twórczości Smirneńskiego. W utworach prozą walczy on z ustrojem kapitalistycznym i jego przedstawicielami podobnie jak w rewolucyjnej liryce. Przedstawia młodzież, którą zawiodły ideały burżuazyjne, która protestuje przeciw wojnie imperialistycznej i pragnie innego, nowego życia (Oczy, Słońce). Demaskuje obłudę, kłamliwą opiekę, którą burżuazja pozornie otacza ubogich, pomoc, której udziela białym Rosjanom (Filantrop i inne).

Pochłonięty walką z ustrojem kapitalistycznym Smirneński zastanawia się nad psychologią bojownika o wolność. Rewolucjonista proletariacki, bojownik o socjalizm powinien zawsze iść ramię w ramię z klasą robotniczą, walczyć przy jej boku, nigdy się od niej nie oddalać, żyć jej życiem, czuć jej uczuciami. Odrywając się od swej klasy, wstępując na drogę wymiany swoich bogactw duchowych na nędzną jałmużnę rzuconą mu przez rządzącą w świecie kapitalistycznym mniejszość, artysta zdradza klasę robotniczą. Dzieje się to nawet wbrew jego woli, wówczas kiedy ma on jak najlepsze zamiary. Problem ten porusza Smirneński w ostatnim swoim utworze prozą pt. Bajka o drabinie. Stylem baśniowym i przy pomocy alegorii autor przedstawia zgubną drogę, na którą wkroczył bojownik o sprawiedliwość społeczną i tym samym przestał być tym bojownikiem, zdradził swoją klasę, został renegatem, obrońcą mniejszości wyzyskiwaczy. Energiczny młodzieniec, bohater opowiadania, pochodzi z ubogiego środowiska i szczerze kocha wszystkich wydziedziczonych i wyzyskiwanych. „Jestem plebejuszem z pochodzenia — oświadcza na początku opowiadania — wszyscy wydziedziczeni to moi bracia!“ Młodzieniec ten widzi, że lud cierpi, że straszny jest świat, w którym u szczytu drabiny społecznej stoi garstka „książąt“ posiadających wszystkie bogactwa i żyjących z pracy ciemiężonego ludu. Ale ta garstka wyzyskiwaczy chce zemścić się na młodzieńcu płonącym słusznym gniewem. Wkracza on na fałszywą drogę i — nie bierze udziału w walce ludu, oddala się od niego. Oddala się od swych braci i idzie sam. Zaczyna się wspinać po drabinie do ludzi mających władzę. Drabina ta prowadzi do szczytów społeczeństwa burżuazyjnego. Popełniony błąd mści się. Im wyżej znajduje się młodzieniec, tym bardziej się zmienia jego oblicze. Klasa rządząca i jej sługusi (przedstawieni przez autora pod postacią diabła) rozporządzają wieloma środkami, aby „urabiać“ tych, którzy się do nich zbliżają. Te środki to

reakcyjna sztuka, nauka, filozofia. Życie klasy rządzącej budzi w młodzieńcu inne myśli, inne uczucia, krótko mówiąc niszczy jego dawny światopogląd rewolucyjny zastępując go reakcyjnym światopoglądem burżuazyjnym. Zaczyna mu się wydawać, że wszyscy ludzie są zadowoleni i szczęśliwi. Zapomina o swoim pochodzeniu. „Jestem księciem z pochodzenia — powiada — bogowie są moimi braćmi! Jakże piękna jest ziemia, jakże szczęśliwi są ludzie!" Te ostatnie słowa charakteryzują go jako renegata. Tak się „urabia" zdrajców będących narzędziem klasy rządzącej.

W prozie Smirneńskiego treść ideowo-polityczna wyrażona jest pięknym stylem poetyckim i świetnym językiem.

*

Christo Smirneński wywarł wielki wpływ na rozwój bułgarskiej poezji rewolucyjnej. Zapoczątkował nowy jej etap. Zapalił w poezji płomień natchnienia i podniósł ją do poziomu wielkiej sztuki. U źródła natchnienia i wyobraźni Smirneńskiego leżą konkretne wydarzenia: walka klasy robotniczej, rewolucyjna rzeczywistość.

Będąc poetą przodującego odłamu narodu, Smirneński jest zarazem poetą całego ludu bułgarskiego. W twórczości jego znalazły swój piękny wyraz dążenia i nadzieje ludu. Poezja Smirneńskiego świadczy o nowym etapie rozwoju całej w ogóle poezji bułgarskiej. Po pierwszej wojnie światowej, w okresie wszechwładnego panowania symbolizmu z jego pesymizmem, indywidulizmem i oderwaniem od narodu Smirneński sprowadził poezję na ziemię, oddał ją w służbę narodowi i jego walce o sprawiedliwy ustrój społeczny. Wraz z nim do poezji bułgarskiej przeniknęła świadomość kolektywu. Smirneński to prawdziwy poeta ludowy.

Poezja jego wychowywała bojowników, hartowała ich, dodawała im otuchy i sił podczas ciężkich lat dyktatury faszystowskiej. Poezja jego była natchnieniem partyzantów i bojowników podczas Wojny Narodowej. Obecnie również poezja Smirneńskiego mobilizuje naród bułgarski do walki o socjalizm. Dlatego też niezapomniany wódz i nauczyciel narodu bułgarskiego Georgi Dymitrow mógł powiedzieć: „Bogata spuścizna literacka Smirneńskiego stanowi nieoceniony skarb, który powinien stać się własnością wszystkich ludzi pracy, a w pierwszym rzędzie naszej młodzieży, w obecnej chwili historycznej, kiedy wśród bohaterskiej pracy i zaciekłych walk z wewnętrznym wrogiem klasowym i z zewnętrzną reakcją imperialistyczną kładziemy podwaliny społeczeństwa socjalistycznego zapewniającego dobrobyt naszemu narodowi i wspaniały rozwój naszej ojczyzny".

Georgi Canew

W OBLICZU NOWYCH CHIN

Senator Robert Taft, ze względu na przedpotopowe poglądy nawet wśród przyjaciół noszący miano „mrożonego Boba z Ohio", od dwóch miesięcy grzmi, dymi i ogniem pluje. Co się stało? Jakie tektoniczne przemiany każą się trząść ziemi Middle Westu? Co sprawiło, że wśród odwiecznych włości republikańskich, kędy pszenne i mięsne, zbożodajne i zbożne równiny izolacjonizmu, bucha dziś imperialny wulkan, tryska lawą agresji, a gorący popiół i siarka spadają, grożąc pożarem, aż na Biały Dom? Senator słów nie dobiera i nic nie obwija w bawełnę. Wzywa do wojny, choć ma także i zastrzeżenia: nie radzi wojować z Chinami na kontynencie Azji.

Paradoks? Nie. Taft hołduje pojęciom z zamierzchłej epoki kapitalistycznej

wszechwładzy: wojny w skali „lokalnej“ wygrywać trzeba za wszelką cenę (a im wyższa, tym lepiej); ludy ras „niższych“ należy ujarzmiać klasyczną metodą demonstrowania potęgi — z pomocą pancerników i bomb. Bomby mogą być przy tym atomowe, na dowód, że Bob idzie z duchem czasu.

Niezmienną zasadą imperializmu wszech czasów i krajów była zimna ocena rzeczywistości, jakkolwiek prowadziła nieraz do wcale nie zimnych wojen. Ale w latach upadku klasę ginącą częstokroć oślepia jej własna ideologia. Logika spółek akcyjnych zastępuje wówczas logikę społecznych i politycznych faktów, dialektykę historii i rozwoju człowieka. Rozumowanie agentów wywiadu bierze miejsce myśli wspartej o rzeczywistość. „Gdyby wymienić publicznie — mówił w lutym 1948 sekretarz stanu Marshall — ten szereg czynników, które spowodowały klęskę rządu Czang Kai-szeka zarówno w dziedzinie wojskowej, jak i gospodarczej, to mimo cała prawdziwość owych czynników, byłby to cios straszliwy, wymierzony w moralność tego rządu i jego armii. Co więcej, dostarczylibyśmy skutecznej pomocy, a nawet dali bodźca siłom moralnym partii komunistycznej, a zwłaszcza komunistycznej armii. Dlatego tak trudno omawiać tę sprawę szczerze i jawnie. Rząd chiński jest tak słaby, tak niezdyscyplinowany i pozbawiony inicjatywy, że niepodobna przypuścić, by sytuacji tej mogła zaradzić najwydatniejsza pomoc zewnętrzna“.

Sekretarz Marshall nie zmienił swej polityki, choć widział, że jest wsparta na ruchomych piaskach. Nie zmienił jej Acheson ani Dulles. Lecz, że na fałszach nie można nic zbudować, nawet gdy chodzi o budowlę zła — Stany Zjednoczone ponoszą klęskę za klęską. *Inde ira* — pioruny i wulkan.

„Trzy tak potężne mocarstwa — mówił Lenin w trzecią rocznicę Rewolucji — jak Anglia, Francja i Ameryka, nie potrafiły zjednoczyć się przeciw nam i okazały się rozdzielone w tej wojnie, którą przeciw nam rozpoczęły połączonymi siłami. Dlaczego? Dlatego, że gospodarka ich i życie ich krajów są podcięte, dlatego, że są to na wpół trupy, dlatego, że nie mogą żyć po dawnemu, dlatego, że klasa, której wolą trzymają się — klasa burżuazyjna — przegniła. Rzuciła do wojny imperialistycznej i wymordowała ponad 10 milionów ludzi. Po co? Po to, by świat podzielić między garstkę kapitalistów. Na tym klasa ta załamała się, na tym podcięła swe własne podstawy i jakkolwiek wydaje się i teraz silna pod względem wojskowym, wewnętrznie jest bezsilna. Nie jest to już obecnie proklamacja w duchu bolszewickim, jest to fakt, dowiedziony ogniem i mieczem“.

Taki był fakt Wielkiej Rewolucji Październikowej. Ten sam fakt powtórzył się w Rewolucji Chińskiej.

*

Wyzwolenie odmierzało kroki olbrzyma. Tientsin, Mukden, Szanghaj, Pekin, Kanton — oswobodzenie każdego z tych milionowych miast i otaczających je wielomilionowych prowincji nie było tylko jeszcze jedną zwycięską bitwą rewolucyjnej kampanii. Skokami posuwała się naprzód historia świata, imperializm dostawał raz za razem cios w samo serce. Miliardami dolarów usiłował zasypać przepaść roztwierającą się pod nogami. A gdy to nie pomogło, uderzył bezpośrednio szukając w zgliszczach Korei drogi powrotnej na swoje największe żerowisko.

Na próżno. „W ciągu ostatnich 3 lat— pisał niedawno Times londyński — coraz bardziej uznawany jest fakt, że Chiny stały się mocarstwem. Ta prawda tworzy zarazem napis grobowy na wszelkich nadziejach przekształcenia

Azji w imperium kolonialne Stanów Zjednoczonych. Nadziejach, które od Mc Kimleya i Williama Tafta po Trumana, Eisenhowera i Roberta Tafta były myślą przewodnią polityki USA. A tempo ich rozpadu, tempo budowy wielkości narodu chińskiego jest szybsze niż podejrzewał ktokolwiek w świecie kapitalistycznym, szybsze nawet, aniżeli sądzono w samych Chinach. To również jest źródłem gniewu.

Latem 1950 r. Mao Tse-tung szacował, że przeprowadzenie reformy rolnej oraz odbudowa i uporządkowanie istniejącego już przemysłu i handlu zajmą „około trzech lat, lub nieco więcej". A trwało to równo dwa lata. Pod koniec ub. roku feudalizm został całkowicie zniesiony, a bezpośrednim skutkiem była osiągnięta po raz pierwszy w dziejach współczesnych samowystarczalność w zakresie produkcji rolniczej, a na niektórych odcinkach uzyskano poważne nadwyżki eksportowe. Przemysł zaś, przez Czang Kai-szeka i Amerykanów zniszczony niemal w połowie, dał produkcję o wiele przekraczającą najwyższe cyfry najlepszego okresu. Naród i partia wysnuły natychmiastowe wnioski. Ogłoszono plan pięcioletni, którego wykonanie przekształci kraj, o ludności dziś jeszcze w ¾ chłopskiej, w przemysłowego kolosa. Stosunki międzynarodowe całego globu ulegną radykalnej zmianie, przewaga obozu socjalizmu stanie się miażdżąca i ostateczna. Mają się o co trapić bogowie Wall Street.

Przemysł chiński stanowi dotychczas zaledwo 10% wytwórczości kraju. Po wykonaniu planu przemysł ciężki będzie czynnikiem dominującym w gospodarce Chin, które z feudalnego zastoju wkroczą w tzw. „erę neotechniczną". Za miarę rozmachu niech służy projektowana rozbudowa Pekinu: do roku 1965 ludność miasta wzrośnie co najmniej czterokrotnie, a obszar — siedmiokrotnie. Najstarsza bodaj z dzisiejszych stolic świata stanie się także największym kompleksem miejskim.

„Jesteśmy przeciwnikami teorii tzw. rozwoju zrównoważonego — stwierdza Kao Kang, przewodniczący Państwowej Komisji Planowania — dajemy pierwszeństwo przemysłowi ciężkiemu, fabrykacji maszyn; inaczej niepodobna byłoby utrwalić naszej niepodległości". Plan przewiduje roczny wzrost produkcji o 25%, gdy np. w Stanach Zjednoczonych wzrost w okresie 1913—29 wynosił 4,4%. Równolegle z tym podjęto wielkie prace nad regulacją rzek, wznoszeniem zapór wodnych i hydroelektrowni-olbrzymów, rozbudową transportu rzecznego i kolejowego oraz uruchomieniem w znacznym stopniu jeszcze nie zbadanych rezerw węgla i nafty. Przesłanką zdrowia gospodarczego jest zrównoważony budżet państwa — fakt od niepamiętnych czasów nieznany — i zlikwidowany po raz pierwszy od 73 lat deficyt handlu zagranicznego. W rolnictwie obalenie prymitywnej struktury feudalnej, zniesienie wyzysku wobec którego blednie epoka pańszczyzny w Europie, nawadnianie gruntów, racjonalizacja pracy i stosowana na ogromną skalę pomoc sąsiedzka pozwoliły na takie postępy, że produkcja agrarna na długi okres czasu z całą pewnością nadąży za industrializacją.

Procesom gospodarczym towarzyszą odpowiednio wielkie przemiany socjologiczne. O ich rozmiarach pewne pojęcie dać może chociażby fakt, że szkoły zawodowe i wyższe mają w ciągu lat pięciu wykształcić 2 i pół miliona inżynierów, techników i innych fachowców, co równa się liczbie wszystkich robotników zatrudnionych obecnie w przemyśle.

■

„Nie możemy traktować ekonomiki Chin na bazie ogólnej, jak to czynimy w odniesieniu do odbudowy Europy —

mówił pięć lat temu czołowy przedstawiciel imperializmu Stanów senator Vandenberg — Chiny są zbyt duże, problem zbyt zawiły". Przełożone na język zwykły słowa te oznaczają, że podbój gospodarczy nawet Chin Czang Kai-szeka był dla USA o wiele trudniejszy i bardziej niestrawny niż ujarzmienie Zachodniej Europy. A pakty z Czang Kai-szekiem nie były wcale pierwszą próbą tego rodzaju. Przeciwnie — były ostatnią.

Parcie kapitalizmu USA w stronę Azji przez długi czas wyrażało się głównie w swoiście forsowanym kolonialnym merkantylizmie. W połowie zeszłego stulecia doszedł do skutku pierwszy traktat handlowy, a wkrótce potem sekretarz stanu Daniel Webster słał gromkie protesty na dwór cesarza przeciw ograniczaniu przywozu opium do Chin. Opium bowiem tworzyło ponad 70% handlu amerykańskiego z Państwem Środka. Nie obeszło się i w tym czasie bez interwencji wojskowej. W 1858 r. Stany Zjednoczone otrzymały udział w poborze ceł chińskich tytułem nagrody za udział zbrojny w tłumieniu chłopskiego powstania Tai-Pingów. Na krótko przedtem połączone oddziały amerykańsko-japońskie napadły Koreę, a niemal równocześnie eskadra USA bombardowała wybrzeża Formozy. Były to jednak wypadki dość odosobnione.

Stan rzeczy uległ zupełnej przemianie z chwilą podboju Filipin. Nastała era imperializmu, walka o podział „melona chińskiego". Wuj Sam, chociaż słał wojska i noty protestacyjne do mocniejszych rywali, zadowolić się musiał skromnym raczej udziałem. Zrażony szeregiem zawodów na polu ekspansji politycznej, wojskowej i terytorialnej, szukał — do czasu — dróg penetracji finansowej. I czekał. Wszystkie niepowodzenia odbił sobie z nawiązką dopiero, gdy konkurenci zaczęli podcinać sobie gardła.

Nazajutrz po pierwszej wojnie światowej Ameryka Wilsona odwróciła się w sposób stanowczy od Europy, aby jednocześnie równie stanowczo przystąpić do przekształcania budzącej się do życia republiki chińskiej w swoją kolonię. Wilson narzucił Chinom rządy konsorcjum bankowego, w którym rej wodziły firmy Morgana oraz Kuhn and Loeb. Odtąd datuje się 30 lat krwawej — i bezkrwawej, ale nie mniej okrutnej — interwencji i drapieżnego wyzysku. Morgan uważał za akt łaski, gdy użyczył rządowi chińskiemu 5% z dochodów ceł pobieranych w Chinach przez urzędników chińskich, ale na rzecz monopoli bankowych Stanów Zjednoczonych. Wojska USA mordowały robotników chińskich tłumiąc strajki, flota wojenna bombardowała porty. Finansowano reakcję, grupującą się wokół Czang Kai-szeka, prowadzono zawiłą grę popierania Japonii przeciw narodowi chińskiemu i popierania jej w celu wysadzania z siodła rywali brytyjskich. I trwało tak aż do chwili, gdy imperializm japoński czuł się dość silny, by podjąć próbę wyzbycia się za jednym zamachem wszystkich swych konkurentów na Dalekim Wschodzie.

Zanim jednak doszło do tego, przez długie lata istniała swoista współwładza: Japonia okupowała szereg prowincji, Stany Zjednoczone mocno trzymały w ręku finanse i polityczny aparat Czang Kai-szeka. Ramieniem niezbrojnym, ale dalekosiężnym w tej penetracji były liczne organizacje religijne i placówki misjonarskie. Już przed rokiem 1930 USA inwestowały w nie (wg statystyk amerykańskich) 41,9 mil. dolarów. Woda święcona łączyła się tu z naftą, gdyż większości funduszów, rzecz znamienna, dostarczyły koncerny Rockefellera.

A wszystko to działo się pod auspicjami „szlachetnej pomocy wielkiej demokracji Zachodu". Jeszcze niedawno

Acheson żalił się na „niewdzięczność“ Chińczyków. Może jednak niesłusznie. Bo oto świadek koronny, profesor Charles P. Howland z uniwersytetu w Yale powiada: „Istnieje rozpowszechniony wśród Amerykanów pogląd, że Stanom Zjednoczonym należy sie wielkie uznanie za to, co ich zdaniem jest polityką światłej pomocy szczodrze udzielanej Chinom. Niestety, wbrew tem wierzeniu, polityka „drzwi otwartych“ nie jest wcale oparta na altruizmie. Wręcz przeciwnie...“ Kropkę nad „i“ stawia sam „dobroczyńca“, Herbert Hoover, który za czasu swej prezydentury zwierzał się jednemu z przyjaciół: „Od dawna już przekonałem się, że najlepszym sposobem uzyskania prawdziwej dyscypliny i zapobieżenia strajkom jest system przykuwania kulisów chińskich do słupa umieszczonego w pełnym słońcu i trzymanie ich tak przez cały dzień“. W naszych czasach William Bullit, zaciekły apostoł trzeciej wojny, zawarł swe *credo* w następującym zdaniu: „Niepodległość Stanów Zjednoczonych nie przetrwa nawet o jedno pokolenie niepodległości Chin“. Przez „niepodległość“ Chin rozumiał oczywiście ich całkowite podporządkowanie władzy i woli USA.

Toteż nie było rzeczą przypadku, ani rzeczą dziwną, że gorączkowe dostawy wielkich transportów broni i miliardów dolarów dla Czang Kai-szeka zaczęły się zaraz po klęsce Japonii. Wynik? Majątek osobisty czterech „panów“ Chin — Czang Kai-szeka, T. V. Soonga, H. H. Kunga i Czu Li-fu — szacowano już z końcem 1947, jak stwierdzał ambasador USA, M. Stuart, na 20 miliardów dolarów. Natomiast rozprzężenie ich wojsk postępowało z szybkością zawrotną.

*

Upadek japońskich militarystów i przybycie wyzwoleńczej Armii Radzieckiej, zelektryzowały naród. Albowiem rewolucja dojrzewała już z dawna. W tym samym czasie, gdy Wilson opanowywał finanse Chin, wybuchały pierwsze strajki polityczne; powstawał ruch 4 Maja, o którym Mao Tse-tung mówił, że „zrodził się w apelu rewolucji światowej, z apelu rewolucji rosyjskiej, z apelu Lenina“. A nade wszystko rodziła się Chińska Partia Komunistyczna. Historia nie stała w miejscu. I teraz klasa robotnicza i rewolucjonizujące się z dniem każdym chłopstwo wystąpiły do ostatecznej zwycięskiej walki o wolność swego kraju. Znamy jej przebieg. I znamy ciąg dalszy: jesienią 1949 Czang Kai-szek uciekł na Taiwan — osiem miesięcy później Mac-Arthur lądował w Korei.

Potem przyszła klęska watażki nad Jalu i jego plan bombardowania miast chińskich. A wreszcie plany Einsenhowera: blokada i rozszerzenie agresji z baz w Indochinach, Taiwanie i Burmie. Rezultat? „Deneutralizacja“ Formozy wywołała protest nawet satelitów Ameryki, vietnamski ruch wyzwoleńczy ogarnia coraz nowe kręgi ludności, a Burma, mimo anglo-saskich nacisków, złożyła skargę w ONZ żądając ewakuacji band kuomintangowskich. Odpowiedzią zaś bezpośrednią na zarządzenia blokady był 5-letni traktat handlowy zawarty z Chinami przez Cejlon. Blokada zresztą wcale nie podważyła handlu zagranicznego Chin, który w ciągu ostatnich 3 lat zwiększył się w dwójnasób. Sam udział krajów obozu socjalizmu powiększył się z 26% w 1950 r. na 72% w 1952. Równocześnie rozwija się wymiana z większością krajów świata, a nawet z Japonią, Niemcami zachodnimi i krajami Ameryki Łacińskiej.

Półlegendarny lud Partów zadawał swym wrogom największe straty w chwili, gdy w pełnej ucieczce raził ich chmurą zatrutych strzał. Wyparty z

najbardziej przez siebie upragnionych żerowisk, imperializm Stanów Zjednoczonych nie szczędzi mściwych i zatrutych strzał, które ześlizgują się tylko nie mogąc przebić pancerza mocy gospodarczej Chin. Eksperci wielkich monopoli bezskutecznie szukają „klucza zagadki". Odpowiedź jest zbyt oczywista i prosta na ich zrozumienie. Źródła mocy wyzwolonych narodów płyną z internacjonalistycznej solidarności świata socjalistycznego, płyną stąd przede wszystkim, że w każdym swym działaniu znajdują oparcie w całej potędze Związku Rad.

„Od roku 1937 — pisze w swych pamiętnikach pierwszy trumanowski sekretarz stanu, Stettinius — Chińczycy dowiedli wielokrotnie, że potrafią dokonać tego, co zdaje się niepodobieństwem". Jak niegdyś pierwsza Pięciolatka Radziecka wstrząsnęła posadami kapitalizmu, tak dzisiaj Plan chiński wywołuje trzęsienie ziemi w Ameryce. Zadrżały czułe sejsmografy Wall Street, a drganie ich wywołuje powódź słów w Waszyngtonie i wybuch Taftowego wulkanu w Cincinnati.

Na próżno. Nawet dymy tego wulkanu przybierają kształt złowrogi, który Baltazarowi już wieścił zagładę. Tylko dziś: *Mane, Tekel, Fares* tłumaczy się — „kryzys kapitalizmu USA".

Julian Stawiński

KSIĄŻKI NADESŁANE

PROZA

Aksakow Siergiej — Lata dziecięce Bagrowa — wnuka. Przekł. z ros. Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego. Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy. Str. 387 i 1 nlb.

Andrzejewski Jerzy — Wojna Skuteczna czyli Opis bitew i potyczek z Zadufkami. Tom I. Okładkę proj. Jan Młodożeniec. Warszawa, 1953. „Czytelnik". Str. 272 i 2 nlb.

Bałucki Michał — Pańskie dziady. Powieść fotografowana z natury. Okładkę proj. Andrzej Heidrich. Warszawa, 1953. „Czytelnik". Str. 261, 3 nlb.

Balzac Honoriusz — Listy dwóch młodych mężatek. Wydanie drugie. Przeł. Julian Rogoziński. Wstępem poprzedził Maciej Żurowski. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 273, 3 nlb.

Berent Wacław — Fachowiec. Powieść współczesna. Wstęp Janusz Wilhelmi. Okładka i oprac. graf. z r. 1895 Andrzej Heidrich. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 206, 2 nlb.

Boguszewska H. i Kornacki J. — Jadą wozy z cegłą. Powieść. Wydanie nowe. Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 218, 2 nlb.

Damdinsüren C. — Opowiadania mongolskie. Przeł. z ros. Włodzimierz Lisowski. Okładka i oprac. graficzne Jerzego Jaworowskiego. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 133, 3 nlb.

Dickens Karol — Świerszcz za kominem. Tłumaczenie anonimowe, przejrzane i poprawione. Okładka i oprac. graf. Andrzej Heidrich. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 126, 2 nlb.

Fielding Henryk — Przygody Józefa Andrewsa. Tłum. z ang. Maria Korniłowicz. Wiersze tłum. Włodzimierz Lewik. Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 458, 6 nlb.

Gałaj Julian — W rodzinie Lebiodów. Wyd. czwarte. Okładkę proj. Andrzej Radziejowski. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 247, 1 nlb.

Jókai Mór — Złoty człowiek. Powieść. Z węgierskiego tłum. Camilla Mondral. Okładkę proj. Jan S. Miklaszewski. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 637, 3 nlb.

Kalinczenko Andriej — Paschale. Opowiadania kamczackie. Przekład autoryzowany Marii Aszer. Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 195, 1 nlb.

Kłosowski Józef Nikodem — Czarna wiosna. Powieść. Okładkę i kartę tytułową proj. Andrzej Radziejowski. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 221, 3 nlb.

Koptiajewa Antonina — Iwan Iwanowicz. Powieść. Tłum. Zofia Łapicka. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 590, 2 nlb.

Kubicki Marian — Tamte lata. Opowieść. Okładkę proj. Izabella Konarzewska. Warszawa, 1953, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza; str. 178, 2 nlb.

Lem Stanisław — Astronauci. Powieść fantastyczno-naukowa. Wydanie trzecie. Okładkę i obwolutę proj. Jan S. Miklaszewski. Rysunki wykonał Bolesław Penciak. Warszawa, 1953, „Czytelnik"; str. 383, 1 nlb.

Morcinek Gustaw — Pokład Joanny. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 412, 4 nlb.

Nałkowska Zofia — Granica. Wydanie V. Warszawa, 1953, „Czytelnik"; str. 327, 1 nl.

Orkan Władysław — Komornicy. Posłowiem opatrzył Aleksander Słapa. Warszawa, 1953, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 161, 1 nl.

Orzeszkowa Eliza — Dobra pani. Ilustr. Antoni Uniechowski. Okładkę proj. Andrzej Heidrich. Warszawa, 1953, „Czytelnik"; str. 51, 1 nl.

Ozga-Michalski Józef — Niezwykła podróż. Okładkę proj. Izabella Konarzewska, Warszawa, 1953, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza; str. 143, 1 nl.

Paukszta Eugeniusz — Srebrna ławica. Okładkę proj. Marek Rudnicki. Warszawa, 1953, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 811, 1 nlb.

Reymont Władysław St. — Chłopi. Opracowanie tekstu i przypisy Marii Rzeuskiej. Tom I. Jesień. Zima. Tom II. Wiosna. Lato. Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy; t. I. str. 548, 4 nl.; t. II. str. 671, 1 nl.

Rudnicki Lucjan — Stare i nowe. Wydanie II pełne. Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 406, 2 nlb.

Seghers Anna — List gończy. Z niem. tłum. W. Kragen i J. Popławski. Okładkę proj. Jerzy Jaworowski. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 216, 4 nlb.

Syska Henryk — Syn Mazowsza. Opowieść o Romanie Zmorskim. Okładkę proj. Stefan Żechowski. Warszawa, 1953. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza; str. 201, 3 nlb

Tołstoj Lew — Anna Karenina. Powieść. Tom IV. Przekład Kazimiery Iłłakowiczówny, Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 243, 1 nl, 1 k nl luźna: errata.

Ward Estolv Ethan — Renegat. Z ang. tłum. Jan Meysztowicz. Okładkę proj. J. Grabiański, Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 499, 1 nl.

Wolter — Tak toczy się światek. Przełożył Tadeusz Boy-Żeleński. Okładkę proj. Andrzej Rudziński. Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 218, 2 nl.

Żeromski Stefan — O żołnierzu tułaczu. Okładkę proj. Andrzej Heidrich. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 74, 2 nl.

POEZJA I DRAMAT

Baranowicz Jan — Kołyszą się jodły. Uwagi inscenizacyjne oprac. Grzegorz Lipszyc. Kostiumy i dekoracje proj. Zenobiusz Strzelecki. Okładkę proj. Andrzej Heidrich. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 59, 1 nl.

Baumgardten Aleksander — Łuny na wietrze. Projekt okładki i rysunki: L. Kwiatkowska i L. Mozdzanowska. Stalinogród, 1953, „Śląsk Literacki"; str. 48.

Bliziński Józef — Pan Damazy. Komedia w 4 aktach. Oprac. Zbigniew Wasilewski. Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 211, 1 nl.

Iwaszkiewicz Jarosław — Lato w Nohant. Komedia w trzech aktach. Wyd. drugie. Okładkę proj. Jan S. Miklaszewski. Warszawa, 1953, „Czytelnik"; str. 103, 1 nl.

Jastrun Mieczysław — Poezje wybrane. Okładkę proj. Marek Rudnicki. Warszawa, 1953, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 102, 2 nl.

Lutowski Jerzy — Sprawa rodzinna. Sztuka w trzech aktach. Okładkę proj. Jan S. Miklaszewski. Warszawa, 1953, „Czytelnik"; str. 134, 10 nl.

Maliszewski Aleksander — Droga do Czarnolasu. Sztuka w trzech aktach. Okładkę proj. Marek Rudnicki. Warszawa, 1953, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 127, 3 nl.

Pietrow Eugeniusz — Wyspa pokoju. Sztuka w czterech aktach. Wydanie drugie. Warszawa, 1953, „Czytelnik"; str. 91, 1 nl.

Słowacki Juliusz — Balladyna. Tragedia w 5 aktach. Mała kronika. Przypisy w oprac. Pawła Hertza. Nota „Balladyna" na scenie Stanisława Dąbrowskiego. Warszawa, 1953, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 233, 1 nl.

— Kordian. Część pierwsza trylogii. Spisek koronacyjny. Przedmowa Mieczysława Jastruna. Mała kronika i przypisy w oprac. Pawła Hertza. Nota „Kordian na scenach polskich" Stanisława Dąbrowskiego. Warszawa, 1953, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 169.

— Poezje i listy wybrane. Wybrał i opracował Paweł Hertz. Warszawa, 1953, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 173, 3 nl.

Sztejn Aleksander — Flaga Admiralska. Dramat historyczny w czterech aktach, dziewięciu obrazach z epilogiem. Z ros. tłum. Paweł Włoński. Okładkę proj. Jan S. Miklaszewski. Warszawa, 1953, „Czytelnik"; str. 139, 1 nl.

Śpiewak Jan — Doświadczenia. Wiersze. Okładkę proj. Andrzej Radziejowski. Warszawa, 1953, „Czytelnik"; str. 67, 1 nl.

Woroszylski Wiktor — Ojczyzna. Wiersze. Okładkę proj. Marek Rudnicki. Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 73, 3 nl.

ESSAY I KRYTYKA

Mitzner Zbigniew (Szeląg Jan) — Wyprawy w przeszłość. Okładkę proj. Olga Siemaszkowa, Warszawa, 1951, „Czytelnik"; str. 209, 3 nl.

Pomianowski Jerzy — Z widowni. Ilustracje: Anna Rembacz-Pomianowska. Okładka: Henryk Tomaszewski. Warszawa, 1953, „Czytelnik"; str. 238, 2 nl.

POLSKA LUDOWA (ZAGADNIENIA POLITYCZNE I GOSPODARCZE)

Rapacki Adam — Rozwijać i pogłębiać ofensywę ideologiczną. Uwagi w związku z naradą aktywu studenckiego (6—7 grudnia 1952). Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 77, 3 nl.

BUDOWNICTWO SOCJALISTYCZNE ZSRR. KRAJE DEMOKRACJI LUDOWEJ.

Wawiłow Sergiusz — Nauka epoki stalinowskiej. Z jęz. ros. przeł. Jan Malczewski. Okładkę proj. Jerzy Kruszewski. Warszawa, 1953, „Czytelnik"; str. 170, 2 nl, 1 fotogr.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Bahdaj Adam — Mały ratownik. Ilustr. Z. Witwicki. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 30, 2 nl.

Barto A. — Synowie i córki kwoczki Pstroczki i kurki Czupurki. Tłum. Maria Kann. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 8 knl.

Bianki Witali — Leśna gazeta. Rysunki W. Kurdowa. Przeł. z jęz. ros. Nadzieja Drucka. Okładkę proj. Bogdan Zieleniec. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 318, 2 nl.

Bijak Jan — Zaciąg młodych patriotów. Okładkę proj. W. Janiszewski. Warszawa, 1953 „Iskry"; str. 42, 2 nl.

Bobińska Helena — Soso. Dziecięce i szkol-

ne lata Stalina. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 156, 4 nl.

Brandys Marian — Dom odzyskanego dzieciństwa. Ilustr. Helena Cygańska-Wolicka. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 231, 3 nl.

— Wyprawa do Arteku. Notatki z podróży do ZSRR. Ilustr. Zb. Rychlicki. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 155, 3 nl.

Brzechwa Jan, Marianowicz Antoni, Minkiewicz Janusz — Upominki noworoczne 1953. Szopka satyryczna. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 101, 3 nl.

Centkiewiczowie Alina i Czesław — Odarpi, syn Egigwy. Wydanie trzecie. Okładkę proj. Jerzy Jaworowski. Warszawa, 1953, „Czytelnik"; str. 157, 3 nl.

Czapek Karol — Daszeńka czyli żywot szczeniaka. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 79.

Domaniewski Janusz — Najhrubszy gazda. Opowieść o niedźwiedziu tatrzańskim. Ilustr. Stanisław Rozwadowski. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 70, 2 nl.

Dumas Aleksander — W dwadzieścia lat później. Powieść historyczna z XVII wieku. Oprac. Zygmunt Michałowski. Okładkę proj. Stanisław Töpfer. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 536, 8 nl.

Gorbatow Borys — Moje pokolenie. Tłum. z jęz. ros. Kazimierz Truchanowski. Posłowie Grzegorza Lasoty. Ilustr. Stefan Styczyński. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 436, 4 nl.

Granin D. — Jarosław Dąbrowski. Z jęz. ros. przeł. Irena Bajkowska, Izabela Zabłudowska. Posłowie Romana Werfla. Ilustr. i okładka Leonii Janeckiej. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 198, 2 nl.

Iljin M. — Ujarzmienie przyrody. Tłum z ros. Dzianowska J. Winietki Aleksandra Kruszewskiego. Okładkę proj. Władysław Janiszewski. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 169, 3 nl.

Iłowski Stanisław — Kukiełki w szkole i świetlicy. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 161, 3 nl.

Iwanowski M. — Droga do gwiazd. Tłum. z jęz. ros. M. Zajdenman. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 261, 3 nl., 1 knl.

Jachowicz Stanisław — Bajki. Wyboru dokonała Irena Skowronkówna. Ilustr. Stefan Styczyński. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 37, 3 nl.

Jak lud polski zdobył niepodległość i władzę. Temat I (Materiały do Szkolenia Zetempowskiego). Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 254, 2 nl.

Kawierin W. — Szkoła męstwa. Opowiadania. Wydanie III. Tłum. z ros. Stanisław Niewiadomski. W-wa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 109, 3 nl.

Korczakowska Jadwiga — Dwie Marysie. Baśń sceniczna w pięciu odsłonach opracowana według bajki ludowej. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 73, 3 nl.

Lestyán Aleksander — W bukowińskiej puszczy. Tłum. z węg. i przypisami zaopatrzyła Kazimiera Iłłakowiczówna. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 200, 4 nl.

London Jack — Opowieści z północy i południa. Tłum. z ang. Zygmunt Glinka i Gabriel Karski. Wyboru dokonał Zbigniew Mitzner. Ilustr. Bogdan Zieleniec. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 268, 4 nl.

Łukin Nikołaj — Dzieje pewnego wynalazku. Tłum. z ros. Alicja Maliniak. Okładkę proj. St. Wielgus. Ilustr. N. Korczagin. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 612, 4 nl.

Majecki Jan — Brygady młodzieżowe w zakładzie pracy. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 65, 3 nl.

Meissner Janusz — Wraki. Ilustr. M. Walentynowicz. Obwoluta: Z. Rychlicki. Okładka: M. Kowalczyk. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 419, 5 nl.

Michałkow Sergiusz — Zając Chwalipięta. Bajka w 2 aktach z prologiem. Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 71, 1 nl.

Morozow A. — Człowiek w dżungli. Opowiadania. Tłum. z ros. Antoni Koral. Okładkę proj. Janusz Grabiański. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 163, 5 nl.

Mularczyk A. i Janicki J. — Towarzysze z Dąbrowy. Okładkę proj. Janusz Grabiański. Ilustr. Mieczysław Majewski. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 259, 3 nl.

Na dziesięciolecie ZWM (Materiały do Szkolenia Zetempowskiego). Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 31, 1 nl.

Orłow W. — Śmiała myśl zwycięża. Tłum. z ros. A. Czekalski i Z. Iwańska. Warszawa, 1953, „Iskry"; str. 201, 3 nl.

SPIS TREŚCI

str.

Janina Brzostowska — Tej książki strzec musisz pilnie przed braćmi 3
Arnold Słucki — Ballada o staruszkach; U krawca; Wiersz miłosny . 6
Danuta Bieńkowska — Dach nad głową 8
Grażyna Woysznis-Terlikowska — Zaminowane pola . . . 62
Jadwiga Gorzycka — Ostatnie widzenie 124
Samuel Sandler — Z praktyki pierwszego marksistowskiego krytyka literackiego w Polsce 129
Michał Isakowski — Cztery życzenia — przeł. Włodzimierz Boruński 141
Maciej Żurowski — Rabelais 151
Piotr Grzegorczyk — Jakiego Gogola znamy? Rewizor na warsztacie tłumaczów 159

WŚRÓD KSIĄŻEK: Adolf Sowiński — Benedykt Hertz „Satyry 1919—1951"; Artur Sandauer — Ajschylos „Tragedie"; Salomon Łastik — Jadwiga Chamiec „Opowieść o Ludwiku Waryńskim"; Henryk Bereza — Jerzy Stawiński „Herkulesy"; Ludwik Grzeniewski — Franciszek Fenikowski „Pierścień z łabędziem"; Włodzimierz Maciąg — Władysław Machejek „Szkice z bojów" 168

TEATR: Stefan Treugutt: W sprawie zemsty; Na scenach łódzkich . 184

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki; Józef Spinc; Georgi Canew; Julian Stawiński 198

KSIĄŻKI NADESŁANE 222

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-00-81/83, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12, tel. 8-00-81.
Cena zeszytu zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

WYNIKI KONKURSU
NA POEMAT O WOJSKU POLSKIM

Ogłoszony na początku br. przez Ministerstwo Obrony Narodowej oraz Związek Literatów Polskich konkurs na poemat o Wojsku Polskim — wzbudził szerokie zainteresowanie.

Na konkurs nadesłano 149 utworów, z których znaczna część jest na wysokim poziomie ideowym i artystycznym.

Komisja konkursowa, złożona z przedstawicieli Ministerstwa Obrony Narodowej i Związku Literatów Polskich z udziałem przedstawiciela Ministerstwa Kultury i Sztuki, postanowiła:

— I-ej nagrody nie przyznawać;

— przyznać dwie równorzędne nagrody II-gie w wysokości po 6.000 zł pracom opatrzonym godłami: „Wisła" i „Czołgista";

— przyznać dwie równorzędne nagrody III-cie w wysokości po 3.000 zł pracom opatrzonym godłami: „Surma" i „Paweł";

— powiększyć ilość wyróżnień do 6-ciu i przyznać je w wysokości po 1.000 zł pracom opatrzonym godłami „Ryszard", „Warszawianka", „Wolność i praca", „H. K.", „Liryki wojenne" i „Tar".

Po otwarciu kopert z nazwiskami, autorami nagrodzonych i wyróżnionych utworów okazali się:

Nagroda II: Henryk Hubert, Warszawa — autor poematu „Drogi".
Leopold Lewin, Warszawa, — autor poematu „Droga żołnierza".

Nagroda III: Tadeusz Żochowski, Warszawa — autor poematu „Bitwa pod Lenino".
J. Żwirska, Warszawa — autorka poematu „Maria — matka żołnierzy".

Wyróżnienia: Ryszard Liskowacki, Lublin — autor poematu „Szlak",
Gustaw Przeczek, Trzyniec (Czechosłowacja) autor poematu „Bagnet i pieśń",
Tadeusz Radwański, Warszawa — autor poematu „Pług i miecz",
Henryk Sarkowski, Warszawa — autor poematu „Pamiętam",
Maria Jagiełło, Gliwice — autorka „Liryk wojennych",
Jerzy Felczer, Wrocław, — autor poematu „Opowieść o prostym żołnierzu".

Wybór nagrodzonych i wyróżnionych utworów ukaże się w Wydawnictwie MON na X-lecie Ludowego Wojska Polskiego.

8+2109/1515

NOWOŚCI

Tomasz Atkins i Tadeusz Rojek

POD OKUPACJĄ DOLARA

Książka omawia sytuację w krajach Europy Zachodniej, podporządkowanych dyktatowi USA.

Str. 220 zł 5,50

* * *

Roman Bratny

ILE SERCE WYTRZYMA

Cykl opowiadań obrazujących przemiany wsi dzisiejszej.

Str. 168 zł 5,—

* * *

Henryk Korotyński

PYTANIA, KTÓRE CZEKAJĄ NA ODPOWIEDŹ

Praca publicystyczna omawiająca stanowisko Episkopatu wobec najżywotniejszych problemów narodu polskiego.

Str. 104 zł 1,20

* * *

Jarosław Iwaszkiewicz

CZTERY SZKICE LITERACKIE

1. Leonardo da Vinci, 2. Wiktor Hugo, 3. Karol Szymanowski a literatura, 4. Do Zofii Nałkowskiej.

Str. 92 zł 4,—

* * *

Mirosław Żuławski

RZEKA CZERWONA

Powieść, której tematem jest „brudna wojna" w Vietnamie

Str. 186 zł 8,—

Józef Ignacy Kraszewski

JAK SIĘ DAWNIEJ LISTY PISAŁY

Krótki szkic obyczajowy; satyra na ciemnotę szlachty w końcu XVIII w.

Str. 24. zł 1,—

* * *

Irena Krzywicka

SIEW PRZYSZŁOŚCI

powieść

Trzeci tom cyklu powieściowego pt. „Skuci i wolni" (t. I. „Rodzina Martenów", t. II. „Bunt Kamila Martena") ukazujący początki robotniczego ruchu rewolucyjnego w Polsce oraz przemiany i dojrzewanie ideologiczne postępowego odłamu inteligencji.

Str. 400 zł. 15,—

* * *

Weronika Wilbik-Jagusztynowa

NIE JESTEŚMY SAMI

Opowiadania o buntach i strajkach chłopskich w okresie międzywojennym.

Str. 188 zł 6,—

* * *

Stanisław Zieliński

JESZCZE POLSKA...

Druga część powieści pt. „Ostatnie ognie". Akcja toczy się głównie w Polsce w r. 1947.

Str. 328 zł 15,—

„CZYTELNIK"